


Świetna i niezapomniana powieść!
Głębokie i mroczne dzieło...

bookreporter.com



JESSE
KELLERMAN
EGZEKUTOR

EGZEKUTOR

JESSE KELLERMAN

przełożył
Leszek Karnas
Warszawa 2013

Tytuł oryginału **The Executor**

Copyright © 2010 by Jesse Kellerman

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII

Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal,
MMXIII

Przekład **Leszek Karnas**

Redakcja **Elżbieta Szelest**

Korekta **Natalia Kraszewska, Małgorzata Denys**

Projekt okładki **Elżbieta Chojna**

Adiustacja **Maria Karpińska**

Projekt graficzny i skład **TYPO**



GRUPA WYDAWNICZA

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

ISBN 978-83-7881-187-9

Wydanie I

Skład wersji elektronicznej **Michał Olewnik** / [Wydawnictwo W.A.B.](#)
i **Michał Latusek** / [Virtualo Sp. z o.o.](#)



*Filozof, rzecz analizując,
Dowodzi, że tak być musiało:
Po pierwszym drugie nastąpiło,
Przez co się trzecie, czwarte stało...
Lecz skoro pierwszej pary brak,
Nie ma i drugiej – bo i jak?
W to właśnie każdy uczeń wierzy,
Lecz nie wie, jak się wić należy.*

– Wybieraj! – powiedział Głupiec.

GOETHE, *FAUST* [PRZEKŁAD TŁUM.]

KSIĘGA STARYCH MYŚLI, 17:19

Byłem właścicielem połówki popiersia Nietzschego. Jedynej rzeczy, którą uważałem za prawdziwie moją, a tego wieczoru, kiedy Yasmina mnie wyrzuciła – ostatniej, jaką zabrałem, zanim podszedłem do drzwi i odwróciłem się, żeby podzielić się swoimi końcowymi myślami.

Odezwała się pierwsza.

– Zawsze jej nienawidziłam.

Nie odpowiedziałem.

– Przykro mi – powiedziała. – Wiem, że ją uwielbiasz. Ale jest naprawdę dziwna.

Odrzekłem, że nie chcę się już kłócić.

Spytała, czy sobie poradzę. Powiedziałem jej, że to nie ma znaczenia. Upierała się, że jednak ma, więc powiedziałem: tak, poradzę sobie. Skłamałem. Powiedziałem tak tylko dlatego, by nie czuła się winna. Nie można przeżyć z kimś dwóch lat, nie rozwinąwszy pewnego rodzaju refleksyjnego współczucia, i wiedziałem, że gdybym jej o tym nie zapewnił, spędziłaby bezsenność, martwiąc się o mnie. Nie bez powodu: wystawiała mnie za drzwi w samym środku śnieżycy. Powinna czuć się winna. Lecz duma nie pozwoliła mi tego wykorzystać.

– Poradzę sobie – powtórzyłem.

– Im więcej razy to powtarzasz, tym mniej ci wierzę.

Mimo to nie wydawało się, że jest skłonna wpuścić mnie z powrotem, choć wciąż stała w drzwiach. Za nią było mieszkanie, w którym żyliśmy i pracowaliśmy, spaliśmy, rozmawialiśmy i kochaliśmy się. Przyglądam się korkowej tablicy obwieszanej fotografiami i karteczkami z zapiskami – to dowody naszej wspólnej historii. Kolacje z przyjaciółmi. Weekendy w Salem i Newport. Pamiętam stolik kawowy – zmaltretowany kufer obity skórą, wygrzebany gdzieś na wyprzedazy. Gwóźdź wystający ze ściany tuż obok frontowych drzwi. Czasami coś na nim wisi, teraz jest pusty i przypomina o wszystkim, co poszło nie tak.

Nie jestem człowiekiem, któremu łatwo odbiera mowę, ale stojąc tam, nie potrafiłem wymyślić nic, co mógłbym powiedzieć. Po jej beznamietnej twarzy od czasu do czasu staczały się łzy, czyniąc to jakby z obowiązku. Nie mogliśmy różnić się od siebie bardziej niż w tej chwili. Ona – drobna i ciemnowłosa, obwieszona biżuterią, pełna blasku i elegancja. A ja? Metr osiemdziesiąt osiem, rumiany, grubokościsty, zdolny utrzymać swój cały dobytek – wszystkie fizyczne dowody mojego istnienia – w dwóch rękach, nie uroniwszy ani kropli potu.

Świadczy to głównie o tym, jak mało posiadałem. Pakowanie trwało przygnębiająco krótko – wszystko zmieściło się w sportowej torbie, którą musiałem pożyczyć od Yasminy. Połowę miejsca zajęły mój laptop, książki i niedokończona dysertacja, resztę – koszule z postrzępionymi mankietami, marynarki wyświechtane na łokciach, pogniecione spodnie khaki i dżinsy. W bocznej kieszeni tkwiła para zdartych do niemożliwości brązowych mokasynów. Cała ta nieszczęsna garderoba odzwierciedlała mój pielęgnowany przez lata obraz samego siebie: wymiętego naukowca. Ubrania należały do świata przedmiotów, ja – do świata idei. Zamartwianie się wyglądem byłoby równoznaczne z przyznaniem się, że to, jak postrzegają mnie inni, ma dla mnie znaczenie. Uznałem jednak kiedyś ten pomysł za odpychający. Do pewnego stopnia wciąż tak uważam. Mimo wszystko jakaś częśćka mnie nie potrafi wyzbyć się przekonania, że znajduję się poza społeczeństwem, ponad jego osądami.

To częśćka, która maleje z każdym dniem.

W końcu było też popiersie Nietzschego. Pół popiersia. Dokładniej mówiąc, jego lewa połówka. Znalazłem je na pchlim targu w Berlinie Wschodnim. Za nic nie potrafię powiedzieć, co tam robiłem. To znaczy, na pchlim targu. Wiem za to, co robiłem w Berlinie: wydawałem pieniądze z kolejnego stypendium, prowadząc kolejne badania, by napisać kolejną część swej niekończącej się rozprawy. Nigdy nie byłem skłonny do robienia bezsensownych zakupów, a bezsensowne jest w zasadzie wszystko, co można znaleźć w takich miejscach. Jeśli dobrze pamiętam, wracałem właśnie ze *Staatsbibliothek* do swej maleńkiej kawalerki w Prenzlauer Berg, przemyśliwając to, co przeczytałem tego dnia. Musiałem zboczyć ze swej zwykłej drogi, bo kiedy przystanąłem, stwierdziłem, że stoję w hałaśliwym przejściu (nie pamiętałem, jak się w nim znalazłem), przed straganem (nie pamiętałem, jak do niego podszedłem), i trzymam jakiś przedmiot (nie pamiętałem jednak, jak po niego sięgnąłem).

Zimny i ciężki, odlany z żeliwa, z kwadratową podstawą, z której wyrastała ludzka głowa przełupana w pół: jedno ucho, jedno oko, lewa połowa nosa. Niestaranność wykonania świadczyła o niezgrabnych dłoniach trzymających kiepskie narzędzia: brakowało proporcji, a powierzchnie były nierówne. Szczególnie nierealnie wyglądało oko, tkwiące zatrwającą głęboko w oczodole i jakby świdrujące z pustki otoczonej twarzą pooraną bruzdami. Ten brak wyrafinowania przyczyniał się jednak w jakiś sposób do ogólnego efektu, podobnie jak wąsy, a raczej tylko ich połowa. Któż inny mógłby to być?

– *Sehr lustig, ja?*

Podniosłem wzrok na sprzedawcę. Wykazywał wybitne podobieństwo do Józefa Stalina, co było surrealistyczne, gdyż z pokrywających stół pokładów kiczu typowego dla ery radzieckiej wyzierał czajnik w sierpy i młoty, na dodatek ozdobiony portretem samego generalissimusa.

Przytaknąłem i odwróciłem przedmiot, uwidaczniając jego podstawę pokrytą zielonym łysiejącym aksamitem.

Sprzedawca powiedział mi, że to podpórka do książek. Jej przyjaciel – użył właśnie takiego słowa: *Freund* – zaginął. Nie wiedział, skąd się wzięła, chociaż teoretyzował, że musiała kiedyś należeć do profesora.

– *Ein Genie* – rzekł. *Geniusz*. I dodał, że bez niego świat nie byłby taki sam. Te słowa wypowiedziane przez kogoś, kto sprawiał wrażenie jakby się nie golił ani nie widział prysznicza od czasów pierestrojki, wydały mi się cudowną opinią intelektualisty. Poruszyły mnie: jako filozof chciałem zobaczyć, jak idee Nietzschego, często tak błędnie rozumiane, wciąż potrafią zainspirować zwykłego człowieka.

– $E = mc^2$ – powiedział. – *Ja?*

Sądzę, że wykonałem dobrą robotę, ukrywając swą konsternację, choć w tym momencie poczułem, że jestem odpowiedzialny za dalsze losy podpórki. Nie można ufać nikomu, kto myli Nietzschego z Einsteinem. Spytałem o cenę. Sprzedawca oceniał mnie przez sekundę, konfrontując podpórkę z moją tandetną sportową marynarką, zanim odpowiedział: trzydzieści euro. Zaproponowałem dziesięć, podzieliliśmy różnicę na pół i odszedłem wniebzięty, z torbą cięższą o sześć kilogramów.

W ciągu ostatnich kilku lat podpórka stała się dla mnie czymś w rodzaju totemu, wspomnienia szczęśliwszych czasów, w których otrzymywałem stypendia i mogłem podróżować. Lecz tego wieczoru, kiedy zostałem wyrzucony przez Yasminę, znajdowałem się już oczywiście w zupełnie odmierzonej sytuacji. Moje źródło finansowania wyschło i nie było widoków na kolejne fundusze. Moje stanowiska nauczycielskie przydzielono tym, którzy ich bardziej potrzebowali i zawsze dotrzymywali obietnic, a doktoryzowali się od trzech lub czterech, lecz nie ośmiu lat, do których mogły przybyć kolejne. Mój tak zwany konsultant nie odezwał się do mnie od miesięcy. W Emerson Hall zyskałem status co najmniej chybionej inwestycji, jeśli nie *persona non grata*.

Dlatego hołubiłem podpórkę i trzymałem ją na szafce ze sprzętem stereo w salonie, gdzie mogłem spoglądać na nią, siedząc przy swym biurku w kącie. Podpórka dodawała mi otuchy. Była ponadto moim jedynym udziałem, jaki wniosłem w wystrój domu. Yasmina nigdy nie protestowała, więc zaskoczyła mnie, mówiąc, co naprawdę czuje. Kiedy tam stałem i usiłowałem wyczarować odpowiednio błyskotliwą uwagę na odchodne, przyciskałem podpórkę do piersi, chroniąc ją przed nią.

– Wygląda jakby miał borsuka na twarzy – odezwała się Yasmina.

– Półborsuka – odrzekłem ogólnikowo.

Pomyślę o niej jak najlepiej i powiem, że nie sądzę, by swoim zachowaniem chciała wyrządzić komuś krzywdę. Była pochłonięta samą sobą, ale wiedziałem o tym i kochałem ją tak samo. Nawet wtedy, kiedy poczułem, że nasz związek stopniowo obumiera, powtarzałem sobie raz za razem, że nie byłaby nigdy tak bezmyślna, by wyrzucić mnie bez ostrzeżenia. Myliłem się.

Chciałem wyjść, wygłosiwszy coś uszczypliwego, ale jedyną rzeczą, na którą zdołałem się zdobyć, była ironia.

– Życie umysłu – powiedziałem, trzymając swój skromny dobytek.

– Baw się dobrze! – odrzekła i zamknęła mi drzwi przed nosem.

Drew czekał na dole w samochodzie. Odłożył sudoku, otworzył bagażnik i wysiadł. Widząc, jak niewiele niosę, zatrzasnął klapę i otworzył tylne drzwi.

Przejechaliśmy większość drogi w kierunku Somerville, zanim ściszył radio i powiedział:

– Mam nadzieję, że wiesz, że możesz zostać tak długo, jak ci się podoba.

Wtedy wiedziałem już, że muszę się wynieść jak najszybciej.

Leżąc na skrzypiącej sofie – z lunatycznym okiem Nietzschego wgapiającym się we mnie z parapetu, za którym płatki śniegu kłębiły się niczym chmura idei – zacząłem układać listę ścieżek do zbadania: strony internetowe z ofertami pracy, *craigslist*... Krótko mówiąc, stało się dla mnie jasne, że powinienem przejrzeć ogłoszenia. Pomysł wyszukania swego przeznaczenia w gazetach wydał mi się osobliwy – prawdę mówiąc, śmieszny – toteż, pomimo nieszczęsnych okoliczności, w jakich się znalazłem, uśmiechnąłem się do siebie w ciemności. Teraz, spoglądając wstecz, rozumiem, że nawet jeśli sięgnięcie po tamtą gazetę nie było pierwszą znaczącą decyzją w moim życiu, to stanowiło pierwszy krok ku wszystkiemu, co nastąpiło później – krok ku każdej z moich katastrof.

Przez kolejne trzy tygodnie przenosiłem się z jednej kanapy na drugą. Dostatecznie wcześnie zrozumiałem, że ceną, którą muszę zapłacić za kilka nocy w każdym kolejnym domu, jest moja łzawa historia opowiadana od początku – zazwyczaj pani domu, czasem też jej i jej mężowi. Siedzącym naprzeciwko, ze ściągniętymi brwiami oznajmijającymi zainteresowanie i układającym ręce tak, jak gdyby chcieli się osłonić przed moim zaraźliwym kawalerstwem. Wziąwszy pod uwagę swe prawo wyboru, pozostałbym z innymi kawalerami. Lecz nie znałem żadnego innego poza Drew. Tak się właśnie dzieje, gdy jest się w związku od dwóch lat: zna się tylko inne pary. Nie mogłem się też wprowadzić z powrotem do Drew. Nie dlatego, że mógłby się na to nie zgodzić, lecz dlatego, że jego mieszkanie przypominało chlew. Było to równie nieznośne, jak bycie zmuszanym po raz kolejny do wyjaśnienia, dlaczego Yasmina zrezygnowała ze mnie, skoro zawsze wydawaliśmy się tak szczęśliwi.

Potrzebowałem swego własnego miejsca. To było pewne. Mniej pewne było to, jak je znaleźć, kiedy ma się na koncie niewiele ponad dwieście dolarów. Moje standardy były wysokie, wręcz wyniszczające. Wszystko, co czyniłem, musiało choćby w minimalnej mierze wymagać myślenia, a zarazem pozostawiać mi mnóstwo czasu na dokończenie doktoratu. Niektórzy z moich przyjaciół uważali, że powinienem być otwarty na propozycję pracy, powiedzmy, w księgarni: pracy w atmosferze uczoneości, a ja, zamiast zajmować się wykładami, spędzałem czas na przeglądaniu stron sieci akademickiej.

– Albo mógłbyś dawać korepetycje – powiedzieli.

Odrzekłem, że wolałbym raczej umrzeć z głodu.

W tym momencie nie widziałem jeszcze powodu do paniki. Prędzej czy później Yasmina zadzwoni, błagając, bym wrócił. Komfortowe urządzenie się gdziekolwiek nie miało sensu, skoro zamierzałem podjąć wyzwanie i wprowadzić się do niej z powrotem. Wydzwaniałem więc do przyjaciół, prosząc o przysługi i wykorzystując ich całą życzliwość, na jaką zapracowałem w ciągu swych dwunastu lat w Cambridge. Każdego ranka wstawałem z nieco sfatygowanej kanapy, na której spałem, i udawałem się z laptopem do Yardu.

Emerson Hall, w którym mieści się wydział filozofii, ma swą oddzielną bibliotekę. Dowodem na to, w jakim stopniu wyobcowałem się z grona kolegów i nauczycieli, była absolutna konieczność unikania tego miejsca; wolałem odosobnienie w zapomnianym kącie na szóstym piętrze biblioteki Widenera, gdzie się dąsałem i udawałem, że piszę.

Jednego z takich popołudni przeglądałem bez przekonania „Crimson”, byłem nastawiony bardziej na rozrywkę niż cokolwiek innego. Pismo to zawsze wywoływało mój uśmiech – napuszeni studenci przed dyplomem ogłaszający swe domorośle rozwiązania globalnych problemów – dopóki nie zdałem sobie sprawy, że za pięć lat ci sami studenci będą wydawać opiniotwórczą stronę w „New York Timesie”.

Ogłoszenia w gazetach Ivy League adresowane są do młodych, zdolnych i zdesperowanych. Kilka z nich dotyczyło atrakcyjnych, niepalących kobiet w wieku od dwudziestu do dwudziestu dziewięciu lat, które zgodziłyby się zostać dawczyniami komórek jajowych. Bezpłodne małżeństwa były gotowe wypłacić za to dwadzieścia pięć tysięcy dolarów oraz pokryć wszelkie koszty; od tej sumy zakreśliło mi się w głowie. Moje roczne stypendium – kiedy jeszcze je miałem – wynosiło mniej niż połowę tej kwoty. Wszystko to za jedną jedyną komórkę. Zanotowałem w pamięci, że będę musiał zadzwonić do banku spermy i dowiedzieć się o aktualne stawki.

W jednym z ogłoszeń oferowano zwyczajowe torby na ramię dla żeńskich korporacji uczelnianych, w innym – dziesięcioletniego volkswagena jetta w dobrym stanie, tańszego niż w katalogu używanych wozów. Trzecie zdawało się promować książkę o historii Wszechświata wydaną własnym nakładem, do kupienia na stronie jej autora. Powiedziałem „zdawało się”, ponieważ reprodukcja była niewyraźna, a autor to osoba najwyraźniej fikcyjna. Ogłoszenie w „Crimson” może zamieścić każdy. Wszystko, czego potrzeba, to nie mniej niż piętnaście słów, po sześćdziesiąt pięć centów za każde.

Nie mogłem zatem sobie pozwolić na zamieszczenie ogłoszenia w „Crimson”.

Ósme, ostatnie ogłoszenie sprowadzało się do minimum:

Poszukiwana osoba do konwersacji.

Tylko poważni kandydaci.

Proszę dzwonić 617-xxx-xxx

od siódmej do czternastej.

Żadnych adwokatów.

Głównym zajęciem współczesnej filozofii jest surowa analiza języka. Przeczytałem tekst jeszcze kilka razy, rozumiejąc go i nie rozumiejąc zarazem. Jakiego rodzaju rozmówca? Przez kogo poszukiwany? Jedyne „poszukiwany” – w znaczeniu „konieczny”, tak jak „poszukiwane” bywa tanie źródło energii alternatywnej? Czy coś może być poszukiwane bez poszukującego? Rzecz jasna nie; nie w taki sposób działa ten czasownik. Poszukującym jest w tym przypadku przypuszczalnie osoba, która zamieściła ogłoszenie. Ponieważ miało nie być adwokata, czułem się, jakbym czytał raczej opis czyjegoś samopoczucia niż ofertę pracy.

Jak kandydat mógłby ocenić jej powagę, nie wiedząc czego wymaga praca? Czy „poważni” oznacza, że to ja mam być poważny, czy też to moje zgłoszenie powinno uchodzić za takie w oczach przyszłego pracodawcy? Mógłbym na

przykład poważnie pragnąc zostać ziejącą ogniem lesbijską astronautką, ale raczej nie można byłoby określić moich szans jako poważne.

Ton ogłoszenia zarówno ostrzegał, jak i zapraszał: wyciągało do mnie jedną rękę, trzymając drugą gotową do obrony. Kto powiedział coś o adwokatach? Może poszukujący bał się, że ktoś ukradnie mu tożsamość? Ale po co w takiej sytuacji zamieszczać numer telefonu? Dlaczego nie adres mailowy albo – z myślą o prawdziwych tradycjonalistach – numer skrytki pocztowej? Coś tu nie pasowało i miałem wrażenie, że spoglądam w paszczę przekrętu. W tych dniach trudno być zbyt podejrzliwym, paranoja nie jest już patologią, ale oznaką zdrowego rozsądku.

Wszelako brzmiało to tak dziwnie, tak uroczo dziwnie...

Mogłem zadzwonić z biblioteki – wokół nie było żywego ducha – ale zawsze traktowałem ją jako świątynię, a zakłócenie jej przesiąkniętej kurzem ciszy jako świętokradztwo. Spakowałem swoje rzeczy i poszedłem, mijając Tercentenary Theater, w kierunku Canaday Hall, pokracznego akademika znanego jako „The Projectus”, w którym mieszkałem na pierwszym roku. Śnieg wokół Science Center był brudny od setek stąpających po nim stóp. Zatrzymałem się, by popatrzeć na grupę studentów wykańczających olbrzymie śnieżne ucho w stylu Dalego. Będąc już w środku, chuchnąłem w zmarznięte dłonie, wyjąłem komórkę i wybrałem numer. Głos z nagrania poinformował mnie, że konto zostało zawieszona, wiadomość jeden–jeden–cztery–siedem.

Spróbowałem ponownie i usłyszałem ten sam głos, a kiedy powtórzyło się to po raz trzeci, zrozumiałem, że to się dzieje naprawdę. Yasmina mnie odcięła. To, że opłacała wszystkie rachunki, wydało mi się akurat wtedy nieistotne; jeszcze raz wpakowała mnie na mieliznę bez słowa ostrzeżenia, a ja byłem wściekły. Niemal rzuciłem telefonem o ścianę. Zszedłem na dół, by poszukać automatu telefonicznego.

Miała głos starszej pani. Pomyślałem, że mówi z akcentem, chociaż musiałbym usłyszeć więcej niż pojedyncze „witam”.

- Tak, dzień dobry, dzwonię w sprawie ogłoszenia w „Crimson”.
- Ach, tak. A z kim rozmawiam?
- Nazywam się Joseph Geist.
- Miło mi pana poznać, panie Geist.
- Dziękuję. Mnie panią również, pani...

Przerwałem, by mogła się przedstawić. Nie uczyniła tego, zatem powiedziałem:

- Jestem zainteresowany. Jakiego rodzaju osoby do konwersacji pani potrzebuje?
 - Katolika. Przez małe k. Czy tak właśnie mógłby pan o sobie powiedzieć?
 - Sądzę, że tak. Chociaż oficjalnie jestem także katolikiem przez wielkie K. Roześmiała się łagodnie.
 - Cóż, nie będę miała panu tego za złe.
- Zdecydowałem się na niemiecki, mimo że mówiła w sposób zdecydowanie

różniący się od tego, z którym spotkałem się w Berlinie. Być może pochodziła z prowincji albo z innego miasta.

- Nie praktykuję już, cokolwiek by to znaczyło.
- A, niepraktykujący katolik. To mi bardziej odpowiada.
- Miło mi to słyszeć.

– Zatem, panie Geist, niepraktykujący katoliku, przeczytał pan moje ogłoszenie. Jest pan studentem Harvardu, jak mniemam?

Wyjaśnienie mojego obecnego statusu zabrałoby zbyt dużo czasu. Rzekłem zatem, w większości zgodnie z prawdą:

- Doktorantem.
- Tak? W czym się pan specjalizuje?
- W filozofii.

Nastąpiła krótka przerwa.

– To naprawdę bardzo interesujące, panie Geist. Jakim pan jest rodzajem filozofa?

Mimo wielkiej pokusy nadęcia się postanowiłem zachować się ostrożnie.

- Katolickim – powiedziałem – Przez małe k.

Roześmiała się znowu.

- Chyba powinnam pana spytać, kto jest pańskim ulubionym filozofem.
- Oczywiście ja sam.

W rzeczywistości powiedziałem:

Ich, natürlich.

- Och, już dobrze – powiedziała.

Zdołałem jednak usłyszeć, jak się roześmiała.

- Będzie mi miło pana poznać, panie Geist. Ma pan czas o trzeciej?
- O trzeciej dziś?
- Tak, dziś o trzeciej.

Prawie powiedziałem, że nie. Nie chciałem wyjść na kogoś będącego w potrzebie.

- Znakomicie.
- Bardzo dobrze. Pozwoli pan, że podam mu swój adres.

Zapisałem.

- Dziękuję.
- *Danke schön, Herr Geist.*

Kiedy tam stałem ze słuchawką w ręku, dotarło do mnie, że nie ustaliliśmy żadnych warunków. Nie wiedziałem, jak długo ani o czym chciała rozmawiać. Żadne z nas nie wspomniało o pieniądzach, nie wiedziałem zatem, ile – jeśli w ogóle – chce mi zapłacić. Nie wiedziałem nawet, jak się nazywa. Cała ta umowa była niewiarygodnie dziwaczna i zastanawiałem się, czy to nie jakiś przekręt. Wszystko wyglądało jednak niegroźnie.

Telefon zaczął się odzywać przerywanym sygnałem. Wcisnąłem widełki telefonu, wygrzebałem resztę drobnych i połączyłem się z informacją, by poprosić o numer miejscowego banku spermy.

Może to się wydawać niedojrzałe, żeby nie powiedzieć – niepraktyczne, by trzydziestoletni mężczyzna wolał raczej wstrzymać oddech i zsinieć, niż znaleźć pracę jak wszyscy inni. Moją stawką było jednak coś więcej niż duma. Przez całe lata określałem się według swoich ideałów. Musiało tak być. Ponieważ niczego nie opublikowałem, zyskałem mizerne uznanie i odpierałem bezustanną krytykę swych wyborów. Wszystko, co osiągnąłem w ciągu ponad dziesięciu lat studiów, można byłoby potraktować jako stratę czasu. Oczywiście nie dorobiłem się też pieniędzy. Kiedy więc zasypiałem albo budziłem się rano, wszystkim, co musiałem znieść, była świadomość, że jestem wierny zasadzie: żyć zgodnie z własnym umysłem i tylko z nim. To, co wygląda jak lenistwo, histeria obiboka odmawiającego pójsia na ustępstwa w rzeczywistym świecie, było faktycznie aktem samozachowawczym. Ryzykując posądzenie o sentymentalizm, powiem: były to zmagania o moją duszę.

Można to jednak najlepiej zrozumieć, spoglądając w przeszłość.

Długi ciąg przyczyn i skutków sięga bardzo dalekich czasów i jedynie kosmolog zbliża się do prawdy, twierdząc, że należy zacząć od początku. W odniesieniu do reszty z nas – wrzeszczących, kiedy miotamy się w środku spraw – będzie musiał wystarczyć dowolny punkt wyjścia.

Urodziłem się w małym miasteczku. Najbliższe miasto uważało się za przedmieścia kolejnego, większego miasta, co czyniło nas demograficznym odpowiednikiem gwiazdki przy przypisie na dole strony. Mieliśmy dwa bary Dairy Queen, trzy restauracje oraz naleśnikarnię – International House of Pancakes. Sześćdziesiąt pięć procent krzepkiej niemieckiej i irlandzkiej populacji miasteczka stanowili republikanie. Prawo posiadania broni było tu regułą, członkostwo w Krajowym Związku Myślistwa Sportowego było powszechne, o ateizmie zaś nie było mowy. Nasze zimy były duszne, a lata zwiędłe. Przenikliwie chłodnymi popołudniami włóczyłem się po lasach za naszym domem, depcząc liście i zaskakując jelenie, które pojawiały się, by oskubywać kwiatowe rabaty mojej matki. Jako mały chłopiec umiałem rozpoznawać dziesiątki gatunków ptaków po ich głosie lub wyglądzie; będąc w piątej klasie, zacząłem nosić ze sobą ornitologiczny przewodnik Sibleya. Od kiedy opuściłem dom, cała ta wiedza gdzieś się ulotniła, a głębokie poczucie straty, które odczuwałem, powracając, sprawiło, że nie wróciłem już nigdy więcej.

Pobierając się, mój ojciec i moja matka byli młodzi, na tyle młodzi, że jej rodzice musieli iść z nimi do sądu, by załatwić zgodę na ślub. Nie muszę dodawać – ślub z konieczności, z powodu ciąży. Ojciec był

dziewiętnastolatkiem, wyrzuconym ze szkoły średniej i odseparowanym od swojej własnej rodziny; miał niewiele więcej poza podrasowanym samochodem. Matka ledwie go знаła, jej rodzice jeszcze mniej; i choć przypuszczam, że niemożliwe jest ustalenie ceny przyzwoitości, zawsze będę się zastanawiał, czy nie byłoby lepiej, gdyby każdy zrobił sobie czasem krótką przerwę, policzył do dziesięciu i wziął kilka głębokich oddechów, zamiast czynić cokolwiek w pośpiechu. Czy małżeństwo jest z natury czymś tak cennym, że warto poświęcić dla niego szczęście wszystkich, którzy się w nie angażują?

Oczywiście jest możliwe – chociaż mało prawdopodobne – że moja matka i jej rodzina potraktowali to małżeństwo naprawdę entuzjastycznie. Nigdy się tego nie dowiem, ponieważ nie pojawiłem się na świecie przez kolejne siedem lat, a kiedy byłem już wystarczająco dorosły, by zadawać takie pytania, nikt nie pamiętał już, jakie były pierwotne intencje, a emocje dawno opadły.

Dwudziestego trzeciego kwietnia, pół roku przed narodzinami mojego starszego brata, prezydent Richard Nixon podpisał zarządzenie 11527, które zawierało poprawki dotyczące służby wojskowej i sprawiło, że uzyskanie odroczenia z powodu ojcostwa nie było już takie łatwe. Mój ojciec mógł próbować wykręcić się od poboru, powołując się na fakt, że choć nie był jeszcze ojcem, to wkrótce miał nim zostać. Mógł też posłużyć się argumentem, że dziecko zostało poczęte jeszcze w okresie obowiązywania starego prawa. O ile wiem, z jakichś powodów nigdy się jednak nie odwołał, nie uczyniła tego także moja matka ani jej rodzina. Noworodka płci męskiej powitano w październiku; w listopadzie mój ojciec odpłynął do Nha Trang na pierwszą z trzech tur swej służby.

Nie widzę potrzeby rozwodzenia się nad jego doświadczeniami wyniesionymi z walk.

Zdjęcia wykonane po powrocie ojca pokazują go wgrzającego się w kawałek ciasta, stojącego razem z innymi żołnierzami na linii pięćdziesięciu jardów boiska Stanton County High School (ostatni zwycięski sezon: 1951/1952) i przyjmującego owację na stojąco od przybyłych na otwarcie sezonu, hamującego swego rozbrykanego syna, który teraz jest już na tyle duży, że czuje się zawstydzony uściskiem. Ojciec na tych zdjęciach nie ma jednak charakterystycznego dla wracających z wojny nieobecnego spojrzenia. Przeciwnie: kiedy się na niego patrzy, ma się wrażenie, że z trudem panuje nad sobą i dokonuje nadludzkich wysiłków, by stać w miejscu, a na następnym zdjęciu będzie musiał eksplodować jak arbuzy, obryzgując wszystkie ściany.

Polaroid to kiepskie medium do pokazywania człowieka, który nie zatrzymał się w życiu nawet na chwilę, a najlepiej opisującą go cechą była fizyczność, tak zwierzęca, muskularna, kinetyczna i uporczywa, że szukała każdego dostępnego ujścia, choć czyniła to w sposób destruktywny.

Być może wywołał to u niego Wietnam. Być może był tam za długo. Ale to pytanie do psychologa, nie filozofa, zresztą – pytanie pozostające bez

odpowiedzi. Teraz to rozumiem. Ale kiedy byłem młodszy i jeszcze wierzyłem, że ludzkie życie można przeczytać jak opowiadanie, usiłowałem go rozszyfrować. Nie poprzez rozmowę, rzecz jasna. Ludzie rzadko znają samych siebie na tyle dobrze, by potrafić mówić o sobie w szczegółach, a jeśli jest inaczej – rzadko są do tego skłonni; konfesjonał nie jest naturalną formą spotykaną w przyrodzie. Przyglądałem się natomiast jego wpływowi na mnie i na tych, którzy mnie otaczali i – łącząc to z tym, czego dowiedziałem się od mojej matki, dziadków, ciotek i wujów – pracowałem, by poznać jego duszę, rozkładając ją na części.

Wymagający, nieprzewidywalny, obdarzony niewymuszoną charyzmą, całkiem inteligentny, aczkolwiek wyjątkowo konkretny. Prawdopodobnie dobrze się stało, że nigdy nie rozmawiał ze mną o mojej pracy. Nie zrozumiałby, a ja nie byłbym w stanie mu wyjaśnić. (Inną sprawą jest to, że potrafi robić rzeczy, o których ja nie mam pojęcia – prowadzić interes albo naprawić pralkę.) Kiedy orzeka, że ktoś jest zły, jest to nieodwracalne. Ci, których uznaje za dobrych, nie mogą postępować niewłaściwie – przynajmniej przez pewien czas. Ludzie tacy jak on stworzeni są do udręki, gdyż stają w obliczu tego samego dwojakiego wyboru, gdy oceniają samych siebie. To, że potrafi być zabawny, czasem wręcz zaskakująco, nie powinno stanowić niespodzianki, gdyż prawdziwym obliczem humoru jest okrucieństwo. Moja matka nie była ostatnią, którą uwiódł. Kasjerka, moja nauczycielka w czwartej klasie – pamiętam, jak z nim flirtowały, śliniąc się i pochylając w jego stronę kocim ruchem. O ile mi wiadomo, nigdy nie miał romansów, lecz któż może zaręczyć, że było tak naprawdę? (Wierność mojej matki – przeciwnie – nie budzi żadnych wątpliwości.) Wiele drażniących cech mojego ojca zanikło, kiedy stanął u progu starości, lecz wtedy stanowił siłę, z którą należało się liczyć, i chociaż nie nazwałbym go potworem, przyznaję, że często bardzo go przypominał.

Po powrocie z Wietnamu szkolił się na hydraulika, zdobył w końcu dyplom i zaczął działać na własną rękę. Wieczorami i w weekendy dorabiał też na boku jako złota rączka, co było dobre dla wszystkich, ponieważ zapewniało mu aktywność i zajęcie i pozwoliło odłożyć dość pieniędzy, by mógł kupić dom z trzema sypialniami, aluminiowym sidingiem i żwirowym podjazdem. Moja matka zrobiła wszystko, co mogła, by ucywilizować to miejsce – posadziła kwiaty, o których już wspominałem, założyła warzywnik i powiesiła hafty na klatce schodowej – lecz w moich oczach dom nigdy nie był czymś więcej niż tym, czym był naprawdę: chybionym wytworem amerykańskiej drobnomieszczańskiej wyobraźni. Wrażenie to potwierdzało się później za każdym razem, kiedy do niego wracałem. Jest jeszcze jeden powód, dla którego, wyjechawszy, starałem się trzymać z daleka od niego: nie jest to miejsce, z którym wiążą się szczęśliwe wspomnienia.

Wielu mężczyzn rezygnuje z pracy rąk, kiedy tylko zobaczy swój pasek wypłaty. Mój ojciec tak nie postąpił. Codziennie wracał do domu śmierzdzący

potem, wygłodniały i jak się mówi w tych stronach, spuchnięty. Wyobrażam sobie żyły na jego prawym przedramieniu, pulsujące w taki sposób, że wytatuowana trupia główka zdaje się poruszać zuchwą w górę i w dół. Pamiętam go stojącego w salonie i zrzucającego mokrą koszulę roboczą, ze splątanymi włosami na piersi. Pamiętam, w jaki sposób wrzeszczał na matkę, jeśli jej tam nie było, by go przywitać. Pamiętam go klękającego, przyciągającego mnie do siebie i duszącego swym smrodem testosteronu. Ciągły wysiłek wysłał z niego tylko odrobinę kotłującej się w nim wściekłej energii, a on usiłował dać jej upust na inne sposoby. Uprawiał amatorsko boks. Był zapalonym myśliwym. Ostro pił przez cztery lub pięć wieczorów w tygodniu. A kiedy wszystko to nie przynosiło mu ukojenia, wyżywał się na rodzinie.

Najgorzej dostawało się mojej matce, przynajmniej w początkowym okresie. Wiele rzeczy czyniło ją idealnym celem: niechęć do rewanzu i skłonność do hysterii, rodząca wzgardę i agresję we wściekłym już mężczyźnie. Wychodząc za mojego ojca, była jeszcze dzieckiem i zawsze widziała w nim raczej autorytet niż małżonka. Trzy lata samodzielnego wychowywania dziecka nie wzmocniły jej charakteru, jak sądzę dlatego, że mocno polegała na swoich rodzicach. Czasami myślę, że odprowadzając go, miała nadzieję, że już nigdy nie wróci. I czy byłoby to takie złe? Moja matka, awansowana z latawicy z przedostatniej klasy szkoły średniej na wdowę wojenną, moi dziadkowie nieborykający się już z konsekwencjami swej pruderii i nierozwagi... Nawet mój ojciec wolałby, żeby sprawy potoczyły się w taki sposób. Muszę rozważyć tę sytuację z jego perspektywy. Jestem pewien, że kiedyś miewał sny, choć skromne, i bardzo wątpię, by było w nich miejsce dla żony i dziecka. Mógł w nich zobaczyć śmierć jako miłosierne wyjście.

Jestem tu dla nich trochę zbyt surowy, ponieważ nawet jeśli nasz dom nie był szczególnie radosny, to na ogół panował w nim spokój. W istocie to sama nieprzewidywalność wybuchów ojca czyniła je tak przerażającymi. Jeśli istniał tu jakiś wzorzec – przeoczyłem go, aczkolwiek może to odzwierciedlać zaniedbanie z mojej strony. Jak powiedziałem, pojawiłem się na scenie nieco późno i ledwie zacząłem rozumieć otaczający mnie świat, kiedy ten się zapadł.

Jak wszyscy młodszy bracia na świecie, nosiłem używane ubrania. Christopher był na tyle drobny, że jego rzeczy pasowały na mnie po trzech lub czterech latach od chwili, kiedy z nich wyrastał, mimo siedmioletniej różnicy wieku. Kiedy mój ojciec zaczął porządnie zarabiać, zdecydował, że każdy młody mężczyzna powinien otrzymywać nowe odświeżone ubranie nie rzadziej niż co dwa lata. Od tego czasu on i Chris wybierali się co drugi rok na pielgrzymkę do Worth's Boys Town, gdzie niezmiennie wybierali najgrubsze, najbardziej gryzące garnitury, jakie można sobie tylko wyobrazić – flanelowe kaftany bezpieczeństwa, które później przypadły mi; z ciągnącymi się luźnymi nitkami i wypłowiałymi, twardymi pachami. Nie przejmowałem się tym. Nie oczekując niczego więcej, byłem zadowolony.

Nieduży i ciemny Chris przypominał (przynajmniej wyglądem) moją matkę,

w jednej czwartej Greczynkę. Jak w *Buntowniku bez powodu* – nie chodzi mi o Jamesa Deana, tylko o jego niespokojnego pomagiera, którego grał młody Sal Mineo. Ja, przeciwnie, pokracznie chudy, wygadany, bez przerwy na łasce swego rozwijającego się ciała: nieskoordynowany, niezdolny do wykonania rzutu prosto przed siebie, skłonny potykać się o własne golenie. Zawsze zbyt wysoki jak na swój wiek, nie nabierałem ciała aż do okresu dojrzewania, zatem jako młody chłopiec widziany od przodu wyglądałem na barczystego, lecz każdy, kto spoglądał na mnie z boku, mógł dostrzec mój absurdalnie wąski profil, jakbym został spłaszczony w prasie hydraulicznej.

W literaturze filozoficznej traktującej o wolnej woli spotyka się czasami opisy przemyślanych eksperymentów, polegających na manipulowaniu człowiekiem przez zewnętrzne źródło: demona lub hipnotyzera albo – co jest najbardziej znaczące – szalonego neurochirurga. Kiedy wpadłem na ten pomysł po raz pierwszy, pomyślałem o moim bracie. Wyjaśnienie było następujące: jesteśmy wynikiem eksperymentu wymiany mózgów, w którym wszystko poszło na opak. Dlaczego w dalszym ciągu miałbym wyglądać jak swój ojciec i odzywać się jak matka, a Chris na odwrót? W rzeczywistości nie ma powodu, dla którego musimy się zachowywać jak ten z rodziców, którego przypominamy, lecz dla mnie miało to sens i zaspokajało moją młodzieńczą żądę symetrii.

Rzecz jasna, genetyka nie zawsze bywa równie prosta. Noszę w sobie cząstki swojej matki, podobnie jak Chris nosił w sobie cząstki ojca. Nigdy też nie byłem jucznym zwierzęciem jak ona. Niemniej jednak los spłatał Chrisowi okrutnego figła, skupiając na nim wojownicze zapędy ojca – było to mejotyczne przetasowanie, którego tragiczne konsekwencje zaczęły się uwidaczniać, kiedy miałem około pięciu lat, a furia ojca odwróciła się od matki i wyruszyła na poszukiwanie nowej ofiary.

Chociaż nie mogę winić Chrisa za to, że urodził się jako syn porywczego pijaka, przejawiał on stale nadzwyczajny brak zdrowego rozsądku. Odzywał się głośnym barytonem, który nie odpowiadał jego posturze, i przypominał ojca w każdym calu. Oceny, pieniądze, najmniejsze uwagi – każdy pretekst był dobry, a kolacja zamieniała się w regularne pole bitwy: oni dwaj gotujący się do walki jak łosie i brzęczące talerze, kiedy mój ojciec wali pięścią w stół. Chris garbi się, zadowolony z siebie krzyżuje ręce i z satysfakcją potrząsa głową. Moja matka, pobladła i bierna, obejmująca się kurczowo rękami, porusza ustami, modląc się nieświadomie. Ja kulę się za swoją szklanką mleka.

Co było z nimi nie tak? Stało się dla mnie jasne, że walczą dla samej walki; ich pozy nie stanowiły żadnej obrony i nie oddalały zbliżających się ciosów. Czy ktoś naprawdę tego chciał? Nawet mój ojciec: czy naprawdę – mam tu na myśli *naprawdę* – chciał uderzyć swojego syna?

Często zadaję sobie to pytanie, nie tylko z powodu wszystkich tych strasznych rzeczy, których byłem świadkiem, ale też dlatego, że przemawia ono bezpośrednio do moich zainteresowań akademickich. Spędziłem wszystkie lata

swojej kariery, pytając, czym jest wolny wybór. Czy masz wybór, kiedy jesteś pijany? Jeśli wróciłeś z piekła? Kiedy twój syn przedrzeźnia cię, obrzuca wyzwiskami, nazywa alkoholikiem? Czy wtedy ma się wybór? Dalej: w którym momencie się on pojawia? Czy jest procesem myślowym? A może wybór nie jest wyborem, dopóki nie wstaniesz i nie zdejmiesz pasa? Dopóki nie dotknie on karku twojego syna? Dopóki syn nie zacznie krwawić? Czy wybór ten został dokonany teraz, czy też stanowi kulminację procesu, który rozpoczął się lata temu, kiedy majstrowałeś dziecko dziewczynie na tylnym siedzeniu swojego sportowego oldsmobila? Czy obecna przemoc żyła gdzieś pod ziemią przez te wszystkie lata, kiełkowała, wrzała, unosząc się coraz bardziej, a to, co widzimy tu i teraz, to tylko jej wyrwanie się ku słońcu? Jeśli tak, to co sprawia, że twoje wybory są naprawdę twoje? I czy mógłbyś przestać ich dokonywać?

Gdy słowa zamieniały się w czyny, a do gry wkraczały gabaryty mojego ojca, wszystko stawało się możliwe. Kiedy ważył najwięcej, był cięższy od Chrisa o dobre trzydzieści kilogramów, a szybkość mojego brata tylko w niewielkim stopniu mogła zrekompensować tę przewagę. Chris nauczył się przewidywać punkt krytyczny i po cichu odsuwał swe krzesło od stołu o kilka centymetrów, na tyle, by móc się zerwać i czmychnąć, zanim ojciec ociężale ruszy w jego stronę. Prawdę mówiąc, zajmujące było przyglądanie się ich gonitwie po całym domu, której towarzyszyło przewracanie mebli i tłuczenie lamp. Kiedy powracam we wspomnieniach do tamtych scen, widzę w nich odrobinę komedii przebijającej przez mrok – przypominało to sekwencje z *Toma i Jerry'ego*. Lecz dom był mały, a liczba miejsc, w których można było się ukryć, niewielka. W końcu Chris zostawał osaczony i zaczynało się wyjątkowo niezabawne maltretowanie dziecka.

Nie byłem nigdy bity, a raczej – byłem, lecz na tyle rzadko, by mieć wrażenie, że nigdy. Oczywiście odczuwałem wrzące nastroje mojego ojca na inne sposoby. Do jednego z incydentów, który wciąż dobrze pamiętam, doszło, kiedy byłem dwunastolatkiem – w niedzielny poranek, przed wyjściem do kościoła. Moim obowiązkiem po ubraniu się było zejście na dół, by ojciec ani matka nie musieli po mnie chodzić. Włożyłem wtedy jeden ze starych garniturów Chrisa i usiadłem na łóżku plecami do ściany, drapiąc się po swędzących udach i śniąc na jawie. Mam skłonność do zatapiania się w myślach, wtedy zaś musiałem zmusić wszystkich do zbyt długiego czekania, ponieważ kopnięte drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczył mój ojciec, spocony, ze zmarszczoną twarzą. Spojrzał na moją rękę, którą w roztargnieniu drapałem po nodze, i powiedział:

– O, jest nam niewygodnie?

Kiedy się do mnie zbliżał, zacząłem wstawać i unosić ręce, lecz on odepchnął je, chwycił mnie garściami za ubranie i podniósł z łóżka. Potrząsając mną, krzyczał mi prosto w twarz z odległości piętnastu centymetrów, pytając, czy zamierzam tu siedzieć przez cały dzień, dłubiąc w tyłku, czy też może zechcę zejść na dół i towarzyszyć matce i jemu, który kupił mi ten garnitur

i każdą przeklętą rzecz, jaką tylko miałem, po tym jak czekali na mnie przez piętnaście przeklętych minut – nazwij mnie osłem, jeśli to nie był ostatni raz, kiedy to toleruję, spróbuj tylko znowu, a zobaczysz, co cię spotka!

Wciąż czuję jego ślinę na mojej twarzy.

Tak naprawdę jednak wszystko to niewiele znaczyło przy tym, co musiał wycierpieć mój brat.

Nigdy nie doszło do połamania kości. Z jednym wyjątkiem. Był to wypadek: ścigając Chrisa, mój ojciec poślizgnął się na schodach i grzmotnął kciukiem w ścianę, co spowodowało szczelinowate złamanie. Jego prawdziwy uraz miał, rzecz jasna, charakter emocjonalny. Kiedy Chris był już nastolatkiem, miewał coraz gorsze nastroje, co prowadziło do coraz częstszych starć, które z kolei stawały się powodem jeszcze gorszych nastrojów i tak dalej – było to doprawdy błędne koło. Dojrzewanie jest już wystarczająco trudne jako takie; jeśli dodać do niego wszystko, przez co musieliśmy przechodzić w domu, popadnięcie mojego brata w depresję można uznać za fakt dokonany.

Problemy pogłębiły się, kiedy Chris był w przedostatniej klasie szkoły średniej i rozstał się ze swą dziewczyną. Była od niego o rok starsza, wybierała się do college'u, zbyt daleko – w tym wieku wszystko to jest przecież tak naturalne. Lecz Chris bardzo się tym przejął. Dużą część dobroci, jakiej zaznał w życiu, otrzymał za jej sprawą; kiedy wyjechała, zmiana, która w nim zaszła, była trudna do zniesienia, zwłaszcza ze względu na swą podstępność. Chris przestał wychodzić z przyjaciółmi. Opuszczał treningi piłki nożnej. Zaczął chodzić na wagary, by ćpać, samotnie, a nieuniknione zawieszenie w szkole, kiedy został przyłapany, wywołało nową serię pyskówek, epitetów i ultimatum. Kochałem brata i ubóstwiałem go, toteż jego rozpadanie się napawało mnie przerażeniem. Mimo że byłem zbyt młody, by zrozumieć, czego potrzebuje, próbowałem mu pomóc w miarę swoich skromnych możliwości. Nie okazało się to jednak wcale pomocne: odpowiedzią Chrisa na moje cierpliwe zabiegi były przekleństwa rzucone pod moim adresem i trzaskanie drzwiami. Upływały kolejne miesiące, mój brat stawał się coraz bardziej ponury i drażliwy, a ja czekałem, aż ktoś coś zrobi – rozpozna problem i go rozwiąże. Lecz kto? Nie moja matka, stojąca z załamanymi rękami. I z pewnością nie mój ojciec, każący mi bezustannie – nie słowami, lecz swymi działaniami – zapamiętywać i utwierdzać się w przekonaniu, że nigdy nie musiał robić mi tego samego.

W przeszłości Chris spędzał wakacje na koszeniu trawników w Clayhill, po drugiej stronie rzeki, gdzie stały domy bogatych mieszkańców naszego miasta. Dziewczyna, która go zostawiła, mieszkała w jednym z nich, zatem tamtego lata 1987 roku Chris pozostał w swoim pokoju na górze, słuchając The Cure, spływając po schodach w narkotycznej mgiełce w środku dnia i wyciągając się na kanapie, by surfować po kanałach telewizyjnych. Schudł wtedy tak bardzo, że moja matka zaczęła się obawiać, że jej syn ma raka. W rzadkim przypływie inicjatywy zaciągnęła go do naszego pediatry, który przyjrzał się Chrisowi,

orzekł, że cierpi on na chorobę Crohna, i natychmiast przepisał mu sterydy.

Leki pozwoliły Chrisowi nabrać nieco ciała. Nasiliły też jego drażliwość. Wybuchał straszliwie i był zbyt rozbity, by jesienią wrócić do szkoły. Zamiast tego krążył po mieście na rowerze, kradł w sklepach i strzelał z wiatrówki do szyb samochodów. W listopadzie policjanci przyprowadzili go do domu zakutego w kajdanki. Pamiętam, jak powiedział mi, że prosił, by zabrano go raczej do aresztu niż do domu.

Wszystko to działo się stopniowo, latami, i nie mogę powiedzieć, by tamtej zimy było gorzej. Właściwie uważam, że sytuacja nieco się wtedy unormowała, w dużej mierze dzięki interwencji naszego księdza, ojca Freda. Chris i ja przyjaźniliśmy się z nim od dawna, ponieważ obaj byliśmy ministrantami. Kiedy dowiedział się w tajemnicy, co się dzieje, zaczął do nas zaglądać i wyciągać Chrisa z domu. Zabierał go na kręgle, do kina i starał się robić wszystko, by przywrócić mu śmiałość, dzięki czemu w lutym Chris zaczął prawie przypominać dawnego siebie. Matka była tak wdzięczna, że kupiła ojcu Fredowi zegarek. On kazał jej go zwrócić i przeznaczyć pieniądze na terapeutę rodzinnego. Nie był chyba jednak dość przekonujący lub to matka go zignorowała, biorąc poprawę stanu Chrisa za dowód, że problem został rozwiązany.

Potrafiła być głupia.

Prima aprilis 1988 roku, piątkowe popołudnie. Kilka tygodni przed moimi jedenastymi urodzinami. Niecodzienna burza śnieżna uciszyła wszystko i zatrzymała mnie w domu, uwięziła też na cały dzień mojego ojca, który krążył, rozmyślał i pił. Mój brat i ja siedzieliśmy do czwartej, oglądając sitcomy, kiedy ojciec krzyknął na Chrisa, by pomógł mu odśnieżyć podjazd. Ku mojemu zdumieniu Chris nie odezwał się, tylko wstał, ubrał się i podążył za ojcem na dwór. Gdy zamknęły się frontowe drzwi i usłyszałem tupanie ich śniegowców na ganku, zdałem sobie sprawę – doznając bolesnego objawienia – że ojciec i Chris są zasadniczo tacy sami, a zarazem zasadniczo różnią się ode mnie i ucieleśniają żywiołową męskość, której mi brakuje. Oczywiście nie określiłbym wtedy tego w taki sposób, gdyż nie potrafiłem jeszcze znaleźć odpowiednich słów. Po prostu nagle pojąłem, że ich jest dwóch, a ja jeden, i że to niewidzialne więzi i różnice czynią życie tak trudnym. Zrozumiałem również, dlaczego mój ojciec nigdy nie czepiał się mnie: nie potrafiłbym tego wytrzymać. Byłem łagodny. Byłem maminsynkiem. Oni wiedzieli, jak zaznacza się terytorium i jak należy go bronić. Ja nie.

Po kilku minutach zaczęli się kłócić. Usłyszałem to i podszedłem do okna, by ich podglądać. Wszędzie fruwał śnieg, jak rozbryzgi krwi; gwałtowność ich pracy w daleki od subtelności sposób symbolizowała to, co każdy z nich chce zrobić drugiemu. Kiedy przyszli na kolację, sytuacja się zaogniła: ojciec zaczął pastwić się nad Chrisem, zarzucając mu brak przyszłości, bycie włóczęgą, brak szacunku i tak dalej, a mój brat – złośliwie komentować jego obwód w pasie, brudne paznokcie i wiele innych rzeczy. Matka próbowała zmienić temat,

mówiąc o wielkanocnej aukcji dobroczynnej i wolontariuszach, których wciąż potrzebował ojciec Fred. Może Chris chciałby pomóc?

– Pierdołę go – powiedział mój brat.

Normalnie cofnąłby krzesło przed wygłoszeniem tej uwagi. Tamtego wieczoru albo zapomniał to zrobić, albo postanowił nie ustępować. Ledwie zdążył uśmiechnąć się z ironią, gdy mój ojciec rzucił się przez stół i smagnął go pasem w szczękę, na tyle mocno, że Chris znalazł się w połowie salonu.

– Na górę! – powiedział ojciec.

– Nie! – odrzekł mój brat.

– Na górę, ty mały gnojku!

– Nie, Ronaldzie. Nie.

Chris wrzeszczał na oboje rodziców: Pierdołę was, pierdołę jedno i drugie!

– Ciebie też pierdołę – krzyknął do mnie, choć nie miałem z tym wszystkim nic wspólnego poza tym, że siedziałem tam i patrzyłem. Być może uznał moje milczenie za współudział. Jeśli oczekiwał, że wezmę jego stronę, to się łudził: nie miałem zamiaru dać się obić.

Mój ojciec pochylił się, szarpnął go i Chris natychmiast stanął na równe nogi. Dając zdumiewający pokaz brutalnej siły, ojciec powłókł go po schodach na górę, skręcającego się z bólu i krzyczącego z powodu zwichniętej ręki. Matka jęczała raz za razem. Nie poruszyła się nawet, a po jej podbródku spływały łzy lądujące w zapiekanych ziemniakach. Stałem w dole schodów i zobaczyłem na półpiętrze ojca wpychającego najpierw Chrisa do jego pokoju, a później wyjmującego z szafy w korytarzu małą walizkę i rzucającego nią w zamknięte drzwi, za którymi stał mój brat.

Nie potrafię sobie wyobrazić, że ojciec naprawdę chciał go wyrzucić. Była ósma wieczorem i panowało przeraźliwe zimno. Lecz przychodzi mi do głowy, że być może to mój problem: nie wierzyłem, że Yasmina jest zdolna do tego samego.

Byłem sam w swoim pokoju, leżałem na podłodze i słuchałem dalszych wrzasków, przekleństw i odgłosów kontaktu ciała z ciałem oraz ciała z drewnem. Skrzypienia komody Chrisa dochodzącego przez ścianę. Około dziesiątej wieczorem usłyszałem na schodach kroki na dół, a minutę później silnik pikapa uruchamianego na podjeździe.

Mieliśmy dwa samochody. Moja matka poruszała się chryslerem kombi (model Town and Country z 1974 roku), brązowym jak strup i pokrytym drewnopodobną okleiną. Mój ojciec miał dotąd kilka pikapów, chevroletów i fordów. Ten, którym Chris odjechał tamtej nocy, był czteroletni, ale jego przebieg wynosił już ponad sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Był porysowany i powgniatany, nadzarty solą. Miał luszczący się lakier, a na boku logo GEIST PLUMBING CO., już nieczytelne; mimo to lubiłem przejeżdżać palcem po miejscu, w którym znajdowało się moje nazwisko.

Ze swojego okna zobaczyłem przednie światła wozu omiatające front garażu i przez krótką chwilę przekrzywioną obręcz kosza bez siatki, do którego

rzucaliśmy z Chrisem, kiedy pogoda była dla nas łaskawsza. Koła zakreśliły się na śniegu, a kiedy Chris cofał, mignęło mi jego ramię – to, które jak twierdził, było zwichnięte – wystawione przez okno, i papieros dyndający między dwoma palcami.

Miewam realistyczne sny, a w tamtych czasach prowadziłem dziennik, zapisując w nim wszystko jeszcze przed wstaniem z łóżka i zabraniem się do szorowania zębów. Miejsce na wpis po tamtej nocy zostało puste. Było jeszcze ciemno, kiedy zbudziłem się spocony i zdezorientowany, słysząc piskliwy krzyk dochodzący z kuchni na dole.

Podążając za dwoma męskimi głosami – mojego ojca i drugim, ponurym i nieznanym – zszedłem do salonu. Mogłem stamtąd zajrzeć do kuchni, w której stał chudy mężczyzna ubrany na zielono, w wełnianej czapce naciągniętej na uszy i z kciukami w szlufkach spodni, próbującymi nieudolnie zasygnalizować nonszalancję. Spojrzał na mnie. Mój ojciec odchylił się w kierunku wejścia. Traktując to jako zaproszenie, ruszyłem do przodu, lecz szybko się zatrzymałem, kiedy rozkazał mi wrócić do łóżka. Podeszedłem jednak dostatecznie blisko, by zauważyć moją matkę osuwającą się na kuchenny stół, w rozchylonym szlafroku – jakby preludium wiwisekcji – i rozchełstanej koszuli nocnej odsłaniającej większość jej lewej piersi. Matka zdawała się mnie nie zauważać.

– Idź! – warknął mój ojciec.

Na górze próbowałem usłyszeć coś przez wywietrznik, ale bez skutku. Później niebo zaczęło blednąć, a ja zszedłem do kuchni, by stwierdzić, że obcego mężczyznę i rodziców zastąpiła Rita, najlepsza przyjaciółka mojej matki. Usadziła mnie na krześle i podała mi jajka na bekonie. Na kuchennym blacie wciąż stały trzy filiżanki z kawą. Zauważyłem, że Rita usiłuje powstrzymać się od płaczu, postanowiłem więc dać jej spokój i się nie odzywać. Kiedy zjadłem, wstawiła naczynia do zlewozmywaka i kazała mi iść pooglądać telewizję. Nie było nic interesującego – nigdy nie lubiłem kreskówek w sobotnie poranki – i musiałem się zdecydować na maraton ze *Strefą mroku*. Siedziałem przed telewizorem także dziewięć godzin później, kiedy rodzice wrócili z identyfikacji zwłok mojego brata.

Na nasz dom spadła wtedy niesamowita cisza. Nie było więcej wyzwisk ani przewracanych półmisek z fasolką szparagową. Niemniej jednak trudno byłoby opisać tę atmosferę jako spokojną. Przeciwnie: była pełna nadzwyczajnego napięcia, nie dlatego, że spodziewaliśmy się kolejnego tragicznego zwrotu wydarzeń, lecz dlatego, że przyszłość wydawała się absolutnie czarna, pozbawiona jakiegokolwiek nadziei. Wpadaliśmy łatwo w przestrah; nie mogliśmy znaleźć sobie miejsca ani się skupić, a rozmowy zamierały, nim się na dobre rozpoczęły. Ucierpiały też moje szkolne oceny i karcono mnie za bezustanne spóźnienia. Budząc się w środku nocy, schodziłem do kuchni po szklankę wody i zastawałem ojca, siedzącego w otoczeniu pogniecionych puszek po piwie, które w świetle wyciszonego telewizora pobłyskiwały jak ciemnoniebieskie rozżarzone węgielki. Stałem tam, czekając, aż mnie zauważy. Tylko raz zdobył się na coś więcej niż kiwnięcie głową: zaproponował, bym sobie pociągnął. Piwo miało smak pleśni, zatkało mnie; ojciec powiedział, żebym wypłukał usta.

Jeszcze głębszą zmianę dało się zauważyć w mojej matce. Przestała gotować i przez dwa miesiące jedliśmy ofiarowane nam zapiekanki. Porzuciła koło gospodyń. Zaniedbała ogród; z nadejściem wiosny tam, gdzie kiedyś rosły truskawki i tulipany, ziemia pokryła się chwastami. Czasami matka sprawiała wrażenie katatoniczki. Migreny zatrzymywały ją w łóżku jeszcze długo po rozpoczęciu roku szkolnego – stąd moje spóźnienia. W końcu Rita zaczęła pojawiać się u nas i podwozić mnie w drodze do pracy.

Ja też się zmieniłem. Zawsze wiedziałem, że różnię się od reszty rodziny, lecz to, w jaki sposób różnice te sumują się w osobowość, pozostawało otwartym pytaniem aż do wtedy. Kiedy Chris umarł, zacząłem sobie na nie odpowiadać.

Będąc mniej więcej czterolatkiem, sam nauczyłem się czytać. Na półkach w naszym domu nie było niczego – pomyśleć tylko, nie mieliśmy ani jednego regału na książki, wszędzie za to stały nieużywane naczynia. Spędzałem więc mnóstwo czasu w miejscowej bibliotece, w której stałem się ulubieńcem personelu; pomagając po szkole, popychałem wózki z książkami pomiędzy rzędami regałów i przywracałem porządek na półkach. Powiedzenie, że wiedza to potęga, jest truizmem, lecz jako młody chłopiec zacząłem pojmować zaskakującą moc nawet pojedynczej nowej idei, zwłaszcza w odniesieniu do czyjegoś obrazu samego siebie. Zacząłem odczuwać wyższość nad rodziną i darzyć ją pogardą, rozwijając słownictwo i nawyki językowe, które byłyby dziwne wszędzie i zawsze, nie mówiąc już o tam i wtedy. Mój brat zwykł był

nazywać mnie „obcym”, co nieźle podsumowywało wrażenie, jakie sprawiałem – także na samym sobie. Moim problemem nie byli ludzie jako tacy – byłem przyjazny, być może nawet nieco nieśmiały – lecz ci konkretni: moja najbliższa rodzina, która przedkładała fizyczność nad duchowość, to, co jawne, nad to, co ukryte. Przyglądałem się otaczającemu mnie chaosowi i dochodziłem do wniosku, że nie wynika on ze zła, lecz z głupoty. Upijanie się do szaleństwa było głupie. Głupia była też walka o nic. Głupie było uciekanie się do przemocy, kiedy kończyła się logika, takie też było spędzanie dnia na przemieszczaniu ciężkich przedmiotów, dopingowanie grupy goryli w mundurach lub wiara w to, że w życiu nie ma ważniejszych celów niż zakup samojezdnej kosiarki do trawników. Wszystko to było głupie. Moja pogarda szybko zamieniła się we współczucie; współczucie, zdziwienie. Musiało przecież być coś lepszego. Świat okazał się niż ten zamknięty pomiędzy autostradą numer 77 a mulistą rzeką, w której nie dało się łowić. Dostrzegałem to, a byłem dzieckiem. Dlaczego nie mogliby tego zauważyć inni? Ale nie mogli, a kiedy nie miałem już nadziei na zrobienie czegokolwiek, by zrozumieli, musiałem się wynieść, by nie ryzykować stania się jednym z nich.

Jeśli to wszystko było prawdą, zanim Chris umarł, to stało się jeszcze prawdziwsze po jego śmierci. Podobnie jak wielu filozofów, zacząłem od mistyki, i podobnie jak wielu mistyków – zacząłem najpierw chodzić do kościoła. Myśląc o tym teraz, czuję zakłopotanie, choć znajduję pewną pociechę w zaliczaniu się do grona luminarzy, którzy flirtowali z fanatyzmem, religijnym lub innego rodzaju. Do szesnastego roku życia, kiedy przestałem wierzyć w Boga, byłem aktywnym zwolennikiem udziału w mszy świętej i asem swojej grupy Bractwa Doktryny Chrześcijańskiej. Wspierała mnie w tym moja matka, płaczliwa dewotka. Uznawała moje wizyty na plebanii, gdzie spotykałem się z ojcem Fredem, za pożądaną alternatywę dla zażywania narkotyków na dachu sali koncertowej.

Dziś tak bliska przyjaźń pomiędzy księdzem a młodym chłopcem stałaby się przyczyną alarmu. I słusznie. Lecz w naszym przypadku była ona niewinna. Ojciec Fred był (jest) po prostu przyzwoitym człowiekiem i to jemu przypisuję utrzymanie mnie przy zdrowych zmysłach.

Był młody, niewiele starszy od mojego ojca. Mimo że urodził się w naszym mieście, wyjechał i otrzymał dyplom na Uniwersytecie Columbia, potem magistra teologii w Yale oraz święcenia kapłańskie w Rzymie. Władał czterema językami (angielskim, francuskim, łaciną i włoskim), dodatkowo czytał po niemiecku i hiszpańsku, uwielbiał muzykę (na ścianie jego biura wisiała mandolina) – był zbyt kosmopolityczny jak na nasz zaścianek; jako nastolatek nie mogłem pojąć, dlaczego wrócił.

„Życie zatacza w końcu krąg. A kiedy powracasz do punktu wyjścia, wygląda ono inaczej, ponieważ patrzysz na nie przez pryzmat zgromadzonej wiedzy. Tu jest moje miejsce, Josephie. Bóg był dostatecznie mądry, by umieścić mnie przede wszystkim tu. W swojej niewiedzy potrzebowałem

piętnastu lat na zrozumienie Jego zamiaru”.

W odróżnieniu od rodziców, którzy mówili mi Joey, ojciec Fred nigdy nie zwracał się do mnie inaczej, niż używając mojego pełnego imienia, i to dzięki niemu zacząłem myśleć o sobie raczej jako o osobie w pełnym tego słowa znaczeniu, niż opierając się na dzieciennym podsumowaniu samego siebie. Kiedy zacząłem dojrzywać, moje wyalienowanie z rodziny, które zawsze odczuwałem, zaczęło kipieć i przeradzać się w bardziej uogólnioną nienawiść do ludzkości. Potępiałem wszystkich wokół siebie za winy prawdziwe i wymaginowane: za ich przyziemne cele, brak wyobraźni, fałszywą pobożność, dziewczyny ledwie znające Chrisa, lecz obejmujące się z płaczem podczas szkolnego apelu... Byłem typowym młodym gniewnym, a właściwa mojemu wiekowi wewnętrzna wrzawa nasiliła się, kiedy wycierpiałem coś tak niewypowiedzianego. Rozpaczliwie poszukiwałem kogoś, kto potraktowałby mnie poważnie, i tym kimś był ojciec Fred.

Kiedy ponownie czytam to, co napisałem, zdaję sobie sprawę, że może to brzmieć nad wyraz bezdusznie, nawet zimno. Uważam to za ryzyko zawodowe. Ludzie niewłaściwie osądzają filozofów, uznając ich za beznamiętnych. Ja byłem i jestem pełen emocji. Ale wierzę też, że emocje można najlepiej oddać za pomocą słów, których nie należy rzucać dokoła jak pocisków z załadowanej broni. Pomyśl. Rozważ. Zbadaj. Zadaj pytanie. Przyjmij idee i uwierz, że znaczą one co najmniej tyle samo co dobytek, bo wiedza ma wartość sięgającą po jej instrumentalne zastosowanie. Żyj świadomie, a twoje życie będzie lepsze niż życie lunatyka.

To ojciec Fred mnie tego nauczył. Dzięki niemu zacząłem doceniać dreszczyk racjonalnego dialogu, ucząc się, że nawet ci, którzy się nie zgadzają, mogą odnaleźć mądrość w swych przeciwstawnych opiniach. Argument potrafił raczej tworzyć, niż niszczyć; nie musiał być głośny ani kończyć się łzami. Ojciec Fred wydobył jasne światło z mojej wrogości i przepuścił je przez pryzmat rozsądku, oddzielając moje emocje i nadając im wektor i funkcję. Przede wszystkim nigdy nie traktował mnie protekcjonalnie, nie udzielał wyuczonych odpowiedzi ani nie usiłował przedstawiać w różowym świetle tego, co dla mnie było jawnie żalną, pustą farsą egzystencji.

Greco, Avicenna, Kartezjusz, Kant – pokazał mi, jak ich czytać i wyciągać własne wnioski. Spędzaliśmy wspólne popołudnia, słuchając longplayów Anity O'Day i zatapiając się w dyskusji, zadając sobie odwieczne pytania, które zawsze były motorem napędowym filozofii. Co jest rzeczywiste? Co możemy poznać? I jak powinniśmy działać? Nieważne, ile razy musieliśmy poruszyć temat od nowa – zawsze bowiem pojawiały się nowe punkty widzenia i coś nowego do przeczytania. Ojciec Fred pomógł mi napisać podanie o przyjęcie na wyższą uczelnię, przygotował list polecający i nakłonił moich rodziców do przelania pieniędzy z funduszu edukacyjnego Chrisa na mój, bym mógł mierzyć wyżej niż w uniwersytet stanowy. Kiedy dostałem się na Harvard, był pierwszą osobą, do której zadzwoniłem.

Jako ten, który wprowadził mnie w filozofię Nietzschego, bez trudu docenił ironię, gdy zacząłem tracić wiarę. Mimo to wciąż traktował mnie z szacunkiem. Mój ateizm stał się nowym i płodnym tematem rozmów, ponieważ ojciec Fred usilnie starał się mnie odzyskać. I chociaż nigdy mu się to nie udało, był ze mnie dumny, gdyż nie uciekałem od konfrontacji. Prosił mnie jedynie o to, bym parł przed siebie. Platon i Sokrates mówią, że filozofia zaczyna się od ciekawości, a ja w tamtym wieku zastanawiałem się nad wieloma rzeczami, w przeciwieństwie do moich rodziców, dla których życie zaciągnęło swe zasłony.

Jedyną rzeczą zdolną wyrwać moją matkę z odrętwienia była bitwa o to, co zdarzyło się tamtej nocy, kiedy zmarł Chris. Sprawa została zamknięta po latach, choć nigdy nie doczekała się prawdziwego rozwiązania.

A oto fakty. Po opuszczeniu domu Chris pojechał na stację benzynową, gdzie odmówiono mu sprzedaży papierosów, ponieważ nie mógł przedstawić odpowiedniego dowodu tożsamości. Chris poprosił wówczas o klucz od łazienki, a kiedy pojawił się z powrotem, poinformował sprzedawcę, że toaleta nie jest sprawna. Możliwe – choć to tylko przypuszczenia – że kiedy sprzedawca odszedł od kasy, by zbadać sprawę, Chris sięgnął przez ladę i zabrał papierosy; kiedy policja poprosiła w końcu o nagranie z kamery przemysłowej, na taśmie znajdowało się już coś innego.

Mniej więcej po jedenastej Chris skręcił na Riverfront, która biegnie na wschód, a później skręca na północ i dochodzi do mostu Crowthorn. Policjant patrolowy, który zaparkował na rogu Riverfront i Delcort, zeznał, że zauważył przejeżdżającego pikapa; zwrócił na niego uwagę, ponieważ kierowca miał otwarte okno i trzymał rękę na zewnątrz, nie przejmując się zimnem.

W pobliżu wjazdu na most, wzdłuż prawego pobocza, znajdowała się częściowo przewrócona bariera, pokiereszowana poprzedniego dnia przez pług śnieżny. Ze stwierdzenia władz hrabstwa wynikało, że miejsce, w którym asfalt kończył się od strony wody, oznakowano pomarańczowymi pachołkami ostrzegawczymi. Nigdy jednak nie znaleziono żadnego z nich – ani na miejscu, ani w rzece. Albo więc zostały zabrane daleko przez wiatr, albo – i to wydaje się bardziej prawdopodobne – nierozważny robotnik dopuścił się zaniedbania i w ogóle ich nie ustawił.

Policja określiła później, że Chris wszedł w zakręt z prędkością co najmniej stu kilometrów na godzinę, o wiele za szybko, by pokonać go po lodzie. Pikap zsunął się gładko z drogi i stoczył w dół skarpy, wywijając koźła i lądując na boku w częściowo zamrożonej wodzie. Potrzeba było chwili, by samochód całkowicie się zanurzył, a Chris – jeśli był przytomny – powinien był mieć o wiele więcej niż dość czasu, by odsunąć szybę i wydostać się na zewnątrz. Kiedy jednak wydobyto samochód z rzeki, Chris był w środku, z zapiętymi pasami bezpieczeństwa.

Początkowo koroner uznał, że przyczyną śmierci Chrisa było przypadkowe utonięcie. Cztery miesiące później orzeczenie to zamieniono na utonięcie

w wyniku wypadku samochodowego, zoznakami wskazującymi na możliwość popełnienia samobójstwa. Wszyscy byli zgodni co do tego, że zmiany tej dokonano za sprawą jednego z urzędników hrabstwa, którego skrytykowano ostro w miejscowej prasie i zarzucono mu zaniedbania związane z uszkodzoną barierą i ustawieniem pachołków ostrzegawczych. Wcześniej moi rodzice nie zastanawiali się nad powzięciem kroków prawnych; odprawili nawet adwokata, który zaproponował, że będzie ich reprezentował. Teraz jednak moja matka poczuła oburzenie. Wstąpiła na wojenną ścieżkę, motywowana nie tyle chciwością, ile potrzebą obalenia niepochlebnego orzeczenia hrabstwa w sprawie mojego brata.

Zachowanie Chrisa bywało nieobliczalne, lecz nie czyniło z niego osoby o skłonnościach samobójczych. Był niedoświadczonym kierowcą i mógł nie zdawać sobie sprawy z tego, że jedzie zbyt szybko. Jeśli nie wydostał się z samochodu, to dlatego, że był nieprzytomny; wystarczyło tylko spojrzeć na otarcia na jego czole, którym uderzył w kierownicę. Gdyby zamierzał odebrać sobie życie, po co jechałby tak daleko? Mieliśmy przecież broń w piwnicy. Co więcej, bariera przy drodze została uszkodzona mniej niż trzydzieści sześć godzin przed wypadkiem. Skąd zatem Chris mógłby o tym wiedzieć i jak mógłby wybrać to właśnie miejsce? Podejmując kolejne ze swych nielicznych śmiałych ataków, moja matka zadzwoniła do adwokata i wniosła pozew o niezawinione spowodowanie śmierci, zapoczątkowując sześćoletni proces, który pochłoniął nadwątlone resztki jej nadwątlonego już zapału.

Stałem wtedy po stronie matki, bardziej z powodu lojalności niż jakiegokolwiek innego. Lecz z biegiem lat, poświęcając swą uwagę sposobom dokonywania przez ludzi wyborów, zacząłem traktować najprostsze wyjaśnienia z nieufnością. Możliwe, że Christopher zamierzał i nie zamierzał zjechać z mostu. Nigdy się tego nie dowiem. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, rozumiem, że nie ma nic bardziej nieprzeniknionego niż ludzkie serce, i że nikt, kto znajduje się poza umysłem sprawcy, nie może nazwać jego uczynku wielkim lub małym, prawym lub niegodziwym.

Oto jak wyglądał Harvard widziany moimi oczami osiemnastolatka: jak olbrzymi kierat z czerwonej cegły. Tym, co najlepiej pamiętam ze swych kilku pierwszych semestrów, jest nieokreślone poczucie paniki, rozpadanie się mojego przeświadczenia o byciu grubą rybą, kiedy ruszałem sprintem, by nadrabiać zaległości. Nikt z mojego miasta nigdy nie dostał się na Harvard, a reakcje na mój wyjazd były rozmaite – od zdumienia (na tym Harvardzie?), poprzez sceptycyzm (po co komu by się chciało jechać taki szmat drogi?), aż po jawną wrogość (w głowie mu się przewróciło?). Miałem też ogromne luki w wykształceniu. Przybyłem ze szkoły publicznej, w której nauczyciel biologii, nawrócony chrześcijanin, odmówił nauczania nas teorii ewolucji, woląc poświęcić dwa razy więcej czasu na biologię molekularną. Dobrą stroną było to, że dzięki temu nauczyłem się całego cyklu Krebsa. W porównaniu ze swoimi nowymi kolegami, z których wielu uczęszczało do prywatnych liceów oferujących lekcje tematyczne poświęcone na przykład poststrukturalizmowi oraz teorii Junga, czułem się jak szalbierz. Samo tylko nauczenie się żargonu wymagało olbrzymiego nakładu energii umysłowej. Stałem się przeczulony na tle swojego akcentu i pomimo że któraś z dziewczyn uznała moje kolokwializmy za urocze, czułem zawsze skrępowanie, kiedy odzywałem się w grupie. Nie będąc już najbystrzejszym chłopcem w klasie, zostałem zmuszony do zrewidowania obrazu samego siebie: samouka bez ogłady.

Teraz zdaję sobie sprawę, że miało to w dużej części związek z moim brakiem pewności siebie. Miało też związek z wybranymi przeze mnie przyjaciółmi, którzy podobnie jak ja byli przyszłymi intelektualistami. Na Harvardzie było mnóstwo niesnobów. Odsunąłem się od nich, przez co uczyniłem swą dolę trudniejszą, niż było to konieczne.

Mimo to uwielbiałem swoją sytuację. Po raz pierwszy poczułem się jak w domu, otoczony młodymi ludźmi, którzy nie tylko wyobrażali sobie wielką przyszłość, ale też jej oczekiwali. Oto autentyczna historia: mój współlokator spędził cały semestr na budowaniu niewielkiego urządzenia do obrazowania metodą rezonansu magnetycznego, którego później użył do przeskanowania naszego chomika. Uwielbiałem fakt, że kampus jest starszy niż kraj, w którym się znajduje. Uwielbiałem tradycje, uwielbiałem oklepane historie powtarzane w kółko podczas zwiedzania kampusu. Kolekcjonowałem Harvard: często odwiedzałem muzea i badałem jego architekturę. Pielgrzymowałem do tak wielu z jego siedemdziesięciu iluś bibliotek, jak się tylko dało. (Zbiory w Waszyngtonie D.C., Chicago i Toskanii musiały poczekać. Udało mi się natomiast dotrzeć do Ośrodka Badań Ssaków Naczelnych w Nowej Anglii;

w odysei tej wystąpiły między innymi pożyczone kombi oraz przegapiony zjazd na płatnej autostradzie.) Uczestniczyłem w każdej uroczystości, brałem udział we wszystkich sławnych kursach prowadzonych przez wszystkich sławnych profesorów i uczęszczałem na spotkania ze znanymi osobami. Napawałem się tym wszystkim, a kiedy rozmawiałem ze swoimi starymi kolegami ze szkoły średniej, udając, że podzielam ich drugoligowe tęsknoty, czułem wreszcie, że jestem wolny.

Większość ludzi, którzy zadali sobie trud, by pomyśleć o filozofach, wyobraża sobie grono siwowłosych mężczyzn w bonzurkach, a może togach, pykających fajkę i rozprawiających o sensie życia. Nic bardziej mylnego. Na wszystkich najlepszych wydziałach w naszym kraju – w miejscach takich jak Harvard, Princeton lub Uniwersytet Nowojorski – filozofia wykazuje większe podobieństwo do matematyki. Ten styl, dominujący na uniwersytetach anglojęzycznych, zwany jest filozofią angloamerykańską lub analityczną i kładzie duży nacisk na logikę formalną oraz przejrzystość argumentacyjną. Dla każdego, kto czytał publikacje z równie wielką liczbą symboli co słów, nie powinno być niespodzianką, że większość wielkich filozofów analitycznych miała związek z matematyką lub naukami ścisłymi: Frege, Russell, Wittgenstein, Gödel, Tarski, Quine, Carnap, Putnam...

Na liście tej nie ma Nietzschego, Kierkegaarda, Marksa, Heideggera, Sartre'a ani Foucaulta. Oto powód: my na Harvardzie ich nie czytamy. Inne wydziały – na przykład literatury porównawczej lub kobiece – owszem. Ale wymienienie któregoś z tych nazwisk podczas zajęć na filozofii stanowi najkrótszą drogę do bycia wyśmianym. Filozofowie ci należą do innej wielkiej – europejskiej – szkoły filozofii, grupy mniej zwartej niż dzika i szalona grupa myślicieli, którzy nie zgadzają się na grę według reguł.

Dla wielu Europejczyków mechanika argumentu jest drugorzędna w stosunku do jego wyniku. Pisarze ci skłaniają się ku opisywaniu świata w taki sposób, w jaki go widzą jako jednostki, i w rezultacie często unikają logiki na rzecz retoryki, uznając za oczywiste wszystkie rodzaje idei, które filozof analityczny podałby w wątpliwość. Jeśli na przykład Sartre postuluje, że istotą naszego człowieczeństwa jest wolność, to przyjmuje on jej istnienie za pewnik. Nie tak szybko – powiedziałby filozof analityczny. Jesteśmy wolni? Udowodnij to! Tylko wtedy będziemy mogli pomówić o tym, czy wolność jest ważna. Na co Sartre odpowie: Nie mam czasu na zajmowanie się mało istotnymi bzdurami.

Każda ze stron okazuje znaczną niechęć. Pamiętam, jak prowadzący seminarium na drugim roku przedstawił nam zasady swej ulubionej gry:

– Wymieniam najpierw filozofa. Następnie wy wymieniacie gorszego. Robimy to na przemian, wymieniając coraz gorszych, dopóki ktoś nie powie: Jacques Derrida. Ta osoba przegrywa.

Jestem pewien, że równie złośliwe gry spotyka się na uniwersytetach w całej Francji.

Krótko mówiąc, filozofowie europejscy uważają, że filozofia analityczna skupia się na szczegółach, nie dostrzegając całości, natomiast filozofowie analityczni sądzą, iż filozofowie europejscy są niezrozumiałymi, egocentrycznymi głupcami.

Ojciec Fred i ja czytaliśmy równie dużo dzieł Kierkegaarda oraz wczesnych teologów chrześcijańskich, co literatury egzystencjalnej – utworów Camusa, Kafki, Dostojewskiego – co oznacza, że studiowałem głównie głupców i dlatego byłem słabo przygotowany do tego, z czym zetknąłem się na Harvardzie, tak rażąco słabo, że przez pewien czas rozważałem porzucenie specjalizacji na rzecz czegoś bardziej użytecznego, na przykład anglistyki lub zarządzania. Ale wytrwałem, dopingowany myślą, że nie mogę tego zrobić, a gdy tylko nauczyłem się nie opuszczać „r” i nie przeciągać samogłosek, ćwicząc, opanowałem właściwą metodę i nauczyłem się cenić krystaliczne piękno stylu analitycznego; zdobyłem też kilka wydziałowych nagród za swe prace pisemne.

Miałem także swoją małą tajemnicę: przez cały czas pielegnowałem nieprzyzwoite zamiłowanie do egzystencjalizmu. Nie potrafiłem się od niego uwolnić – zwłaszcza od Nietzschego, którego idee opanowały mnie w trudny do wytłumaczenia sposób. Ludzie zawsze będą się spierać o to, co naprawdę myślał ten filozof, ale moją największą uwagę zwrócił jego upór, z jakim twierdził, że jesteśmy radykalnie samotni i dlatego ponosimy zasadniczą odpowiedzialność za stwarzanie nas samych. Jego koncepcja *nadczłowieka*, tak często szkalowana jako niemoralna, miała dla mnie doskonały sens. Zachowywałem się właśnie tak: zatriumfowałem, wydobywając się z szamba nieoczytania, załamując się, a potem przekształcając w odlew własnego wyrobu. Kiedy zbliżał się ostatni rok studiów i moi profesorowie zachęcali mnie do podjęcia pracy nad doktoratem, uwierzyłem, że przeznaczenie ma wobec mnie wielkie plany, i nie mogłem nic na to poradzić. Albo – mówiąc dokładniej – że to ja mam wielkie plany wobec niego.

Tak więc zapisałem się na kurs podyplomowy, mając zamiar napisać rozprawę traktującą o tym, co znaczyło dla mnie najwięcej: o wolnej woli. I niech mnie diabli, jeśli sobie z tym nie poradzę, łącząc ferwor egzystencjalisty z analityczną precyzją, tworząc sposób ekspresji, który nie tylko zmieni kształt debaty toczącej się od trzech tysięcy lat, lecz także przetrze nową ścieżkę filozofii wkraczającej w dwudzieste pierwsze stulecie! Teraz proszę o aplauz.

Taka megalomania była nieuzasadniona. Na początek: nie jestem dostatecznie mądry, choć borykałem się z tym (jeśli w ogóle) przez dziesięć lat. Co ważniejsze, nie byłem na bieżąco. Gorzka prawda o amerykańskim środowisku akademickim jest następująca: pracę pisze się nie po to, by zmienić świat, ale po to, by uzyskać stopień naukowy. Uzyskuje się go, by zdobyć pracę, a zdobywa się ją, bo trzeba z czegoś żyć. Ten, kto jest bardzo utalentowany i ma bardzo dużo szczęścia, zwraca uwagę wydawnictwa Oxford University Press, sprzedaje trzysta egzemplarzy swojej książki – wszystkie trafiają do innych filozofów – i świętuje przy butelce pośledniego merlota.

Byłem naiwny – a do tego arogancki – licząc na taryfę ulgową. Ale przecież wszyscy wielcy myśliciele okazują skłonność do arogancji, mają poczucie, że czeka na nich wszechświat. Żywiłem też przekonanie, że obniżenie rangi moich celów znieważyłoby pamięć mojego brata, który – bezpośrednio lub pośrednio – wyznaczył mój kurs.

Moim pierwszym opiekunem naukowym był Sam Melitsky – znakomitość wydziału – najlepiej znany ze swej pracy w przepięknie błędnie nazwanej dziedzinie filozofii języka potocznego. Jako student przed dyplomem przeczytałem kilka jego książek, podziwiając jego storturowaną rozwlekłą prozę. Zdjęcie autora wydrukowane na jego książkach przedstawiało uderzająco przystojnego mężczyznę z gęstą szopą siwych włosów oraz nosem zawodowego boksera i sugerowało, że walczy on o swe idee. Zostało wykonane ponad czterdzieści lat przed dniem, w którym usiedliśmy po raz pierwszy, by omówić mój projekt. Silnego indywidualistę zastąpił dobrotliwy, zdziecinniały człowiek z pstrymi kępkami włosów na uszach. Uznałem jednak za pozytywne to, że opiekun bardziej pobudzał, niż tolerował moje ambicje. Przypuszczam, że zaufanie osiemdziesięcioczerolatkowi było nieporozumieniem, ponieważ wspierając mnie, nie miał nic do stracenia. Gdybym – co jest nieprawdopodobne – okazał się geniuszem, Sam Melitsky byłby usprawiedliwiony. A gdybym zawiódł, umarłby zbyt wcześnie, by musieć się tym przejmować.

W końcu jednak do tego nie doszło. Raczej nie. Oto co się zdarzyło: dwa dni po złożeniu przeze mnie brudnopisu mojego pierwszego rozdziału – ponad stu siedemdziesięciu stron dyskursywnego, nadmiernie rozbudowanego tekstu – Sam Melitsky doznał udaru, który pozbawił go zdolności mówienia i czytania. Złośliwy, ale zupełnie łatwy do przewidzenia dowcip krążący po wydziale mówił, że winowajcą odpowiedzialnym za to wydarzenie był mój kiepsko zredagowany fragment pracy. Córki Melitsky'ego, przybyłe niezwłocznie do Cambridge, zabrały go do Nowego Jorku. Poczułem się zdruzgotany i opuszczony, tym bardziej kiedy dowiedziałem się, że jedyną osobą, która może go zastąpić, jest Linda Neiman, logik w pełnym tego słowa znaczeniu, słynna z nieustępliwości. Czują niechęć do Sama, a zatem – siłą rzeczy – i do mnie. Skrytykowała mnie ostro podczas pierwszego spotkania, wyliczając szybko z pamięci wszystkie wymagania, które będę musiał spełnić, zanim pojawi się jakakolwiek szansa na naszą współpracę, i zaczynając od żądania, bym wybrał nowy temat.

– Myślę, że mogę to zrobić – zająknąłem się.

– Myślę, że nie.

Minęły trzy lata impasu. Im bardziej Linda uwłaczała moim ideom, tym bardziej je przeceniałem i *vice versa*. Zdawała się traktować moją rozwlekłość i bezustanne prośby o opinie jako osobisty atak skierowany przeciwko niej – i była to słuszna interpretacja, ponieważ przeciwstawiłem się Lindzie w jedyny znany mi sposób: za pomocą słów, dodając zdanie po zdaniu,

w nadziei, że jeśli uzbiera się ich dostatecznie dużo, uda mi się zmusić ją do poddania. Była to straszna strategia. Linda miała władzę, ja żadnej; podporządkowanie się należało do mnie, a moja odmowa posłużyłaby jedynie potwierdzeniu jej kiepskiej opinii o mnie. Byłem rozpieszczony, utytułowany i potrzebowałem solidnego lania, a później kolejnego. Uniewinniając Lindę z zarzutu niewinności, powiem, że jej podejście do mnie miało charakter resocjalizacyjny, przynajmniej początkowo. Dość szybko jednak stało się karzące, a później zwyczajnie sadystyczne. Linda ignorowała moje maile, ograniczała liczbę moich zajęć dydaktycznych, blokowała moje stypendia i zatruwała moją reputację. Mówiąc o niej jako o swojej „tak zwanej opiekunce”, nie byłem bezczelny: to ona użyła tego określenia. „Jako pańska tak zwana opiekunka...” Lubiała tak zaczynać, zanim przeszła do kolejnej porcji musztry.

Próbowałem zastąpić ją kilka razy. Musiałem przygotowywać się do zajęć, lecz tylko po to, by stwierdzić, że propozycja została odwołana w ostatniej chwili. Częstotliwość, z jaką się to działo, doprowadziła mnie do przekonania, że to sama Linda chciała mnie mieć pod ręką. Być może miałem jej posłużyć do lekcji pogładowej i pełnić rolę okazu w słoiku, po który mogła sięgnąć, by nim wymachiwać przed oczami swych innych niesfornych podopiecznych w ramach tworzenia atmosfery zagrożenia.

Wciąż pisałem. Najwyższą pochwałą, jakiej można udzielić filozofowi analitycznemu, jest uznanie jego pracy za zrozumiałą. Kierując się tym kryterium, nawet ja byłem w stanie dostrzec, w jakich tarapatach się znalazłem. Wciąż zmieniałem kierunek, rozważałem na nowo i zmieniałem strukturę. Za każdym razem dokonywałem znaczącej rewizji i zapisywałem dokument jako nowy plik, numerując kolejno kopie robocze. W pewnym momencie dysponowałem czterdziestoma dwiema kopiami samego wstępu. Wycinałem paragrafy, lecz wzbraniałem się przed ich usuwaniem i umieszczałem je w pliku wycinków, który rozrósł się w końcu do rozmiarów dwukrotnie większych niż główny tekst. Jak mówi wiersz, niewielka wiedza jest rzeczą niebezpieczną. Ambicja zaś to przewrotny mistrz najsrożej chłłoszczący tych, którzy mu się kłaniają.

Byłem świadomy, że nie wszystko łapię, jednakże nie mogłem przestać, postawiwszy tak dużo poczucia własnej wartości na swój sukces. Melitsky napisał kiedyś: „Perfekcja składa się w większości z gotowości na znoszenie monotonii”. Wydrukowałem to zdanie dziesięciocentymetrową czcionką i przykleiłem do ściany w swojej bibliotecznej kabinie do pracy indywidualnej. Gdy czułem zniechęcenie, spoglądałem na te słowa i myślałem o dobrym starym Samie. Wszędzie dokoła moi rówieśnicy podporządkowywali się, wyznaczając sobie jakiś lichy zakątek. Gardziłem nimi, mówiąc sobie, że to, co robię, nie jest bezsensowne, lecz śmiałe, i trzymałem się egzystencjalistycznej idei, według której trzeba się uczyć nie obawy przed samotnością, lecz korzystania z niej. Oni chcieli pewności zatrudnienia. Ja miałem odwagę

wyruszyć w nieznane. Każda dodatkowa strona opatulą mnie mocno, przesłaniając niezbity fakt, że zmierzam donikąd. Kiedy Linda zapytała, jak mi idzie z *książką*, odpowiedziałem, że Hegel ukończył swą *Fenomenologię umysłu* dopiero w wieku trzydziestu sześciu lat. Miałem więc jeszcze osiem.

Linda odpowiedziała – mówiąc to jako moja tak zwana opiekunka – że jeśli bym chciał czytać Hegla, napisałaby mi chętnie list polecający do University of Texas w Austin.

Na noże poszło pewnego deszczowego dnia pod koniec mojego szóstego roku, kiedy udałem się do biblioteki Widenera, by coś napisać, i stwierdziłem, że moja kabina została opróżniona.

Odwróciłem się, żeby spojrzeć na windę. Wysiadłem na niewłaściwym piętrze? Nie: dostrzegłem na ścianie niebieski ślad po markerze, który kiedyś upuściłem. Była rysa biegnąca przez całe biurko; straciłem godziny, a jeśli je dodać – dni – wodząc po niej końcami palców. Było też krzesło, na którym siedziałem, jeżdżąc, czytając, pisząc i śpiąc. To była moja kabina – mój dom – a mimo to wszystko, co rozpoznawałem jako moje – cytaty z Melitsky'ego, wszystkie książki (nie mówiąc już o tym, ile trudu kosztowało mnie ich zgromadzenie), miesiące spędzone na ślęczeniu nad katalogiem, odsyłacze, przekopywanie się przez bibliografie, samoprzylepne karteczki i marginalia – wszystko zniknęło.

Przez chwilę stałem jak sparaliżowany, a następnie pośpieszyłem przed siebie, jakbym chciał zatamować krwotok. Nie było już niczego, co by mnie tu zatrzymywało. Jedynym śladem po mnie była lista numerów telefonów zapisana moim charakterem pisma. Zgniotłem ją w kulkę, ruszyłem do przejścia i pogałem jak burza do Emerson Hall, by stanąć twarzą w twarz ze swoją tak zwaną opiekunką.

Był to pierwszy rok jej kadencji jako przewodniczącej wydziału, co oznaczało, że zanim mogłem się z nią zobaczyć, musiałem stawić czoło jej głupkowatemu recepcjoniście Dougowi.

– Sekundę, proszę – powiedział, mizdrząc się.

Kiedy poszedł, ukradłem mu wszystkie długopisy.

– Joseph. Cóż za miła niespodzianka.

Gabinet Lindy urządzony był tak, by mogła się po nim poruszać na swym wózku inwalidzkim: wszystkie meble były oddalone od siebie bardziej niż zwykle. Mimo że siedziała, jej osobowość sprawiała, że zdawała się wciąż nade mną górować. Zauważyłem, nie po raz pierwszy, że jej buty były nieskazitelne – dosłownie nieużywane – podczas gdy moje wyglądały jak wyłowione ze śmietnika.

– Właśnie skończyłam mail do pana. Chciałby pan usłyszeć?

– Chciałbym.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Choć jeśli pan pozwoli, zrobię sobie najpierw kawę.

Popchnęła dżojstik i odwróciła się do mnie plecami. Przy oknie stała szafka,

a na niej ekspres do kawy i kilka kubków.

– Proszę usiąść.

Usiadłem, rzucając torbę jak najgłośniej.

– Wygląda pan na wkurzonego – powiedziała. – Jakiś problem?

– Problemem, Lindo, jest to, że moja kabina została opróżniona.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Hm...

– Chyba nie przyszło pani do głowy, żeby mnie ostrzec?

– Dlaczego myśli pan, że mam z tym coś wspólnego?

– A nie miała pani?

– Nie takie było moje pytanie – powiedziała, podjeżdżając do biurka. – Pytanie, czy miałam coś wspólnego z opróżnieniem pańskiej kabiny, jest zupełnie odmienne od tego, czy ma pan jakieś powody, by sugerować, że tak.

– Na litość boską, miała pani czy nie?!

Podniosła rękę.

– Proszę się uspokoić.

– Co pani zrobiła? Wykreśliła mnie?

– Josephie...

– To może byłoby łatwiej mnie zastrzelić albo...

– Josephie – powiedziała, pochylając się do przodu. – Proszę natychmiast przestać.

Choć przemawiała do mnie jak do pudła, zamknąłem się.

– Dziękuję. Zamierzam teraz przeczytać panu ten mail i chcę, żeby posłuchał pan bardzo uważnie. Da pan radę?

– Słucham.

– To dobrze.

Odwróciła się do komputera, otworzyła coś, kliknąwszy myszką i odchrząknęła.

„Drogi Josephie,

moim obowiązkiem jest poinformować Pana, że z dniem 5 czerwca Pański status aktywnego doktoranta zostanie zawieszony. Zawiadomienie zostało skierowane do gsas i sekretarza uczelni.

Jest mi przykro, że doszło do tej sytuacji, i mam nadzieję, że zrozumie Pan, dlaczego wydział uznał poczynienie takich kroków za konieczne.

Oboje wiemy, że Pańska praca utknęła w martwym punkcie. Pomimo wielu prolongat – udzielonych Panu pod warunkiem że przedłoży Pan swą pracę – wciąż nie przekazał Pan ani mnie, ani nikomu innemu ani jednego zadowalającego rozdziału dysertacji. Jest to niedopuszczalne. W ubiegłym roku dwukrotnie nie złożył Pan podań na kursy uniwersyteckie. Dodatkowo nie złożył Pan podania o zwolnienie z czesnego. Już to mogłoby stanowić powód do wydalenia Pana. Wydział i ja zdecydowaliśmy się jednak dać Panu jeszcze jedną szansę, w tym celu wysyłałam Panu raz za razem maile...”

– Ale to jakiś absurd – powiedziałem. – Nigdy...

„... lecz nie odpowiedział Pan na żaden z nich. Zostawiłam...”

– Ale nigdy nie dostałem żadnego...

– Jeszcze nie skończyłam.

„Zostawiłam list w Pańskiej skrzynce pocztowej. On także pozostał bez odpowiedzi. Dlatego zostałam zmuszona do poinformowania wydziału, że przestał Pan okazywać chęć współpracy.

Decyzja ta nie uniemożliwi Panu ukończenia doktoratu. Tymczasowo może Pan zachować swój adres mailowy oraz korzystać w ograniczonym zakresie ze zbiorów bibliotecznych. Przy założeniu, że przedstawi Pan całą zaległą pracę okresową...”

Długie spojrzenie.

„... będzie Pan w dalszym ciągu kwalifikował się do uzyskania tytułu. Pańskie nazwisko zostanie jednak usunięte z grafiku wydziału, a aktywny status zawieszony.

Wątpię, by ta zmiana wpłynęła na Pana w istotny sposób, skoro przestał Pan uczęszczać na wykłady i nie nauczał przez trzy semestry”.

– To dlatego, że powiedziała mi pani, żebym nie nauczał.

– Proszę, jeszcze nie skończyłam.

„Rozumiem, że mógłby Pan chcieć wyjaśnić mi powód Pańskiego zaniechania i usprawiedliwić swój przypadek dla uzyskania kolejnych prolongat. Proszę bardzo. Może Pan również odwołać się do gśas. Proszę jednak mieć świadomość, że po skonsultowaniu się z dziekanem Blevinsem przed podjęciem tej decyzji nie tylko wydział uznaje, iż ciężar udowodnienia spoczywa na Pańskich a nie naszych barkach. Nasza cierpliwość się kończy.

Moja osobista uwaga: chciałabym, by był Pan świadomy, że o ile cenię Sama Melitsky’ego, o tyle nie pozwolę, by wykorzystywał Pan w nieskończoność jego reputację.

Z poważaniem,

Linda Neiman”

Położyła swe wypielegnowane dłonie na biurku.

– Kilku pańskich rówieśników jest już adiunktami. Gil Dickey w Pittsburgu. Alexi Burgher w Stanfordzie. Nalini, jak pan wie, tutaj. Teraz, gdy rozmawiamy, zarówno Hudi, jak i Irit Greenboim przeprowadzają rozmowy kwalifikacyjne na Oksfordzie. Każdy poczynił postępy – z wyjątkiem pana. Jak pan to wyjaśni? Nie może pan, więc proszę nawet nie próbować.

Nie odpowiedziałem.

– Proszę posłuchać – powiedziała tonem, który zapewne wydawał jej się łagodniejszy, lecz tylko sprawił, że jej głos zabrzmiał bardziej protekcjonalnie.
– Mówię po prostu to, co kto inny powinien był powiedzieć panu już przed laty. To nie jest odpowiednie miejsce dla pana. Nigdy nie było. Rozumiem pańskie oddanie własnym zasadom. Ale zasobów, z których pan korzysta, potrzebują inni. Kilka dni temu rozmawiałam tu ze studentem z Brown –

z publikacjami – który chce się do nas przenieść. Co mam mu powiedzieć? Przykro mi, nic się nie da zrobić, bo oszczędzamy to miejsce dla kogoś innego. Nie, nie stworzył nic wartościowego od sześciu lat. Ale sam uważał, że jest *Kolejną Wielką Rzeczą!* Mówię serio. Kiedy się to skończy?

Moje umartwianie się trwało już wystarczająco długo. Wstałem.

– Moje drzwi są dla pana zawsze otwarte – powiedziała dokładnie w chwili, kiedy je zamknąłem.

Cała ta jatka miała jedną pozytywną stronę, a była nią Yasmina.

Na przedostatnim roku studiów skończyły się kursy filozofii, na które mogłem uczęszczać, i zacząłem ostrożną wędrówkę przez resztę katalogu kursów, rozumując, że w ten sposób wyrządzam sobie przysługę poprzez poszerzanie własnych horyzontów. Zacząłem od udziału w zajęciach z naszych ulubionych przedmiotów: matematyki i fizyki kwantowej. Nikt nie spoglądał podejrzliwie, gdy pojawiłem się na seminarium poświęconym sztucznej inteligencji. Nikt też nie zauważył, że zapisałem się na grekę. Teoria filmu wywołała u niektórych zdziwienie, ale stało się to już po tym, jak wyłudziłem miejsce na studenckim kursie w studiu fotograficznym – moja tak zwana opiekunka zasugerowała mi wtedy w niezbyt miły sposób, że zboczyłem z kursu.

Przywołany do porządku, zapisałem się w następnym semestrze na kurs teorii politycznej zorganizowany wspólnie z wydziałem prawa. Meandrując pomiędzy niskimi regałami w bibliotece, wpadłem na ładną kobietę w czarnym kaszmirowym płaszczu, ze zmarszczonymi brwiami świadczącymi niedwuznacznie o udreće bycia studentką pierwszego roku. Kiedy zapytałem, z czym ma kłopot, pokazała mi sygnatury zmieniające się w środku regału. Będąc już pewnego rodzaju ekspertem w harwardzkim systemie katalogowania książek, zaprowadziłem ją we właściwe miejsce, a ona zrewanżowała mi się zgodą na spotkanie.

Byliśmy w połowie deseru, kiedy się zorientowała, że wcale nie jestem studentem prawa.

– Nie, nie jestem.

– To dobrze. Prawnicy to dupki.

Zauważyłem, że za trzy lata sama zostanie prawnikiem.

– W takim razie będę dupkiem – odparła.

Wzięła ze stołu rachunek.

Na pierwszy rzut oka tworzyliśmy dziwną parę. Yasmina pochodziła z Los Angeles, a jej rodzina zajmowała znaczącą pozycję w tamtejszej społeczności irańskich Żydów. Jeszcze w Teheranie rodzice Yasminy mieli kilka fabryk dywanów i mebli, przynoszących małą fortunę do chwili, kiedy rewolucja islamska zmusiła ich do ucieczki. Służący, szofer, dwa letnie domy – Yasmina znała to życie jedynie ze zdjęć, ponieważ urodziła się w Rzymie, gdzie jej rodzice czekali na wizy do USA.

Już w Kalifornii ojciec Yasminy postanowił zarabiać w taki sam sposób jak w Iranie: zaciągnąwszy pożyczkę, otworzył sklep meblowy. Nauczył się jednak

handlować na ulicach i na suku, Amerykanie zaś uznali jego agresywną sztukę pozyskiwania klientów za odpychającą. Handel zaczął kuleć, a rodzina cierpieć z powodu cotrymiesięcznych przeprowadzek do coraz ciasniejszych mieszkań. Przygnębiony, balansujący na krawędzi bankructwa ojciec Yasminy wystawił za szybą tablicę z napisem KONIEC DZIAŁALNOŚCI – WYPRZEDAŻ. Zapasy towaru rozeszły się w tydzień.

Teraz takich sklepów było siedem, z siedmioma takimi tablicami, rozrzuconych na znacznym obszarze Los Angeles i bezustannie od dwudziestu lat kończących działalność. Eszagianowie mieszkali kiedyś w wielkim domu, jeździli wielkimi samochodami i niczego im nie brakowało. Mimo to dniami i nocami tkwili w szponach obawy przed nagłą utratą wszystkiego. Nie czuli się bezpiecznie w żadnym miejscu – niezależnie od tego, jak demokratyczne były odbywające się w nim wybory i jak wolne były jego rynki. Zamartwiali się pieniędzmi: mówili o nich, porównywali je do wartości moralnych i dręczyli swoje dzieci, nakłaniając je z uporem do wżenienia się w bogate rodziny. Doprowadzało to Yasminę do szaleństwa. W pewnym sensie powinienem być im wdzięczny, ponieważ to ich dokuczliwość popchnęła Yasminę w ramiona filozofa goja bez grosza przy duszy.

Ale nie za to ceniliśmy się wzajemnie, ponieważ w rzeczywistości łączyło nas o wiele więcej, niż można było zauważyć na pierwszy rzut oka. Oboje przyznawaliśmy, że czujemy się na Harvardzie jak wyrzutki. Ale skoro udało nam się zmylić strażę i dostać się do środka, chcieliśmy oboje wykorzystać w pełni nasz czas na tej uczelni. Udawaliśmy się nad staw Walden, by podziwiać zmieniające się barwy liści; podążaliśmy też Szlakiem Wolności, pochłaniając zupę z owoców morza. W sobotnie poranki wybieraliśmy się na długie spacery po pełnej zieleni okolicy otaczającej Radcliffe Quad; zatrzymywaliśmy się przy domach wystawionych na sprzedaż, by zabierać ulotki i udawać młode małżeństwo poszukujące swego pierwszego domu. Yasmina lubiła stawać w salonach tych domów i przemeblowywać je w wyobraźni – czyniła to jednak z szacunkiem, mając na względzie detale, które nadawały im charakter. Później kupowaliśmy kawę i pączki i siadywaliśmy nad rzeką, obserwując wioślarzy: bladych młodych mężczyzn poruszających się unisono w jaskrawych łodziach na stalowej wodzie. Naszym zdecydowanie najulubieńszym weekendem roku był ten, podczas którego odbywały się regaty Head of the Charles. Stojąc tam i dopingując załozę Crimson, pozwalaliśmy sobie na fantazję, którą nasza obecność w tłumie usprawiedliwiała bardziej niż wysokie wyniki testów i potrzeba demograficznej kompletności; pozbywaliśmy się swej pstrokacizny, niechlubnej przeszłości i stawaliśmy się na chwilę pełnoprawnymi członkami amerykańskiej elity intelektualnej, częścią długiej linii sięgającej do samego Johna Harvarda.

Na dodatek łączyła nas fantastyczna chemia seksualna. To wiele wyjaśnia.

Gdyby nie Yasmina, skończyłbym na ulicy o wiele wcześniej. Miałem dostatecznie dużo szczęścia, by spotkać ją tuż przed utratą gruntu pod nogami

i nawet gdyby cynik uznał moją decyzję wprowadzenia się do niej jako podyktowaną względami praktycznymi, ja w tamtym czasie czułem się jak zakochany.

Gwoli sprawiedliwości, nigdy nie uważałem jej wsparcia za rzecz oczywistą. Wręcz przeciwnie: byłem jej zobowiązany i starałem się usprawiedliwić, przejmując wszystkie obowiązki domowe. Kupowałem jedzenie i odbierałem jej rzeczy z pralni chemicznej. Poszedłem do biblioteki, wypożyczyłem *Radość gotowania* i przeczytałem ją od deski do deski (była to wiedza, której zastosowanie w praktyce odbywało się metodą wielu prób i błędów i doprowadziło pewnego razu do uruchomienia tryskaczy przeciwpożarowych w korytarzu). Yasmina uwielbiała organizować przyjęcia, lecz radząc sobie kiepsko w kuchni, zdała się na mnie i mój coraz obszerniejszy repertuar kulinarny, w którym szybko pojawiły się jej ulubione dania tajskie i meksykańskie, a także masa perskich specjałów: kebab, chrupki ryż i gulasze o trudnych do wymówienia nazwach.

Rola chłopca do prac domowych pozwoliła mi ignorować moją zapaść zawodową. Więcej nawet: polubiłem swoje obowiązki. Ich prosta fizyczność dziwnie mnie wyzwalała. Okazuje się, że nie ma nikogo, kto byłby bardziej przyziemny i odpowiedni do prowadzenia gospodarstwa domowego niż niespełniony akademik. Było dla mnie zabawne, a zarazem niepokojące, kiedy sobie uświadomiłem, z jaką łatwością potrafiłem pójść inną drogą. Kto wie, czym bym się zajmował, gdybym został w domu? Byłbym biurowym sługusem, sprzedawcą nawozów albo księgowym w rzeźni. Zacząłem współczuć mojej matce i rozumieć, jak wygląda czyjś świat ograniczony do zup i rondli. Nawet męczeństwo daje pewien komfort.

Nie wzbraniałem się też przed życiem we względnym luksusie. Fakt, iż nie płaciłem czynszu, a mimo to przychodziłem do domu z wielkim łóżkiem i ścianami pełnymi wysmakowanych sztychów o tematyce żeglarskiej, nie oznaczał dla mnie, że się sprzedałem. Nie byłem kimś, kto przypomina chomika biegającego w swym kołowrotku. Łóżko, sztychy, opiekacz do kanapek – żadna z tych rzeczy nie należała do mnie. Wszystkim, co miałem, były moje książki, ubrania, idee i połówka Nietzschego. W ten sposób usprawiedliwiałem fakt stania się yuppie.

Pomimo pogardy dla swego wychowania Yasmina jest w głębi serca tradycjonalistką. Mówiąc o swej rodzinie, przewracała oczami i kpiła z jej akcentu i prowincjonalizmu, lecz wiedziałem, że wciąż ich wszystkich kocha. (Oto wspaniały przykład różnicy pomiędzy dzieciństwem nieznośnym a pełnym przemocy.) Mając niewytłumaczalnie wiele szacunku dla ich konwencjonalnej mądrości, nigdy nie potrafiła pogodzić się z faktem, że musi wyjść za mąż do dwudziestego trzeciego roku życia. Większość kobiet, które znała – w tym jej siostry – była głównie gospodyniami domowymi. Musiała walczyć o zgodę na wyjazd na uniwersytet w innym stanie. Z pewnością nikt nie oczekiwał, że sięgnie po więcej niż licencjat, a jej rodzina, płacąc za studia prawnicze, nie

chciała uwierzyć, że Yasmina zamierza znaleźć sobie pracę, i traktowała jej dążenie do kariery jako fazę, z której wyrośnie, kiedy tylko pozna odpowiedniego mężczyznę.

Ja nim nie byłem.

Nigdy nie poznałem jej rodziny. Nigdy z nikim nie rozmawiałem. Nie mieli pojęcia o moim istnieniu. Kiedy przyjeżdżał któryś z krewnych Yasminy, ona wygrzebywała zabytkową srebrną hamkę i zawieszała ją na gwoździu obok drzwi frontowych. Był to sygnał, że muszę spakować małą torbę i załatwić sobie miejsce na nocleg. Było to poniżające: obchodziliśmy się wzajemnie, usiłując stąpać po swoich śladach jak niesforne dzieci. Wypędzany na sofę Drew, pomstowałem, kiedy grał w rzutki i mruczał coś o współczuciu.

Yasmina nie poznała też moich rodziców, którzy nigdy mnie nie odwiedzili, podobnie jak ja ich. Nie jestem pewien, czego oczekiwała, jeśli nie mogliśmy lub nie chcieliśmy, by do tego doszło. To, że się kochaliśmy, nigdy nie ulegało wątpliwości. Rozśmieszaliśmy się nawzajem i wzajemnie fascynowaliśmy się naszą odmiennością. Ale byliśmy skazani na porażkę. Oboje o tym wiedzieliśmy. Jeśli mam być szczery, to sądzę, że uważaliśmy poczucie nieuniknionej klęski za raczej romantyczne.

Istniała jeszcze jedna kość niezgody. Mimo twierdzeń Yasminy, że zakochała się w moim intelekcie, zawsze podejrzewałem, że gdzieś w głębi planowała dla mnie coś innego. Odwoływała się czasami do jakiegoś nieokreślonego momentu w przyszłości, kiedy „przestane”, co sugerowało, że będę w końcu miał własne dochody i znajdę dobrze płatną posadę. A jeśli chciała stworzyć nową wersję mnie, to muszę wyznać, że zdarzało mi się czasem myśleć w podobny sposób. Yasmina potrafiła być nieznośnie pragmatyczna. Nie byłem pewien, czy kiedykolwiek zechcę się ożenić, a jeśli chciałem, to zastanawiałem się, czy mogłoby to być małżeństwo z kimś, kto nie jest filozofem.

Kłótnia, po której Yasmina mnie wyrzuciła, zaczęła się od czegoś mało istotnego. Nie pamiętam nawet od czego. Ale czy nie tak zawsze bywa? Zaczyna się od brudnego talerza albo niezamkniętego sedesu i zanim się zorientujesz, już skaczeć sobie do gardeł. Oskarżyła mnie o bycie nieobecny duchem, powołała się też na moją dysertację jako dowód, że nie potrafię się do niczego zobowiązać. Odpowiedziałem, że Hegel dokończył swą *Fenomenologię umysłu*, dopiero gdy miał trzydzieści sześć lat, zostaje mi zatem jeszcze sześć. To, co zdarzyło się później, opisałem obszerniej w pierwszym rozdziale tej książki.

Są dwa Cambridge. Ten magiczny, przesiąknięty historią i pełen możliwości zawodowych, będący widokówką z lat moich studiów i pierwszych lat po dyplomie, zanim popadłem w niełaskę. Jest też Cambridge rzeczywisty, z prawdziwymi ludźmi, za murami zabytkowego kokonu. W prawdziwym Cambridge nie ma kabin. Nie ma stypendiów. Nie ma dogłębných całonocnych dyskusji. Duma z członkostwa jest zauważalnie pomniejszona. Ten drugi Cambridge może wywołać rodzaj szoku po dekadzie spędzonej w pierwszym.

Przed trzydziestką trzymałem się tego miejsca ze wszystkich sił, lecz kiedy brnąłem przez ohydny breję i szedłem na pierwszą rozmowę w sprawie pracy, mając się spotkać z nieznaną, poczułem, że wkraczam na wrogie terytorium. Spojrzawszy za siebie, dostrzegłem, że dzwonnica Memorial Hall pokazuje mi środkowy palec.

Świadectwem zaściankowości życia na uczelni jest to, że oddaliłem się o kilometr od kampusu i znalazłem na nieznaną mi dotąd ulicy, w uroczym ślepym zaułku obsadzonym dębami i klonami. Stały tam samochody przysypane śniegiem, a chodnik, pilnie potrzebujący odśnieżenia, biegł wzdłuż długiego rzędu obitych poziomo deskami domów w stylu wiktoriańskim, o wysokich szczytach lub prostych amerykańskich folkowych zwieńczeniach; wszystkie z wyjątkiem ostatniego były dwu- lub trzyrodzinne. Pusty podjazd numeru czterdzieści dziewięć pozwolił mi dostrzec, że dom stoi w głębi. Wkrótce przekonałem się, co się w niej kryje.

Niżej, na zakręcie, widać było milczącą procesję pieszych i taksówek, przypominających zjawy w zimowej mgiele.

Nie mogłem winić mojej przyszłej pracodawczyni za to, że życzyła sobie konwersacji z dostawą do domu. Dotarcie do końca przecznicy stanowiłoby koszmar dla kogoś z chorymi stawami biodrowymi lub zwyrodniałymi kolanami.

Bycie ukrytym w tak odległym miejscu miało jednak swoją zaletę: było tam spokojnie. Błogo spokojnie. Dorastając, nauczyłem się wystrzegać własnego oddechu, szelestu mojej nylonowej kurtki, kiedy unosiłem ramię, by stłumić kaszel. Dotarło do mnie, że byłoby to idealne miejsce do pisania.

Wszedłem po schodach na ganek i zapukałem. Zasłony w oknie wykusza poruszyły się. Spojrzałem tam, nie zdążywszy już niczego dostrzec, a dwadzieścia sekund później drzwi frontowe otwarły się, ukazując ciemność.

– Pan Geist. Proszę wejść.

Stałem w korytarzu, oswajając wzrok ze słabym światłem.

– Zaproponowałabym panu zdjęcie kurtki, ale być może zechce pan zostawić ją na sobie. Obawiam się, że jest tu dość chłodno. Zanim przejdziemy dalej, proszę mi pozwolić popatrzeć na siebie.

Zrobiłem to samo. Ocenilem ją na siedemdziesiąt pięć lat, choć było jeszcze zbyt ciemno, by wyciągnąć ostateczne wnioski. Mogłem natomiast stwierdzić, że kiedyś musiała być nadzwyczaj piękna, a duża część jej urody oparła się wiekowi. Miała sercowatą twarz i bystre, wilgotne oczy. Zerknąłem: czy były kiedyś zielone?

– Wygląda pan dość porządnie – powiedziała. – Nie ma pan zamiaru mnie obrabować, nieprawdaż?

– Nie miałem takich planów.

– Miejmy zatem nadzieję, że pańskie plany nie uległy zmianie, co? – Roześmiała się. – Proszę wejść.

Ruszyła skrzypiącym korytarzem, ciągnąc za sobą zapach perfum. Miała

rację co do temperatury. Domy w Nowej Anglii bywają zazwyczaj duszne i przegrzane – zrozumie to każdy, kto tam mieszkał – i zdarzało mi się często, że wchodząc do któregoś z nich, oblewałem się potem. Tym razem zapiąłem kurtkę. Kobieta zatrzymała się na dźwięk suwaka i odwróciła z przepaszającym uśmiechem.

– Ach, muszę pana przeprosić. Gorąco mnie rozdrażnia. Równie uciążliwe w moim stanie bywa jasne światło. Mam nadzieję, że nie będzie to panu zbyt przeszkadzać.

Weszliśmy do pokoju. Były w nim dwie bladoróżowe sofy ustawione naprzeciw siebie, prostopadle do kominka, przed którym leżał dywanik. Na środku stał niski szklany stolik, na nim opróżniona do połowy chińska filiżanka i spodek. Zastony były dość grube, by zatrzymać całe światło słoneczne, a dwie mosiężne lampy z kloszami w stylu chinoiserie stanowiły jedyne oświetlenie pokoju.

– Może napiłby się pan herbaty?

– Z przyjemnością, dziękuję.

– Proszę usiąść. Nie zabawię długo.

Patrząc, jak się oddala, zastanawiałem się nad jej kondycją. Wyglądała na dość zdrową. Kroczyła powoli – lecz nie z trudnością, ale z wdziękiem. Był to krok kobiety przyzwyczajonej do tego, że inni na nią czekają, krok w tempie dyktowanym przez godność. Nosila długą suknię w kwiaty okrytą kremowym rozpinanym sweterkiem. Dostrzegłem jej siwe włosy ułożone w schludny kok z perłową spinką u góry. Jedynym ustępstwem towarzyszącym jej elegancji były kapcie kłapiące na piętach, kiedy się oddalała.

Rozejrzałem się. Oprócz wyjścia na korytarz były jeszcze dwa inne: to, w którym zniknęła, prowadzące przypuszczalnie do kuchni, i jeszcze jedno, otwierające się na jeszcze bardziej nieprzeniknioną ciemność. Salon rozciągał się ku frontowi domu, przechodząc w jadalnię z kompletem mebli połyskujących w przyćmionym świetle.

Najbardziej uderzający był brak fotografii. Któż nie trzyma na kominku portretu rodziców? Współmałżonka? Dzieci? Przyjaciół. Nie dostrzegłem tu jednak niczego poza ceramicznym zegarem. Prawie puste były także ściany. Przy wyjściu do kuchni wisiała słynna litografia Audubona przedstawiająca papugi karolińskie – wymarłe w przyrodzie, lecz żyjące w sztuce – których zielenie, czerwienie i żółcienie były tak żywe, że niemal można było usłyszeć skrzeczenie kolorowych ptaków. Obok tylnego wyjścia wisiał obraz olejny, nadmorski nocny krajobraz z czarnym oceanem i czarnym niebem.

Usłyszałem, jak nadchodzi.

Kiedy usiadłem, miękkie obicie sofy wydało delikatne westchnienie przepojone zapachem perfum.

Podawała mi filiżankę z podstawką.

– Nie wiem, jaką herbatę pan lubi, więc tu jest cukier i cytryna. Jeśli woli pan z mlekiem, mogę przynieść.

– Tak jest dobrze, dziękuję.

– Ależ proszę bardzo.

Usiadła naprzeciwko, przybierając nienaganną pozycję.

– Mam nadzieję, że łatwo było do mnie trafić.

– Tak.

– I że nie sprawiło to panu kłopotu.

– Najmniejszego.

– Doskonale. Muszę pana pochwalić za punktualność, dziś to niestety bardzo rzadka cecha. *Der erste Eindruck zählt*.

Niemieckiemu zarzuca się, że jest jednakowo gardłowy i ciężki. Jej akcent był lekki, baletowy; wciąż nie mogłem go określić. Jej angielskie *shall* i *shan't* wydawały się mieć w sobie mniej sztuczności, niż gdyby były wynikiem wychowania, i zastanawiałem się, czy została wychowana przez brytyjskich nauczycieli, czy też studiowała za granicą. Jeśli tak, to wskazywałoby to na jej pochodzenie z zamożnej rodziny. Zanim jednak posunę się do zbyt wielu przypuszczeń...

– Nie chciałem być niegrzeczny – powiedziałem – ale wciąż nie wiem, jak się pani nazywa.

Roześmiała się.

– Zdumiewające! Jeszcze raz przepraszam. Mózg musiał mi zamarznąć. Jestem Alma Spielmann.

– Miło mi panią poznać, pani Spielmann.

– Mnie pana również, panie Geist. Proszę mi wybaczyć moją szorstkość podczas rozmowy telefonicznej. Żałuję, że mam ów zły nawyk. Pamiętam czasy, w których nawet krótka rozmowa kosztowała fortunę. Kiedy byłem w pańskim wieku... Ach! Nie chcę być jedną z tych starszych dam, których opowiadania zaczynają się od „Kiedy byłem w pańskim wieku”.

Uśmiechnąłem się.

– O czym chciałaby pani rozmawiać?

– Och, jest tak wiele miejsc, w których można zacząć. Prawda? Nie ma tematów niedostępnych dla filozofa.

– Proszę nie czuć się zobowiązaną do rozmów o filozofii z mojego powodu.

– Nie to miałam na myśli – rzekła. – To był powód, dla którego pana tu zaprosiłam. Przez lata poznałam wielu filozofów. Mógłby pan powiedzieć, że ja sama byłem po części filozofką. Ale dziś dość trudno do nich dotrzeć. Przed panem zadzwoniło do mnie dwóch filmowców, trzech pisarzy, lingwista i ktoś, kto studiuje leśnictwo. Wszyscy z Harvardu, jak pan, lecz pan był pierwszym, którego kłopotąłem, by go tu zaprosić. Sądzę, że to moja kara za umieszczenie ogłoszenia w studenckiej gazecie. Błędnie uwierzyłam, że zwróci ono uwagę bardziej wyrafinowanych ludzi.

– Co stanowiło problem?

– Oni wszyscy byli strasznie głupi.

– To niedobrze – powiedziałem.

- Dla nich tak, niedobrze. Straszliwą rzeczą jest być głupim, nie sądzi pan?
- ...Tak.
- Wydaje się pan z tym nie zgadzać.
- Nie, nie jest tak, że się nie zgadzam.
- Ale nie jest też tak, że się pan zgadza.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie jestem pewien, czy to moje miejsce...
- Nonsens. Proszę, panie Geist. Nie zaprosiłam tu pana, by powtarzał pan moje opinie jak papuga.

- No dobrze – odrzekłem. – Niektórzy ludzie uznaliby świadomość za rodzaj przekleństwa.

- A pan?

- Ja? Nie przez większość czasu.

- Przez pewien czas zatem?

- Myślę, że wszyscy miewamy chwile, w których chcielibyśmy wyłączyć swój umysł.

- Do tego służy wino – powiedziała. – Czy właśnie tego by pan chciał? Wyłączyć swój umysł?

Przez moje gardło przeciskała się gruda rozczulenia nad samym sobą i niemal zacząłem się zalić na Yasmine, na swoją karierę pozostawioną samą sobie, na fakt, że jestem tu, by zarobić na chleb. Ponownie wzruszyłem ramionami.

- Wie pani. Niepokój.

Miałem rację, myśląc, że ma zielone oczy. Zmieniały się jednak, a przynajmniej zdawały się zmieniać, kiedy się uśmiechała.

- Zatem bardzo dobrze. Nie mam nic przeciwko temu, że jest pan nieszczęśliwy. Uczyni to z pana bardziej interesującego partnera do rozmowy. Z pańskimi poprzednikami miałam inny problem. Wszyscy wydawali się tak mało wiarygodnie radośni.

Roześmiałem się.

- Jestem pewien, że uważali to, co robią, za słuszne.

- Tak. W końcu to amerykański sposób bycia. Ale wiedeńscy nie wierzą w szczęśliwe zakończenia.

- Zastanawiałem się.

- Nad?

- Nad pani akcentem. Pomyślałem, że może być szwajcarski.

Wyglądała, jakby ją to uraziło.

- Panie Geist.

Przeprosiłem – po niemiecku.

- Pański akcent jest dobry. Czysty. Muszę zapytać, gdzie uczył się pan mówić.

- Mieszkałem w Berlinie przez sześć miesięcy.

- Cóż, nie będę miała panu tego za złe.

– Nigdy nie byłem w Wiedniu – powiedziałem.

– Och, musi pan tam pojechać – odrzekła. – To jedyne prawdziwe miasto na świecie.

Uśmiechnęła się.

– A teraz podyskutujmy o tym, czy lepiej być szczęśliwym, czy inteligentnym.

Minęło dużo czasu od mojej poprzedniej rozmowy przypominającej nieco konwersację z Alną tamtego popołudnia. My nie postępowaliśmy metodycznie ani też nie dążyliśmy do wyciągania wniosków. Przeciwnie: nasza rozmowa była pełną wysublimowaną przypadkową kaskadą idei, metafor i aluzji. Żadne z nas nie wyznaczało ustalonej pozycji i nie zadowalało się przerzucaniem słów, czasem dla poparcia, a czasem dla nakreślenia kontrastu. Wspomniałem o Millu. Ona zacytowała Schopenhauera. Spieraliśmy się, czy można być szczęśliwym bez pojmowania prawdy. Mówiliśmy o koncepcji eudajmonii, służącej Grekom do opisywania zarówno stanu bycia szczęśliwym, jak i procesu dokonywania cnotliwych czynów, a następnie przeszliśmy do debaty o etyce cnót – systemach wartości wspierających kształtowanie charakteru – jako przeciwieństwie deontologii, która kładzie nacisk na powszechne obowiązki (na przykład „nie kłam”), lub konsekwencjalizmu, podkreślającego wagę użyteczności, szczęścia wywoływanego przez działanie.

Była to najlepsza konwersacja, w jakiej od dawna zdarzyło mi się wziąć udział, a dokładniej – była taka, ponieważ stanowiła cel sam w sobie. Podczas naszej rozmowy poznałem trzy fakty dotyczące Almy: po pierwsze – była ona piekielnie bystra, po drugie – odniosłem wrażenie, że przeczytała wszystkie najważniejsze dzieła filozofii europejskiej wydane do lat 60., i po trzecie – czerpała przyjemność z odgrywania roli prowokatorki. Nie stanęliśmy do wyścigu, lecz do tańca i krążyliśmy wokół siebie, a z każdego z naszych pomysłów kiełkowało dziesięć następnych. W końcu Alma powiedziała:

– To było zachwycające popołudnie, panie Geist. Na dzisiaj dość debaty. Teraz muszę poprosić, żeby pan zaczekał.

Kiedy poszła, zerknąłem na zegar na kominku i zdziwiłem się, widząc, że minęły dwie godziny.

– Za pański trud – powiedziała, wręczając mi czek na sto dolarów. – Ufam, że to stosowna kwota.

Właściwie nie sądziłem, bym w ogóle zasłużył na cokolwiek. W otrzymywaniu wynagrodzenia za zajęcie dające przyjemność jest coś niewłaściwego. Choć nie stać mnie było na protest – byłby on niegrzeczny i potrzebowałem pieniędzy – pomyślałem, że odrobina udawanego wahania będzie właściwa.

– To za dużo.

– Bzdura, panie Geist. Zobaczymy się jutro? O tej samej porze?

Zgodziłem się bez wahania. Była tak czarująca, tak europejska, że z trudem powstrzymałem się, by nie ucałować jej dłoni, kiedy wychodziłem.

– Czy mogę o coś zapytać? – powiedziałem.

– Proszę.

– Cieszę się, że panią poznałem, bardzo się cieszę. Muszę jednak zapytać, skąd pani wiedziała, że może mi pani zaufać. To znaczy, mam nadzieję, że otwieranie drzwi nieznanym nie jest czymś, co robi pani często.

– Wzrusza mnie pańska troska, panie Geist. Nie musi się pan martwić; potrafię dobrze ocenić czyjś charakter, nawet przez telefon.

Jej oczy się zmieniły.

– I oczywiście posiadam pistolet.

Mrugnęła do mnie i zamknęła drzwi.

Jeszcze raz chciałabym pochwalić pana za pańską punktualność, panie Geist.

Tym razem moja herbata już na mnie czekała, lecz zamiast postawić cukiernicę, Alma zostawiła jedną kostkę cukru – na brzegu podstawki, dokładnie w taki sam sposób jak ja poprzedniego dnia. Zajęliśmy te same miejsca, ona złożyła ręce na kolanach.

– A zatem – powiedziała – o czym dzisiaj porozmawiamy?

Sięgnąłem do kieszeni.

– Pozwoliłem sobie przyjść z listą tematów, które jak sądzę, mogłyby panią zainteresować.

Opuściła swe okulary do czytania i milcząc, przebiegła tekst wzrokiem.

– Widzę, że jest pan uduchowiony. To musi być wielka przeszkoda na wydziale filozofii.

– Może być.

– Czy miałby pan ochotę wtajemniczyć mnie w przedmiot pańskich studiów? Pisze pan rozprawę, prawda?

– ...zgadza się.

Popatrzyła na mnie sponad kartki.

– Proszę się nie czuć zobowiązany, by o tym ze mną dyskutować. Zamierzałam jedynie popuścić panu cugli.

Nie lubię trąbić o swych niepowodzeniach – a kto lubi? – i gdyby zapytał o to ktoś inny, zmieniłbym temat. Jak sądzę, to nowość naszej znajomości była tym, co mnie rozbroiło.

– Odłożyłem ją na później – powiedziałem.

– Rozumiem.

– Muszę mieć trochę czasu na przemyślenia. To znaczy, wkrótce do niej wrócę.

– Oczywiście... Czy mogę zapytać, czego dotyczyła poprzednio?

– Wszystkiego – powiedziałem – i niczego.

Uśmiechnęła się.

– Zacząłem jak należy – dodałem. – Tyle że trochę się rozrosła.

– Jak bardzo?

– W obecnym wcieleniu liczy sobie około ośmiuset stron. Wiem – powiedziałem – to katastrofa.

– Nie ma nic niewłaściwego w pisaniu długiej książki, przy założeniu, że ma się coś do powiedzenia.

– Zgadza się. Ale ja nie mam.

Przerwałem.

Skinęła lekko głową.

– A pańscy profesorowie? Nie udzielili panu wskazówek?

– Nie mogę nikogo winić. To mój błąd, że sprawy zaszły tak daleko.

– Odwagi! Jest pan inteligentnym młodym człowiekiem.

– Proszę to powiedzieć mojej opiekunce naukowej. Albo – jak sama lubi się nazywać – mojej „tak zwanej opiekunce”.

– Nie wydaje mi się, by była to kwestia dumy. Jeśli ktoś jest opiekunem, powinien doradzać.

– To nie moja pierwsza opiekunka. Człowiek, z którym wcześniej pracowałem, był dla mnie naprawdę bardzo dobry.

Uniosła brew.

– Miał udar – powiedziałem.

– Och – odrzekła – szkoda.

– Tak. Cóż, sądzę, że się do tego przyczyniłem. W każdym razie z Lindą nigdy nam się nie układało. Próbowwała mnie przekonać, że byłoby lepiej, gdybym zmienił wydział.

– Na jaki?

– Myślę, że to wszystko jedno, jeśli tylko to nie byłby jej wydział.

– Jakież to doskonale obrzydliwe.

– Z jej punktu widzenia było to na pewno całkowicie usprawiedliwione. Ale nie, nie była miła w tej sprawie. W ogóle nie jest miłą osobą.

– Wygląda na okropną.

– Nie będę zaprzeczał.

– Chętnie złamałabym jej nogę.

– To chyba zbędne, zważywszy, że jest sparaliżowana.

– W takim razie – powiedziała Alma – powinnam złamać jej rękę.

Uśmiechnąłem się.

– Dawno, dawno temu wybrał pan temat.

Skinąłem głową.

– Wolna wola.

Alma wydała okrzyk zachwytu i klasnęła.

– Panie Geist, muszę poprosić, żeby pan zaczekał.

Zniknęła w zaciemnionym korytarzu prowadzącym na tył domu i po chwili wróciła z niegrubą książką oprawioną w skórę.

– To moja własna skromna próba.

Przetłumaczyłem z niemieckiego tytuł: *Obrona a priori ontologicznej wolnej woli*. Poniżej nazwiska Almy widniała notatka, iż jest to cząstkowe spełnienie wymogów doktoratu, Wydział Filozofii Uniwersytetu we Fryburgu, 23 März 1955.

– Niestety, nigdy jej nie przedłożyłam, choć z wyjątkiem kilku notek bibliograficznych jest ukończona.

Mimo iż posiadałem umiejętność natychmiastowego tłumaczenia, poczułem,

że czytając, zachowałbym się nieodpowiednio.

- Wygląda fascynująco.
- Bzdura, pochlebia pan starszej damie.
- Bardzo chciałbym ją przeczytać.
- Cóż, być może pewnego dnia pańskie życzenie się spełni.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Oddałem jej książkę, a ona położyła ją na sofie obok siebie.

- Czy mógłbym spytać, z jakiej przyczyny nigdy jej pani nie przedłożyła?
- Może pan – powiedziała. – Aczkolwiek nie odpowiem.
- Przepraszam.

– Niepotrzebnie, panie Geist. Wystarczy, jeśli powiem, że nie jest pan pierwszym studentem, który miał problemy z opiekunem. A teraz porozmawiajmy o wolnej woli.

Następnego popołudnia moje pukanie pozostało bez odpowiedzi. Próbowałem zajrzeć przez frontowe okno, lecz zasłony były wciąż zaciągnięte. Zmartwiłem się. Czyżbym uraził ją swoim wścibstwem? Nie wspomniała wcześniej o naturze swojego „stanu”, a moja wyobraźnia natychmiast podsunęła mi obraz nieszczęścia: oto Alma, której serce pękło, leży bezradnie na podłodze w salonie, wyciągając rękę ku drzwiom i skrobiąc nogami po gołym drewnie. Obraz ten sprawił, że moje serce również się ścisnęło. Zacząłem łomotać w drzwi i głośno wołać ją po imieniu, po czym pognałem na podjazd, gdzie cztery schodki prowadziły do bocznego wejścia. Przez małe okienko zdołałem dostrzec przyciemnione wewnątrz zabudowanej werandy. Wszystkie inne okna w moim zasięgu miały zamknięte okiennice. Zastukałem do kilku, wróciłem na podjazd i poszedłem w stronę garażu i podwórza. Śnieg złagodził kontury żywopłotów i podkreślił kształty nagich gałęzi pigwowca. Wdrapałem się na tylną werandę, na której stały dwa ratanowe fotele, i zapukałem ponownie.

Nic.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić na dziewięćset jedenaście. Wtedy sobie przypomniałem, że mój telefon nie działa. Wróciłem na ulicę i powędrowałem od domu do domu, dzwoniąc do kolejnych drzwi. Nikt mi nie otworzył. To oczywiste: była trzecia w środę; wszyscy byli w pracy. Stojąc na chodniku i przestępując z nogi na nogę, by nie zmarznąć, przekonywałem sam siebie. Dom jest bardzo duży, a jeśli Alma przebywa na górze i drzemie okryta kocami, mogła mnie nie usłyszeć. Zaalarmować sąsiadów, wezwać karetkę i walić we frontowe drzwi – tylko po to, by Alma wyszła w swojej koszuli nocnej... Z pewnością reagowałem przesadnie. Poza tym: kimże byłem? Znałem ją od dwóch dni.

Przemaszerowałem półtora kilometra, dotarłem do automatów telefonicznych w Science Center i wybrałem jej numer. Głos, który usłyszałem, był tak słaby, że pomyślałem najpierw, że wybrałem niewłaściwy numer.

- Przepraszam – powiedziała. – Nie jestem dziś całkiem sobą.

- Czy potrzebuje pani lekarza?
- Nie, nie. Proszę. Czuję się dobrze.

Jej głos zdradzał co innego. Ale – no właśnie – ledwie ją znałem i nie chciałem zasypywać jej pytaniami. Zapytałem, czy mogę coś dla niej zrobić.

- Nie, dziękuję. Muszę odpocząć.
- Czy mam przyjść jutro?

– Tak, proszę. Dziękuję, panie Geist. Jest pan bardzo miły.

Czekała w wejściu, kiedy zjawiłem się następnego dnia.

– Muszę jeszcze raz przeprosić. Powinna była ostrzec pana, że takie rzeczy mogą się zdarzyć. Niestety, moich ataków nie da się przewidzieć.

Strząsnąłem śnieg z butów.

– Radzi sobie pani z nimi?

– Tak, dziękuję. Są wprawdzie bolesne, ale nie niebezpieczne.

Skinąłem głową. Chciałem zapytać, na czym polega problem, lecz uznałem, że byłoby to nazbyt poufałe. Cokolwiek się wydarzyło, Alma sprawiała wrażenie, że w pełni doszła do siebie. Podążyłem za nią do salonu i zająłem wskazane mi miejsce.

– Naturalnie, zapłacę panu za pański czas.

Zachnąłem się.

– Byłem tu pięć, najwyżej dziesięć minut.

– Czas nie jest dla pana cenny?

– Nie ma o czym mówić.

– Cóż, niezależnie od tego wymyśliłam system, który powinien panu oszczędzić przyszłych zmartwień. Jeśli będę czuła się dobrze, za piętnaście trzecia włączę światło na ganku. Jeśli nie będę w formie – nie będzie się świecić, będzie jak zawsze. Od razu będzie pan wiedział.

– Sprytne.

– Tak, też tak pomyślałam. – Uśmiechnęła się. – Niech nikt nie mówi, że nie jestem pomysłowa. A teraz przejdźmy do ważniejszych spraw.

Kiedy to wspominam, doceniam, jak szybko wpadliśmy w rutynę. Przychodziłem codziennie o trzeciej. Kiedy się świeciło (a tak było najczęściej), pukałem, a Alma zapraszała mnie do salonu, w którym czekała już na mnie herbata przygotowana dokładnie tak, jak lubię. Rozmawialiśmy przez dwie godziny bez przerwy, po czym Alma wypowiadała końcowe zdanie: „Na dziś dość debaty”. To „na dziś” kazało mi wracać, ponieważ dawało mi pewność, że nasza konwersacja nie dobiegła końca i będzie się ciągnąć jutro – a być może zawsze.

Mógłbym zarobić więcej, udzielając korepetycji. Wielu moich znajomych inkasowało po dwieście dolarów za godzinę przygotowań do testu w szkołach średnich. Nie obchodziło mnie to. Mogłem się nie wzbogacić na rozmowach z Alną Spielmann, lecz ta praca była dla mnie idealna: prosta, ożywiająca i dystygowana. Jadąc windą do mieszkania Drew, przechodząc przez jego odpychającą kuchnię i siadając na podziurkowanej sofie, pocieszałem się, że

wkrótce będę mógł sobie pozwolić na własny pokój. Przy założeniu, że będę dalej pracował u Almy. Modliłem się, by tak było, gdyż jakakolwiek alternatywa była nie do pomyślenia.

Z tysiącem dolarów trudno w Cambridge zająć nie wiadomo jak daleko. Mogłem znaleźć sobie jakieś miejsce w Roxbury albo południowym Bostonie, ale nie miałem ochoty przeprowadzać się za rzekę. To za daleko od Harvardu – symbolicznie i geograficznie – i gdybym zaoszczędził coś na czynszu, to wydałbym to, jeżdżąc do Almy i z powrotem. W chwilach słabości zabawiałem się w udawanie, że proszę Yasmine, by pozwoliła mi do siebie wrócić. Teraz miałem pracę, której charakter wywarłby na niej wrażenie. Siedząc przy biurku Drew, posunąłem się tak daleko, że wybrałem pierwsze trzy cyfry jej numeru. Pomyślałem wówczas o swoim własnym bezużytecznym telefonie, co z kolei wskrzesiło moją złość i dumę. Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do komputera, by sprawdzić ogłoszenia.

Mieszkanie przy Davis Square wyglądało dość porządnie, a zajmujące je studentki ostatniego roku na Tufts były miłym dodatkiem. Miały na imię Jessica, Dorothy i Kelly. Wszystkie były Amerykankami pochodzenia azjatyckiego mierzącymi poniżej metra pięćdziesięciu pięciu. Kiedy mnie zobaczyły, pomyślałem, że zatrzasną mi drzwi przed nosem, lecz wydały się niewzruszone i chichotały, pokazując mi pusty pokój o ścianach w kolorze złamanej bieli, tak cienkich, że mógłbym je przebić pięścią. Z okna było widać rampę załadunkową pobliskiej firmy cvs. Na suficie pokrytym styropianowymi kasetonami brakowało oświetlenia, lecz jedna z dziewczyn zaproponowała mi swoją zapasową lampę halogenową. Zapytałem, kiedy mogę się wprowadzić, i zauważyłem, że dziewczyny chyba odczuły ulgę. Zbliżał się termin zapłaty czynszu, były więc szczęśliwe, że ktoś zastąpi ich ostatniego współlokatora. Nie powiedziały mi, dlaczego się wyprowadził, a ja w pośpiechu zapomniałem o to zapytać.

Już wkrótce dostałem za swoje. Jessica, Dorothy i Kelly wyglądały łagodnie, takie też były przez większość czasu. Dwie z nich (nie pamiętam które) miały rozpocząć właściwe studia medyczne, trzecia studiowała, by zostać aktuariuszką. Utrzymywały łazienkę w większej czystości, niż mógłbym tego oczekiwać. Zadawały mi kurtuazyjne pytania dotyczące mojej pracy, reagując dziewczęcymi piskami, kiedy opowiadałem o Almie. Dzwoniąc do swych rodziców, mówiły po koreańsku lub wietnamsku. Delikatne, radosne i atrakcyjne mogłyby być opiekunkami na obozie letnim – jeśli pominąć ich przemianę, która dokonywała się o zmierzchu, kiedy wszystkie zamieniały się w ryczące nimfomanki.

Jestem rosły. Ale faceci, których przyprowadzały do domu, byli naprawdę groteskowi. Wyglądali jak byki rasy Belgian Blue. Gdybym natknął się na któregoś z nich w korytarzu, musiałbym przykleić się do ściany, by go przepuścić. Sikali na cały sedes i paradowali bezwstydnie w zniszczonych obcisłych bokserkach poplamionych zaschniętym nasieniem. Jeden z takich

behemotów, wyszedłszy z łazienki i natknąwszy się na mnie, czekającego w szlafroku kąpielowym i z kosmetykami w ręce, szepnął, chichocząc:

– Cholera, brachu – bomba!

– Przepraszam – powiedziałem.

W dzień dziewczyny wyglądały tak przyzwoicie. O czym mówiły podczas owych rozmów po wietnamsku i koreańsku? „Najdrożsi mamó i tato, pragnę was poinformować, że mam chętkę na nieograniczoną dostawę penisów futbolistów?” Zapłaciłem już czynsz za cały miesiąc, co sprawiło, że nie mógłbym się wyprowadzić, nie wracając do Drew lub nie prosząc Almy o podwyżkę – obie te możliwości wykluczone zostały zarówno przez etykietę, jak i zdrowy rozsądek.

Zamiast tego leżałem więc w moim nowo wynajętym pokoju, na moim nowo zakupionym nadmuchiwany materacu, ściskając moją nowo zakupioną bawełnianą pościel i czując niepokój w żołądku, kiedy słyszałem przeraźliwe odgłosy pasji moich nowo poznanych współlokatorek. Nie wysypiałem się, trwając w pełnej napięcia bezsenności i słysząc, jak Jessica, Dorothy albo Kelly osiągają swój cel. Próbowałem zatyczek do uszu, lecz ich obecność wytrącała mnie z równowagi; przypominało to próbę zaśnięcia, kiedy się tonie. Co gorsza, gdy dotarło do mnie, co się dzieje zaledwie trzy metry ode mnie, zacząłem słyszeć ich jęki przez cały czas, nawet wtedy, kiedy wiedziałem, że w mieszkaniu nie ma nikogo poza mną. Nocą lament łóżkowych sprężyn zaczynał się od nowa, a ja modliłem się o ulgę do półgłowy na parapecie mojego okna. Co zrobiłby Friedrich?

Alma zapytała, czy nie jestem chory.

– Nie chciałabym się wtrącać – powiedziała.

„Chory” był bez wątpienia jej grzecznym sposobem na powiedzenie, że wyglądam jak przejechany. Nie wyspałem się ani razu od trzech tygodni. Byłem wyczerpany, a moja koncentracja wymykała się spod kontroli. Tamtego ranka czułem się wyjątkowo niezręcznie w jej obecności, zawdzięczając to nocnemu koszmarowi, który wciąż kłębił się w mojej podświadomości.

Zdarzyło się to w głównej czytelni biblioteki Widenera. Naprzeciwko mnie siedziała uśmiechająca się Alma. „O czym dziś porozmawiamy, panie Geist?”.

Odpowiedziałem, że przyszedłem nieprzygotowany.

„Ach – powiedziała. – W takim razie na dziś dość debaty”.

Rozebrała się i zaczęliśmy się kochać.

Najdziwniejsze było to, że jej twarz wyglądała tak samo, lecz jej ciało było ciałem młodej kobiety. A dokładniej, Alma – ta we śnie – zdawała się wędrować tam i z powrotem pomiędzy starością a młodością: jej skóra stawała się wiotka, a następnie gładka i elastyczna; siła wzbierała i zanikała. Jej perfumy, które zawsze uważałem za odpowiednie dla statecznej damy, uwalniały teraz surową nutę piżma. Zaczęła jęczeć, najpierw delikatnie, później coraz głośniej, wprawiając wszystko w drżenie, któremu wtórowały książki spadające z półek i stukot krzesel. Cała czytelnia zaczęła wirować, nabierając pędu, wybrzuszając

ściany i kręcąc się jak wirówka, by nagle się rozpaść i cisnąć drewno, papier i mięso w nieskończoną pustkę, która odbijała echem krzyki Almy ze snu.

Teraz, siedząc z prawdziwą Alną, usiłowałem stłumić w sobie tamten obraz.

Powiedziałem tylko, że moje nowe współlokatorki nie są idealne i że muszę znaleźć inne mieszkanie. Skinęła głową i to zdało się zakończyć sprawę.

Tydzień później zapytała mnie jednak, co z moimi poszukiwaniami. Odpowiedziałem, że brakuje wolnych pokoi.

– Może mi się bardziej poszczęści, kiedy skończy się semestr.

– Wygląda mi to na długi jeszcze okres niewygód.

– Naprawdę nie mam wyboru.

– Zawsze ma się jakiś wybór – odrzekła. – Jeśli mogę – proszę pozwolić, że zaproponuję panu rozwiązanie.

– Zamieniam się w słuch.

– Proszę zamieszkać tu.

– Przepraszam?

– Z tyłu jest pokój – powiedziała. – Może pan go zająć, jeśli pan chce.

Uśmiechnąłem się.

– To bardzo miłe z pani strony.

– Tak, bardzo.

– Tak – i pozwoli pani, że powiem najpierw: dziękuję, bardzo dziękuję – ale nie mógłbym tego zrobić.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ... To znaczy, nie mogę. To niesamowicie miło z pani strony. Naprawdę. Doceniam to. Ale nie mogę tak po prostu się wprowadzić.

– Z pewnością może pan.

I tak tam i z powrotem przez kilka minut.

– Proszę posłuchać, to bardzo kuszące. – Z jakiegoś powodu robiłem, co mogłem, by znaleźć zastrzeżenia. – To znaczy, nie mógłbym sobie pozwolić na czynsz na poziomie rynkowym.

– Zatem może pan mieszkać tu za darmo.

– Absolutnie n...

Podniosła palec.

– Zakładając, że spełni pan pewne obowiązki.

– ...to znaczy?

– Będziemy kontynuować nasze konwersacje. Będę też mogła poprosić pana od czasu do czasu o wykonanie jakiejś drobnej rzeczy. Na przykład przeniesienie czegoś ciężkiego. O ile zajdzie taka potrzeba.

– Pani Spielmann...

– Panie Geist. Proszę. Niepotrzebnie się pan certuje.

Pomyślałem.

– Nie wiem. To znaczy – dobrze. A co z pani zdrowiem?

– Jak już panu powiedziałam, moja przypadłość jest bolesna, lecz niegroźna. Jeśli pan zechce, będzie pan mógł porozmawiać z moją lekarką,

powie panu to samo. Odwiedza mnie codwa miesiące. Troska o moje zdrowie należy do niej, nie do pana.

Mimo jej wszystkich zapewnień trudno mi było uwierzyć, że nie zechce zdać się na mnie w kwestii bardziej podstawowych potrzeb. Nie chciałem zostać służącą. Zastanowiłem się wówczas, czy nie jestem nazbyt cyniczny. Czyżbym nie potrafił się przekonać, czym jest prawdziwa wspaniałość?

– Naturalnie, będzie pan wciąż potrzebował kieszonkowego. A zatem: poza pokojem i wyżywieniem wynagrodzenie za pańskie usługi zawierać będzie małe stypendium – powiedzmy, dwieście dolarów tygodniowo?

Jeśli wziąć pod uwagę koszty mieszkaniowe, otrzymałbym wielką podwyżkę, nawet z pominięciem gotówki. I mieszkałbym w centrum Cambridge, a nie dwa przystanki tramwajowe dalej. Lecz gdyby Alma zmieniła zdanie i przestała mnie lubić? Znalazłbym się znowu na ulicy, bez jakiegokolwiek pracy. Powiedziałem jej to.

– Musi się pan nauczyć bardziej się cenić, panie Geist.

Wciąż nie mogłem się zdobyć na powiedzenie „tak”. Bez przerwy migąła mi przed oczami naga i wijąca się – nie był to sen, z którym chciałabym się zmierzyć jeszcze raz. Wyszkolony tak, by umieć wszystko udowodnić lub obalić, poczułem się, jakbym zbierał dowody przeciwko niej.

Powiedziała:

– Nie będzie pan mógł podjąć właściwej decyzji, dopóki nie zobaczy pan wszystkiego.

Wstała.

– Chodźmy!

Mimo iż przychodziłem do Almy niemal codziennie od sześciu tygodni, nigdy nie odbyłem wyprawy poza salon, korzystając w potrzebie z toalety obok korytarza wejściowego. Pozostałe cztery piąte domu pozostawały dla mnie tajemnicą.

Tak więc powędrowałem za Almą w kierunku kuchni, odczuwając wielką niecierpliwość. Niepotrzebnie wielką. Była to poza tym kuchnia, a nie loch albo seraj, choć w odróżnieniu od wielu kuchni w Cambridge, wyposażonych w urządzenia ze stali nierdzewnej i nowoczesną armaturę, nie zmieniono tu niczego od czterdziestu lat. Piekarnik, nie większy od przeciętnej kuchenki mikrofalowej, pomalowany był na ciemny brąz, by nie odróżniać się od mebli. Mikrofalówki natomiast nie było. Na płycie kuchenki stał mocno zużyty czajnik ze śladami opalenia oblizującymi jego dół. Dostrzegłem pojemnik na chleb, opiekacz do tostów, małe radio tranzystorowe, wyszczerbiony gliniany pojemnik z czterema lub pięcioma przyborami kuchennymi i kilka tabliczek czekolady. Nad stołem śniadaniowym wisiał telefon z tarczą.

– Przyznaję, że nie jestem dobrą kucharką. Sklep za rogiem dostarcza mi zakupy raz w tygodniu. Wypada to jutro. Jeśli się pan zatem zgodzi, zatelefonuję tam i dodam do swojego stałego zamówienia to, co pan lubi.

Odwinęła jedną z tabliczek czekolady i odłamała kawałek dla mnie.

– To moja jedyna słabość. Zamawiam ją w Zurychu.

– Przepyszna – powiedziałem. (Bo była przepyszna.)

– Pralka i suszarka są tutaj. Gospodyni zajmuje się moim praniem, myślę, że spokojnie sobie poradzi również z pańskim.

– Sprawia pani, że jest mi coraz trudniej odmówić.

– Do tego dokładnie zmierzam.

Wróciliśmy do salonu i przeszliśmy przez drugie drzwi do zaciemnionego korytarza, gdzie Alma zatrzymała się przed schodami.

– Na piętrze znajduje się mój apartament, jest też pokój telewizyjny. Jeśli pan sobie życzy, kupię panu telewizor do pańskiego wyłącznego użytku.

– Myślę, że nie będzie mi potrzebny.

– Doskonale. Muszę się przyznać do czegoś jeszcze: uwielbiam niektóre programy. Mam nadzieję, że nie potępi mnie pan za to zbyt surowo.

Uśmiechnąłem się.

– Nie.

– Być może zatem uda mi się pana namówić do wspólnego oglądania.

– Z pewnością kiedyś spróbuję.

Alma mrugnęła i ruchem głowy zaprosiła mnie dalej.

Przeszliśmy najpierw do schowka na bieliznę („Może pan z niego korzystać”), a następnie do wysokiego pokoju o ośmiokątnym kształcie. Zasłony przepuszczały snop popołudniowego światła, rozjaśniającego pulpit na nuty, na którym dostrzegłem *Humoreskę g-moll nr 6* Sibeliusa. O stojący oddzielnie gramofon opierał się futerał na skrzypce; w szafce z metalową siatką zamiast szyb znajdowała się kolekcja longplayów, a na oparciu małej dwuosobowej kanapy leżał duży wełniany koc.

– Moja matka zrobiła go dla mnie na drutach, kiedy byłem dzieckiem – powiedziała Alma. – Wtedy wydawał mi się straszliwie ciepły. Niemniej jednak ożywia miłe wspomnienia.

Poszła po futerał. W pierwszym odruchu chciałem jej go podać. Pomyślałem jednak, że będzie to doskonały test na to, czy zamiarem Almy jest uczynienie ze mnie pomocy domowej. Powstrzymałem się zatem i z zadowoleniem ujrzałem, że schyliła się i wyprostowała bez trudu, kładąc futerał na kanapie. Wewnątrz znajdowały się skrzypce wykończone w niezwykły sposób: czerwone z lekkim odcieniem purpury. Alma odłożyła je na bok, otworzyła ukryty w futerale schowek i wyjęła z niego czarno-białe zdjęcie przedstawiające mężczyznę z brodą w stylu van Dycka.

– Mój ojciec – powiedziała.

Szorstki, kanciasty, nie miał w sobie nic z delikatności Almy. To raczej ją odnalazłem w jego enigmatycznym wyrazie twarzy, nieuśmiechniętej ani nieskrzywionej – sygnalizującej, że jej właściciel jest gotów przypuścić atak, taki, jakiego celem (ofiara?) stawałem się nieraz podczas wielu godzin konwersacji.

Alma popatrzyła dłużej na zdjęcie i włożyła je na powrót do futerału.

– Chodźmy dalej!

Korytarz przed nami rozwidłał się. Poszliśmy najpierw w lewo i stanęliśmy przed dwojgiem drzwi.

– Pańska łazienka – powiedziała.

Główną atrakcją była wanna, głęboka, na lwich łapach. Jako chłopiec uwielbiałem czytać w kąpeli. Poczułem, że mój opór słabnie.

– Muszę powiedzieć Dacianie, żeby posprzątała – powiedziała Alma. – Zaniedbuje tę część domu. Przepraszam. To będzie pański pokój.

Dwa pokoje, a właściwie sypialnia przechodząca w gabinet; żadne z nich szczególnie duże, lecz razem nadające się do zamieszkania. Alma włączyła światło i zobaczyłem wielkie, schludnie zaścielone łóżko, wysoką komodę na nóżkach i stolik nocny z lampką. Typowe stare wiktoriańskie sufity były niskie i obramowane ozdobnymi listwami. Przeszedłem do gabinetu, wyłożonego boazerią i wyposażonego w biurko, pasujące do niego krzesło i nieco wytarty szezlong.

– Nie ma tu telefonu. Mam nadzieję, że korzystanie z tego w kuchni nie będzie dla pana zbyt kłopotliwe.

Skinąłem głową, akceptując to wszystko. W drzwi wychodzące na tylną

werandę wprawiony był witraż. Prawie wszystkie jego szybki wykonane były z czystego szkła, ale na jednej coś namalowano. Przyjrzałem się bliżej: była to miniaturowa scena myśliwska – mężczyzna z psem obserwują leśną przecinkę, a przez listowie widać głowę i przednią część ciała jelenia. Witraż wabił mnie, szepcząc o mistrzostwie malującej go ręki, o historii. Widać było przez niego parę ratanowych foteli, pigwowiec i podwórze pokryte cienką warstwą śniegu. Wybiegłem myślami do przodu; kiedy zrobi się ciepło, mógłbym za zgodą Almy zawiesić hamak... Przede wszystkim jednak rozkoszowałem się ciszą. Słyszałem w niej brzęczenie świecących żarówek.

– Myślę, że przyda się tu jeszcze mały przenośny grzejnik – powiedziała Alma. – Poza tym ufam, że to miejsce panu odpowiada.

Ponownie skinąłem głową.

– Doskonale. A teraz, jeśli pan pozwoli, pokażę mu jeszcze coś. – Ruszyłam korytarzem. – Sądzę, że przypieczętuje to pański los.

Kiedy szliśmy drugą odnogą korytarza, ciemność zdawała się gęstnieć. Dotknąłem ściany, żeby się podeprzeć. Usłyszałem przed sobą zgrzyt klucza w zamku, a zaraz potem wszystko załało ciepłe żółte światło. Wszedłem do pokoju o wymiarach dziesięć na dziesięć metrów. Dopiero później uświadomiłem sobie, że kiedyś było to kilka oddzielnych pokoi, których łączna powierzchnia była niemal równa połowie podstawy domu. Wtedy jednak byłem zbyt oszołomiony nagromadzeniem bogactwa: imponujący parkiet, krwistoczerwony perski dywan, przepastny kominek z rusztem ozdobionym mosiężnymi końskimi głowami, stojący zegar, globus, antyczna sekretera z żaluzją, lampy z bajecznie kolorowymi kloszami, rzeźby z marmuru i brązu (Atena, Ulisses i inni, których nie rozpoznałem), para przepysznych wygodnych krzeseł, pomiędzy nimi okrągły stolik ze skórzanym obiciem i mosiężnymi główkami gwoździ – a nade wszystko książki. Tysiące książek, gęsto zastawione regały od podłogi do sufitu tworzące najwspanialszą bibliotekę, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Proszę wejść – rzekła Alma.

Chodziłem wokół oszołomiony. Wiele książek miało wyblakłe grzbiety. Spośród tych, na których zdołałem coś odczytać, mniej więcej połowa wydana została w języku niemieckim, pozostałe – w angielskim, francuskim, łacińskim i greckim. Filozofia, literatura, muzyka, nauka, architektura, historia; regały opisane i ponumerowane ozdobnym pismem. W kącie stał staromodny katalog z kartami. Była to jedyna część domu, w której nie było lodowato zimno – dla ochrony papieru przed wysuszeniem, jak się dowiedziałem – i której bogaty drewniany wystrój, pluszowe tkaniny i atmosfera intymności wchłonęły mnie natychmiast.

– Praca zabrała mi dwa lata – powiedziała Alma. – Wątpię, czy dziś wystarczyłoby mi cierpliwości.

Stałem przed kominkiem. Otaczająca go ściana pozbawiona była regałów, za to obito ją zielonym jedwabnym zakardem. Tkanina była ledwo

widoczna, ponieważ większość powierzchni nad kominkiem zasłaniał obraz, który przedstawiał kruka stojącego na czaszce ustawionej na stosie książek. Ptak z gałązką w dziobie i wyniośle zadartą głową pośepnie kontrastował z jaskrawymi papugami w salonie.

Wokół obrazu wisiało kilkadziesiąt fotografii. Alma w letniej sukience. Ze swoim ojcem w łodzi wiosłowej. Pozująca na głównej ulicy Wiednia, z rozmytymi tramwajami i kobietami w wysokich kapeluszach w tle. Jadąca rowerem. Z przyjaciółkami – sześć dziewczyn zebranych wokół kociołka z fondue; na ścianie wisi para rakiet śnieżnych. Twarze, miejsca i śmiech; życie oprawione w ramki. Byłem urzeczony. Chciałem zapytać o każde z tych zdjęć. Ale wszystkim, co zdołałem z siebie wykrztusić, było:

– Czy to *Heidegger*?

Nie musiałem pytać. Stary zrzęda z kartoflowatą twarzą: wiedziałem, że to on. Pozował w kamiennej bramie zwieńczonej łukiem, zajmując jej sporą część, z kapeluszem w ręce, a po jego lewej stronie, dostatecznie blisko, by można było dotknąć się ramionami, stała Alma.

– Istotnie, to był dla niego dobry okres; schudł wtedy. – Roześmiała się. – Martin nigdy nie przepadał za ćwiczeniami fizycznymi.

Martin? Gdzie ja byłem? Kim była ta osoba? Patrzyłem na nią, ale ona uśmiechała się tylko jak Sfinks.

– Zatem, panie Geist, przedstawiłam swoje argumenty. To, czy mi się udało, zależy od pana. – Rozłożyła ręce. – Czy potrzebuje pan chwili na rozważenie swojej decyzji?

Dziewczyny były smutne, widząc, że odchodzę. Obiecałem, że dam im znać, jeśli się dowiem, że ktoś szuka pokoju (i – dodałem w duchu – jest głuchy).

– Gdzie ma pan resztę swoich rzeczy? – zapytała Alma.

– To wszystko.

– Panie Geist, nie zdawałam sobie sprawy, że jest pan mnichem.

– *Kyrie eleison*.

– Przez małe c, jeśli można.

Wcześniej położyła na moim łóżku dwa ręczniki kąpielowe i myjkę do twarzy.

– Poinstruowałam Dacianę, by zmieniła pańską pościel, kiedy przyjdzie.

– Dziękuję bardzo.

– Ależ bardzo proszę.

Moje ubrania zmieściły się w komodzie, w której zostało jeszcze trochę miejsca. To dobrze, gdyż i tak nie mógłbym skorzystać z szafy, pełnej pudeł na dokumenty. Po ustawieniu komputera zdałem sobie sprawę, że nie wiem, czy Alma ma dostęp do internetu. Oczywiście nie miała. Już chciałem zapytać, czy możliwe byłoby zainstalowanie łącza, lecz jeszcze raz przemyślałem tę sprawę. Lepiej, by mój status lokatora umocnił się, zanim zacznę prosić o coś szczególnego.

Przypuszczam, że powinienem był czuć się niezręcznie, kiedy Alma patrzyła,

jak się rozpakowuję. Ale wyglądało to na najbardziej naturalną rzecz na świecie – nas dwoje w swoim towarzystwie.

– Pańska dysertacja – powiedziała.

– W całej swej okazałości.

Otworzyłem szafę i wcisnąłem pracę na górną półkę.

– Być może przeczytam ją kiedyś ukradkiem – rzekła Alma.

– Ale na własne ryzyko. Proszę pamiętać, co się przydarzyło mojemu pierwszemu opiekunowi.

– Postrzegalabym to jako dowód pańskich umiejętności – odrzekła. – Wielką rzadkością jest pisarz, który potrafi doprowadzić swego czytelnika do progu śmierci.

W odpowiedzi sięgnąłem do torby i wyjąłem pół-Nietzschego.

– Och, panie Geist! Och, jest wspaniały! Znam właściwe miejsce dla niego.

W bibliotece Alma opróżniła centralne miejsce nad kominkiem.

– Naturalnie, nie będę nalegać. Być może wolałby pan mieć go bliżej.

– Tu wygląda lepiej.

– Zatem decyzja podjęta.

Cofnęła się i wspólnie podziwialiśmy podpórkę.

– Ma pan nienaganny gust. Jest szkaradna.

– Dziękuję.

– Jutro dam panu klucze, by mógł pan dorobić sobie własne. A teraz proszę mi wybaczyć, ale za chwilę zaczną się moje programy. – Zrobiła krótką przerwę. – Chyba że zechce się pan przyłączyć.

Powędrowaliśmy na górę. Naliczyłem pięćdziesiąt drzwi, zamknięte były wszystkie z wyjątkiem ostatnich, którymi weszliśmy. Zająłem miejsce w bujanym fotelu, a Alma włączyła telewizor.

Muzyka rozbrzmiewała coraz głośniej, a na ekranie pojawił się tytuł:

One life to live

Alma zasiadła w swoim fotelu i powiedziała ironicznie:

– Proszę wstrzymać się z osądem, panie Geist.

Uśmiechnąłem się, oparłem wygodnie i poczułem się jak u siebie w domu.

Wkrótce po moim wprowadzeniu się pod numer czterdziesty dziewiąty śnieg zaczął topnieć i dom ogrzał się o kilka stopni, dzięki czemu mogłem poruszać się po nim już bez kurtki. Zacząłem też oszczędnie używać grzejnika. Działał niemal aż za dobrze, a jeśli zostawał włączony na noc, musiałem uchylać okno na kilka centymetrów, by nie mieć za gorąco.

Nasz plan dnia był prosty. Alma była rannym ptaszkiem i wstawała zawsze przede mną; po prysznicu i ubraniu się zastawałem ją siedzącą przy kuchennym stole z grzanką i herbatą, przy radiu ustawionym cicho na wcrb i słuchającą Händla lub Bizeta. Omawialiśmy wiadomości lub rozwiązywaliśmy wspólnie krzyżówki. Alma mawiała, że gry i łamigłówki pozwalają jej utrzymać formę. Jej ulubionymi krzyżówkami były jolki, których nigdy wcześniej nie rozwiązywałem, lecz teraz zacząłem.

Po śniadaniu wędrowałem do biblioteki i czytałem przez kilka godzin. Niektóre z książek po raz pierwszy, inne – po raz nasty. Wiele z nich było zbyt kruchych, by można było z nich korzystać – Alma miała dziesiątki pierwszych wydań, w tym *Tako rzecze Zaratustra*, *Mdłości* i *Bycie i czas* – ale samo już przebywanie wśród nich dawało mi poczucie spokoju. To dlatego nigdy nie będę korzystał z czytnika do e-booków: rząd książek jest czymś więcej niż kompendium wiedzy. To mapa wszystkich miejsc, w których znalazł się twój umysł, grupa przyjaciół czekających w milczeniu, by cię pokrzepić. Znajdując się pod osłoną książek, chroniony przez nie, czułem się bezpieczny i wszystko, co mnie dręczyło, zaczęło blaknąć, a mój umysł pozbywał się balastu gromadzonego przez lata. Ludzie opisują czasem medytację jako „rozluźnioną czujność” i to właśnie określenie dokładnie oddaje moje odczucia. Czasem wyciągałem się na dywan, a to, że mogłem tak leżeć, nie przysypiając, było dowodem jakości zasobów biblioteki oraz herbaty Almy.

Jedyną książką, której nie udało mi się znaleźć, była jej praca doktorska. Byłem rozczarowany, lecz musiałem pamiętać, że ukryłem przed Alną swą własną dysertację, a mając do dyspozycji tak wiele cudownych możliwości, czułem, że byłoby niewdzięcznością prosić o coś więcej.

W południe przygotowywałem prosty lancz. Alma zjadała ćwierć tabliczki czekolady i rozmawiała ze mną po niemiecku, w jedynym języku, za pomocą którego można było oddać jej młodość. Zanim się wprowadziłem, rozmawialiśmy bardzo dużo, lecz zawsze o filozofii, teraz zaś rozkoszowałem się fragmentami biografii Almy, które z czasem poskładałem w zrozumiałą całość.

Urodziła się w rodzinie budowniczego instrumentów, dorastała

w Alsergrund, dziewiątej dzielnicy Wiednia, oddalonej o dziesięć minut piechotą od domu Freuda. Jej ojciec udawał się codziennie rowerem do Ottakring, gdzie nadzorował trzydziestu pracowników wykonujących fortepiany, harfy i klawesyny. Alma przedstawiła mi żywy obraz swych wizyt w jego zakładzie: tajemniczy, mocny zapach politur, stukot narzędzi, muskularni mężczyźni z zakasanyimi rękawami... Ojciec Almy lubił majstrować i bez przerwy wypróbowywał projekty, które nie miały nic wspólnego z jego podstawowym zajęciem.

– Skrzypce, które widział pan w pokoju muzycznym, zbudował dla mnie, kiedy się urodziłam – powiedziała Alma. – On i moja matka byli bardzo zdolnymi twórcami przedmiotów i umieli je cenić, był to materialistyczny romans, bardzo czuły na swój sposób. W związku z tym zdystansowałam się. Sprzeciwianie się było moją naturą. Przypuszczam, że wciąż jest... Cóż, skrzypce, które dostałam, zawierały też oczekiwania. Sądzę, że rodzice mieli nadzieję, że kiedy dorosnę, stanę się solistką. Nigdy nie miałam talentu. Owszem, byłam pracowita. Ale moi nauczyciele zawsze mawiali, że jestem nazbyt techniczna. Musiałam się zestarzeć, by zrozumieć, co mieli na myśli. Moja siostra była o wiele lepsza.

– Na czym gra?

– Grała. Na wiolonczeli. Również zbudowanej przez mojego ojca. Miało jednak nic z tego nie wyjść, bo choć moja siostra miała pewne ambicje, jej małżeństwo położyło im kres.

Obie dziewczynki już we wczesnym wieku uczyły się angielskiego i francuskiego. Alma, przejawiając dar do języków, studiowała również filologię klasyczną, co wczesnie zrodziło w niej fascynację filozofią. Nie szczędząc szczegółów, Alma opisała mi *Gymnasium*, w którym zdawała egzaminy wstępne, a także *Kaffeehaus*, do którego udawała się na ciastko i konwersację. Były to dobre czasy, by być w Wiedniu młodym i żądnym wiedzy. Znało się każdego, założywszy, że pochodził z określonej klasy społecznej i posiadał właściwe referencje towarzyskie; zbiór postaci opisanych mi przez Almę przypominał listę obecności w rajach dla dziwołagów.

– Czy opowiedziałam już panu, jak poznałam Wittgensteina?

Pokręciłem głową.

– Jego brat Paul, jak pan wie, był pianistą, cóż, straciwszy rękę podczas wojny, zamówił u mojego ojca fortepian, który lepiej zrekompensowałby jego ułomność. Tacy byli Wittgensteinowie: kupowali rozwiązania problemów. Paul zamówił też koncerty na lewą rękę u Ravela i Straussa. A zatem klawiatura miała być dwupoziomowa, z wyższą połową rejestru tu, a basową poniżej, o tak. Nie sądzą, by ten instrument został kiedykolwiek zbudowany. Pamiętam jednak, jak Paul przychodził do naszego domu, by rozmawiać o projekcie. Kiedy zjawił się pierwszy raz, mój ojciec kazał mi przynieść wódkę, a gdy to zrobiłam, Paul uszczypnął mnie w policzek. Podczas jednej z takich wizyt towarzyszył mu drugi mężczyzna. Wyglądał dość niesamowicie ze swymi

nastroszonymi włosami i rozbieganymi oczami. Podczas całego spotkania wstawał i wychodził z pracowni, krążył po przedpokoju, tarł skronie i mamrotał do siebie jak w transie. Obserwowałam go, siedząc na górze schodów. Zdawał się wcale mnie nie widzieć, lecz nagle popatrzył w moją stronę i zapytał, czego się uczę. Być może wie pan, że Wittgenstein pracował kiedyś jako wiejski nauczyciel. Miał raczej zdecydowane poglądy w kwestii edukacji, a kiedy przedstawiłam mu swój program nauczania, zaczął mnie strofować za jego niepełność, jakbym to ja go wybrała.

– Ile pani miała wtedy lat?

– Nie więcej niż pięć albo sześć. Uznałam go za barbarzyńcę. Nie miał pojęcia, jak rozmawiać z ludźmi. Nawet wtedy było to dla mnie jasne. Jego brat zauważył zamieszanie i wyszedł z pracowni. Krzyknął: „Psiakrew, Ludi! Zostaw to biedne dziecko!”. Wittgenstein posłuchał, popatrzył na mnie, nigdy nie widziałam tyle nienawiści w spojrzeniu, i wymknął się do kuchni, w której został do końca wizyty.

Szczęka opadła mi ze zdumienia.

– Mój Boże...

– Tak – powiedziała Alma. – Był dziwnym człowiekiem.

– Nie do wiary...

– A jednak to prawda, zapewniam pana.

– Nie, chodzi mi o to, że znam ludzi, którzy mogliby zabić, żeby to przeżyć.

– W takim razie są głupi. Wśród niewielu rzeczy godnych popełnienia takiej zbrodni nie ma miejsca dla prawa do bycia obrażanym przez aroganckiego szaleńca.

Alma opowiedziała mi szczerze i bez żalu, że nigdy nie wyszła za mąż; zignorowała błagania rodziny i konkurentów i wyruszyła w świat. Podróżowała łodzią i samolotem, tłuła się po bezdrożach dżipami z demobilu prowadzonymi przez bezzębnych, wytatuowanych mężczyzn z karabinami. Chiny, Rosja, Egipt... Wszystkie miejsca, w których samotna kobieta podróżująca w dzisiejszych czasach mogłaby napotkać poważne trudności. Lata pięćdziesiąte? Ledwie mogłem je sobie wyobrazić. Została postrzelona w Afganistanie. Przeżyła wykolejenie się pociągu w Pendźabie. Groziło jej więzienie w Birmie. Była w Ghanie w dniu, w którym Nkrumah ogłosił niepodległość, lecz opuściła uroczystości, ponieważ stoczyła miesięczny pojedynek z malarią.

– Musi pan tam pojechać – powiedziała. – Ale zalecam panu bardzo dobitnie, by zabrał pan ze sobą moskitierę.

Podróżując, Alma trafiła w końcu do Stanów Zjednoczonych, na których odkrywaniu poświęciła cztery lata. Jedną z jej wielu przygód była podróż motocyklem z Nowego Jorku do San Francisco. Rzadko zatrzymywała się w jednym miejscu dostatecznie długo, by się z kimś zaprzyjaźnić. Powiedziała:

– W tym kraju o wiele bardziej interesujące jest to, co się traci, niż to, co się znajduje.

W 1963 roku przybyła do Cambridge i zaczęła uczyć niemieckiego w prywatnej szkole. Mimo że nie zamierzała tu zostać dłużej niż rok, miejsce to z jakiegoś powodu – mówiąc to, zająknęła się – z jakiegoś powodu stało się jej domem.

Jak bardzo jednak tęskniła za Wiedniem... Za kulturą, nauką, życiem... Wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, była muzyka i sztuka. Wszystko było niemożliwie romantyczne. Pewnego razu Alma była na przyjęciu w domu właściciela tuzina obrazów Klimta – trzymał jeden z nich w kuchni, na drzwiach lodówki. W sezonie balowym przyjęcia odbywały się bez przerwy; były to orgie z alkoholem i walcami trwające do piątej rano, kiedy sale balowe otwierały się nagle i wylewały całe towarzystwo – zataczających się mężczyzn, którzy wpadali na słupy latarń, i kobiety kroczące bosą w swych sukniach. Ci, którzy mieli jeszcze dość siły i przezorności, podnosili się i wędrowali na *Katerfrühstück* – mające uchronić przed kacem śniadanie złożone z marynowanych śledzi i mocnej czarnej kawy.

Wszystko to przeminęło. Alma nie była w Wiedniu od lat osiemdziesiątych, gdyż uznała wizyty w tym mieście za zbyt przygnębiające. Jej Wiedeń – prawdziwy Wiedeń – istniał już tylko w jej wspomnieniach, a ja pojąłem, że moją pracą było dostarczanie jej płótna, na którym mogła je namalować. Robiłem, co mogłem. Słuchałem jej z entuzjazmem i próbowałem zadawać inteligentne pytania. Kiedy wspomniała, że znalezienie porządnego *Sachertorte* w Bostonie jest niemożliwe, udałem się do Science Center i ściągnąłem kilka przepisów, piekąc później jeden torcik dziennie, dzień w dzień przez dwa tygodnie, dopóki nie udało mi się stworzyć czegoś, co Alma – mrugnawszy do mnie – uznała za „oszustwo robiące wrażenie”. Od tamtej pory piekłem świeży tort Sachera w każdy poniedziałek.

Po lanczu oglądaliśmy opery mydlane. Poza *One Life to Live* Alma lubiła *As the World Turns* oraz *Guiding Light*. Nie znosiła serialu *General Hospital*, który uznawała za „nieelegancki”, a *Zar młodości* i *Moda na sukces* były jej zdaniem „oderwane od rzeczywistości”. Kiedy tak mówiła, nie potrafiłem powstrzymać się od śmiechu. Alma także zaczynała się śmiać. Twierdziła, że nigdy nie wolno rezygnować ze swej umiejętności krytykowania.

Jeśli w telewizji nie było nic ciekawego, załatwiałem różne sprawy lub czytałem. O trzeciej Alma dołączała do mnie w czytelnicy i prowadziliśmy naszą oficjalną konwersację, a przed kolacją, którą zamawiała – dostarczaną w pojemnikach; jedliśmy ją w kuchni, nigdy przy stole w jadalni – wychodziłem na długi spacer, podczas którego mój umysł trawił wszystko, czego doświadczyłem w ciągu dnia.

Był to cudowny sposób życia, odprężający i pobudzający zarazem. Jeśli mogłem się na cokolwiek skarżyć, to tylko na służącą, tęgą Rumunkę z piersiami jak bochny chleba i wypukłym znamieniem na górnej wardze. Raz w tygodniu przyjeżdżała o świcie swym niebieskim subaru kombi z przednimi lampami trzymającymi się na taśmie klejącej. Wchodziła przez boczną werandę

i budziła mnie, galopując po domu i nucąc minorowo przy odkurzaniu i zmiataniu; przerywała tylko po to, by posyłać mi złośliwe spojrzenia, kiedy wychodziłem umyć zęby. To, że mnie nie lubiła, było zrozumiałe, choć niczego nie ułatwiało. Przysporzyłem jej pracy, a jak się później dowiedziałem, otrzymywała zryczałtowane wynagrodzenie niezależne od liczby godzin. Musiało się to jej opłacać, zanim się pojawiłem. Teraz musiała sobie poradzić z dodatkowym praniem – dodatkowym męskim praniem – i dodatkowymi trzema pokojami. Dlatego wychodziła z siebie, by uprzykrzyć mi życie: podążała za mną po domu ciężkim krokiem i z ciężkim oddechem, bez przerwy nucąc. Wszystko, co śpiewała, brzmiało jak marsz pogrzebowy. Dorastanie w bloku wschodnim musiało być bardzo smutne.

Nie sądzę, by znała moje imię. Zwracała się do mnie w trzeciej osobie, rzadziej zaś mówiła „proszę pana” (angielskie *sir* brzmiało w jej wykonaniu jak „siir” i ociekało sarkazmem). Zastanawiam się, kim według niej byłem. Młodym kochankiem? Wnukiem? Postanowiłem zabić ją uprzejmością. Dziękowałem jej za drobne przysługi. Komplementowałem jej głos. Zaczęła nawiązywać ze mną kontakt wzrokowy, a ja sądziłem, że zaczynam łagodzić sytuację. Do następnego tygodnia, kiedy o szóstej rano wtargnęła z ryczącym odkurzaczem do mojej sypialni. Na wpół przytomny kazałem jej wyjść.

– Przepraszam, siir – powiedziała i wychodząc, trzasnęła drzwiami.

Poddając się, zacząłem spędzać te poranki poza domem i wykorzystywałem je na nadrabianie zaległości mailowych. Wychodząc tak przez tydzień bez przerwy, przekonałem się, że potrzebowałem świata zewnętrznego w o wiele mniejszym stopniu, niż sądziłem. Zdumiewające, jak wiele tego, co uchodzi za komunikację, to bzdury. Nie korzystałem z telefonu ani internetu, a mimo to nie znajdowałem się w gorszej sytuacji. Było też – poza Almą – kilka osób, z którymi chciałem porozmawiać, a Yasmina bez wątpienia uprawiała swą propagandę, przedstawiając przyjaciołom własną wersję wydarzeń. Ignorowałem maile z zaproszeniami; uzależniłem się od klawisza delete. Mój świat się kurczył i to mi odpowiadało.

Każdy z nas żyje zgodnie z rytmem, który decyduje o naszym sposobie mówienia, poruszania się i komunikowania z otoczeniem. Niektórzy lubią zostawiać w nim swój ślad. Kiedy się wchodzi do pokoju, w którym byli, zauważa się przesunięte meble i przekrzywione klosze lamp. Inni, tacy jak ja, żyją w tle. W swoim całym dorosłym życiu miałem współlokatorów i za każdym razem mój rytm kolidował z rytmem tych, którzy mnie otaczali; jedynym wyjątkiem była Yasmina. Przestałem zauważać łatwe synkopy tego rodzaju i odczułem wielką radość, mogąc je ponownie odczuć. Z Almą czułem się bezpieczny i nieosaczony. Emanowała takim spokojem i witalnością, że czułem jej obecność w całym domu. Komunikowaliśmy się bezustannie, szermując bystrymi uwagami rzucanymi z przylegających do siebie pokoi i pokrzepiając się wzajemnie odgłosem naszych kroków.

Podnoszące na duchu przebywanie w pobliżu Almy zaburzały nawroty jej

choroby. Podczas pierwszych pięciu tygodni mojego pobytu w jej domu miała cztery ataki. Wiedziałem, że coś się dzieje, kiedy wychodziłem z biblioteki i w powietrzu wisała niepokojąca cisza, a nasze rytmy ulegały rozprężeniu. Epizody te były nieznośnie nieregularne. Niektóre z ataków trwały godzinę, inne całe popołudnie, i pomimo że Alma upierała się, że nic jej nie grozi – odzyskiwała formę następnego dnia – siedzenie z założonymi rękami było dla mnie bardzo trudne. Odczułem wielką ulgę, kiedy Alma powiedziała mi, że ma ją odwiedzić jej lekarka. Wracając w dniu wizyty z popołudniowego spaceru, zobaczyłem zielone bmw zaparkowane na podjeździe. Za kierownicą siedziała chuda kobieta.

– Pan to na pewno Joseph. Paulette Cargill.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Nie wiedziałem, że lekarze składają jeszcze wizyty domowe.

– Ja tego nie praktykuję. Alma jest wyjątkiem.

– Tak, to prawda. Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

Lekarka wykonała lekko bezradny gest.

– Jest tak samo – powiedziała i dała mi miniwykład o neuralgii trójdzielnej i trudnościach związanych z zajmowaniem się tą chorobą. – Operacja przyniosła chwilową poprawę, to było jakieś dwa lata temu, ale bóle powróciły i występują od półtora roku. Rozważaliśmy powtórzenie zabiegu, choć moim zdaniem, i Alma się z tym zgadza, nie byłoby to dobre rozwiązanie. W jej wieku ryzyko wystąpienia komplikacji zwiększa się z każdym rokiem i operacja mogłaby przynieść więcej szkody niż pożytku. Teraz naszym celem jest zmniejszenie bólu do bardziej znośnego poziomu, a nie jego wyleczenie, ponieważ obawiam się, że nie jest to po prostu realne.

– Alma wciąż powtarza, że to nie jest dla niej niebezpieczne.

– Bo nie jest. Nie omieszkała zresztą poprosić, bym pana o tym zapewniła. Mówi, że zamartwia się pan na śmierć.

– Tak, bo to niepokojące.

– Na pańskim miejscu czułabym się tak samo. Chociaż, jeśli nie liczyć tej dolegliwości, Alma cieszy się doskonałym zdrowiem. Ze swoimi wynikami badania krwi mogłaby dożyć setki.

Zapadła cisza, w której oboje rozważaliśmy następstwa tego stwierdzenia.

– Pogorszy się jej?

– Nie wiem.

– Ale też nie będzie lepiej?

Znowu zapadła cisza.

– Wszyscy robimy, co możemy – rzekła.

Nie odpowiedziałem.

– Dotyczy to również pana – powiedziała.

– Niczego nie zrobiłem – odrzekłem.

– Ależ tak. Alma jest w doskonałym nastroju.

– Tak mi się wydaje.

– Proszę mi zaufać. Opiekuję się nią od piętnastu lat. Lepiej być nie może.

Próbowałem nie myśleć, co by się stało, gdyby było gorzej.

– Proszę dalej robić to, co do tej pory. Przez lata błagałam ją, by znalazła sobie kogoś, z kim mogłaby rozmawiać. Tym, czego potrzebuje, jest jak najlepsze wykorzystanie chwil, kiedy nie odczuwa bólu.

Skinąłem głową.

– Jak już powiedziałam, nie składam wizyt domowych. Alma jest... – Lekarka położyła rękę na sercu. – Proszę do mnie dzwonić o każdej porze.

Alma siedziała przy kuchennym stole; miała przed sobą dwa talerzyki, dwa widelczyki i resztkę *Sachertorte* z tamtego tygodnia. Gdy wszedłem, podniosła wzrok, a ja zobaczyłem jej tajemniczy uśmiech. Dostrzegłem w nim wyraz nieprzenikliwości, twardej fornir, pod którym krył się smutek. Ból od dawna interesował filozofów jako doświadczenie, zarówno uniwersalne, jak i niewyrażalne. Istnieje pewna celowość w tym, że trudniej jest patrzeć na czyjś ból, niż przeżywać go samemu: nic nie przypomina nam bardziej o naszej samotności. To ból, który wyznacza granice empatii, kreśląc jasną linię wokół naszych nadziei na to, czego możemy dowiedzieć się o innych. W tamtej chwili chciałem usilnie znaleźć się na miejscu Almy, a wiedząc, że nie mogę, cierpiałem podwójnie.

Wzięła nóż do ciasta i ukroiła sobie spory kawałek.

– Dziś coś ekstra. Uważam, że zasłużyłam.

Jedliśmy w milczeniu. A raczej to ja jadłem; Alma nie tknęła ciasta, rozdrabniając je tylko widelczykiem i wyciskając do końca saszetkę z bitą śmietaną. Wstałem, żeby umyć talerzyki, i usłyszałem za sobą jej krzesło szorujące po podłodze.

– Jestem bardzo zmęczona i powinnam się położyć. Jeśli nie wstanę na kolację, zapewne poradzi pan sobie sam.

– Czy mogę jakoś pomóc?

Wtedy wyraz jej twarzy przeszedł całą serię metamorfoz, lecz pozostał dla mnie niejasny.

– Mam tylko nadzieję, że nie będzie mnie pan żałował.

– Nigdy – powiedziałem. – Nigdy w życiu.

Skinęła głową, odwróciła się i znikła.

Przypomniałem sobie, co powiedziała mi lekarka; próbowałem zaakceptować, że to „nic”, ta skrupowana bierność, było wszystkim, co mogłem zrobić. Gorzka pigułka do przełknięcia, ponieważ właśnie w chwili, kiedy Alma była zbyt słaba, by rozmawiać, zacząłem doceniać wielkość mojego długu wobec niej. Jakkolwiek bym wpłynął na poprawę jej samopoczucia, ona już odwdzięczyła mi się za to dziesięciokrotnie. Zawsze będę jej za to wdzięczny, wspominając tamte pierwsze dni jako najszcześniejsze w moim życiu, tym bardziej że upłynęły tak szybko.

Przypomina mi to Harolda i Maude – powiedział Drew.

Był koniec marca. Wyszedłem z domu, podejmując kiepską próbę zachowania pozorów, że wciąż prowadzę życie towarzyskie. By podziękować Drew za jego gościnność, kupiłem w Darwinie lancz: kanapki deli i makaroniki wielkości tłumika do trąbki. Zabraliśmy jedzenie do Harvard Yard, gdzie usiedliśmy na schodach University Hall i przyglądaliśmy się japońskim turystom fotografującym wyczerpanych przyszłych licencjatów.

Drew nazywał się Zhongxue. Był informatykiem, a przybył z Szanghaju przez Milwaukee. Poznaliśmy się na seminarium poświęconym sztucznej inteligencji i szybko zostaliśmy przyjaciółmi. Drew, podobnie jak ja, zdał egzamin doktorski i nie złożył dysertacji, lecz – w odróżnieniu ode mnie – powstrzymał swą wolę, wycofując się, by oddać się całkowicie grze w pokera. Teraz zarabiał na życie, organizując wieczory kawalerskie w Foxwoods. Jego rodzice płakali, kiedy do nich dzwonił.

– Proszę – powiedziałem.

– Mówię tylko, że to dziwny sposób mówienia o kobiecie w takim wieku, że mogłaby być twoją babcią.

Nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem, jak opisać uczucia, którymi darzyłem Almę. Jeśli nie liczyć kłopotliwego dla mnie snu, nie wydawała mi się atrakcyjna, nie jako taka. Z pewnością nie. Gdybyśmy się poznali pięćdziesiąt lat wcześniej... Ale było teraz i biorąc pod uwagę okoliczności, nie mógłbym postrzegać jej jako obiektu pożądania seksualnego.

Ale nie była to też tylko zwykła przyjaźń. Dziś przyjaźń jest czymś tanim, czymś w rodzaju towaru; wystarczy poszukać w internecie i można znaleźć dwa tysiące „przyjaciół”. Taki rodzaj przyjaźni nie ma znaczenia i uznałbym go za bluźnierczy w odniesieniu do tego, co łączyło mnie z Almą.

Najbliższe wydawało mi się określenie „miłość platoniczna”, nie w potocznym, lecz w jego pierwotnym znaczeniu: miłości duchowej, takiej, która wykracza poza fizyczność, poza miłość cielesną, poza śmierć. Prawdziwa platoniczna miłość to połączenie się dwóch umysłów.

– Ona jest najbardziej interesującą osobą, jaką znam – powiedziałem.

– Założę się – warknął, robiąc taki ruch, jakby wyciągnął pazury i zaczął drapać.

– Idiota.

– Poważnie, cieszę się. Nie rozumiem cię, ale się cieszę.

– Przestań!

– Przestań co?

- Przestań mówić, że się cieszysz.
- Ale tak jest.
- Nie umawiam się z nią na randki.
- Aha. Twoi starzy współlokatorzy wydawali mi się bardziej sensowni.

Przedstawisz mnie?

- Jesteś za chudy.
 - A więc za to – powiedział i następnie wepchnął do ust pół makaroniku.
- Jeden z turystów podbiegł do nas i zaczął go fotografować.

- Myśli, że jesteśmy studentami – powiedziałem.

Drew skinął głową z buzią wypchaną kokosem.

– Do twojej wiadomości: nie jesteśmy studentami – powiedziałem. – Ja zostałem wyrzucony, a on to zawodowy hazardzista.

- Havad! – wrzasnął turysta.

- Okej – powiedział Drew, wykasłując okruchy. – Koniec przedstawienia.

Przegonił turystę. Ten, niezrażony, ulokował się za drzewem, zakładając zoom do swojego aparatu.

– Ach, ci ludzie – rzekł Drew. – Co jest tak pociągające w zdjęciach kompletnie obcych ludzi? Kogo to interesuje?

- Najwyraźniej ich.

– Powinienem mu powiedzieć, żeby sfotografował mój lewy profil. Jest bardziej fotogeniczny. Hej! Wszystkiego najlepszego z okazji prawie urodzin.

Jednym z talentów Drew jest wyjątkowo dobra pamięć do dat i liczb. Jest to szczególnie osobliwe, bo ma kłopoty z pamiętaniem o wszystkich innych rzeczach, na przykład o spuszczeniu wody w toalecie.

- Dzięki.

- Urządzamy imprezę?

- My?

- Zapomniałem – powiedział. – Nie lubisz imprez.

– Nie mam nic przeciwko imprezom, ale nie rozumiem, dlaczego miałbym coś urządzać.

- No... bo to jest fajne.

- To żaden kamień milowy.

– To twoje urodziny, więc to chyba dostateczny powód. Przynajmniej się zastanów.

- Pomyślę o tym.

– Powiedz tylko słowo. Cholera, prawie zapomniałem. Twoja mama dzwoniła kilka dni temu.

- Zdumiałem się.

- Skąd miała mój numer?

- Myślę, że najpierw zadzwoniła do Yasminy. W każdym razie – oddzwoń.

- Powiedziała, o co chodzi?

Drew wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie chciała ci złożyć życzenia urodzinowe.

W tamtych dniach rodzice kontaktowali się ze mną tylko wtedy, kiedy chcieli przekazać mi złe wieści: o rozwodzie kuzyna, o śmierci naszego psa. Skoro moja matka zadała sobie trud, by zadzwonić do Yasminy i Drew, to musiało chodzić o coś znacznie poważniejszego. Pomyślałem o ojcu. Nie miał jeszcze sześćdziesiątki, ale jego maszyna była już przemęczona, a jego ojciec zmarł na atak serca. Nagle doznałem wizji: mój ojciec kucający obok czyjegoś zlewu i wysilający się, by odkręcić kolanko – a potem gniewne burczenie, potężny hałas i puszka rozlanego cometa.

Stałem, zwijając w dłoniach kulkę z woskowanego papieru.

- Chyba już pójdę.
- Ojej, nie chciałem cię wkurzyć.
- W porządku.

Wręczyłem mu resztę swoich makaroników i życząc szczęścia przy stolikach, pomaszerowałem do Science Center, by zadzwonić na koszt rozmówcy.

Joey – powiedziała moja matka. – Szukałam cię całą wieczność.

Skrzywiłem się na dźwięk starego przezwiska.

- Jestem.
- Twoja dziewczyna powiedziała, że się wyprowadziłeś.
- Wyprowadziłem.
- Co się stało?
- Wyprowadziłem się. To wszystko.

Wywnioskowawszy z jej tonu, że mój ojciec żyje, byłem gotów zakończyć tę rozmowę.

- O co chodzi?
- Więc, kochanie, wiem, że jesteś tam zajęty, ale chciałabym, abyś pomyślał o przyjeździe do domu z wizytą.

Potarłem czoło.

- Nie wiem, mamo.
- Nie wysłuchałeś mnie jeszcze. To ważne.

Zaczekałem.

- Tak?
- Cóż, to już dwadzieścia lat.

Dwadzieścia lat, lecz nigdy nie byłem gdzieś bardzo daleko, a ta łagodna inwokacja sprawiła, że wspomnienia spadły na mnie z siłą lawiny. Pamiętałem kwietniową śnieżycę. Pamiętałem odgłos krztuszącego się silnika pikapa uruchamianego na zimnie, policjanta stanowego w naszej kuchni i trzy filiżanki z kawą, które stały całą noc na kuchennym blacie. Pamiętałem to i wiele więcej, kiedy moja matka rozpoczęła swą bezładną gadaninę.

– Pomyśleliśmy, że może moglibyśmy zorganizować skromne spotkanie wspomnieniowe w okolicach urodzin Chrissy'ego, nic wymyślnego, ale babcia się starzeje, i kto wie... Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj. Moglibyśmy zaprosić jego dawnych kolegów – a wiesz, że Tommy Snell ciągle mieszka w mieście, tak samo jak wiele dzieciaków, które do nas przychodziły? Tommy jest już

oczywiście dorosły, ma sklep obuwniczy jak jego ojciec i – nie uwierzyłybyś – jest tak samo łysy jak on. Wszyscy tak bardzo się zmienili, Joey. Miałbyś niezły ubaw, gdybyś ich zobaczył. Nie byli naszymi osobistymi przyjaciółmi, jak sądzę, ale mimo to... W każdym razie Rita powiedziała, że poprosi ojca Freda, żeby coś powiedział, jest zawsze dobry w takich rzeczach. Ja bym nie go prosiła, ale skoro ludzie chcą pomóc, to niegrzecznie byłoby im odmówić. Ale nie chciałabym tego zrobić, dopóki nie przyjedziesz. Nie wyglądałoby to dobrze. Mimo to chciałabym, żeby ojciec Fred przyszedł i przemówił, i wiesz co? Myślę, że tata też by tego chciał. Ale tata się nie zgodzi, zanim nie przyjedziesz. Wiem, że się nie zgodzi. Zależy to więc od ciebie. Wiesz, że nigdy cię nie naciskaliśmy, żebyś zrobił to czy tamto, ale myślę, że byłoby to właściwe.

Przerwa.

– Joey?

– Jestem.

– Słuchasz mnie?

– Słyszałem.

W dniu pogrzebu po raz pierwszy i ostatni siedziałem w limuzynie. Pamiętam spojrzenia zza przyciemnionych szyb, kiedy podjeżdżaliśmy w pobliże grobu, czując się podziwiani przez ogromny tłum. Następnego dnia w porannej gazecie pojawiła się informacja, że było to największe zgromadzenie od czasu, kiedy naczelnik miejskiej straży pożarnej przekreślił się podczas imprezy ulicznej z powodu tętniaka aorty. Wśród żałobników wypatrzyłem piłkarskiego trenera Chrisa, legendarnego twardziela z czerwoną jak burak spoconą twarzą. Limuzyna zatrzymała się, a drzwi otwarły w magiczny sposób, jakbyśmy mieli kamerdynera widmo. Czy tak odczuwa się sławę? Moja matka wygramoliła się ze środka, chwytając niezdarnie wyciągniętą ku niej parę rąk. Później wysiadł mój ojciec, elegancki i czujący się nieswojo we wszystkim, co nie było kombinezonem roboczym. A na końcu ja, w jednym ze starych flanelowych garniturów Chrisa. Ubranie mnie gryzło, spodnie były za ciasne, a kiedy wysiadałem z limuzyny, potknąłem się. Ludzie rzucili się do przodu, chwycili mnie; ktoś zawołał mojego ojca, który wrócił, by wziąć mnie w posiadanie. Z trenerem po mojej drugiej stronie czułem się jak więzień prowadzony na szubienicę pod eskortą z powodu ryzyka ucieczki. W pewnym sensie nim byłem. Potrzebowałem kilku lat, by się odnaleźć w nowej sytuacji, ale gdy tylko mi się to udało, wziąłem nogi za pas.

Usłyszałem przez telefon matkę mówiącą o biletach na samolot.

– Zaczekaj – powiedziałem. – Nie mówiłem, że przyjadę.

W ciszy, która zapadła, wyczułem, że matka przygotowuje się do jednego ze swych załamania. Żeby mu zapobiec, powiedziałem:

– Postaram się, ale niczego nie obiecuję. Nie mogę wyjeżdżać, kiedy tylko chcę. O jakim czasie mówimy?

Matka cicho westchnęła z urazą.

– Zapomniałeś o jego urodzinach.

– Nie zapomniałem. Dziesiąty października. Nie o to pytam. Pytam, na jak długo mam przyjechać.

– Będziesz musiał przenocować. Ostatni samolot wylatuje o piątej. Muszę to wiedzieć. Joey. Rita powiedziała, że zamówi wielkie zdjęcie Chrissy’ego, aby ludzie mogli się na nim podpisać. Takie rzeczy wymagają czasu.

– Nie potrzeba pół roku, żeby powiększyć zdjęcie.

– Nie chcę, żeby się czuła poganiana.

Był to dokładnie ten rodzaj bzdur, które doprowadzały mnie do szaleństwa. Fakt, że czekała już tak długo – dwadzieścia lat, a nie pięć albo dziesięć – podważał sens jej upartego nalegania. Dlaczego teraz? Wydawało się to tak despotyczne. A mimo to typowe dla mojej matki było tłumienie potrzeb do chwili, kiedy nie mogła już nad nimi zapanować i zaczynała swe aktorskie popisy.

– Czy coś się dzieje?

– Co masz na myśli? Nic się nie dzieje.

– Musiało się coś stać, skoro dzwonisz.

– To ta rocznica.

– I co?

– To, że rocznice są ważne.

Po czym:

– Ojciec Fred wyjeżdża.

Mogłem się spodziewać, że usłyszę różne rzeczy, ale nie to. Uważałem ojca Freda za gwiazdę przewodnią, jedyny żywy element mojej przeszłości pozwalający mi przewidzieć moją obecną pozycję. Wyjeżdża? W jakim celu? Co z całą przemową o Bogu, który sprowadził go na powrót do domu, o życiu zataczającym krąg i tak dalej? Wszystko to było tylko masą pustego moralizatorstwa mającego wyciszyć niespokojnego nastolatka? Było mi trudno pomyśleć o nim jako o kimś tak powierzchownym i poczułem dreszcz niepokoju, po którym pojawił się gniew.

Matka powiedziała:

– Zanim wyjedzie...

– Chwileczkę. Dokąd wyjeżdża?

– Przenosi się do Kalifornii.

– Kiedy? Dlaczego?

– Sam do niego zadzwoń i go o to zapytaj. Na razie chcę się upewnić, że przyjdzie, bo był tak ważny w życiu Chrissy’ego. W twoim też.

Nie odpowiedziałem.

– Więc muszę wiedzieć, czy możesz przyjechać.

– Nie wiem.

– A kiedy będziesz wiedział?

– Muszę poprosić moją pracodawczynię o zgodę.

– Kiedy to zrobisz?

– Kiedy będę mógł. W porządku? Na litość boską, możesz już skoń...

– Przestań się wymądrzać – powiedziała. – Po tym wszystkim nie zasługuję na...

Zamiast wrzasnąć, trzasnąłem słuchawką.

Przepraszam za spóźnienie! – zawołałem. – Straciłem poczucie czasu.

Otwierając drzwi biblioteki, przystanąłem na sekundę w progu. Naprzeciwko Almy, w fotelu, który zwykle zajmowałem, siedział żylasty mężczyzna z najrzadszą brodą, jaką tylko można sobie wyobrazić. Jego koszula wyglądała na o pięć rozmiarów za dużą, buty były znoszone jeszcze bardziej niż moje i miały niezawiązane sznurowadła, a ich wywinięte języki sprawiały wrażenie, jakby chciały zwymiotować kostkami właściciela. Pomimo tej zaburzonej estetyki mężczyzna był niezaprzeczalnie przystojnym, młodym byczkiem o przenikliwym spojrzeniu i sercowatym kształcie twarzy Almy, które nadawały mu chłopięcy wygląd. U obojga dostrzegłem ten sam konspiracyjny półuśmiech, jak gdyby zostali przyłapani in flagranti. Co dziwne, sprawiło to, że poczułem się zawstydzony.

– Panie Geist, pozwoli pan, że przedstawię mu mojego siostrzeńca. Ericu, to pan Geist, mój lokator i rozmówca.

Eric uniósł podbródek.

– Hej.

Skinąłem głową na powitanie.

– Właśnie rozmawialiśmy o panu – powiedziała Alma. – Jest już trzecia?

– Trzecia dziesięć – odrzekłem.

– Mój Boże, w takim razie... Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, byśmy zakończyli debatę na dziś. Mój siostrzeniec był nieobecny i zbyt długo się z nim nie widziałam.

– Jak pani sobie życzy.

– Tak, proszę.

Chciałem pstryknąć palcami koło Erica, który zdierał sobie jakiś strupek.

– W porządku.

– Zatem ciąg dalszy jutro? Bardzo dobrze.

Zwolniony, powlokłem się do swojego pokoju i położyłem na łóżku. Byłem wstrząśnięty. Nigdy wcześniej nie wspomniała o siostrzeńcu. Myślałem, że stajemy się sobie bliscy. Stawaliśmy się. Jak więc to wyjaśnić? Wiedziała, że przyjedzie, ale ukrywała to przede mną? Czy też ujawniła się bez ostrzeżenia, a jego zaakceptowała bez wahania? To ostatnie wydało mi się okrutniejszą nauką: on nie musiał niczego robić ani udowadniać, by zdobyć jej sympatię. Dzięki samemu tylko urodzeniu, tę osobę – o jakże kiepskim imieniu: Eric – łączyły z nią więzy, na które nigdy nie miałbym szans, czy to mieszkając z nią przez trzy miesiące, czy też przez trzydzieści lat. Pomyślałem sobie o jej twarzy, kiedy ich naszedłem – o jej prywatnej twarzy uzewnętrzniającej wewnętrzną przyjemność. Nie była to twarz, którą zwykła była mi pokazywać, toteż poczułem do niej urazę. Myśląc racjonalnie, zdawałem sobie sprawę ze swej głupoty. Nie miałem prawa do zazdrości. Ale rozmowa z matką napięła moje

nerwy do granic wytrzymałości, a nagle pojawienie się nieznanego, który w istocie nie był nieznanym, lecz zagrożeniem (wszystko jedno, czy postrzeganym, czy też realnym – cóż za różnica dla skonfundowanego umysłu?) wzbudziło we mnie panikę. Alma mnie karała. Ale za co? Cóż takiego zrobiłem? Czyżbym uraził jej dumę, pytając o zdrowie? O to chodziło? Rozmawiali o mnie. Dlaczego? O czym? W jakim kontekście? Miałem prawo to wiedzieć, czy nie tak? Na moje oko nie wyglądało to na zwykłą rozmowę. Wyglądało na szyderstwo, a przekaz był dostatecznie jasny: przybył, żeby mnie zastąpić. Wszystko skończone. Znowu wyląduję na ulicy. Cudowny sen w gruzach. Wczepiłem się w pościel, zacisnąłem zęby i zastanawiałem się, ile zostało mi czasu, zanim Alma każe mi się wyprowadzić. Teraz powinienem zacząć się pakować, wynieść się cicho i oszczędzić wszystkim sceny własnego upokorzenia...

Stojąc w korytarzu i podsłuchując, nie potrafiłem rozróżnić słów, ale słyszałem jej śmiech, mnóstwo śmiechu, i płonąłem. Co, do licha, ktoś taki jak on mógł powiedzieć, by rozbawić kogoś takiego jak ona, jeśli nie coś tak nieznośnie głupiego, że nie mogła się powstrzymać i zaczęła się z niego śmiać? Lecz nie. Śmiała się znowu, i to nie z niego, ale z nim. On śmiał się również: lekko, pewnie i triumfująco. To musiała być kara. Wróciłem do pokoju, żeby zaczekać, aż wyjdą.

Zegar pokazał czwartą, piątą, szóstą...

O wpół do siódmej zapukałem do drzwi biblioteki i poinformowałem, że wychodzę.

- Szkoda – powiedziała Alma. – Miałam nadzieję, że zjemy wspólnie kolację.
- Umówiłem się z kimś. Przykro mi.
- Nie powiedział mi pan wcześniej.
- Zapomniałem.

Przyjrzała mi się. Myślę, iż wiedziała, że kłamię.

– Dobrze. Ale zanim pan pójdzie...

Sięgnęła do kieszeni swetra i wyjęła swą małą książeczkę czekową w niebieskiej skóropodobnej okładce. Trzymała ją zwykle w pokoju na górze – nigdy przy sobie. O co mogło chodzić? Czy poprosił ją o pieniądze? Spróbowałem spiorunować go wzrokiem, lecz nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi.

– Panie Geist.

Machnęła przede mną czekiem, a ja natychmiast pojałem celowość naszego wzajemnego zwracania się do siebie przez „pani” i „pan”. Nie był to przejaw sympatii ani filuterna żartobliwość. Alma zamierzała wyznaczyć granicę. Gdybym tego nie zauważył, byłby to wyłącznie mój błąd.

Wymamrotałem „dziękuję” i odebrałem swoje kieszonkowe.

– Ależ proszę bardzo – rzekła Alma. – Udanej kolacji.

Był cichy wieczór, a ja chodziłem bez celu ceglanymi kanionami wokół Harvard Square z nadzieją, że tłumy podziałają na mnie jak biały szum,

zagłuszając moje rozzalenie. Przed wejściem do metra zebrała się grupa nastolatków: przedmiejskich gotyckich punków z agrafkami w uszach, w wystrzępionych ubiorach niepasujących do efektów kosztownych zabiegów ortodontycznych. W niewytłumaczalny sposób przypomnieli mi oni Erica – myślę, że to z powodu kościstych łokci i krzywych pogardliwych uśmiezków – skręciłem więc i pomaszerowałem w stronę Common, gdzie osunąłem się obojętnie na ławkę, by popatrzeć, jak studenci grają w softball. Rozzalenie przeważało wtedy we mnie nad złością. Pomyślałem sobie: musisz naprawdę dorosnąć! Ta kobieta ma prawie osiemdziesiąt lat. Ma prawo przyjmować każdego, a już na pewno krewnego. Sądząc z kształtu jego twarzy – połączonego z nią blisko więzami krwi. Siostra Almy była od niej starsza, trudno więc było uwierzyć, że Eric jest jej siostrzeńcem. Chyba raczej prasiostrzeńcem, co oznaczało, że nazywając go „siostrzeńcem”, chciała podkreślić łączącą ich zażyłość. Czy miała to prawo? Nie do mnie należało prawo decydowania o tym, kogo wybierze i obdarzy sympatią. Mogła z nim rozmawiać cały dzień, gdyby miała na to ochotę. To nie moja sprawa. Ale do rzeczy: nikt nie powiedział ani słowa o wyrzuceniu mnie. Moja reakcja odzwierciedlała tylko różne niepewności, nic więcej.

To go oczywiście nie usprawiedliwiało. Prawdopodobnie ma problem z narkotykami. Któż inny ubiera się w taki sposób? Ja sam nie wyglądałem jak ktoś z żurnala, ale przynajmniej się czesałem. Mój niedbały wygląd był zamierzony, jego – stanowił wytwór obojętności. Wciąż myślałem o przepojonej samozadowoleniem łatwości, z jaką zajął mój fotel – czy po całym tym czasie, po tylu spędzonych w nim godzinach nie miałem prawa, by pomyśleć o nim jako o swoim? Nie wspominając już o sposobie, w jaki zerkał na mój czek, o tym, że sprawiał wrażenie, jakby miał prawo do wszystkiego...

Nie będąc w stanie pójść do domu, pomaszerowałem do Science Center, w którym przystanąłem przy kiosku internetowym. Nie sprawdzałem poczty od dwóch tygodni i teraz musiałem stawić czoło górom spamu. Przyjście tu było złym pomysłem: poczułem się jeszcze samotniejszy niż zwykle.

Wbrew sobie kliknąłem napisz i wprowadziłem adres Yasminy. Następnie go usunąłem. Potem wpisałem jeszcze raz. Powtórzyłem to wszystko kilka razy, zanim umieściłem kursor w polu tekstowym.

Cześć. To ja. (Oczywiście.) Przepraszam, że wpadam bez zapowiedzi (że tak powiem), ale myślałem o Tobie i chcę, żebyś o tym wiedziała.

Nie martw się, to nic złośliwego. Czuję się dobrze. Mam nową pracę i świetną współlokatorkę. Twój

[cofnij]

Mam nową pracę i niewiarygodnie komfortowe warunki. Poza tym nic szczególnego. Ostatnio nie zajmowałem się pisaniem, ale to nic; od dawna nie czułem się tak skoncentrowany. To nie złośliwość z mojej strony, więc nie zrozum tego, proszę, w taki sposób. Podjęłaś

słuszną decyzję – dobrą dla nas obojga. Szkoda że do tego doszło; szkoda że nie było innego sposobu. Ale znasz mnie. Usiłuję traktować takie sprawy filozoficznie.

(Cha, cha).

Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze będę myślał o Tobie z wielką miłością

[cofnij]

czułością

[cofnij]

serdecznością i że jest mi przykro, że nie mogłem być tym, kogo potrzebujesz. Taki ktoś na pewno istnieje, a dzień, w którym go odnajdziesz, będzie dla niego najszczęśliwszy.

Joseph

Kiedy byłem w połowie drogi do domu, oczekiwane katharsis jeszcze nie nadeszło. Zamiast tego poczułem się jak zbir wdzierający się siłą do jej skrzynki odbiorczej. Odwróciłem się i powędrowałem z powrotem do kiosku internetowego, mając zamiar napisać nową wiadomość, opatrzoną nagłówkiem PRZECZYTAJ NAJPIERW i mówiącą, że poprzednią należy zignorować.

Za późno.

cześć

próbowałam się z tobą skontaktować. proszę zadzwoń jeśli możesz. chciałabym z tobą porozmawiać.

y

Przekonanie Yasminy, by spotkała się ze mną osobiście, wymagało intensywnej negocjacji; chciała ograniczyć się tylko do rozmowy telefonicznej. Nie mając innego wyboru, zagrałem ostatnią kartą: swoimi urodzinami. Spotkanie przy filiżance kawy: czy to zbyt wiele? Podbiłem stawkę, proponując często odwiedzane kiedyś przez nas miejsce: położoną na North Endzie kawiarnię, w której parzono espresso w urządzeniu wielkości czołgu Sherman. Wiedziałem, że ustąpi. Jej chęć utrzymania mnie na odległość ramienia nigdy nie wygrywała z jej miłością do wymyślnych gorących napojów.

Przybywszy na miejsce, stwierdziliśmy, że kawiarnia jest zamknięta. Próbowałem nie poczytać tego za znak. Yasmina wydała krótki okrzyk rozpaczy.

– Kiedy to się stało? – zapytała. – Byłam tu dwa tygodnie temu.

W oknie widniała kartka z datą 23 marca.

Nasi drodzy klienci! Dziękujemy Wam za dwadzieścia cudownych lat. Ze smutkiem zawiadamiamy, że Ettore odszedł po długiej walce z rakiem. Ta kawiarnia była Jego całym życiem, a on kochał każdego, kto tu wstępował. Zawsze będzie nam Go bardzo brakowało.

Wzdrygnąłem się, zdawszy sobie sprawę, że Ettore (którego nazwiska nigdy nie poznałem) otworzył swą kawiarnię w tym samym mniej więcej czasie, kiedy mój brat wjechał samochodem do rzeki i utonął.

Przeszliśmy pod drogą szybkiego ruchu i zajrzeliśmy do Starbucksa w pobliżu Faneuil Hall. Yasmina próbowała zapłacić, lecz powstrzymałem ją.

– Podaruj mi szacunek dla samego siebie.

Uśmiechnęła się krzywo i ugryzła w język.

– Wydzwaniałam do ciebie od tygodni – powiedziała, kiedy usiedliśmy. – Ale cały czas słyszałam tylko sygnał.

– To już nie jest mój numer.

– Zmieniłeś na inny?

– Nie mam telefonu.

– Dlaczego nie masz?

– Zlikwidowałam go.

– Nie dostałeś nowego?

– Nie.

– To nie było... To znaczy, czekałam przez jeden okres rozliczeniowy. Sądziłam, że zachowasz numer, kiedy dostaniesz nowy telefon.

– Nie dostałem.

- Och, więc... Cóż, jest mi przykro.
 - Wszystko w porządku.
 - A ja byłam wściekła.
 - Wiem.
 - Ale powinnam była najpierw ci powiedzieć.
 - Nie przejmuj się tym. Brak telefonu właściwie wyzwala. Zdziwiłabyś się, jak bardzo.
 - Na pewno. - Przerwała. - Więc co się właściwie stało?
 - Nic szczególnego. Chciałem do ciebie napisać i napisałem.
 - No i?
 - Nie zdawałem sobie sprawy, że mamy moratorium na maile - powiedziałem.
 - Nie wściekaj się.
 - Nie jestem wściekły. Po prostu nie sądzę, by to, że wysłałem ci wiadomość, stanowiło jakiś wielki problem.
 - Bo to żaden problem.
 - Więc dlaczego zaczynasz się denerwować?
 - Nie jestem zdenerwowana. Proszę, Josephie. Ja, posłuchaj, nie jesteśmy już razem i...
 - Wiem. Dobrze zdaję sobie z tego sprawę. Dzięki za przypomnienie.
 - Proszę, czy nie mógłbyś przestać?
- Nie odpowiedziałem.
- Cieszę się, że ci się dobrze wiedzie. Właśnie to chcę słyszeć. Opowiedz mi o swojej pracy.
- Pomyślałem przez chwilę.
- To coś w rodzaju towarzystwa badawczego.
 - Coś jak... *Think tank*?
 - Możesz to tak nazwać.
 - Wspaniale - rzekła. - To idealne dla ciebie. Czy nie tak zawsze mówiłam? A nowe mieszkanie? Myślałam, że mieszkasz z Drew.
 - Mieszkałem. Krótco. Ale już nie mieszkam. Posłuchaj. Cała ta towarzyska rozmowa zaczęła zbijać mnie z tropu.
 - Nie bardzo wiem, jak to powiedzieć.
 - Zaczekaj - powiedziała. - Zaczekaj.
 - Pozwól, że...
 - Chwileczkę. Wiem, co chcesz powiedzieć.
 - Nie wiesz...
 - Wiem.
 - To twoja rodzina? O to chodziło? Bo jeśli wtedy był to problem, to...
 - To nie był problem. Nigdy.
 - A tak dla mojego własnego oświecenia...
 - Proszę, przestań - odrzekła. - Nie możemy tu o tym rozmawiać.
 - Zatem gdzie możemy?

– Nigdzie. Nie możemy nigdzie i nigdy.
– Próbuję się dowiedzieć.
– Tu nie ma czego się dowiadywać.
– Zawsze można się czegoś dowiedzieć – powiedziałem. – To nie jest poza mną, Mino, potrafię...

– Proszę, nie nazywaj mnie tak – odparła.

Zapytałem dotknięty:

– Dlaczego nie?

– Ponieważ proszę, żebyś tego nie robił.

– Ale dlaczego?

– Bardzo proszę, czy mógłbyś nie podnosić głosu?

Ludzie zaczęli spoglądać na nas znad swojej latte.

– Przejdźmy się – powiedziałem.

Pokręciła głową.

– Dlaczego nie?

– To neutralny teren.

– Nie ufasz mi?

– Ależ ufam...

– Więc chodźmy.

– Chcesz się kłócić czy porozmawiać?

– Ale my nie rozmawiamy – powiedziałem. – Nie pozwalasz mi.

– Josephie. – Schowała twarz w dłoniach. – Sam się nakręcasz.

– Ja tylko...

– Proszę – odrzekła, podnosząc wzrok. – Pozwól mi mówić.

Przez chwilę myślałem, że się rozpłaczę. Widziałem to już dostatecznie wiele razy, by wiedzieć. Jej twarz przybiera zielonkawy odcień, jakby robiło jej się niedobrze. Powstrzymuję się od wyciągnięcia do niej ręki. Jeszcze raz przetarła oczy, lecz tym razem, kiedy podniosła twarz, wyglądała na doskonale opanowaną.

– Zaręczyłam się – powiedziała.

Jedna z naszych sąsiadek – dziewczyna w czarnych plastikowych okularach – zaczęła się na nas otwarcie gapić. Cóż za rozrywka! Lepsza niż *One Life to Live!* Kiedy popatrzyłem na nią wilkiem, powróciła do swej Aphry Behn. Yasmina wypita tymczasem kilka szybkich łyčzków, rzucając szybko nerwowe spojrzenia.

– Minęło pięć miesięcy – powiedziałem.

– Sześć.

– Niecałe. Pięć i pół.

– Więc?

– Więc to... To niedorzeczne.

– Przestań.

– Tak. To zupełnie niedorzeczne.

– Masz prawo do własnej opinii.

– Kim on jest?
– Ma na imię Pete – powiedziała – i ten „on” jest moim narzeczonym, zatem jeśli pozwolisz...

– Pete?

– Tak.

– To jego prawdziwe imię?

– Oczywiście, prawdziwe – odrzekła. – Co to miało znaczyć?

– A czy Pete ma nazwisko?

Króciutka cisza.

– Soleimani.

– Aha – powiedziałem.

– Co: aha?

– Nic.

– Twoje nic nigdy nie znaczy nic. Powiedz: o co ci chodzi?

– O nic takiego – odrzekłem. – Tylko o to, o czym pomyślałem.

– A o czym pomyślałeś?

– Jest Persem – powiedziałem.

– Tak, rzeczywiście jest.

– Więc jest tak, jak myślałem.

– Więc hurra, na twoją cześć! Miałeś rację. Brawo.

– Ten sarkazm nie jest potrzebny.

– Jest Persem. Czy to odpowiada waszej wysokości?

– Cóż, nie sądzę, że zmieni to moje zdanie...

– Nie – powiedziała. – Nie zmieni, ale kogo to obchodzi? Kogo obchodzi, że rozmawiamy o kimś, kogo kocham? Nie chodzi o mnie ani o niego, chodzi o ciebie, zawsze o ciebie, więc czemu nie mówisz mi, co myślisz? Wyłóż karty na stół. No dalej, to ci dobrze zrobi!

– Dobrze – powiedziałem. – Zobaczmy: on mieszka w Los Angeles.

– W Nowym Jorku.

– Okej, dobrze, w Nowym Jorku. A ma czterdzieści lat i sprzedaje samochody.

– Trzydzieści – rzekła ostentacyjnie – i pracuje w banku inwestycyjnym. Skończyłeś już? Bo ja tego nie potrzebuję, a jeśli nie przestaniesz zachowywać się jak dziecko, to wyjdę. Nie muszę ci niczego mówić. Ale chciałam, przez uprzejmość, żebyś usłyszał to najpierw ode mnie. To dlatego dzwoniłam. Próbuje być miła, ale niesamowicie mi to utrudnia.

Długa cisza.

– Przepraszam – powiedziałem.

Nie odezwała się.

– Mino...

– Nie nazywaj mnie tak.

Kolejna cisza.

– Spróbujmy jeszcze raz – powiedziałem. – Powiedz mi, że się zaręczyłaś.

Po chwili rzekła:

– Zaręczyłam się.

– Gratulacje! Jakże się cieszę z twojego szczęścia! Nie mógłbym być szczęśliwszy. Naprawdę, nie mógłbym...

– Dosyć.

Pomyślałem, że dałem całkiem niezłe przedstawienie.

– Gdzie się poznaliście?

– Moja siostra nas umówiła.

– A... kiedy ten wielki dzień?

– Jeszcze nie wiemy. Pete stara się o przeniesienie na Zachodnie Wybrzeże.

A ja zostaję tu jeszcze przez rok jako sekretarka sędziego Polonsky'ego, więc nie stanie się to przynajmniej w ciągu roku.

– Zatem mam tyle czasu, żeby cię odzyskać.

Przewróciła oczami.

– Gratulacje – powiedziałem. – Mówię serio.

– A mówisz?

– Staram się.

Cisza.

– Dziękuję.

– Chcę cię o coś zapytać – powiedziałem. – Ale się nie denerwuj, zgoda?

– Nie.

– W porządku, ale mimo to... Czy on naprawdę ma na imię Pete?

Nie potrafię powiedzieć, czy chciała się roześmiać, czy mnie uderzyć.

– To skrót od Pedram – powiedziała.

– Rozumiem – odrzekłem.

Cisza.

– Dziękuję, że na mnie nie nawrzeszczałaś.

Szum pary i odgłos mielenia.

– Nie jest tak, jak myślisz.

– A jak myślę?

– To dobry facet. Naprawdę dobry. Jest bardzo troskliwy i mądry. Studiował na Uniwersytecie Nowojorskim.

Jej głos brzmiał melancholijnie, a ja zdałem sobie sprawę, że gdybym chciał wierzyć, że wciąż mam szansę, ona chciałaby udowodnić – sobie i mnie – że nie poświęciła swych ideałów, zamieniwszy mnie na bardziej odjazdowy model. Mimo że rozpaczliwie chciałem jej zaprzeczyć, zdołałem tylko powiedzieć:

– Nie spodziewam się niczego mniej.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Kwadrans przed szóstą kombi Daciany wtoczyło się na podjazd, a ja wstałem i poszedłem do kuchni, gdzie Alma rozpakowywała świeży bochenek chleba.

– Wcześniej pan wstał, panie Geist.

Uśmiechnąłem się blado.

– Nie czuję się najlepiej.

– Przykro mi to słyszeć. Może i dziś powinniśmy zrezygnować z debaty?

Byłby to już drugi raz w tygodniu i poczułem, że moje wątpliwości budzą się na nowo: próbuje mnie przepędzić. Zmusiłem się do zachowania spokoju. Zanedbałem golenie i wyglądałem jak wrak. Ona zachowywała się taktownie.

– Nie śmiałybym nawet o tym marzyć – powiedziałem. – Ale dziękuję.

– Jak pan sobie życzy.

Wręczyła mi chleb do pokrojenia.

– Muszę przeprosić, że nie uprzedziłam pana o przyjeździe mojego siostrzeńca. Zrobiłabym to, gdybym sama dowiedziała się wcześniej.

– Nie musi pani przeproszać.

– Proszę, panie Geist. Bądźmy ze sobą szczerzy. Pańska irytacja była oczywista.

Krojąc chleb, wzruszyłem ramionami.

– Muszę poprosić, by zaakceptował pan jego obecność tu, bo jest nieunikniona i te wizyty w sposób nieunikniony będą się powtarzać.

Włożyłem chleb do opiekacza i sięgnąłem po gwizdzący czajnik.

– To wnuk pani siostry.

– Dokładnie ten sam. Ostatni liść na drzewie, że tak powiem, i dlatego postanowiłam nie zwracać uwagi na jego wiele wad. Chociaż nie uważam kiepskiego wychowania za wymówkę dla skaz charakteru, w tym przypadku duża część odpowiedzialności spoczywa na mnie. Został sierotą w młodym wieku i zamieszkał u mnie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Alma uniosła rękę.

– Proszę zbytnio nie protestować, panie Geist. Mówię to panu tylko po to, by okazał pan cierpliwość dla niego i dla mnie.

– Czy mogę zapytać, co się stało?

– Pijany kierowca przejechał jego rodziców.

Teraz naprawdę poczułem się winny.

– To... To straszne.

– Tak – powiedziała. – To było bardzo smutne. Jak pan może sobie wyobrazić, był raczej nieokiełznanym chłopcem, kiedy się nim zaopiekowałam, choć nie wątpię, że i ja miałam w tym swój udział, a co najmniej przyczyniłam się do nasilenia jego skłonności. Dzieci mnie frustrują, bo sprawiają pozory posiadania zdrowego rozsądku, podczas gdy tak nie jest. To, że nie uczyłam się tego za każdym razem, jest tylko moim błędem.

Przerwała.

– Jeszcze raz przepraszam. Nic z tego nie dotyczy pana. Proszę jedynie, by nie osądzał go pan zbyt surowo.

– To o panią się martwię.

– Proszę zatem pozwolić, że pana uspokoję. On mnie wypróbował, to prawda, ale jestem nadto kompetentna, abym nie mogła sobie z nim poradzić. Chcę jednakowoż, by był pan przygotowany. Ma on zwyczaj pojawiać się z nienacką i równie nagle zniknąć. Do tego tygodnia nie odzywał się do mnie

przez sześć miesięcy. Dlatego w ciągu nadchodzących dni powinniśmy się spodziewać wielu wizyt.

Spojrzałem na nią.

– Potrzebuje pieniędzy – powiedziała.

– Rozumiem...

Alma dodała nieco cierpko:

– To mój jedyny żyjący krewny, panie Geist.

– Oczywiście. Nie chciałem się wtrącać.

– Moje relacje z siostrzeńcem zawsze były i będą kształtowane przez fundusze. Niech tak lepiej pozostanie, aby on nie przestał interesować się mną i abym uniknęła rozczarowania.

Chciałem zapytać: ale dlaczego przejmuje się pani tym, czy on się panią interesuje? Dlaczego, skoro ma pani mnie?

– Rozumiem – powiedziałem.

Przedstawiwszy swoje stanowisko, Alma usiadła wygodnie. Wyglądała o wiele starszej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Ach – rzekła – to się ciągnie od lat. Nie jestem jedynie przyzwyczajona do osób trzecich będących świadkami tej sytuacji.

– On nie ma prawa sprawiać pani przykrości.

– Niemniej jednak sprawia.

– Nie musi.

Uśmiechnęła się.

– Nie? Zamordowałyby go pan dla mnie?

– Mogę go nie wpuścić, kiedy się pokaże następnym razem.

– To ładnie z pana strony, lecz obawiam się, że nie mogłabym się na to zgodzić. Mimo straszliwej uciążliwości znoszę to swobodnie.

Jej zmęczenie wydawało się nie pasować do śmiechu, który wtedy słyszałem. Wiedziałem równie dobrze jak każdy, że miłość czyni nas wszystkich hipokrytami.

Gospościa zaczęła odkurzać w pokoju obok.

– Porozmawiajmy o czymś weselszym.

Alma sięgnęła do kieszeni swetra i wyjęła czek.

– Dla pana.

– Zapłaciła mi pani wczoraj.

– To na pańskie urodziny, które jak sądzę, są tuż-tuż.

Jeśli wspomniałem jej o swoich urodzinach, to musiałem to zrobić przed miesiącami; to, że pamiętała o tym tak długo, poruszyło mnie. Miałem już podziękować, kiedy spojrzałem na czek i odczytałem kwotę: pięćset dolarów.

– Pani Spielmann, proszę...

– Proszę z tym zrobić, co pan zechce, panie Geist.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Bzdura. Musi pan sobie kupić parę porządnych butów. Uczony nie może chodzić w łachmanach.

Potrzebowałem nowych butów, ale nie za pięćset dolarów. Zwróciłem uwagę: ileż to książek można by kupić za te pieniądze.

– Są jeszcze inne rzeczy, które powinien mieć człowiek, panie Geist. Ma pan mnóstwo książek. A teraz poproszę o moją herbatę. Spróbujmy przywrócić porządek świata.

Pomimo przypochlebiania się Almy wciąż miałem uczucie, że w jej oczach zostałem zdegradowany do rangi namiastki, co w połączeniu z wieściami o ojcu Fredzie i ciosem zadany mi przez Yasmineę połączyło się w potrojone uderzenie odczuć rozczarowania i odrzucenia. To, że poprosiłem Drew o skompletowanie gości na moją imprezę urodzinową, było, jak przypuszczam, raczej rozpaczliwą próbą zrekonstruowania mojego ego. Jeśli wziąć pod uwagę, jak niewiele miał na to czasu, to wywiązał się z tego zadania imponująco: zdołał zapełnić dwa boksy miejscowej knajpy wyborem znajomych, z którymi nie miałem okazji się widzieć ani rozmawiać od chwili wprowadzenia się do Almy: kolegów z wydziału, innych doktorantów, paru prawników i kilku opiekunów naukowych. Drew zachował się mądrze: przyprowadził wyłącznie męskie towarzystwo. Nikt nie pytał, jak się czuję, za to wszyscy – czy chcę jeszcze jedną coronę. Tak, chciałem.

Ktoś zapytał, jak to jest, kiedy się kończy trzydzieści jeden lat.

– To pierwszy rok twoich trzydziestych lat.

– Pierwszym jest trzydziestka.

– Nie, trzydziestka jest ostatnią z dwudziestych.

Rozstrzygnięciu tej kwestii poświęcona została spora część wieczoru. Nie musiałem mówić zbyt wiele i byłem za to wdzięczny. Ponieważ byłem cicho, nie sędzę, by ktoś się zorientował, jak bardzo byłem pijany – do chwili kiedy wszyscy zaczęli się tłumaczyć (praca, żona, środek tygodnia) i podchodząc do mnie, by się pożegnać, stwierdzali, że zaczynają się chwiać w moim niedźwiedzim uścisku. „Stop, powoli”. „Dobrze się czujesz?”, „Tak, czuję się dobrze”. Faktycznie, byłem gotowy na kolejne piwo.

Pół godziny przed północą był ze mną już tylko Drew.

– Yasmina się zaręczyła – rzekłem.

Drew uniósł brwi.

– No, no!

Sączyłem dalej swoje piwo.

– Naprawdę.

Kiedy wyszliśmy, Drew zatrzymał taksówkę.

– Wiesz co? – powiedziałem. – Ty jedź, a ja się przejdę.

Dobrze wiedział, że nie warto się spierać. Złożył mi życzenia i odjechał.

Ruszyłem chwiejnym krokiem przez Common, potykając się w wiosennym błocie i nucąc posępną melodię, której źródła nie potrafiłem sobie przypomnieć. Zanuciłem raz jeszcze i wtedy do mnie dotarło: to Daciana, jej cygańska melodia, ta, którą lubiła mnie budzić i która przyprawiła mnie

o ochotę na pierogi i samobójstwo. Twoje zdrowie, towarzyszu! Lampy sodowe wzdłuż Mass Avenue wyglądały jak pomarańczowe żelki. Powietrze pachniało wybielaczem. Wrażliwy i wyczulony na bodźce zmierzałem, bekając, w stronę Porter Square; nie znałem ostatecznego celu tej wędrówki. Mogłem iść cały czas w kierunku Davis Square. Dlaczego każdy plac w okolicy to „square”? Planista miejski z obsesją na tle czworoboków... Lecz przecież te „squares” wcale nie były kwadratowe. Harvard Square to trójkąt. Porter Square – trapez. Inman Square – skrzyżowanie. Minąłem budynek, w którym mieszkałem z Dorothy, Kelly i Jessicą i pomachałem w stronę ich piętra. Miałem nadzieję, że znalazły nową współlokatorkę, czwartą do uzupełnienia kwadratu. Jak mogłaby mieć na imię? Alison. Albo nie. Myung. Miałaby na imię Myung i przygotowywałyby się do studiów prawniczych, byłaby najgłośniejsza z nich wszystkich, a jej wrzaski byłoby słyszeć w promieniu kilku kilometrów.

Na zewnątrz baru Thorn stał tłum ludzi palących papierosy. Przebijałem się przez nich, kiedy poczułem czyjaś rękę na swoim ramieniu.

– Hej.

Odwróciłem się luźno.

– Hej – powtórzył mężczyzna. Uśmiechając się, wypuścił dym.

Był to Eric.

Gdybym znajdował się w innym stanie, poszedłbym dalej, zmartwiony, że mnie zaskoczył. Lecz w obecnej sytuacji byłem nieco bardziej wylewny.

– Dobry wieczór – powiedziałem, kłaniając się głęboko.

Były z nim dwie kobiety. Bostońskie Irlandki, grube blondyny z paznokciami pokrytymi takim samym fioletem, jeżącym włosy na głowie. Jediną dostrzegalną różnicą było to, że jedna z nich miała w pępku kolczyk, którego brakowało drugiej.

– Joe, prawda?

Zakłopotąła mnie satysfakcja, którą poczułem, widząc, że wie, jak mam na imię – była ona na tyle duża, że go nie poprawiłem. Jego uznanie nie powinno być nic dla mnie znaczyć. A jednak znaczyło.

– W rzeczy samej. A ty jesteś Eric. A wy, piękne panie, to...

– Lindsay.

– Debbie.

Nie złapałem, która z nich to która, więc nazwałem je w duchu Ta Z Pępkiem oraz Ta Bez Pępka. Ukłoniłem się jednej i drugiej.

– To dla mnie zaszczyt i przywilej.

Roześmiały się gardłowo. Jedna z nich podsunęła mi papierosa.

– Muszę dbać o zdrowie – rzekłem. – To moje urodziny.

– Super – powiedziała Ta Bez Pępka. – Wszystkiego najlepszego.

Ukłoniłem się jeszcze raz.

– Aż się prosi o jednego – stwierdził Eric.

Wziął Tę Z Pępkiem pod ramię i weszli do środka. Spojrzałem na Tę Bez Pępka, która się uśmiechnęła i pociągnęła mnie za nimi.

Sprzątnęliśmy miejsce w kącie i Eric wysłał dziewczyny po drinki. Wydawały się zadowolone z tego powodu. Wróciły z tacą zastawioną przelewającymi się kieliszkami.

– Tequiiila – powiedziała Ta Z Pępkiem. Miała mocny bostoński akcent.

Każde z nas nasypało sobie soli i upiło nieco, po czym Eric polecił im przynieść piwo na popitkę.

Kiedy poszły, zapytałem, czy Ta Z Pępkiem to jego dziewczyna.

– Nie, dopiero je poznałem.

– Więc dlaczego kupują nam drinki?

Mimo swojego stanu wciąż potrafiłem znaleźć lukę w logice tej sytuacji.

Eric wzruszył ramionami i mrugnął. Jego podobieństwo do Almy było tak uderzające, że niemal krzyknąłem.

Przypominam sobie tylko strzępki tego, co się stało później. Były drinki, coraz więcej drinków. Dowcipy, które znałem i które nie powinny były mnie śmieszyć, a sprawiły, że bełkotałem coś z zachwytem. Potem przyszło do porównywania tatuaży. Ta Bez Pępka miała delfina na kostce. Ta Z Pępkiem odwróciła się i podciągnęła bluzkę, żeby pokazać „plemienny” motyw na krzyżu. Eric miał na jednym ramieniu AK-47, na drugim zaś dziwnie staromodną głowę jelenia, jakby kazał tatuażyście skopiować dwie sąsiadujące ze sobą strony z „Field & Stream”. Kiedy powiedziałem, że nie mam tatuażu, rozmowa skupiła się na tym, jaki motyw wybiorę, kiedy już (nie: czy) pozwolę się wytatuować. Ta Z Pępkiem opowiadała się za drutem kolczastym wokół bicepsa. Ta Bez Pępka zdawała się sądzić, że bardziej będzie do mnie pasował jakiś chiński znak.

– Wybrałbym Nietzschego! – rzuciłem, przekrzykując muzykę.

Wydali się zdezorientowani.

Wyjaśniłem, że był to dziewiętnastowieczny filozof niemiecki. Wciąż wyglądali na zagubionych, więc dodałem, że też jestem filozofem.

– Och – powiedziała Ta Bez Pępka. – Powiedz coś głębokiego.

Usiłowałem później wyjaśnić jej paradoks stosu.

– To nie ma sensu! – krzyknęła.

Podeszła i usiadła mi na kolanach.

– Właśnie dlatego to paradoks! – odkrzyknąłem. Przepływ krwi w moich dolnych kończynach uległ poważnemu ograniczeniu.

– O czym wy, kurwa, mówicie?! – wrzasnęła Ta Z Pępkiem.

– O piasku! – wrzasnęła Ta Bez Pępka.

– O jakim pieprzonym piasku?!

– To metafora! – krzyknąłem.

Charyzma jest rzeczą tajemniczą i potężną. Nie mam jej zbyt wiele, a i tak ów niewielki zasób funkcjonuje tylko w ściśle określonych okolicznościach. Mogę uchodzić za uroczego dla pewnego rodzaju mądrych kobiet o silnej woli. Ogólnie jednak nie jestem typem, który pozyskuje sobie ludzi w barach. Cokolwiek Eric uczyniłby przeciwko sobie – choćby ta broda na początek –

w jego krwi krążyła o wiele potężniejsza broń, niedostępna dla zwykłych śmiertelników, takich jak ja. Wspomniałem już, że był przystojny na swój drapieżczy sposób. Gdy go poznałem, był tak ponury i okazywał taki brak zainteresowania moją obecnością, iż nie mogłem zaliczyć na jego korzyść niczego więcej jak tylko genetycznych powiązań z Alną. Teraz, będąc pod wpływem gorzały i rozpaczy, dostrzegłem jednak, że się myliłem: w rzeczywistości Eric był nadnaturalnie czarujący, ociekał seksualnością i instynktownie wiedział, co kobiety chcą usłyszeć i kiedy tego pragną. Trudno mi dokładnie sobie przypomnieć, co mówił, lecz same słowa naprawdę nie są ważne; w uwodzeniu, jak w każdej innej postaci handlu, forma wypiera treść. Pamiętam, że wysilałem się, by sformułować pytania, które pozwolą mi odkryć nieco z jego charakteru. Chciałem się dowiedzieć, kim jest ta osoba, ten zaufany mężczyzna obdarzony mocą pozwalającą mu mnie zastąpić. Jakaż to roztopiona substancja wrze w jego wnętrzu? On jednak miał sposób na to, bym czuł się niezręcznie za każdym razem, kiedy zadawałem mu pytanie, na które nie chciał odpowiedzieć. Udawał, że mnie nie słyszy, i bez przerwy patrzył gdzie indziej, trącąc Tę Z Pępkiem nosem, szepcząc jej do ucha i wywołując jej chichot. Obserwowałem jej palec prześlizgujący nad dołkiem w jego piersi i przesuwający do policzka, a potem zahaczający o obwisłe wycięcie t-shirtu. Obserwowałem jej palec przejeżdżający wzdłuż wycięcia na jego kark, a później tanecznie zsuwający się na plecy i wreszcie zatrzymujący się w pobliżu pośladków, gdzie ściągacz majtek górował nad jego spodniami. Eric nie reagował na te zaloty: oczekiwał ich i nie wydawał się ani odrobinę zaskoczony. Ta Bez Pępka też im się przyglądała. Mogła znaleźć się w moich ramionach, ale to jego moc utrzymała ją na miejscu. Chociaż byłem pijany, ze sposobu, w jaki dziewczyny mu odpowiadały, i widząc je pochylone w jego stronę, odczytałem, że zawładnął obiema. Znałem ten widok. Obie wyglądały jak kobiety rozmawiające z moim ojcem.

Obudziłem się, czując, że coś uciska moją twarz. Ciepłe, stęchłe powietrze obmyło moje nagie plecy. Leżąc tam, z piaskiem w oczach i suchością w ustach, wodziłem palcami po powierzchni pode mną, którą wstępnie rozpoznałem jako nieprzykryty niczym materac.

Usłyszałem parsknięcie, poczułem wiercenie się i zdałem sobie sprawę z obecności ciała obok mnie. Uniesienie się na łokciach zmieniło zwykły ból głowy w czyste zło, toteż opadłem na plecy i leżąc w bezruchu, zaczekałem, aż świat przestanie trzeszczeć. Ześlizgnąłem się z pośladka i zacząłem polować na swoje ubranie. Było to prawdziwe wyzwanie, ponieważ w pokoju było ciemno i wszędzie piętrzyły się stosy rzeczy do prania, a ja musiałem się zatrzymać, by pozwolić mdłościom ustąpić.

Znalazłem już obydwa buty, jedną skarpetkę i swoją nierozpiętą koszulę, kiedy z pokoju obok dobiegł krzyk.

– Skurwysyn!

Zaskoczony upuściłem koszulę.

Ciało w łóżku poruszyło się i usiadło. Była to Ta Bez Pępka.

– Hej – powiedziała.

– Sukinsyn!

– Jezu – powiedziała Ta Bez Pępka.

Potarła nos, patrząc, jak myszkuje dokoła jej składanego krzesła.

– Co robisz?

– Skurwysyn!

– Uspokój się! – wrzasnęła Ta Bez Pępka. – Ludzie śpią, ty bezmyślna pi...

Drzwi otwarły się z hukiem. Ja, bez majtek, skoczyłem, szukając ukrycia. Ta Z Pępkiem nie miała takich skrupułów. Kiedy maszerowała, nie mając na sobie nic poza t-shirtem, jej makijaż rozmazał się w barwy wojenne. Zatrzymała się na środku pokoju i podparłszy się pod boki, z drżącymi udami, ryknęła:

– Tygnojugdzietokurwajest?!

Chwyciłem zaskorupiałą ścierkę do naczyń, usiłując dzielnie się nią osłonić.

– Wynoś się, cholera, z mojego pokoju! – wrzasnęła Ta Bez Pępka.

– Gnój! – Ta Z Pępkiem ruszyła prosto na mnie. – Gdzie to jest?!

Objąwszy mnie swymi muskularnymi ramionami, rzuciła mną w kierunku podłogi. Kac i element zaskoczenia sprawiły, że moja przewaga wielkości nie na wiele się zdała. Upadając, zauważyłem jeszcze jeden tatuaż, o którym Ta Z Pępkiem wcześniej nie wspomniała: rechoczącą koniczynę i słowa „Pierdol się Irlandio” wypisane na wewnętrznej stronie jej lewej nogi. Spojrzawszy w górę, zobaczyłem, że się odchyła, żeby mnie uderzyć – i wtedy Ta Bez Pępka wkroczyła do akcji, blokując Tę Z Pępkiem. Przetoczyły się przez pokój, drąc się i wzajemnie szarpiąc za włosy.

– On mi to zabrał! Zabrał!

– Zamknij się, kurwa, ty głupia dziwko!

– Zabrał!

Patrzyłem przez chwilę jak sparaliżowany, po czym ruszyłem się, chwyciłem to, co miałem, i wybiegłem.

Kuchnia była zavalona szklankami i przesypującymi się popielniczkami, a moje spodnie z rozkraczonymi nogawkami wisiały na oparciu składanego krzesła. Zachowałem dość przytomności umysłu, by sprawdzić, czy mam portfel i klucze, i nie przejmując się skarpetkami, wsunąłem bosc stopy do butów.

– Ty skurwysynu!

Ta Z Pępkiem sunęła prosto na mnie, rozstawiając ręce jak zombi i ciągnąc za sobą Tę Bez Pępka uczepioną jej nogi.

– Skur-wy-sy-nu!

Pognałem w dół klatką schodową, ślizgając się na zakrętach i objając o ściany, w stronę dziennego światła; biegłem szybko, dopóki mnie nie zatkało.

– Zaczekaj!

Pojawiła się zadyszana Ta Bez Pępka.

– Trzymaj – powiedziała, wciskając mi do ręki kawałek papieru. – Zadzwonisz?

Z pomocą mapy na przystanku autobusowym ustaliłem, że jestem w Arlington, pięć kilometrów na północny wschód od Cambridge. Ruszyłem na piechotę, oglądając się co chwila za siebie i spodziewając, że któraś z kobiet, a może obie, pomknie za mną. Sklepy były otwarte; było sporo po dziewiątej, a ja czułem się chory, nie zjadłszy śniadania z Alną. Złapałem tempo, truchając, dopóki nie znalazłem taksówki.

Wszedłem do domu przez tylną werandę i przemknąłem się na palcach do swojej łazienki. Gdy już zeszkrobałem z siebie dym papierosowy i brud, pomyślałem o Tej Z Pępkiem i jej oskarżeniach. Jeśli coś się stało, należało za to winić Erica, choć przypuszczam, że wystarczyło jej skojarzenie mnie z nim, by przypisać mi winę. Co takiego właściwie ukradł? Jej torebkę? Telefon? Narkotyki? Cokolwiek by to było, nie miałem z tym nic wspólnego. Wzburzony, szukałem po omacku szczegółów poprzedniego wieczoru, czując się paskudnie za każdym razem, kiedy sobie coś przypominałem. Zobaczyłem grę w picie alkoholu w mieszkaniu dziewczyny i każde z nas rozebrane do bielizny; przypomniałem sobie, że chwyciłem coś spoconego i mięsistego, nie wiedząc, do kogo to należy... Czy wszyscy byliśmy w tym samym pokoju? Czy było aż tak źle? Nie mogłem tego wiedzieć na pewno, ale cokolwiek by się stało, nie można już było tego odwołać; rozdzieliło nas to na wieczność. Miałem ochotę zwymiotować. Byłem winny – nie kradzieży, lecz poniżenia się. Stałem się oskarżonym we własnych oczach: postępowałem tak jak on, zrównałem się z nim i za to się nienawidziłem.

W kuchni Alma postawiła przede mną talerz śledzi i filiżankę czarnej kawy.

– Dzień dobry, panie Geist. Ufam, że przyjęcie było udane. Pomyślałam, że może pan tego potrzebować.

Czerwony ze wstydu zasiadłem do swojego *Katerfrühstück*.

Jest niewiele miejsc piękniejszych niż Cambridge w porze, kiedy wszystko kwitnie, porze tym piękniejszej, że poprzedzały ją jakże ponure miesiące. Lecz dla Almy, której ataki wyzwalane były przez gorąco, wiosenne roztopy oznaczały większe prawdopodobieństwo bycia złożoną cierpieniem. W ciągu trzech dni Alma dwukrotnie nie zeszła na śniadanie, a kiedy zdarzyło się to znów kilka dni później, zadzwoniłem do dr Cargill. Jej rada – przeczekać – nie uspokoiła mnie ani nie usatysfakcjonowała, toteż by zająć czymś umysł, przygotowałem lancz dla Almy, umieściłem go na tacy i zaniósłem na górę. Drzwi sypialni były zamknięte. Niczego nie słysząc, postanowiłem nie pukać, lecz zostawić tacę na podłodze, by Alma mogła coś zjeść, gdy tylko będzie na to gotowa. Ruszyłem na dół, a potem zatrzymałem się i obejrzałem za siebie. Taca stała kilka centymetrów od drzwi. Co będzie, jeśli Alma wyjdzie i wdepnie prosto w jedzenie? Lub jeszcze gorzej: jeśli się potknie i spadnie ze schodów? Odsunąłem tacę o kilkadziesiąt centymetrów. Ale jeśli Alma będzie zbyt wyczerpana, by móc do niej podejść? Ustawiłem tacę bliżej drzwi. A jeśli jedzenie się zepsuje? Alma mogłaby się zatruć salmonellą. Podniosłem tacę; zabrałem ją na dół i zostawiłem w lodówce. Lecz jeśli Alma będzie głodna i zechce coś zjeść, a nie będzie miała siły mnie zawołać? Jeśli mnie zawoła, a ja jej nie usłyszę? Kanapki się nie psują, nieprawdaż? Kiedy zabierałem swój lancz do szkoły, chowałem go w ławce, gdzie fermentował przez cały dzień. Tyle że byłem wtedy dzieciakiem, miałem silny układ odpornościowy i po zjedzeniu nigdy nie chorowałem. Osoby starsze są szczególnie podatne na zatrucie pokarmowe. Mogą umrzeć. Dysponowanie tymi faktami było dla mnie przekleństwem... Ale Alma była zdrowa. Tak jakby. Ale to, ale tamto... Taca powędrowała z powrotem na górę, potem na dół, i znów na górę, i jeszcze raz z powrotem. W końcu zacząłem się martwić, że obudzę Almę tym swoim kręceniem się, więc postawiłem tacę nie za blisko i nie za daleko, po czym zszedłem na dół, żeby jeszcze raz zadzwonić do dr Cargill. Znalazłszy się w kuchni, nie potrafiłem jednak zmusić się do zrobienia czegokolwiek. Nie chciałem wywoływać wilka z lasu. Musiałem uwierzyć, że wybrany przez dr Cargill sposób działania (to znaczy: niedziałania) jest najlepszy. Ale przecież powiedziała, że mogę zadzwonić w każdej chwili.

Ale, ale, ale, ale, ale...

Kiedy tak stałem, spierając się z samym sobą, z palcem gotowym do naciśnięcia klawiszy telefonu, ktoś zadzwonił do drzwi. Pospieszyłem, żeby otworzyć, zanim hałas obudzi Almę.

Na ganku stał Eric patrzący na mnie w sposób, który potwierdzał wszystko,

czego się obawiałem.

– Hej – powiedział. – Jest moja ciotka?

– Nie czuje się dobrze.

– To jeden z jej...

Skinąłem głową.

– To niedobrze.

Nie odpowiedziałem.

– Bo tak jakbym chciał się z nią zobaczyć.

– Nie jest w stanie cię przyjąć.

– Hmm... – Uśmiechnął się, jakby popychanie rozmowy naprzód było moim obowiązkiem.

– Mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

– Muszę się z nią zobaczyć – odpowiedział. – To ważne.

– Ale ona odpoczywa.

– Nie, wiem. Wiesz, co? Myślę, że jednak na nią zaczekam.

– To może potrwać godziny.

– W porządku.

– Ale ona – powiedziałem – ona potrzebuje spokoju.

– Okej.

Cisza.

– Więc może naprawdę będzie lepiej, jak przyjdiesz później.

– Posłuchaj, chłopie. Nie zamierzam tu urządzać imprezy. Na dworze jest gorąco jak cholera.

I przecisnął się koło mnie, przechodząc przez salon do kuchni. Poszedłem za nim.

– Mogę dostać trochę wody? – zapytał.

– Nalej sobie.

Zaczął otwierać po kolei wszystkie szafki.

Poirytowany przyniosłem mu szklankę.

– Hej, dzięki.

Wypił, wydając zwierzęcy odgłos chleptania. Kiedy stanął naprzeciwko mnie, przód jego koszulki był mokry.

– Mówiłem, że jest gorąco.

Wręczył mi pustą szklankę.

– Ale tu zawsze jest chłodno, tak?

Roześmiał się, po czym uniósł plastikową pokrywę, pod którą była jeszcze jedna trzecia cotygodniowego *Sachertorte*.

– Wygląda fantastycznie. Mogę kawałeczek?

Z nieprzekonującym opanowaniem wręczyłem mu talerzyk i niezbędne przybory.

– Pięknie – powiedział, odkrawając wielki kawałek. – Ona lubi swoją czekoladę. Kiedyś zamawiała ją w Szwajcarii.

Wskazałem mu tabliczki leżące na blacie.

– Naprawdę? Cały czas to robi?

– Na to wygląda.

– Cholera – rzekł, potrząsając głową. – Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, co?

– Chyba nie.

– Chyba nie. – Znów się roześmiał. – Chyba masz rację.

Kiedy się pochylił, żeby włożyć widelczyk do ust, dostrzegłem, że jest chudszy, niż myślałem; na jego t-shircie uwydatniały się wypukłości kręgosłupa. Z odrazą zdałem sobie sprawę, że to ten sam t-shirt, który miał na sobie tamtej nocy w barze. Nie potrafiłem jednak powiedzieć, czy prał go od tamtej pory.

Prawidłowo przyrządzony *Sachertorte* jest zbyt suchy, by można było zjeść go bez niczego, tradycyjnie towarzyszy mu nieosłodzona bita śmietana. Mielśmy miskę tego dodatku w lodówce, ale o tym nie wspomniałem; założywszy ręce i oparłszy się o blat, manifestowałem swą obojętność.

Prawda była inna. Bo mimo że nienawidziłem sposobu, w jaki Eric wpełznął się do domu, zakłócając moją samotność i wprawiając mnie w zażenowanie wywołane wspomnieniem naszej pijackiej eskapady, jego impertynencji (Mogę kawaleczek?), tego, czym był – niedostępną dla mnie częścią Almy – i świadomości, że to ja tu jestem gościem, to, podczas gdy to wszystko było prawdą, nadmiernym uproszczeniem byłoby stwierdzenie, że nienawidziłem go albo że chciałem, żeby sobie poszedł. Mogłem się nie zgodzić, by wszedł do domu. Mogłem kazać mu wyjść, kiedy tylko skończył pić lub jeść. Nie zrobiłem tego, ponieważ druga część mnie wciąż wyczuwała w nim okazję do zdobycia informacji. I, przyznaję, nie jestem uodporniony na czysto chemiczne efekty oddziaływania charyzmy. Nie mogłem już temu zaprzeczyć, mogłem tylko udawać, że tamtej nocy w Arlington nic się nie stało: chciałem, żeby mnie polubił.

Odsunął talerzyk i otarł usta nadgarstkiem.

– Jesteś filozofem?

Skinąłem głową.

– To super. Ona musi cię kochać, co?

Wzruszyłem ramionami.

– To znaczy... – Przeciągnął ręką po głowie i znów się roześmiał. – Wiesz, nigdy nie rozumiałem tych rzeczy.

– Tak?

– O, pewnie. Tak. Mam trudności w uczeniu się. To znaczy, zawsze naprawdę ją frustrowałem.

Pomyślałem o czymś, co Alma powiedziała podczas naszej pierwszej konwersacji. „Straszliwą rzeczą jest być głupim”.

– Jak długo z nią mieszkałeś? – zapytałem.

– Dziewięć lat.

– Podobało ci się?

Uśmiechnął się.

– Byłem dzieckiem. Co miałem zrobić?

– Czy ona zawsze chorowała?

– Odkąd ją znam.

Przerwał.

– Budziła się. Słyszałem, jak chodzi na górze, o drugiej, trzeciej w nocy.

Brzmi znajomo?

Przytaknąłem.

– To musi być trudne – powiedział. – To znaczy dla ciebie.

Wzruszyłem ramionami.

– Czasami krzyczała przez sen. Dalej to robi?

Przerażony, potrząsnąłem głową.

– Przez jakiś czas było tak co drugą noc – rzekł, bawiąc się okruchami na talerzu. – Za pierwszym razem, kiedy to się zdarzyło, sąsiedzi zadzwonili po gliny. Myśleli, że kogoś mordują.

Cisza.

– To wydaje się... trudne – stwierdziłem.

– To popaprane, jest, jak jest. – Uśmiechnął się. – Ale co można zrobić?

Nie odezwałem się.

– Więc mieszkasz w pokoju z tyłu – powiedział. – To był kiedyś mój pokój.

Alma o tym nie wspomniała. Zesztywniałem.

– Naprawdę?

– A znasz ten bajer na oknie? Malunek, czy jak to się tam nazywa? Wzór na czapce jest taki sam jak na sierści jelenia.

– Ciekawe – powiedziałem.

– Zauważyłeś to?

Poczułem się głupio, potrząsając głową.

– Nie?

– Nie przyglądam się zbyt często – skłamałem.

– Taaak... – powiedział. – Sprawdź następnym razem. Albo wiesz co...

Wstał i wyszedł.

Właściwie nie potrafiłem krzyknąć, żeby go zatrzymać. Wstałem i podążyłem za nim.

– Widzisz?

Wszedłszy bez pytania do mojego pokoju, stał teraz przy oknie z oprawionymi w ołów szybkami, gestykulując, jakby prowadził teleturniej.

– Sprawdź!

Chciałem się oprzeć, lecz moja ciekawość przeważała. Przemierzyłem pokój. I zobaczyłem: czapka myśliwego i skóra jelenia namalowane zostały taką samą pomarańczową pepitką.

– Zawsze mi się to podobało – powiedział Eric.

Skinąłem głową.

Staliśmy jak jeden, podziwiając sztukę.

– Chłopie, nienawidziłem tego miejsca. Zamykała mnie tu za karę. Ale, hej – roześmiał się – to było dawno temu.

Nie odpowiedziałem.

– A co z pistoletem? – spytał. – Widziałeś go już?

Żarty Almy dotyczące posiadania pistoletu traktowałem zawsze właśnie tak: jako żarty. Pokręciłem głową.

– Och, musisz go zobaczyć. Chodź.

Poszedł w stronę biblioteki, nie oglądając się, by sprawdzić, czy za nim idę.

Dorastając, mój brat i ja mieliśmy ścisły zakaz zbliżania się do szafy stojącej w piwnicy. Sprawilo to, że nie chcieliśmy niczego więcej, a kiedy pewnego wieczoru zostaliśmy sami, pierwszą rzeczą, którą zrobiliśmy – po zjedzeniu całego kokosowego ciasta z kremem – było ukradzenie klucza z szafki nocnej naszego ojca.

Miałem wtedy sześć lat, a Chris nie skończył jeszcze trzynastu. Przepychając się, zbiegliśmy do piwnicy, bojąc się bardziej tego, jak zareagowałby ojciec, niż samej broni. Mój brat wziął sztucer i zaczął celować z niego w różne strony, udając przy tym odgłosy wystrzałów. Podał mi, a właściwie wcisnął broń, ponieważ przyszedłem z nim jako obserwator, a nie współnik, a ja wziąłem ją dopiero po jego długich namowach. Sztucer był ciężki, a jego kolba trzymana przez Chrisa pod pachą ciepła. Wycelowałem w przeciwległą ścianę, nad wysokie kartonowe pudło, na którym widniał napis „Lampki choinkowe” naniesiony staromodnym charakterem pisma mojej matki.

– Zrób to! – powiedział mój brat.

Nie chciałem, ale nabijał się ze mnie tak długo, aż trzęsąc się, pociągnąłem za spust – bez skutku. Broń była wciąż zabezpieczona. Chris zaczął się śmiać, a ja rzuciłem sztucer i pobiegłem na górę zalany łzami.

Tamtej jesieni mój brat zaczął towarzyszyć ojcu podczas wypraw na jelenie. Była to jedna z niewielu rzeczy, którymi mogli zajmować się wspólnie na stopie pokojowej. Być może ich temperamenty utrzymywane były w ryzach z powodu właściwej dla polowań śmiertelności, przelanej krwi i rozdartego mięsa, co wystarczało, by byli świadomi skutków nieprzemyślanego działania. Znikali przed świtem i wracali do domu po zmroku, ze spierzchniętymi ustami i przyklepanymi włosami. Te wyprawy ich zmieniały: w ciągu następnych dni porozumiewali się ze sobą na częstotliwości, której ani ja, ani moja matka nie byliśmy w stanie wychwycić. Tak jawne wykluczenie utwierdziło moje narastające poczucie, że nie mam swojego miejsca.

Patrząc na Erica zdejmującego drewniane pudełko z jednej z górnych półek biblioteki, odczuwałem taki sam niepokój jak lata temu, kiedy pomyślałem, że za chwilę strzełę, wyrwijąc dziurę w ścianie piwnicy.

– Trzymaj – powiedział.

Pudełko z klonowej czeczoty mogłoby zawierać wiele innych rzeczy: motyle, karty do gry albo zestaw małego chemika. Błysnął zatrask.

– Otwórz!

Wnętrze wyłożone było zielonym aksamitem, podobnym do tego na podstawie pół-Nietzschego, lecz cieńszym i bardziej miękkim. Sam pistolet miał wąską lufę wystającą z komory nabożowej jak kość z ciała. Na dolnej powierzchni rękojeści wybity był jakiś znak, zbyt stary, by można było go rozpoznać.

– Nie wiem, czy jeszcze działa – powiedział Eric. – To znaczy, jest dosyć stary.

Przeciągnąłem palcami po aksamicie, po czym, przejęty dreszczem emocji, wyjąłem rewolwer z pudełka.

Każdy z nas to *homo faber* – człowiek, wytwórca i użytkownik narzędzi – a każde narzędzie, które stwarzamy, ma swe przyrodzone przeznaczenie. Gdy określony obiekt spełnia jedną jedyną szczególną funkcję, doświadcza się nieodpartego niemal przymusu użycia go w przewidzianym dla niego celu. Książki przeznaczone są do czytania, ciastka do jedzenia, pistolety zaś służą do strzelania i choć od chwili, kiedy poprzednio miałem broń w ręku, minęły dziesięciolecia, chłód metalu wywołał we mnie przerażającą nagłą chęć zniszczenia czegoś. Zaniepokojony, odłożyłem pistolet na miejsce i wręczyłem pudełko Ericowi, po czym odsunąłem się od niego i od tego.

– Widzisz to?

Wskazał palcem znak tracący swe zarysy.

– S – powiedział. – S.

Spojrzałem na niego.

– Jej ojciec był kimś ważnym w armii austriackiej.

– Produkował instrumenty muzyczne.

– Tak. Miny lądowe też – parsknął. – A myślisz, że jak się wzbogacili? Na fortepianach?

Nie odpowiedziałem.

– Przykro mi, że ci to mówię.

– Ona nie miała z tym nic wspólnego – odrzekłem. – Była dzieckiem.

– Tak – powiedział. – Ano, w porządku.

Cisza.

– Zabrałeś coś tamtym dziewczynom? – zapytałem.

Spojrzał na mnie.

– Ta, którą ty... Ta z... – Gestykułowałem koło brzucha. – Wspominała, że jej coś ukradłeś.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, a potem podszedł do półki. Musiał wspiąć się na palce, żeby odstawić pudełko na miejsce.

– Tak powiedziała, hę?

– Tak.

– A powiedziała, że co ukradłem?

– Nie wiem. Ale była nieźle wkurzona.

Roześmiał się.

– Ach, tak?

– Mówię poważnie. Prawie skręciła mi kark.

– Więc – powiedział, odwracając się – nic o tym nie wiem.

Nie odezwałem się.

– Miała bałagan w pokoju. Czegokolwiek by szukała, pewnie leżało na podłodze.

Zerknął na stojący zegar.

– Chyba nieprędko zejdzie, co?

Pokręciłem głową.

– Powiedz jej, że wpadłem.

Skinąłem.

– Nie przejmuj się mną – powiedział. – Znam drogę do wyjścia.

Tamtej nocy śniła mi się polana w lesie. Przez szkliste liście dostrzegłem ruch i poczułem przestrasz, nie wiedząc, czy jestem myśliwym, czy zdobyczą.

Reakcja Almy na wieść o wizycie Erica była niepokojąco łagodna.

– Bez wątpienia przyszedł po swoje pieniądze – powiedziała. – Dziękuję, że go pan zatrzymał, kiedy odpoczywałam. Na przyszłość będę musiała zostawić panu czek. Będzie pan mógł dać mu go od razu i uwolnić się tym samym od jakiegokolwiek obowiązku zabawiania go.

– Wszystkim, co zrobiłem, było poczęstowanie go ciastem.

– I teraz nie mamy już niczego do popołudniowej herbaty. Szkoda, panie Geist.

– O czym pani mówi?

– Zechce pan sam zobaczyć.

Uniosłem plastikową pokrywę: reszta *Sachertorte* zniknęła.

– Wczoraj było jeszcze dużo.

– Być może zabrał je, kiedy pan nie patrzył – powiedziała. – Można się było tego spodziewać.

Ująłem pustą podstawkę do ciasta obiema dłońmi.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Cierpliwości, panie Geist, stara kobieta potrafi wytrzymać dzień bez deseru. A teraz: miał pan jakąś prośbę.

Ledwie ją słyszałem, kipiąc wciąż ze złości.

– Panie Geist?

– Słucham?

– Wspomniał pan o tym kilka dni temu – powiedziała. – Ale nie poruszyliśmy tej kwestii.

Przypomniałem sobie: telefon od mojej matki. Opowiedziałem Almie o wyjeździe, wspominając o zjeździe rodzinnym i pomijając rocznicę śmierci brata.

– Powiedziałem, że najpierw będę musiał to z panią uzgodnić.

– Naturalnie może pan jechać. Aczkolwiek czuję się zobowiązana zauważyć, że perspektywa ta nie wydaje się nastrajać pana zbyt optymistycznie.

– Bo tak jest.

– W takim razie służę za wymówkę, jeśli będzie się pan chciał od tego wykręcić.

Zawahałem się.

– Naprawdę muszę jechać.

– Zatem bardzo dobrze.

– To potrwa tylko dwa dni.

– Proszę się nie spieszyć z mojego powodu. Będę umiała nieźle sobie

poradzić i bez pana.

Uśmiechnęła się lekko.

– Nigdy nie opowiadał pan o swojej rodzinie.

Wzruszyłem ramionami.

– Czy wolno mi zapytać dlaczego?

– To nic osobistego. Nie ma o czym opowiadać.

– Jest pan zbyt skromny.

– Nie jestem. Oni nigdy nie poznali Wittgensteina. Nie wiedzieli nawet, kto to.

– Oni pana stworzyli, panie Geist.

– Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, w jaki sposób.

Czekała, aż powiem więcej. Nie zrobiłem tego jednak, więc rzekła:

– Oczywiście w końcu to pańska sprawa.

Jej głos zabrzmiał wówczas inaczej. Być może poczuła się zirytowana moimi wymijającymi odpowiedziami, podczas gdy sama opowiedziała mi o sobie tak wiele. A może tym, co usłyszałem w jej głosie, była troska? Tak czy owak, po chwili wróciliśmy do tematów bardziej przyjemnych dla nas obojga.

Eric zaczął regularnie przychodzić po pieniądze. Opanowanie Almy związane z tym faktem wprawiało mnie na tyle w silne rozdrażnienie, że zacząłem wymykać się za każdym razem, kiedy tylko usłyszałem jego kroki na frontowych schodach. Jeśli nie udało mi się wyjść w porę, byłem proszony o dotrzymanie im towarzystwa, co było dla mnie najgorszym rodzajem tortury. Nie odzywałem się wówczas, odliczając minuty, po czym, znalazłszy jakąś wymówkę, szedłem do swojego pokoju, w którym przyciskałem poduszkę do uszu i podsycalem swą frustrację, usiłując ocenić, ile pieniędzy Eric otrzymał od Almy przez wszystkie lata. Powiedzmy, średnio sto dolarów tygodniowo przez... Teraz jakaś liczba – dajmy na to piętnaście lat... Co daje około osiemdziesięciu tysięcy dolarów – to szokująca kwota, zważywszy, że Eric nie robił nic poza wyciąganiem ręki. Gosposia i ja przynajmniej zarabialiśmy na utrzymanie. Na co – poza jedzeniem i nałogami – mógł wydawać tyle pieniędzy? Trzeba było temu zapobiec; to nie było w porządku, to nie było dobre ani dla niego, ani dla niej, ani dla nikogo innego. Po czym strofowałem samego siebie: kimże jestem, by jej mówić, jak ma wydawać swoje pieniądze? Cóż za pewność siebie i zuchwalstwo! Ale jako ktoś, kto się o nią troszczy, nie potrafiłem znieść tego nadużywania jej hojności. Gdybym w którymś momencie nie przemówił w tej sprawie, to czy zrobiłby to ktokolwiek inny?

I tak tam i z powrotem.

Tym, co naprawdę mnie denerwowało, było ożywienie Almy w jego obecności, przeradzające się, przynajmniej na krótką chwilę, w wyraźną kokieterię. Pochlebstwa Erica były tak jawnie sztuczne, że nie potrafiłem zrozumieć, w jaki sposób kobieta o jej inteligencji i wyrafinowaniu daje się na nie nabrać. Postrzeganie tej sytuacji było dla mnie bolesne. Z upływem tygodni, spędzając więcej czasu na obserwowaniu ich, zacząłem rozumieć,

dlaczego nie potrafiłem rozgryźć osobowości Erica: on jej nie miał. Reagował tylko na bezpośrednie bodźce i tylko po to, by móc zaspokoić swe pragnienia. Chciał od Almy pieniędzy, a żeby je dostać, zmieniał się zależnie od potrzeby. Jeśli ona okazywała kokieterię, on zachowywał się podobnie, a jeśli zamykała się w sobie, stawał się łagodny i dociekliwy. To, że umiał tak szybko dostosować swój nastrój do nastroju Almy, stało się dla mnie dowodem, że brak mu wnętrza. Prawdopodobnie nie potrafiłbym zachować się tak samo. Byłem prawdziwym człowiekiem o niezależnym umyśle i brakowało mi talentów kameleona. Jak zatem udawało mu się ją oszukiwać? A raczej – dlaczego to ona mu na to pozwalała? Torturowałem się tym pytaniem. Bezustannie porównywałem się z Erikiem. Byłem książką, a on filmem. Im częściej powracałem w myślach do tej metafory, tym bardziej wydawała mi się trafna. On cały był powierzchnią, ja miałem głębię. On stanowił płytką odmianę, ja wymagałem dokładności i skupienia. Byłem subtelny tam, gdzie jemu brakowało bystrości, grzeczny tam, gdzie on okazywał prostactwo, i tak dalej, i tak dalej – wszystkie te samochwalcze porównania nie poprawiły mojego nastroju ani odrobinę. Nie miałem bowiem wątpliwości co do sposobu, w jaki Alma patrzyła na Erica. Nie mogłem sobie życzyć, by zniknął, i z niechęcią doszedłem do wniosku, że raz jeszcze przeceniłem swą ważność, a nie doceniłem ludzkiej zdolności do oszukiwania samego siebie. Czasami, jak na to wyglądało, dama po prostu chciała się wybrać do kina.

Jednak daleko bardziej martwił mnie związek między jego wizytami a napadami jej choroby. W ciągu kilku godzin od jego wyjścia Alma dostawała ataku i zaszywała się w swoim pokoju na resztę dnia. Wieczorami prześlizgiwałem się po schodach, by zostawić jej tacę z jedzeniem, które zawsze pozostawało nietknięte; ja jednak z uporem przygotowywałem je raz za razem. Widziałem krzywdę, jaką Eric wyrządzał Almie, i to wystarczało, bym chciał uniemożliwić mu wejście do domu. Nie na tym jednak polegała moja rola, przypatrywałem się zatem biernie, wykrzywiając twarz, jak dzwoni do drzwi, przerywa nam rozmowę i nieproszony dołącza do nas podczas obiadu. Śmiali się i wzajemnie szturchali, przerzucając się swymi prywatnymi żartami, ja zaś denerwowałem się w milczeniu, dopóki, nie mogąc znieść tego dłużej i wymyślając fikcyjne spotkania, wymykałem się z pokoju, a potem chodziłem godzinami, mrużąc do siebie i kopiąc kawałki darni na trawiastych terenach nad Charles River. Albo maszerowałem do Science Center, siadałem przy komputerze i wielokrotnie sprawdzałem wiadomości, które nie nadeszły. Przetraszałem sieć w poszukiwaniu informacji zarówno o Almie, jak i Ericu, wierząc, że im więcej będę o nich wiedział, tym bardziej będę mógł ich kontrolować. Był to ewidentnie dziecinny pomysł, a zresztą i tak nie natrafiłem na ślady obecności któregokolwiek z tych dwojga w cyberprzestrzeni. W przypadku Almy było to zrozumiałe. Co do Erica – przypuszczalnie dawno już zrezygnował z bycia częścią normalnego społeczeństwa. Niemożność znalezienia jego nazwiska zasugerowała mi, że nie ukończył szkoły (o ile

w ogóle zaczął do niej ucześnieć). Jeśli dobrze wiedziałem, nie miał pracy, a jego jedynym zajęciem było naciąganie Almy i rujnowanie mojego życia.

Stałem też czasem pod domem Yasminy, moim byłym domem, wyobrażając sobie ją w środku odcedzającą makaron podczas telefonicznej pogawędki z narzeczonym, usiłując nałożyć swą nienawiść do niego na nienawiść do Erica, zlewając ze sobą dwie zazdrości pobudzające się wzajemnie w sposób wykładniczy, piętrząc swą krzywdę i wprawiając siebie samego w takie szaleństwo, że wróciwszy do domu, nie byłem w stanie zrobić nic innego, jak tylko, położywszy się w swoim pokoju, parskać i gapić się w sufit.

„Cierpliwości, panie Geist”.

Cierpliwości do czego? Na co miałem czekać? Było dla mnie niemożliwe nie nienawidzić Erica, zwłaszcza gdy zapanowało lato i ataki Almy przybrały zarówno na częstości, jak i na sile. Potrzebowała go mniej, nie bardziej. Mimo to wciąż przychodził, a ona go przyjmowała, tylko po to, by poddać się bólowi, kiedy oddalał się z czekiem w ręku.

W zasadzie przestałem dzwonić do dr Cargill, której instrukcje były zawsze takie same: zostawić Almę w spokoju, nie wpadać w panikę, to przejdzie. Zacząłem powątpiewać w sensowność takiego podejścia. Możliwe, że wcześniej zdarzyło się to już dziesiątki razy, to prawda. Lecz gdyby kolejny atak okazał się śmiertelny? Gdyby stało się coś jeszcze, coś niespodziewanego – udar albo poślizgnięcie się w łazience? Wszystko mogło się zdarzyć.

Po czerwcu nadszedł lipiec, po lipcu sierpień. Alma zmizerniała i spędzała więcej czasu w swym pokoju niż poza nim, pozostawiając większość dnia do mojej dyspozycji. Mógłbym wtedy robić wszystko, na co miałbym ochotę. Mógłbym pójść na mecz bejsbola w Fenway. Pobiegać dokoła Fresh Pond. Przyglądać się leniwemu życiu kampusu, pożerając wzrokiem studentki szkoły letniej. Zachowywać się stosownie do wieku: być normalnym młodym mężczyzną. Ale odmówiłem sobie tego wszystkiego. Kręciłem się przez cały dzień po domu, czekając, aż Alma wyjdzie i poprosi mnie jeszcze raz o konwersację, przywracając rytm, który tak polubiłem i który, jak czułem, zanikał. Pozwalałem wszystkim tym dniom mijać niepostrzeżenie, nocą zaś, kiedy cierpiałem na bezsenność i słyszałem nad sobą kroki Almy chodzącej wkoło, chciałem, by potrafiła ustąpić w swej dumie przynajmniej na tyle, by pozwolić mi przyjść i usiąść obok. Na jej miejscu nie chciałbym być sam. Może to był mój problem: umiałem sobie wyobrazić tylko to, czego ja bym chciał. Dla niej ważniejsze od towarzystwa było nie być widzianą w tak mizernym stanie. Starłem się, jak mogłem, przyjąć tę prawdę. Alma nie chciała, bym jej żałował, a ja nie próbowałem tego robić. Nie wiem, jak bardzo mi się to udawało, lecz próbowałem.

W końcu nie potrafiłem się powstrzymać. Otworzyłem nad parą kopertę, którą zostawiła mi Alma, i doznałem szoku, odkrywając, że czek dla Erica opiewa nie na sto, lecz na pięćset dolarów. Byłem zszokowany – i wściekły. Ponieważ z biegiem lat kwoty tego rzędu złożyły się na całą fortunę, ponieważ

on zawsze wywoływał wrażenie, że znajduje się na skraju nędzy, ponieważ było to o wiele więcej, niż płaciła mi Alma – on zawsze dostawał tyle, ile ja dostałem od niej na urodziny. Z wielkim trudem powstrzymałem się od podarcia czeku na strzępy. Nie uczyniłem tego, bo jakkolwiek dobrze bym się poczuł, byłaby to jedynie moja doraźna reakcja na chroniczny problem. Nie – tym, czego potrzebowaliśmy, było rzeczywiste, konsekwentne działanie. Kiedyś nadejdzie taki dzień – często o tym fantazjowałem – kiedy mu się przeciwstawię. Fantazje te wymagały ode mnie czasami złajania go. Czasami bywały bardziej brutalne: walę go w ucho, chwytam za kołnierz i zrzucam ze schodów jak karton, ze śladem swojego buta odcisniętym na jego tyłku. W moich fantazjach Alma zawsze się załamywała, przyznając, że mam rację, że musi go wydziedziczyć, raz na zawsze, że jestem jej obrońcą, jej aniołem stróżem i że nie może nic zrobić beze mnie – dziękuję panu, panie Geist, dziękuję, dziękuję.

W samą porę – powiedział Eric.

Wkroczyłem na werandę. Kiedy Daciana zaczęła sprzątać, wyszedłem na spacer; teraz moja koszula była wilgotna po wędrówce przez rzekę do Szkoły Biznesu i z powrotem. Kombi Daciany nie stało już na podjeździe.

– Pukałem – powiedział. – Już miałem sobie pójść.

Poprosiłem, żeby zaczekał na czek na zewnątrz, i poszedłem do biblioteki, gdzie wcześniej wcisnąłem kopertę na jedną z półek. Kiedy po nią sięgałem, moje oko przyciągnął błysk zatrasku pudełka z rewolwerem.

– Chcę cię o coś spytać.

Nie usłyszałem, jak za mną wszedł; poczułem, że skóra napręza mi się na czubku głowy, i odwróciłem się, ściskając mocno czek w palcach.

– O co?

– Wszystko w porządku?

– Co masz na myśli?

– Czy wszystko w porządku. Z nami.

– Dlaczego miałyby nie być?

– Nie wiem, kurczę. Czuję, że nie za bardzo mnie lubisz.

– Nie wiem, dlaczego tak myślisz.

– Bo za każdym razem, kiedy przychodzę, patrzysz na mnie, jakbyś chciał mnie obedrzeć ze skóry. – Uśmiechnął się. – Ej, żartuję. I chcę ci coś powiedzieć. Myślę, że to fantastyczne, to wszystko, co robisz dla mojej ciotki. To świetnie, że ma kogoś takiego jak ty. Zrobiłbym dla niej to samo, gdybym mógł.

Nie odezwałem się.

– Ale poważnie: chcę, żebyśmy byli wyluzowani. Chyba jesteśmy?

– Oczywiście.

– O kurczę – powiedział. – Gówniany z ciebie kłamca.

Poczułem, że się rumienię.

– Nie jest tak, że cię nie lubię.

– Ale to nie znaczy, że lubisz.

– To... To wcale nie tak.

– Więc mówisz, że mnie lubisz?

– Ja... – Popatrzyłem na niego spokojnie. – Nie mam o tobie zdania.

Wytrzeszczył oczy. A potem wybuchnął głośnym, dziwacznie sztucznym śmiechem, takim jaki słycać w sitcomach.

– Mógłbyś przestać? – zapytałem. – Ona śpi.

– Śmieszny jesteś. Wiedziałaś o tym? Dobijasz mnie.

– Czy mógłbyś przestać?

– Tak – powiedział, wciąż się śmiejąc. – Przepraszam.

Cisza. Podałem mu czek.

– Hej, dzięki.

Miałem nadzieję, że teraz, kiedy już dostał swój prezent, pójdzie sobie, ale się nie ruszył i stał, szczerząc zęby.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś? – zapytałem.

– Nie, wszystko w porządku. Ale zaraz – zjadłbyś coś? Bo ja umieram z głodu. Masz ochotę na lancz?

Byłem faktycznie bardzo głodny, ale nie zamierzałem mu tego powiedzieć. Wzruszyłem ramionami.

– Chodź, ja stawiam. W dowód wdzięczności.

W ciągu dziesięciu minut, których potrzebowaliśmy, by dojść na Central Square, musiałem po raz setny zadać sobie pytanie: dlaczego to robię? Odpowiedź brzmiała: dla Almy. To dla Almy zniosę siedzenie z nim. I dla Almy zatrzymam go z dala od domu.

– Jesteśmy – powiedział, przytrzymując otwarte drzwi irlandzkiego pubu.

Jego bywalcy przypominali mi mojego ojca: robotnicy o przygarbionych sylwetkach świadczących o życiu, w którym jedyną pociechą jest wygodny fotel z podnóżkiem. Przyciszone radio wyrzucało z siebie jakąś wrzaskliwą i agresywną piosenkę, co sprawiało wrażenie, jakby jej wykonawca chciał rozedrzeć wszystko na strzępy, czyniąc to jednak delikatnie.

Znaleźliśmy wolny boks i złożyliśmy zamówienie, a Eric przejął kontrolę nad rozmową, pytając, gdzie się urodziłem, jak trafiłem na Harvard, gdzie mieszkałem, zanim poznałem Almę, i tak dalej. Odkąd zaczął przychodzić, robiłem, co mogłem, by nie wdawać się z nim w rozmowę. W pewnym sensie przygotowałem się też do tego lanczu, bo mógł zadać mi mnóstwo pytań i nie wyglądałoby to wcale na przesłuchanie, a ja nie mogłbym się wykręcić od odpowiedzi, nie wychodząc przy tym na głupka. Społeczne uwarunkowania i charyzma łączą się w potężne serum prawdy: wiedziałem, co się dzieje, lecz równocześnie przyłapywałem się na tym, że wyjawiam więcej, niż należy. Więcej niż kiedykolwiek powiedziałem Almie. Zanim doszliśmy do śmierci mojego brata, pojawiło się jedzenie. Poczulem wdzięczność, że mogę sobie czymś zatkać usta. Zaczekałem, aż Eric ugryzie kawałek burgera, i spróbowałem przejąć stery.

– Więc czym się zajmujesz? – zapytałem.

Przerwał żucie.

– Ja?

– Tak.

– Ale o co pytasz?

– O to, co robisz.

– Na przykład o moją pracę?

– Jeśli tak wolisz...

– W porządku – powiedział. – No, wiesz... Zajmuję się kilkoma rzeczami.

– Na przykład jakimi?

– Interesami – odrzekł. – Ale naprawdę nie mogę o tym rozmawiać.

– Brzmi to bardzo tajemniczo – stwierdziłem.

– Nie chcę niczego zapeszyć, wiesz? Robię to, co muszę. Wszyscy musimy, zgadza się? Ty też robisz to, co musisz. To znaczy, popatrz na siebie.

Odłożyłem burgera.

– Jak to?

– Mówię, że jesteś w domu. Tu jest twoje miejsce.

Milczałem.

– Cieszę się, że jesteś przy Almie. Jak powiedziałem, gdybym mógł, byłbym na twoim miejscu. Wiesz, że nie mogę. Mieszkałem z nią i to nie był dobry układ. Ale ona potrzebuje kogoś w pobliżu i muszę, kurczę, powiedzieć: cieszę się, że to ty.

– Dzięki...

– To znaczy, ty naprawdę się o nią troszczysz, prawda?

– Oczywiście.

– Mówię ci, to widać. Ja też się o nią troszczę. Wiesz, martwię się o nią cały czas. To coś, co ona ma... Nie mów, że ciebie to nie martwi.

Nie odpowiedziałem.

– Martwi cię to?

– Tak.

– No proszę... Pewnie, że tak, przecież się o nią troszczysz. To znaczy, musisz sobie zadać pytanie, czy jej się poprawia. – Przerwał. – Co myślisz?

– O czym?

– Czy jej się poprawia, czy nie.

– ...nie.

– Czyli faktycznie się pogarsza.

Cisza.

– Trudno powiedzieć – rzekłem.

– Więc jeśli chcesz znać moje zdanie, to jeszcze nigdy, cholera, nie widziałem, żeby było tak źle, a długo ją znam. Teraz, to dwa, trzy razy na tydzień?

– Nie zawsze jest tak źle.

– Ale czasami jest.

Skinąłem głową.

– Kurczę, to obłąd. Nigdy tak nie było, kiedy z nią mieszkałem.

– Chyba tak.

– Mówię ci. Nawet ty musiałeś zobaczyć wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że jej się nie poprawia.

Przyznałem, że nie.

– No dobra – powiedział. – To znaczy, na tym etapie prawdopodobnie nikt nie zna jej lepiej niż ty i ja. Więc co myślisz?

– A myślisz, że co myślę? Myślę, że to straszne.

– Nie... Nie o tym mówię. Chodzi mi o to, czy twoim zdaniem jest szczęśliwa?

Chciałem natychmiast wypalić, że tak, oczywiście jest szczęśliwa, oczywiście. W końcu ma mnie. Ale czy mogłem tak stwierdzić z całkowitą szczerością? Poczułem wstyd, zdawszy sobie sprawę, że przez cały czas mojej znajomości z Alną nigdy nie pomyślałem, żeby zadać sobie to pytanie. Jak się mierzy szczęście? Czy można wyznaczyć jego ilość? Teraz utylitarną próbę uczynienia właśnie tego można uznać za śmieszna. Policzmy zatem drobne przejawy: Alma uśmiechała się zawsze, kiedy rozmawialiśmy (choć jak często zdarzało nam się to w tych dniach?) i wciąż jadła swą czekoladę (ale jak często odczuwała głód?). Czy te zachowania cokolwiek znaczyły? Czy były to artefakty? Gdzie należało szukać prawdziwych dowodów? Powróciłem w myślach do naszej pierwszej rozmowy, która zaczęła się od pytania: Lepiej być szczęśliwym czy inteligentnym? Wtedy przeciwstawienie sobie tych dwóch pojęć wydawało się nadzwyczaj rozsądne. Teraz, kiedy siedziałem, słuchając cichej furii sączącej się z radia, a kelnerka powiedziała barmanowi, żeby ją pocałował w zadek, i widziałem mężczyzn parszkających do swoich kufli, zastanowiłem się, czy szczęście, które przypisywałem Alnie, nie było jedynie bładą projekcją tego, co mi przekazywała.

– Nie wiem – powiedziałem.

– Jeśli nie wiesz – odrzekł – to odpowiedź brzmi „nie”.

Milczałem.

– A co będzie, jak jej się pogorszy? Musiałeś o tym pomyśleć.

– Mam nadzieję, że się tak nie stanie.

– Oczywiście, masz. To znaczy, pewnie, chciałbym umieć to zatrzymać. Ale to pozory. Jeśli nigdy nie będzie lepiej i ma być gorzej, a wygląda na to, że będzie, to co z tym zrobisz? To znaczy, co do cholery się robi?

– Nie wiem.

– Ani ja. Po prostu, cholera, nie wiem. Nikt nie wie. Wiesz, może nie ma na to odpowiedzi.

– Może nie ma.

– Tak, może.

Studiował swe paznokcie.

– Nie wiem, jakie masz zdanie na ten temat, ale skoro się o nią troszczysz

tak jak ja, to założę się, że też o tym myślisz. Czasami się zastanawiam, czy nie byłoby lepiej, to znaczy lepiej dla niej, żeby po prostu... Wiesz?

Przyłapałem się na potakiwaniu i przestałem. Myślał, że co takiego dokładnie wiem?

– Dla jej dobra – dodał.

To, co wyczytałem z jego oczu, zmroziło mnie.

– I jak chłopaki, gotowi? – zapytała kelnerka.

Eric uśmiechnął się do niej.

– Gotowi.

– Jak będziecie chcieli piwa, krzyczcie.

– Może być.

Poszła. Kiedy się znowu odezwał, słyszałem go przez trzaski radia.

– Posłuchaj – powiedział. – Cokolwiek jej się stanie, a coś kiedyś musi się stać, i to dla jej dobra, musisz mieć nadzieję, że nastąpi to raczej wcześniej niż później. Ona cierpi ból. Raczej wcześniej niż później coś się wydarzy. Myślenie o tym może być trudne. Może nam z tym być niedobrze. Ale to fakt. Takie jest życie. Wiesz, o co mi chodzi? Mogę ci powiedzieć, co myślisz: „Popatrz na nią, ma już – ile? Siedemdziesiąt pięć? Siedemdziesiąt dziewięć? Nawet jeśli sobie wygodnie usiadziemy i będziemy czekać, to ile to jeszcze potrwa?”. I miałbyś rację, myśląc w taki sposób. Więc pozwól, że powiem ci coś jeszcze, coś, czego możesz nie wiedzieć, to taka rodzinna historia. Musisz mi uwierzyć, że Alma mogłaby się trzymać jeszcze bardzo, bardzo długo. W naszej rodzinie to dziedziczne. Dłużej niż ktokolwiek chce – a przede wszystkim ona. To znaczy, jesteś bystry. Użyj przez chwilę wyobraźni. Czym musiałoby to być dla niej, gdyby trwało przez, nie wiem, dwadzieścia lat? Nagle to już nie jest takie proste.

– Czyżby?

– Więc co to oznacza dla nas na co dzień? Uważam, i to jest tylko moje zdanie, ale myślę, że oparte na fakcie – uważam, że my, to znaczy ty, ja i ona, musimy się skupić na teraźniejszości. Na tym, co się dzieje obecnie. Myślę, że tym, co nas tu trzyma, jest równowaga sił. Jeśli chcesz wiedzieć, to nie jest ona złą rzeczą. Tak powinno być. Jesteś tam. Jesteś z nią. Jesteś tym, którego ona widzi codziennie. Jeśli coś idzie nie tak, to właśnie ty możesz powiedzieć, co zaszło. A rozwój sytuacji ma dużo wspólnego z tym, co zdecydujesz.

Tak to wygląda i wszystko, co się teraz stanie, naprawdę zależy od ciebie.

I powiem ci jeszcze coś. Moja babcia zmarła, moja mama i mój tata też. Więc dla niej to już koniec, wiesz? Jestem tylko ja. Do czego potrzebny mi dom? Nie potrzebuję go. To znaczy, jeśli coś się stanie, będzie mój. Okej. Ale w zależności od tego, jak się wszystko rozegra, mógłby być twój, gdybyś chciał.

Ale wiesz co? Mogę powiedzieć, że nie czujesz tego na sto procent. Widzę to. W porządku. Pewnie, że nie czujesz; to coś, o czym prawdopodobnie nigdy wiele nie myślałeś, a jeśli tak, to tylko z jednego punktu widzenia. Pozwól więc, że podam ci inne pod rozwagę. I nie chodzi o kwestię twoich czy moich

korzyści. To kwestia tego, co jest najlepsze dla niej. Kwestia godności. Sam powiedziałeś, że jej się nie poprawia. Cierpi ból. Właśnie dlatego mówię, że musimy popatrzeć na to z jej perspektywy. Czy jest szczęśliwa? To znaczy, ty to powiedziałeś. Nie. Nie jest. To nie jest naturalne. A jest? Sam powiedz. Czy to naturalne, że ktoś budzi się codziennie i doświadcza takiego rodzaju bólu? Pewnie, że nie. To znaczy, nie byłoby to naturalne dla nikogo, ale ona jest taką osobą, dla której będzie to trudne, o wiele trudniejsze niż dla przeciętnego człowieka. Wiem o tym. Ty też. I także nie jesteś przeciętnym człowiekiem, więc postaw się w jej sytuacji i zadaj sobie pytanie: Czy naprawdę tego chcę? I to ty mi powiedz, jaka będzie odpowiedź.

Rozparł się wygodnie.

– Ty mi powiedz.

– Przepraszam cię na chwilę – powiedziałem.

Powiedział mi gestem: idź.

Zamknąłem się w kabinie łazienki i stałem dłuższą chwilę, masując sobie pierś. Czy to się wydarzyło naprawdę? Zaproponował mi dom? Konspirował ze mną nad cheeseburgerami? Niemożliwe. Wiedziałem, co powiedział. Powiedział, a mimo to nie powiedział.

Czego się spodziewał?

Oczekiwał, że będę chciał z nim o tym dyskutować?

Że zacznę opowiadać się po jego stronie?

Świat był nierealny, płytki na podłodze łazienki wirowały, a toaleta zamieniła się w wyszczerzoną zmore.

Klepnąłem się po twarzy.

Na moim miejscu w boksie siedziała kelnerka. Kiedy się zbliżałem, przesunęła po stole kawałek papieru w stronę Erica i wstała, wygładzając spódnicę.

– Trzymaj się – powiedziała.

– Jasne – odrzekł. A do mnie: – Gotowy?

Ruszyłem do drzwi.

– Chwileczkę – powiedział, podnosząc rachunek.

Odruchowo sięgnąłem po portfel i wyjąłem dwudziestkę.

– Hej, dzięki – rzucił, wrywając mi banknot i rzucając go na stolik. – Nie musiałeś tego robić.

Otępiały wyszedłem prosto w oślepiające letnie słońce. Nie miałem zamiaru za niego płacić, ale z jakiegoś powodu to zrobiłem.

Nie musisz mnie szukać – powiedział Eric, kiedy staliśmy na rogu Mass Avenue i Prospect. – Mam trochę spraw do załatwienia, ale będę w pobliżu. Tymczasem się zastanów, a kiedy znowu zobaczysz, że cierpi, pomyśl o tym, co ci powiedziałem. Uśmiechnął się, klepnął mnie po ramieniu i odszedł w kierunku stacji metra. Przez migoczącą chmurę spalin dostrzegłem, jak znika pod ziemią.

Nigdy oczywiście nie życzyłbym Almie ataku, lecz przyznam, że właśnie wtedy poczułem ulgę, że nie muszę jej widzieć. Siedzieć i gawędzić z nią, jakby wszystko było po staremu, i patrzeć jej w oczy – nie sędzę, bym potrafił to zrobić. Przez kilka godzin krążyłem po bibliotece, usiłując zrozumieć to, co się właśnie wydarzyło.

Poinformować policję. To automatyczna pierwsza reakcja. Ale co im powiedzieć? Eric nie poprosił mnie o zrobienie czegokolwiek, nie wprost. Opisał sytuację – chora staruszka, majątek – i zostawił mnie, bym wyciągnął własne wnioski. Mimo że jego zamiary były niedwuznaczne, moje próby skłonienia go do mówienia bez ogródek okazały się bezskuteczne. Dużą część tego, co mi powiedział, wyraził bez słów – mimiką, pauzami i prozodią; krążąc wokół sprawy, przedstawił ją w sposób o wiele bardziej dobitny, niż mógłby to uczynić, mówiąc wprost. Zdałem sobie sprawę, że jest prawdziwym Europejczykiem, a jego ton to dzieło sztuki dramatycznego podtekstu.

Czy mówienie o takich rzeczach to przestępstwo? Czy moja rezygnacja z doniesienia o naszej rozmowie uczyniłaby mnie współsprawcą czegokolwiek, co stanowiłoby jego następny krok? Czy byłbym odpowiedzialny w świetle prawa? Moralnie? Zobaczyłem siebie wchodzącego na posterunek policji (wyobraziłem go sobie jako bibliotekę, tyle że z bronią i bandytami zamiast książek), podchodzącego do biurka dyżurnego i proponującego dobrowolnie złożenie zeznania. Jak by to wyglądało w oczach policjantów? Najprościej mówiąc, tak: zgodziłem się pomóc Ericowi, a później się wycofałem. Nie wiedziałem, dlaczego wybrał mnie, ale policjanci uznaliby, że miał powód, by to zrobić; chcąc poddać się badaniu, stałbym się podejrzanym w sprawie przestępstwa, którego nie popełniono, które mogło nigdy nie zostać popełnione – z powodu pomysłu, o którym mógłby nie wiedzieć nikt poza nami dwoma. Mógłby z łatwością powiedzieć, że to ja zwróciłem się do niego albo że w ogóle nic się nie stało. Podniósłbym fałszywy alarm dotyczący mnie samego. Nie, policja była wykluczona. Komu zatem powiedzieć? Almie? W najlepszym wypadku uznałaby to wszystko za niespójne albo – co bardziej prawdopodobne – za urojenie. To samo dotyczyło lekarki oraz moich przyjaciół. Być może stanowiło to polisę ubezpieczeniową Erica: wiedział, że szukając pomocy, sprowadziłbym podejrzenia na siebie albo wyszedłbym na obłąkańca. Co mogło być dalej? Dalsze nakłanianie. Gdyby nie poskutkowało – pojawiłyby się groźby. Fizyczne zastraszanie. Mógłby też postarać się o innego współnika, a gdyby go znalazł, stałbym się człowiekiem, który wie za dużo.

„Kiedy znowu zobaczysz, że cierpi, pomyśl o tym, co ci powiedziałem”.

Co takiego we mnie sugerowało, że chciałbym rozważyć pomysł tego rodzaju? Myślał, że uda mu się mnie przekonać? Myślał, że przekonywanie mnie nie jest potrzebne? Pomyślałem o wszystkich chwilach, kiedy siadałem obok niego i obserwowałem, jak flirtuje z Alną. Dałem mu zielone światło? Popatrzyłem na niego w niewłaściwy sposób? Uśmiechał się do mnie i przytakiwał mi, a ja rewanżowałem mu się tym samym? Co takiego zrobiłem, że tak się stało? Od kiedy to planował? Odkąd się poznaliśmy? Od naszej nocy w Arlington? Czy ją też zaplanował? Czy dziewczyny maczały w tym palce? Czy poranna scena odegrana została z premedytacją, by doprowadzić do takiego, a nie innego końca? Lecz teraz to naprawdę wyglądało na urojenia.

Najgorszy ze wszystkiego był sposób, w jaki Eric ujął swój pomysł: przedstawił go jako akt litości. Było to ostrze wymierzone w moje słabe punkty; czy naprawdę widział to w taki sposób? Musiał walczyć z samym sobą; czy też było to dla niego łatwe? Czy pomysł ten kapał jak woda w jaskini, rozpuszczając skałę jego sumienia? A może sumienie nigdy nie było dla niego najważniejsze?

Co ze mną?

Czy wiedział, co robi, mieszając mi w głowie?

Wszyscy miewamy myśli, których nie chcemy. Podczas gdy nie potrafiłem pojąć sposobu myślenia Erica, myślałem o tym, co powiedział. Jak mogłem nie myśleć? Nie potrafiłem usunąć z pamięci jego pomysłu. Jak na przekorę, było odwrotnie. Im usilniej starałem się nałożyć mu kaganiec, tym intensywniej ujadał. Myślałem o tym, owszem: myślałem o tamtej nocy, kiedy słyszałem Alnę kuśtykającą na górze, kiedy chciałem do niej pójść, lecz powstrzymałem się w obawie, że ją urażę. Myślałem o tym przez następny tydzień, kiedy temperatura gwałtownie wzrosła i Alnie się pogorszyło, a ja musiałem po raz kolejny wezwać lekarkę i po raz kolejny usłyszałem, że nie można nic zrobić. Myślałem o tym; myśl ta, jak robak, wygryzała sobie drogę do mojej świadomości; myślałem o tym, kiedy rozlegał się dzwonek u drzwi, a on stał na werandzie, mrugając do mnie; myślałem, wręczając mu kopertę, myślałem, zatrzasnął drzwi i uciekając do biblioteki, by się ukryć w książce.

Zacząłem myśleć o tym cały czas.

Ponieważ nie można było powiedzieć, że pomysł ten nie miał ani jednej dobrej strony. Istniało coś, co przemawiało za złagodzeniem cierpienia, nieprawdaż? Było to ostatecznie to, co robili lekarze podnoszący „komfort życia” pacjentów. Przepisywali leki oddzielające umysł od rzeczywistości, środki przeciwbólowe, które stopniowo wyłączały ciało. Powolniejszy rodzaj śmierci, ale czy to tak wielka różnica? Nie żebym był lekarzem ani był upoważniony do działania w taki czy inny sposób. Lecz gdy ktoś znajduje się w ekstremalnej sytuacji – a tak bez wątplenia było z Alną – to czy różnica pomiędzy morfiną a tym, czego oczekiwał ode mnie Eric, miałyby w ogóle jakiegokolwiek znaczenie? Czy była to kwestia skali? Semantyki? Załóżmy, że poprosiłaby mnie, bym jej pomógł popełnić samobójstwo. To nielegalne, być

może. Ale czy niemoralne? Komu pomogłoby utrzymywanie jej przy życiu, gdyby sama nie chciała już żyć? Nietzsche mówi, że należy umrzeć z godnością, gdy godne życie jest już niemożliwe, a Alma była co najmniej dumna. Powiedziała mi, bym nigdy się nad nią nie litowałem, lecz w obecnym stanie rzeczy było to wszystko, co mogłem dla niej zrobić. Gdyby więc – powiem to jeszcze raz: gdyby – poprosiła, bym pomógł jej zakończyć życie, uczyniłbym to bez wahania. Właściwie czułbym się zobowiązany moralnie do udzielenia tej pomocy. Prosząc, Alma stałaby się aktorką zamiast rekwizytem, sprawczynią zamiast ofiarą. Ale, co najważniejsze, nie poprosiła. Cała ta sprawa była tylko teorią, bardzo przemyślanym absurdem. Lecz, jak napisał Bertrand Russell, „Każdy, kto pragnie zostać filozofem, musi się nauczyć nie bać niedorzeczności”.

Kiedy więc kilka tygodni później przestała oglądać swe opery mydlane, skarżąc się, że wycie telewizora przyprawia ją o mdłości, pomyślałem o tym.

Kiedy usłyszałem, jak wymiotuje moim *Sachertorte*, pomyślałem o tym nieco dłużej.

Myślałem, myślałem i myślałem.

Możliwe (ledwie możliwe, ale to wystarczy), że to było to, czego chciała, gdyby tylko nie była zbyt dumna, by poprosić o pomoc. Wszystko, co o niej wiedziałem (a znałem ją dobrze – czyż nie tak? – lepiej niż ktokolwiek inny), mówiło mi, że niechętnie przyznałaby się do słabości. Nigdy nie wzywała lekarza – ja to robiłem. Nigdy nie prosiła mnie o przyniesienie jedzenia do jej pokoju – zanosilem je sam, wiedząc, że jest zbyt słaba, by sobie z tym poradzić. Nigdy nie prosiła mnie o żadną z takich rzeczy – i nigdy by nie poprosiła; było to poniżej jej godności – lecz była wdzięczna, kiedy się nimi zajmowałem. To miłość: przewidywanie potrzeb innych i dawanie im tego, o co nie mogą lub nie chcą poprosić.

Kolejny eksperyment myślowy: gdyby Alma w końcu zmarła, z tego czy innego powodu, i gdybym wciąż był na miejscu, kiedy by się to stało – za rok, pięć albo dwadzieścia lat – to wylądowałbym z powrotem na ulicy. (Dwadzieścia lat? Czy naprawdę zamierzałem zostać to tak długo? Ale była to tylko teoria.) Eric nie miałby wówczas motywacji, by dać mi dom, nie wtedy, kiedy mógłby go sprzedać dla zysku, a ja nic dla niego nie zrobiłem. Z drugiej strony – gdyby Alma zostawiła mu dom, a on mi go dał... Było to oczywiście odrażające, ale taka myśl też się pojawiła. Mam giętki umysł i choć nigdy – nigdy – nie zastosowałbym tych teorii w praktyce, w mojej naturze leży zadawanie pytań, badanie abstraktów i wyobrażanie sobie wszystkich możliwych światów. Można byłoby wysunąć argument – bardzo wątpliwy, lecz jednak argument – że działając teraz, zabezpieczałem sobie po prostu przyszłość, by pewnego dnia pozwolić sobie na powrót do pisania w spokoju i ciszy – do tego, do czego zachęcała mnie Alma. Wierzyła we mnie. Mówiła mi to cały czas. W pewnym sensie spełniłbym jej życzenia. Mógłbym mieszkać w tym domu do ukończenia doktoratu – lub dłużej – albo mógłbym go sprzedać

i znaleźć sobie własne miejsce... Nigdy nie miałem nieruchomości. Nie znałem się na aktach własności ani umowach. Na czym polegają? Czy Eric mógł po prostu dać mi dom w prezencie? Czy nie wyglądałoby to podejrzanie? Oczywiście wyglądałoby: musiałyby minąć trochę czasu, zanim objąłbym go w posiadanie, a tymczasem mógłbym go wynajmować; nietrudno byłoby znaleźć lokatorów, którzy płaciliby gotówką.

Tak oto te nieszkodliwe wcześniej myśli stały się straszliwie szczegółowe, straszliwie konkretne i choć niczego nie zrobiłem – niczego poza dobrym traktowaniem Almy i myśleniem – czułem się winny, chory, dręczyłem się i raniłem, straciłem apetyt, miałem zgagę, palpacje, bolała mnie głowa, wątroba, nie mogłem spać. I choć te straszliwie szczegółowe i konkretne myśli były już dostatecznie złe jako takie, zdały się nieporównanie gorsze, gdy uświadomiłem sobie, że mówią one, jakiego rodzaju osobą się stałem. Byłem nie tylko kimś, kto porządkował argumenty przemawiające za uśmierceniem osoby, która wyrządziła mu wyłącznie dobro – osoby, którą kochał – ale również kimś, kto uczyniłby to jedynie dla korzyści materialnej. I właśnie to przeraziło mnie najbardziej. Nie narzekałem na brak pieniędzy i byłem szczęśliwy, przyzwyczałem się do komfortu. Zacząłem uważać za oczywiste, że powinienem mieć jedzenie, schronienie, książki i piękne przedmioty; zacząłem być w swym umyśle właścicielem tych rzeczy, a one przestały być luksusem, na który trzeba uważać, i zaczęły pełnić rolę artykułów pierwszej potrzeby. Fotel, w którym siadywałem, nie był fotelem: był moim fotelem i nawet jeśli nie chciałem dla niego zabić, to chciałem, by myśl o jego utracie służyła mi za przesłankę do najohydniejszych fantazji. To było nieczyste. Byłem kupcem w świątyni. Zacząłem się udręczać: pościłem. Czytałem, aż tekst zaczynał się rozmazywać i piekły mnie oczy. Szczotkowałem zęby, dopóki nie zaczynałem płuć krwią. Gimnastykowałem się do wyczerpania. Spałem na podłodze bez poduszki. Nie czerpałem z wysiłku przyjemności jak ktoś, kto rozkoszuje się bólem zęba. Lecz mojej raz rozbudzonej żądz nie dało się już zniweczyć: pożądałem.

Od urodzinowego wieczoru rzadko widywałem któregokolwiek ze znajomych. Teraz wydzwaniałem do nich gorączkowo, czyniąc plany, spotykając się na koktajlach, chodząc do kina, włączając się we wszystkie rodzaje błahej paplaniny i upijając do nieprzytomności – do tego służy wino. Nie odzyskałem jednak spokoju, a kiedy nadeszło babie lato, zacząłem ponownie wędrować ulicami, włócząc się kilometrami w swojej przepoconej marynarce, dusząc się upałem i kurzem, zmaltretowany łoskotem młotów pneumatycznych i szczękiem budowy, potykając się o stosy cegieł ułożonych w poprzek ceglanego chodnika, widząc uśmiechniętą twarz Erica w witrynach sklepów i u nieznanomych; odwracałem się i uciekałem w tłum, tropiony przez swą winę, prześladowany świadomością własnej potęgi, wiedzą, że jestem zdolny do wyrządzenia zła, nawet jeśli postanowię tego nie czynić. Nie można użyć strzelby, dopóki się nie pojmie, że istnieje i że się ją trzyma w rękach.

A kiedy się to stanie, chce się wystrzelić, bo do tego stworzona jest broń.

Czułem się też winny bycia winnym, ponieważ nie miałem prawa rozczłonkować się za coś, czego nie popełniłem. Wszystkim, co zrobiłem, było myślenie. Co złego jest w myśleniu? Czy ktoś został kiedykolwiek zraniony myślą? Nie miałem kontroli nad obrazami, które postanawiał podsuwać mi mój mózg, nieprawdaż? Należy odróżniać teorię od praktyki. Powtarzałem sobie słynny dowód istnienia zewnętrznej rzeczywistości sformułowany przez George'a Edwarda Moore'a: „Oto ręka” – powiedział, wyciągając dłoń, „a oto druga”. Wyciągnąłem swoje. Były czyste.

Nie mogłem jednak nic zrobić, kiedy nocą, w snach, naprawdę zabijałem Almę. Czy to była moja wina? Nie potrafiłem zapobiec pojawianiu się myśli. Śniłem, że ją duszę. Tłukę. Dźgam kuchennym nożem. Śniłem, że dosiadam konia, konia o czerwonych oczach, który traktuje ją na śmierć. Koń był potężny i ognisty, buchał parą z nozdrzy, a jego kopyta miażdżyły jej kości. Rozpoławiałem jej czaszkę siekierą, obryzgując dywan mózgiem, a później wycierałem ręce własną koszulą. Wpychałem jej kawałki papieru do gardła, zapychając je, a uśmiech Almy stawał się coraz szerszy, gdy światło uchodziło z jej oczu; szeptała wtedy bezgłośnie „Dziękuję, panie Geist”.

Gorąco jak cholera – powiedział Eric.

– Czy to mój siostrzeniec? – zawołała Alma. – Proszę mu powiedzieć, żeby wszedł.

Stałem z boku, pozwalając mu wejść do korytarza, a potem poszedłem do swojego pokoju i zamknąłem drzwi. Położyłem się na łóżku, by spróbować się zdrzemnąć, lecz trząsałem się tak mocno, że było to niemożliwe; ich głosy dochodzące z biblioteki i tak nie pozwoliłyby mi zresztą zasnąć. Już miałem wyjść z domu, kiedy Alma zapukała, pytając, czy byłbym tak miły i podgrzał obiad.

Podniosłem się, a kiedy wszystko było już gotowe, usiadłem przy kuchennym stole, udając, że rozwiązuję krzyżówkę.

– O co chodzi?

Stał przede mną, opierając się chudym ciałem o framugę drzwi.

– Bierze kąpiel – powiedział. – Zaraz zejdzie.

Nie odpowiedziałem.

– Podaj mi jakieś hasło.

Ponownie nie odpowiedziałem. Usiadł naprzeciw.

– Hej, próbuję konwersować. Nie tym się zajmujesz? – Odchylił się i splótł palce za głową. – Dawaj, chcę spróbować.

Milczałem.

– Myślisz o tym, co ci powiedziałem?

Milczałem dalej.

– Musiałeś trochę o tym myśleć.

Nie odpowiedziałem.

– Nie wiem, czym się tak martwisz.

– Nie martwię się.

Cisza.

– Tak czy owak, nie jestem dobry w tych sprawach.

Nie odezwałem się.

– Wiesz, naprawdę myślę, że musimy to omówić.

– Nie ma nic do omawiania.

– Pewnie, że jest.

Nic nie powiedziałem.

– Pogadajmy – rzekł.

Odparłem:

– Powiedziałem o tym policji.

Zbladł na chwilę. Potem się uśmiechnął.

– Ach, tak?

Skinąłem głową.

– Co im powiedziałeś?

– Wszystko, o czym mówiłeś.

– A co mówiłem?

– Wiesz co.

– Nie, nie wiem.

– Jeśli nie wiesz, to nie mam ci nic do powiedzenia.

Znowu się uśmiechnął.

– A nie mówiłem, że jesteś gównianym kłamcą?

– Nie kłamię.

– Okej – powiedział. – Cóż, w takim razie przypuszczam, że będziemy musieli poczekać i się przekonać.

– Myślę, że tak.

– Dobrze myślisz. Może powiedziałeś, może nie. Tak czy owak, w porządku. To znaczy, możesz im powiedzieć, co chcesz. Mam na myśli to, że to był twój pomysł.

Popatrzyłem na niego.

– Oczywiście – powiedział. – To znaczy, to ty do mnie przyszedłeś. Zgadza się? Pewnie, że przyszedłeś. To ty chciałeś się ze mną dogadać. Poprosiłeś o dom. Więc jeśli przyjdą, żeby ze mną o czymkolwiek pogadać, będę musiał powiedzieć im prawdę. A prawda jest taka, że kocham swoją ciocię. Myślałem, że ty też. Ale posłuchaj. Jeśli mnie zapytają, co się stało, będę musiał im powiedzieć, o czym mówiłeś.

Mimo że próbowałem przygotować się na tę chwilę, czułem, jak wszystko się we mnie przewraca.

– Co powiedzieć?

– Wiele rzeczy.

– Na przykład jakich?

– Och, wiesz.

– Nie, nie wiem.

– Pomyśl – powiedział. – Dostaniesz go.

Cisza.

– Spodziewasz się, że z tego powodu zmienię zdanie?

– Nie wiem. Może. Ale wiem, że jesteś gównianym kłamcą. Więc naprawdę możesz wziąć pod uwagę to, że daję ci drugą szansę.

Nie odezwałem się.

– To zależy od ciebie – powiedział. – Pamiętaj tylko, że jeśli poczuje się zaniepokojony, sam pójdę na policję. Pierwszy. Nie chcę, byś mnie do tego zmusił, ale wiesz... Będzie tak albo inaczej. Hej, a oto panna młoda.

– Dobry wieczór – powiedziała Alma. Miała wilgotne włosy. – Zjemy?

– Pewnie – odrzekł Eric. – Umieram z głodu.

On mnie wykańcza.

Alma jęknęła, zapadając się w sofę. Stałem w pobliżu korytarza wejściowego, zamknąwszy drzwi za Erikiem. Wychodząc, mrugnął do mnie ponownie, a ja wciąż odczuwałem spazmy targające moim umysłem.

Powiedz jej.

To będzie takie łatwe.

Przemów.

Użyj słów.

– Nie posłuchał mnie pan – powiedziała Alma.

Popatrzyłem na nią.

– Pańskie buty.

Spojrzałem w dół na swoje zdarte mokasyny.

– Powinien się pan wstydzić, panie Geist. To jedyna rzecz, o którą pana proszę, zanim umrę. Dałam panu pieniądze na określony cel; sądził pan, że zapomniałam?

– Ja...

Powiedz jej.

– Wciąż szukam odpowiedniej pary.

– Cóż, proszę ją zatem znaleźć, bo jeszcze sobie pomyślę, że jest pan niewdzięcznikiem. – Przesunęła się z trudem. – Proszę mi wybaczyć tę uwagę, ale wygląda pan dziś na zaniepokojonego.

Powiedz jej.

Wzruszyłem ramionami.

– Przypuszczam, że to z powodu nadchodzącego wyjazdu do domu.

Zupełnie o tym zapomniałem.

– Nie muszę jechać – powiedziałem. – Mogę to odwołać.

Uniosła brwi.

Powiedz jej.

– Nie chcę wcale tam jechać – dodałem. – To będzie przygnębiające.

Odrobina strachu jest dobra dla duszy.

– Ale – odrzekłem – kto się będzie panią opiekował?

– Jak już powiedziałam, doskonale radziłam sobie przez całe lata bez pana

i nie inaczej będzie podczas pańskiej czasowej nieobecności. Doktor Cargill ma być u mnie w poniedziałek. Spodziewam się dożyć tej wizyty.

Powiedz jej.

– Ale jeśli coś się pani stanie?

– A cóż takiego miałyby mi się stać?

Powiedz je teraz.

– Wszystko się może zdarzyć – odpowiedziałem.

– Chciałby pan zatem osłonić mnie przed apokalipsą?

– Ja...

– Spodziewa się pan tajfunu.

– Nie mogę wyjechać, kiedy pani jest... W takim stanie.

Zmarszczyła brwi.

– Wolę pozostawić tę uwagę bez odpowiedzi.

– Proszę tego nie robić. Bądźmy szczerzy. Czy nie tego pani ode mnie oczekuje? Szczerości? Cóż, jestem szczerzy i szczerze się o panią martwię. Nie czuje się pani dobrze.

– Z pewnością nie sądzi pan, że to jakaś nowość.

– Wie pani co? Zadzwoń i odwołam przyjazd. To daleko, a ja nie jestem w nastroju, by wsiadać do samolotu... Zadzwoń do niej natychmiast.

– Nie robi pan niczego podobnego.

– To żaden problem.

– Może nie dla pana – powiedziała – ale dla mnie tak.

Powiedz jej.

– Ale ja nie chcę jechać.

– Bzdura.

– Pani Spielmann...

– Panie Geist, skąd ten upór?

– Martwię się.

– To niedorzeczne.

– Tego pani nie wie.

Nie było to ćwiczenie logiczne, punkt sporny, który można było obronić lub nie. To był strach, prawdziwy i nieokiełznany. Poczulem, że tracę głowę, i usłyszałem swój podnoszący się głos.

– Pani nie wie, co jest niedorzeczne, a co nie.

– Dopóki mnie pan o tym nie przekona, będę polegała na własnym aparacie krytycznym, dziękuję bardzo.

– Ależ nie. Proszę posłuchać. Proszę posłuchać: pani nic nie wie.

– A co mam wiedzieć, jeśli wolno spytać?

Powiedz jej.

– Ja... Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Proszę spróbować.

– Nie mogę.

– A zatem nie widzę sposobu, w jaki może pan wygrać ten spór.

Nasza wymiana słów trwała jeszcze chwilę, a ja mówiłem coraz ostrzejszym głosem, dopóki w końcu nie wyrzuciłem z siebie wszystkiego, co Eric powiedział mi w barze. Mówiąc, jękałem się. Kiedy skończyłem, byłem zadyszany. Oczekiwałem, że Alma zareaguje przerażeniem, ale powiedziała tylko:

– Ach.

– To wszystko?

– Panie Geist, jestem poruszona pańską troską. I potrafię zrozumieć, jak wielkie to dla pana obciążenie. Nie widzę jednak powodu, dla którego miałyby to wpłynąć na pańskie plany związane z podróżą. Gdyby mój siostrzeniec był naprawdę zdolny do czegoś takiego...

– Mówię pani, co powiedział.

– Pan mnie nie rozumie. – Uśmiechnęła się. – Może być do tego zdolny pod względem moralnym, lecz jest zbyt nieudolny, by tego dokonać.

– To nie jest żart.

– Nie musi się pan martwić, panie Geist. Uzbiorę się.

– To poważna sprawa.

– Och, racja.

Alma zdawała się odbierać mnie tym mniej poważnie, im bardziej byłem wzburzony. To, że sprawiłem wrażenie, jakbym umiał się wyrażać tylko w formie bezsilnego gniewu, ogromnie mnie sfrustrowało i spowodowało, że stałem się jeszcze bardziej drażliwy i rozzłoszczony.

– Na litość boską...

– Przypuśćmy, że ma pan rację. Co zatem pańskim zdaniem powinnam zrobić?

– Wezwać policję.

– Ach, panie Geist, niechże pan będzie rozsądny.

– Niech to pani będzie rozsądna.

– Proszę pozwolić mi zauważyć, że gdyby Eric rzeczywiście zamierzał mnie skrzywdzić, to byłby niemądry, chcąc zrobić to teraz, kiedy odkrył przed panem karty. Na jego miejscu zacisnęłabym zęby i żałowała, że przez pomyłkę wybrałam współnika, który na przekór wszystkiemu okazał się człowiekiem mającym skrupuły. – Uśmiechnęła się znowu. – Jedną z największych niedoskonałości mojego siostrzeńca jest to, że w każdym widzi siebie.

Nie potrafiłem zrozumieć jej spokoju.

– Nie wyjdę, dopóki nie wezwie pani policji. Wtedy być może też nie.

– Więc zatem zyskam, stosując się do pańskiej rady?

– W takim razie to ja zawiadomię policję. Nie może mi pani tego zabronić.

– Mogę. To mój dom i mój telefon.

– Zadzwoń z innego.

– Nie zadzwoni pan. Mój siostrzeniec nie potrzebuje kolejnych kłopotów z policją...

– Kolejnych?

- ...na pewno nie wtedy, kiedy...
- Co znaczy „kolejnych”?
- Znaczy to jedynie, że nie życzę sobie widzieć go przesłuchiwanego z powodu sprawy, która niechybnie wywoła wiele zgiełku i zamieszania.
- Rozmawiamy przecież o pani bezpieczeństwie.
- Zapewniam, że pańskie obawy są bezpodstawne.
- Nie wie pa...
- Wiem – powiedziała. – I poczuję się wielce urażona, jeśli mnie pan nie posłucha. Eric potrafi być trudny, ale nie stanowi dla mnie zagrożenia.
- Nie idę.
- Chce pan tu zostać przez resztę życia?
- Jeśli będę musiał.
- Panie Geist.
- Pani Spielmann.
- Powinien pan już iść, panie Geist.
- Zost...
- Powinien pan, bo jeśli będzie pan się ze mną dalej spierał, to go zwolnię.
- Z całym szacunkiem...
- Dość – powiedziała. – Wyjdzie pan i zakończy ten spór natychmiast, a jeśli nie, wezwę policję i każę pana stąd zabrać.

Cisza.

- Czy to jasne?

Byłem tak zaskoczony, że zdołałem tylko skinąć głową.

- Sprawa rozstrzygnięta – rzekła.

Położyła rękę na czole; wydało mi się, że jej ciało odrobinę się skurczyło. Teraz zobaczyłem, jak wiele wysiłku kosztowała ją ta rozmowa, i poczułem się strasznie z powodu swego podniesionego głosu. Zacząłem przeproszać, lecz Alma potrząsnęła głową:

- Błagam pana, wystarczy. Jestem zmęczona i chciałabym pójść na górę. Proszę.

Był to sposób, w jaki prosiła o pomoc. Ująłem ją pod rękę i powędrowaliśmy w stronę schodów. Alma szła bardzo wolno.

- Wszystko w porządku?

- Wystarczy już tego, panie Geist. Proszę nie kazać mi odpowiadać.

Kiedy pokonaliśmy pierwsze trzy stopnie, poczułem, że słabnie i opiera się na mnie coraz mocniej, by utrzymać się na nogach. W połowie drogi zatrzymała się, ciężko oddychając.

- Chyba powinnam zostać tu na chwilę – powiedziała.

Z pewnym wahaniem zapytałem:

- Czy mogę?

Odwróciła wzrok. A potem, ku mojemu zaskoczeniu, skinęła głową.

Jej ciało było lekkie jak piórko; kiedy ją podniosłem, chwytając jedną ręką pod kolanami, a drugą obejmując ramiona, zwiesiła głowę w moją stronę, a jej

włosy rozsypały się, zasłaniając twarz. Przez perfumy poczułem jej zapach, zapach jej ośmiu dekad, zmieszane zapachy życia pełnego aktywności, myśli, ruchu, smutku i radości, a potem – najbardziej gorzkiego końca. Nie odczuwam wstydu, mówiąc, że pragnąłem, by zgasła właśnie wtedy i tam.

Nigdy nie byłem w jej sypialni. Kiedy przeniosłem ją przez próg, otoczył mnie ten sam zapach w bardziej skoncentrowanej postaci. Zaniósłem Almę do łóżka, zdjąłem jej pantofle i przykryłem ją kocem.

– Dziękuję. – Brzmiała jak jedna dziesiąta samej siebie. – Jest pan dobrym chłopcem.

Powiedziałem, że będę na dole, gdyby czegoś potrzebowała.

– Josephie...

– Tak, pani Spielmann?

Nie odpowiedziała; już spała. Nigdy przedtem nie zwróciła się do mnie po imieniu, a ja stałem tam jeszcze przez pewien czas, czuwając nad nią.

W końcu poleciałem. Jaki miałem wybór? Bałem się o to, co Eric może powiedzieć policji, a wybuchowość Almy, jakkolwiek zagadkowa, była niepodważalna. Musiałem uwierzyć, że miała rację, mówiąc, iż popadam w paranoję, a także w to, że kiedy wyjadę, Eric nie będzie tak głupi, by przystąpić do działania. Rzadko naprawdę wierzy się w to, że wydarzy się najgorsze.

Zanim wyszedłem, przeprosiłem jeszcze raz.

Mrugnęła, wybacząc.

– Przyjaciele muszą być ze sobą szczerzy, nieprawdaż?

Powiedziałem jej, że zadzwonię, gdy tylko wyląduję.

– Proszę się o mnie nie martwić – odrzekła. – I zapomnieć o mnie.

– Wie pani, że nie będę do tego zdolny.

– Proszę się postarać, panie Geist. Dobrej zabawy. Jak głosi porzekadło, żyje się tylko raz.

Ojciec Fred czekał w punkcie odbioru bagażu, żeby mnie przywitać.

– Witaj w domu – powiedział.

W ciągu lat, które upłynęły od naszego ostatniego spotkania, stał się człowiekiem w średnim wieku: na jego twarzy pojawiły się bruzdy, a brwi przybrały kolor hiszpańskiego mchu. Objęliśmy się, a ja wyczułem kości pod jego płaszczem.

– Zamierzałem złapać taksówkę.

– Twoja matka mi powiedziała. Dlatego tu jestem.

Zapomniałem już, jakim jest szalonym kierowcą. Dotarliśmy do drogi międzystanowej, jadąc ponad sto czterdzieści na godzinę, co dało nam trzy kwadransy na rozmowę. Zapytałem go o kościół, o znajomych. Kiedy doszliśmy w końcu do sprawy spotkania wspomnieniowego, ojciec Fred wykazał swój zwykły takt, nie rzekł ani jednego złego słowa, chociaż było jasne, że moja matka weszła mu na głowę.

– To prawdziwe błogosławieństwo – powiedział – jeśli nie było innego powodu, dla którego wróciłeś. Obawiałem się, że nie zobaczę cię już przed wyjazdem.

– Tak – odrzekłem. – Kalifornia.

Skinął głową.

– Co będzie w Kalifornii?

– Tym razem następny rok; piękna katolicka szkoła koło Santa Barbara będzie potrzebowała dyrektora. Będę też trochę uczył. Szkoła ma na swoim terenie gaj oliwny. Byłem tam z wizytą i ku swemu zadowoleniu stwierdziłem,

że klimat w tamtej okolicy przypomina mi ten w Rzymie.

– To cudownie.

– Josephie – powiedział przeciągle. – Nigdy nie umiałeś dobrze kłamać.

Jakiegolwiek urazy, które odczuwałem po otrzymaniu wieści od mojej matki, już dawno się rozwiały, a z pewnością po przejściu przez obrotowe drzwi, kiedy zobaczyłem, że ojciec Fred na mnie czeka. Moje pragnienie zatrzymania go na miejscu było samolubne, a poza tym daremne, a ja chciałem się cieszyć jego szczęściem. Spróbowałem wykrzesać z siebie trochę więcej entuzjazmu.

– Bez ojca nie będzie tu już tak samo.

– Och, tego nie wiem. Jedyłą rzeczą, której nauczyłem się przez lata, jest to, że duchowny nie jest w stanie wyolbrzymić swego własnego braku znaczenia.

– A Mater Dei?

– Zajmie się tym ojciec Martin. Przypuszczam, że już go spotkałeś.

Ksiądz, o którym wspomniał ojciec Fred, był piegowaty i miał przytępioną zdolność krytycznego myślenia.

– Raz czy dwa.

– Jest wyjątkowo popularny, jak już to zapewne wiesz. W ciągu ostatnich pięciu lat prawie każda parafia w okolicy podupada. Nasza należy do nielicznych wyjątków, dzięki czemu ojciec Martin zdobywa uznanie. Ma przygotowanie informatyczne. Przygotował nam nawet stronę internetową, dasz wiarę? Mam teraz adres e-mail.

– Nie wiedziałem. Mogłem napisać.

– Cały czas miałem telefon.

– *Mea culpa*.

– W każdym razie czuję się komfortowo, zostawiając wspólnotę w jego rękach. Praktycznie już się w nich znajduje. Kościół potrzebuje obecnie świeżej krwi, ludzi, którzy potrafią odbudować pewne zaufanie, które zostało utracone. Spędziłem tu wiele dobrych lat, a teraz wszystko się zmieniło. To część Jego planu. Wiem, myślisz, że żaden plan nie istnieje, ale pewnego dnia się przekonasz.

– Tak ojciec sądzi?

– Tak. Ale, tak czy owak, wierzę, że Bóg docenia fakt, iż poświęciłeś Mu tak wiele myśli.

Uśmiechnął się i włączył kierunkowskaz.

– Nawet gdybyś ostatecznie kiepsko na tym wyszedł.

Kiedy opuściwszy drogę międzystanową, jechaliśmy wzdłuż Riverfront, zaczął padać deszcz. Dotarliśmy do miejsca, w którym mój brat wjechał do wody. Ojciec Fred zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Po wnętrzu samochodu spływały mokre cienie.

– Przyjeżdżam tu czasami, żeby porozmyślać.

– Nieszczerólna sceneria.

– To prawda. Ale pomaga mi pamiętać.

Nie odezwałem się.

– Będzie mi brakowało tego miejsca – powiedział.

– Mnie nigdy nie brakowało – odrzekłem.

– Ale będzie. – Uruchomił silnik. – Pewnego dnia.

spotkanie wspominkowe odbyło się tego samego popołudnia. Na stojaku w pobliżu wejścia do świetlicy parafialnej znajdowało się zdjęcie Chrisa, o którym wspomniała mi matka. Zostało wykonane, kiedy mój brat chodził do pierwszej klasy szkoły średniej, i przedstawiało go w jego całej młodzieńczej chwale. Była też księga gości. Usiadłem z przodu, gdzie nie musiałbym rozmawiać z wchodzącymi ludźmi.

Frekwencja była o wiele wyższa, niż się spodziewałem, blisko czterdzieści osób, matek i dzieci towarzyszących mężczyznom, z którymi dorastał mój brat. Ojciec Fred przemówił pierwszy, wspominając ciepło o ministranckiej służbie Chrisa. Później zabrali głos jego szkolni koledzy, opowiadający historie o nastolatku, którego zapamiętali, i o szczęśliwym okresie swojego życia – historii, które miały być zabawne, lecz czasami przypominały elegie o okresie dojrzewania. Było tak, jak to opisała moja matka: każdy się zmienił, w niewielu przypadkach na lepsze. Tommy Snell był rzeczywiście łysy jak jego ojciec; wyłysiał też Kevin Konnar, któremu na dodatek wyrósł brzuch wielkości kopca kompostu. Usłyszałem, jak ktoś szepnął, że ma się poddać zabiegowi ominięcia żołądkowo-jelitowego.

Przyjaciółka mojej matki Rita Green wyrecytowała fragment wiersza *To an Athlete Dying Young* Housmana. Byłem pod wrażeniem, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że to ojciec Fred wybrał teksty. W imieniu koła gospodyń Rita przekazała też na rzecz szpitala dziecięcego czek oraz kilim z latarnią morską, która – jak wyjaśniła – symbolizuje obecność zmarłych bliskich w naszym życiu.

Zerknąłem na ojca. On też się postarzał. Nie był już przypominającym woła tyranem z moich wspomnień; stał się oklapły, zwiotczały i bezwładny. Ledwie się do mnie odzywał, od kiedy przyjechałem do domu, w ogóle mówił bardzo mało. Zastanawiałem się, co myślał o ludziach stojących przed nim, przywołujących jego zmarłego syna, piejących o tym, kim był i kim nigdy nie będzie. Słyszając oskarżenie, nie okazywał emocji. Czasami mu zazdrościłem: jego życie nie było kontrolowane, a tym samym spokojniejsze niż to, na które ja mógłbym kiedykolwiek liczyć.

Po zakończeniu ceremonii powiedziałem matce, że zobaczymy się w domu. Poprosiłem ojca Freda o zawiezenie mnie na cmentarz, na którym mogłem w odosobnieniu oddać hołd bratu, przemawiając własnymi słowami lub milcząc, gdyby to mi bardziej odpowiadało.

Stojąc w kuchni i zatykając ucho, by nie słyszeć zgiełku przyjęcia, usiłowałem kilkakrotnie dodzwonić się do Almy. Nikt nie odbierał i za każdym razem, kiedy wracałem do salonu, odczuwałem coraz większe napięcie.

O dziewiątej została już tylko garstka gości, krążących wokół warzywnych przystawek i wazy z zastygłym dipem cebulowym. Tommy Snell starał się, jak mógł, by wciągnąć mnie w rozmowę o wkładkach do butów. Powiedziałem mu, że miło mi go widzieć, i ponownie pokonałem drogę do telefonu. Usiadłem przy stoliku śniadaniowym, usiłując wymyślić, co mógłbym zrobić dla Almy, będąc tak daleko od niej. Najbardziej prawdopodobne było to, że nie odbiera, ponieważ cierpi z powodu kolejnego ataku, co – choć przykre, jeśli to sobie wyobrazić – było o wiele lepsze niż alternatywa. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Drew i nie poprosić go, by zajrzał do Almy. Lecz ona go nie znała, a jeśli odpoczywała, to nie otworzyłaby drzwi, tak samo jak nie podnosiła słuchawki.

– Zobaczymy się jeszcze.

Ojciec Fred stał w drzwiach pokoju z uniesioną ręką.

Kiedy go odprowadzałem, przeszliśmy przez salon, w którym była tylko moja matka, zbierająca puste papierowe talerze i upychająca je w worki na śmieci. Ojciec Fred pocałował ją w policzek.

– To była piękna ceremonia – powiedział. – Dziękuję.

– Dziękuję, że mi ją ojciec zasugerował – odrzekła.

Uśmiechnęła się i powiedziała drżącym głosem:

– Nigdy nie przestaję o nim myśleć.

– W porządku – powiedział ojciec Fred. – Myśl o nim tak dużo, jak tylko chcesz.

Pasikoniki wzniciły swe nocne rozruchy. Ojciec Fred żałował, że z powodu porannego spotkania nie będzie mógł odwiedzić mnie na lotnisko. Podziękowałem mu i życzyłem szczęścia.

– Mam teraz e-mail – powiedział. – Nie ma wymówek.

Patrząc, jak rusza z piskiem opon, zastanawiałem się, czy jeszcze raz nie spróbować dodzwonić się do Almy. Była prawie dziesiąta, a jedenasta w Cambridge. Zostawiłem jej numer rodziców – na wszelki wypadek, gdyby działo się coś niedobrego. Wmawiałem sobie, że za bardzo się przejmuję, i właśnie zacząłem w to wierzyć, kiedy usłyszałem łoskot z wnętrza domu. Pospieszyłem w stronę wejścia.

Moja matka stała na środku salonu. Miała suchą twarz, lecz płakała: można to było poznać po jej brzuchu, którym targały konwulsje, kiedy patrzyła, jak ojciec usiłuje przewrócić serwantkę. Lepiej mu poszło ze szklanym stołem, który teraz składał się ze stylizowanego na brąz plastikowego szkieletu i morza odłamków. Serwantka nie poddawała się tak łatwo. Wysoka na dobre dwa czterdzieści i pełna talerzy uniosła się na kilka centymetrów, zanim wyślizgnęła się ojcu z rąk i opadła z hałasem, ledwie mijając palce jego stóp. To, że okazało się to dla niego tak męczące i zawiłe, przemawiało za upływem czasu: gdyby był w sile wieku, rozprawiłby się już z tym meblem i zabrał do któregoś z pozostałych. Teraz jednak, spocony i zgięty, opierał się o serwantkę, chrząkając jak świnia.

I śmiał się. Śmiał się jak maniak. Właściwe mu szelmowskie poczucie humoru wiązało się zawsze ściśle z jego fizyczną żywotnością. I jedno, i drugie osłabło z wiekiem, a kiedy patrzyłem, jak dźwiga, chrząka i chichocze, uświadomiłem sobie, co usiłował osiągnąć: zmartwychwstanie poprzez akt zniszczenia.

– Tato – powiedziałem.

Zignorował mnie. Matka popatrzyła na mnie błagalnie, lecz nie wiedziałem, czy chciała, bym mówił dalej, czy też żebym się zamknął.

– Tato, przestań.

Chrząknął, poślizgnął się, prawie upadł, potem się podtrzymał i znowu zaczął pchać.

Ująłem go za ramię; odtrącił moją rękę i odwrócił się do mnie, uśmiechając się i patrząc zezem, czemu towarzyszył unoszący się z niego smród napływający wielkimi brązowymi falami.

– Joey – odezwała się matka.

– Idź do łóżka – powiedziałem.

– Tańczmy – powiedział mój ojciec.

Padł naprzód, w moje ramiona. Z bliska smród był jeszcze gorszy.

– Och, jak tańczyliśmy – zaśpiewał.

Spróbowałem go mocno przytrzymać.

– Tańcz, ty mały gnojku.

– Nie jestem już mały – powiedziałem.

– O Boże – powiedziała moja matka, trzymając przy ustach ręce ze zgiętymi palcami.

– *Let's twist again. Like we did last summer.*

– Chodź. Na górę.

– *...like we did last yeeaaaar.*

– Rusz się – powiedziałem, siłując się z nim.

– Jeszcze nie skończyłem – powiedział mój ojciec.

– Skończyłeś, w porządku.

– Gnojek.

Mimo że od lat przewyższałem go wzrostem, było to pierwsze w realnym świecie wykorzystanie różnicy naszej siły. Nie miał wyboru – musiał, zataczając się, pójść ze mną, kiedy go prowadziłem w stronę schodów.

Powiedział mi:

– Skopię ci dupę.

– W porządku – odrzekłem.

– Myślisz, że możesz mi pyskować. Niech to szlag trafi, puść mnie.

– Już prawie jesteśmy.

– Puść mnie, kurwa.

Dotarliśmy do podnóża schodów. Kiedy go puściłem, upadł, jęcząc i trzymając się za głowę.

– Nie dam rady zanieść cię na górę.

Przestał jęczeć, popatrzył na mnie i się uśmiechnął.

– Wiem.

Nie wiem, co chciał przez to powiedzieć, ale w ten sposób zniechęcił mnie i obraził; poczułem gorąco w karku.

– Rób, co chcesz – powiedziałem. – Nie obchodzi mnie to.

– Wyglądasz jak mój ojciec – stwierdził.

Nigdy nie poznałem swojego dziadka ze strony ojca – nigdy nie widziałem ani jego, ani jego zdjęcia – nie mogłem więc potwierdzić prawdziwości tego oświadczenia. Przygotowywałem się na to, co mogłem usłyszeć w następnej kolejności. Może to jakiś sekret, najważniejszy fragment historii rodziny, który – jeśli nie usprawiedliwi – to przynajmniej wyjaśni, jak to się stało, że znaleźliśmy się w tym punkcie.

– Był kupą gówna – powiedział mój ojciec.

Odwróciłem się od niego i odszedłem.

Moja matka klęczała na podłodze salonu i wydłubywała szkło z dywanu. Na jej rękach widniały kropelki krwi. Powiedziałem, że wyjeżdżam.

– Masz samolot dopiero rano – powiedziała.

Wzruszyłem ramionami.

– Zamierzasz spać na lotnisku?

– Chyba tak.

Cisza.

– A co ze mną?

Popatrzyłem na nią.

– Nie potrafię odpowiedzieć.

Wydała dziwny, urywany głos i wróciła do pracy.

Zadzwońłem po taksówkę, pozbierałem swoje rzeczy i wyszedłem, nie mówiąc „do widzenia”.

Wsiadłem do samolotu obolały od spania na twardym plastikowym krzeselku. W terminalu nie było czynnych automatów telefonicznych, ale udało mi się dodzwonić do domu Almy podczas mojej przerwy w podróży w Cincinnati. Nikt nie odbierał. Wybierając numer Drew, usłyszałem wezwanie do odprawy przed moim drugim lotem i musiałem odwiesić słuchawkę.

Normalnie pojechałbym metrem, lecz czułem się na tyle podenerwowany, że wskoczyłem do taksówki. Później przez tunel Teda Williamsa, wzdłuż Storrows, pod mało ważnym graffiti oplakującym Klątwe Bambino. Taksówkarz zapytał, co się stanie z kibicami Soxów teraz, kiedy nie mają się na co skarżyć.

– Na pewno wymyślą sobie coś, na co będą mogli narzekać – powiedział. – Ludzie zawsze tak robią.

Nie będąc w nastroju do pogawędki, dałem mu spory napiwek i pokonałem schody wejściowe jednym susem. Wszedłszy do domu, zawołałem Alnę.

Cisza.

Drzwi do jej sypialni były zamknięte. Oparłem się pokusie, by zapukać, mówiąc sobie, że jeśli musiałem ją zobaczyć, to tylko dla swojej własnej

satysfakcji. Chcąc się czymś zająć, nastawiłem pranie. Kiedy wracałem przez kuchnię, zatrzymałem się, żeby ukroić sobie kawałek *Sachertorte*; odkryłem, że jest prawie czerstwy, a cała bita śmietana zniknęła. Zanotowałem w pamięci, że będę musiał wyjść i zrobić zakupy. Umyłem i wytarłem talerz. Wydawało się niemożliwe, że od chwili kiedy wszedłem do domu, minęło zaledwie dwadzieścia minut. Zaczekałem na koniec prania, przełożyłem swoje rzeczy do suszarki i wyszedłem. Wróciłem półtorej godziny później, dźwigając torby z wiktuałami. Zostawiłem je na podłodze w korytarzu i poszedłem na górę. Zapukałem. Cisza. Zapukałem jeszcze raz i przekręciłem gałkę drzwi. W pokoju Almy było ciemno z powodu opuszczonych rolet, a powietrze cuchnęło. Zobaczyłem na łóżku jej wygiętą sylwetkę oblaną srebrzystym światłem z korytarza. Leżała dziwnie, z jedną ręką opartą na poduszce i wznoszącą się jak maszt albo konar, z twarzą odchyłoną tak, że widziałem tył jej głowy, z beładnie rozrzuconymi i suchymi kosmykami białego jedwabiu, i wiedziałem, że jest źle. Wbiegłem do środka, waląc golenią w ramę łóżka i raniąc się, z czego zdałem sobie sprawę dopiero później tamtej nocy, a właściwie już następnego ranka, kiedy dostrzegłem, że rozciąłem skórę i mam szeroką ranę. Ale to wszystko było później. Teraz ją odwróciłem. Dostrzegłem zaschnięte wymiociny na koszuli nocnej Almy i jej rozchylone usta, sprawiające wrażenie, że oddycha – ale nie oddychała. Znalazłem jej nadgarstek i wtedy powiedziałem sobie: zadzwoń po ambulans, nie jesteś przygotowany do podejmowania decyzji. Zadzwoiłem. Siedziałem na podłodze, trzymając Almę za rękę, i choć mój umysł zarejestrował zbliżający się głos syreny i dzwonek do drzwi, nie potrafiłem wstać ani się poruszyć. Potem był trzask wyważanych drzwi i dwóch miłych młodych mężczyzn w niebieskich uniformach, którzy kazali mi zejść na dół, a sami potwierdzili to, o czym już wiedziałem, że jest prawdą.

Mój drogi Josephie,

Przepraszam za kłopot, który bez wątpienia Panu sprawię. Chcąc oszczędzić Mu wszelkich dodatkowych obowiązków, wysłałam list swojemu prawnikowi, który poczyni wszystkie niezbędne przygotowania.

By Pana rozbawić, załączam kopię swojej pracy. Nie ma ona jakiegokolwiek wartości, chyba tylko jako jeu d'esprit. Proszę na nią spojrzeć łaskawym okiem.

Chcę, żeby Pan wiedział, że to, co czynię, czynię dobrowolnie. Pan powinien zrozumieć to lepiej niż ktokolwiek inny.

Z wyrazami nieustającej sympatii,

Alma

Nie mogę powiedzieć, jak czasem zdarza się to innym, że wszystko, co stało się później, pamiętałem jak przez mgłę. Przeciwnie: czas zaczął płynąć o wiele, wiele, wiele wolniej i każda sekunda rozciągała się jak lepka krówka, przez co zapamiętałem następne godziny z niezwykłą, bolesną dokładnością. Być może właśnie tak naprawdę wyglądają „wspomnienia jak przez mgłę”, ponieważ trudno mi wracać do tamtej nocy bez poczucia przeładowania, jak gdyby mój mózg nie potrafił sobie poradzić z ilością informacji w nim umieszczonych i chciał skapitulować, wyłączając się. Klarowność wymaga umiejętności odfiltrowywania informacji z zewnątrz. Kiedy przypominam sobie pierwszą część tamtej nocy, nie widzę płynnej serii wydarzeń, tylko tysiące, wiele tysięcy ostrych cięć: amebowata plama na stole w salonie, odstępy pomiędzy kolejnymi mignięciami świateł ambulansu, szarpnięcia minutowej wskazówki zegara nad kominkiem wyznaczającej czas, który oficjalnie płynął. Widzę dom: pusty i nagle pełen ludzi. Słyszę, jak do mnie mówią, zadają pytania, każą mi się uspokoić, zachować cierpliwość, zonglując mną i prowadząc mnie z pokoju do pokoju. Dzwonki telefonów komórkowych. Rechoczący śmiech o trzeciej. Oślepiający błysk flesza. Woda w filiżance, w mojej ręce, wlewająca się do mojego suchego gardła. Moja krwawiąca noga: Czy chcę jechać do szpitala? Nie, dziękuję.

Wylądowałem w końcu w bibliotece, w jednym z dwóch głębokich foteli, z policjantem w mundurze siedzącym w fotelu naprzeciwko i ze zdezorientowanym wzrokiem, bo przyzwyczałem się do widoku Almy zajmującej to drugie miejsce. Policjant i ja nie odzywaliśmy się i siedzieliśmy jak dwa gargulce do chwili, gdy otworzyły się drzwi biblioteki i pojawił się w nich mężczyzna z twarzą przypominającą beagle'a. Zrobił krok naprzód, zanim widocznie zareagował na zawartość pomieszczenia.

– Jezus Maria – powiedział, wytrzeszczając oczy.

Potem, opamiętawszy się, odchrząknął i powiedział policjantowi, że może wyjść.

– Detektyw Zitelli – przedstawił się i usiadł. – Rozumiem, że to dla pana silny wstrząs.

Nie odpowiedziałem.

– Nie chce pan pojechać do szpitala?

Potrząsnąłem głową.

– A co z pańską nogą?

Spojrzałem w dół na plamę krwi.

– Wygląda paskudnie – dodał.

– Nic mi nie jest.

Przyglądał mi się.

– W porządku – powiedział, odchylając okładkę notesu. – Zaczniemy od początku.

Pod presją poczucia obowiązku i jego władzy zmuszałem się, by odpowiadać na pytania, a mój mózg zaczął odzyskiwać swoją normalną prędkość działania. Nie było to nic dobrego. Wstrząs psychiczny pełni bardzo ważną rolę: zabezpiecza psychikę przed rzeczywistością, z którą nie jest ona w stanie się zmierzyć; jest zjawiskiem przypominającym wypełnianie się uszkodzonego stawu płynem. Widok czyjegoś kolana zwiększającego dwukrotnie swą objętość może być przerażający, ale tak właśnie ciało zapobiega dalszym uszkodzeniom. Wraz ze śmiercią Almy mój umysł zaczął zachowywać się podobnie, a konieczność przymusowego zmniejszenia jego obrzęku – ostudzenia moich emocji – była szczególnie straszna.

– Więc jest pan opiekunem?

– ...w pewnym sensie.

– W jakim?

Opowiedziałem mu o ogłoszeniu.

– Musiała czuć się komfortowo w pana towarzystwie, skoro pozwoliła panu tu mieszkać.

– Byliśmy ze sobą blisko związani.

– Blisko w jaki sposób?

Popatrzyłem na niego.

– Czy wasz związek miał charakter seksualny?

– ...słucham?

– Czy pan i pani Spielmann uprawia...

– Nie. Nie. Pewnie, że nie.

– W porządku.

– Nie mogę uwierzyć, że pomyślał pan w ogóle o czymś takim.

– To tylko pytanie – powiedział. – I tyle. Odpowiedział pan i o to chodzi.

Cisza.

– Czy kiedykolwiek mówiła coś o zrobieniu sobie krzywdy?

Potrząsnąłem głową.

– Czy była przygnębiona?

Cisza.

– Myślę, że tak – powiedziałem. Przerwałem. – Nie wiem.

– Powiedział pan jednak, że była chora.

– Cierpiała straszliwy ból. Proszę porozmawiać z jej lekarką, ona będzie mogła powiedzieć panu więcej niż ja. Paulette Cargill. Numer jej telefonu jest w kuchni.

Notował pośpiesznie.

– Proszę mi opowiedzieć, co się stało, kiedy pan tu przyjechał.

Opowiedziałem.

– Przeczytał pan list?

Skinąłem głową.

Cofnął się o kilka kartek.

– „Chcę, żeby Pan wiedział, że to, co czynię, czynię dobrowolnie. Powinien Pan zrozumieć to lepiej niż ktokolwiek inny”.

Cisza.

– Chodzi o to, o czym rozmawialiśmy – powiedziałem.

– O samobójstwie?

– O wolnej woli.

– Aha – rzekł.

Cisza.

Zapytał:

– Czy jest jeszcze coś, co chce mi pan powiedzieć?

Jak to się stało, że nie zadzwonił pan na policję przedtem?

– Powiedział, że opowie, że to był mój pomysł.

– A był?

Cofnąłem się.

– Nie.

– W porządku.

– Absolutnie nie w porządku.

– Proszę natychmiast przestać.

– I, szczerze, uważam to za obraźliwe...

– Proszę przestać.

– Opiekowałem się nią. Przygotowywałem posiłki, spędzałem godziny...

– To tylko pytania.

– Okej, dobrze, nie podoba mi się to, co sugerują pańskie pytania.

– Niczego nie sugerują – powiedział. – Po prostu pytam.

– A ja odpowiadam, nie tak?

– Doskonale – odrzekł. – Zatem obaj wykonujemy to, co do nas należy.

Cisza.

– Proszę mówić dalej.

Cisza.

– Alma także nie chciała, żebym cokolwiek mówił.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Myślę, że dlatego, żeby go chronić.

– Przed...

– Już wcześniej miał kłopoty z policją.

– To chyba dobry powód, żeby kogoś poinformować.

– Dokładnie to jej powiedziałem.

– Ale...

– Nie sądziła, by traktował to poważnie.

– Ale pan tak.

Przerwałem na chwilę.

– Trudno powiedzieć.

Policjant uniósł brwi.

– Gdyby go pan słyszał, zrozumiałby pan.

– Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć, co robił pan poza miastem.

– Byłem w domu na uroczystości rodzinnej. Mówiłem już panu. Może pan zadzwonić do kogokolwiek, było tam pięćdziesiąt osób. Proszę zadzwonić do kościoła, do ojca Freda Hammonda. Do moich rodziców.

– Hm...

– Proszę posłuchać, to z nim musi pan porozmawiać. Z nim. Z Erikiem. Nie ze mną. Jeśli ktoś jej coś zrobił, to on jest za to odpowiedzialny.

– Tak pan myśli? Że ktoś jej coś zrobił?

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Nie wiem. Mówię: jeśli.

– Okej, świetnie. Zatem nie wie pan, czy coś się stało. Lecz jeśli tak, to on to zrobił. Zgadza się?

– Tak.

– I to, co mogło się wydarzyć albo się nie wydarzyło, nie było pańskim pomysłem?

– Nie było.

– Okej, dobrze. Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy.

Zitelli potarł nos.

– A teraz zastanówmy się nad tym przez chwilę. Ponieważ kiedy się tu zjawiłem, powiedział mi pan najpierw, że cierpi ból...

– Cierpiała.

– Cierpi ból, jest przygnębiona, zostawia list. Świetnie. Ale potem chce pan, żebym pomyślał, że on ją zabił...

– Nie chcę, żeby pomyślał pan tak albo inaczej. Ja...

– To czego się trzymamy?

– Nie wiem.

– Cóż, musi pan mieć jakieś zdanie.

– Nie muszę. Mówię hipotetycznie. Ja – proszę, to i tak jest już dostatecznie trudne.

Podniósł rękę.

– Powtarzam tylko, co pan powiedział.

– Nie o to mi chodziło. Powiedziałem, że należy to rozpatrzyć. Proszę posłuchać: próbuję pomóc.

– Doceniam to, naprawdę. A teraz: powiedzmy, że z nim porozmawiam.

– A zamierza pan?

– Co zamierzam?

– Porozmawiać z nim.

– To zależy.

– Od?

– Od wielu rzeczy. Lecz załóżmy, że z nim porozmawiam. Co mi powie?

– ...że to był mój pomysł.

- Jaki pomysł?
- Wszystko, co się wydarzyło.
- Ale pan nie wie, co się wydarzyło.
- A czy nie o to chodzi w całej tej sprawie? O wyjaśnienie, co się naprawdę stało?

Detektyw zaczął się we mnie wpatrywać.

- Wydaje się, że to dla pana dość ważne.
- Ja...
- Jest pan dość zdenerwowany.
- To jest dla mnie ważne. Oczywiście, że to dla mnie ważne. Troszczyć się o nią. I – nie, nie jestem zdenerwowany. To znaczy, jestem zdenerwowany, ale nie jestem nakręcony.

– ...w porządku.

– Chodzi mi o to, że pan też by był, gdyby musiał pan to znosić.

– Ale co?

– Bycie przesłuchiwanym.

– Myśli pan, że to przesłuchanie?

– A nie?

– Założmy na potrzeby dyskusji – powiedział – że nic się nie wydarzyło...

I tak wkoło. Spędziliśmy dwie godziny na przyprawiających o zawrót głowy gierkach ontologicznych, aż w końcu położyłem głowę na rękach.

– Czy mogę prosić o przerwę?

– To żaden problem. – Krążył po pokoju, przyglądając się. – Piękne rzeczy – powiedział.

Coś mi wtedy przyszło do głowy.

– Co się stało z pracą?

– Słucham?

– Z jej pracą doktorską. Zostawiła ją dla mnie na łóżku razem z listem.

– A, to... Będę musiał ją zabrać, żeby rzucić okiem.

Wyprostowałem się gwałtownie.

– Dlaczego?

– Chciałbym na nią zerknąć.

– Zostawiła ją dla mnie.

– Bez obaw, dostanie ją pan z powrotem.

– Kiedy?

– Kiedy z tym skończymy.

– To praca z filozofii – powiedziałem. – Tylko tyle.

– Więc będę mógł ją wkrótce panu oddać – odrzekł.

Spierając się z nim dalej, ściągnąłbym tylko na siebie uwagę; mimo to włączenie pięćdziesięcioletniej rozprawy akademickiej do dowodów rzeczowych wciąż wydawało mi się groteskowe.

– Ale to po niemiecku – powiedziałem.

Wzruszył ramionami i przechadzając się po pokoju, dotarł do kominka.

Przystanął.

– Czy to Nietzsche?

Kiedy w końcu zostałem sam, poszedłem na górę. Policjanci zostawili bałagan w pokoju Almy. Wschodzące słońce oświetliło zarys jej ciała wciąż widoczny na pościeli.

Teraz opadła mgła.

Całymi dniami nic nie robiłem. Nie sprzątałem. Nie czytałem. Odrobina tego, co jadłem, pochodziła z puszek. Niespokojne noce ustępowały miejsca porankom pełnym strasznej ciszy, podczas których mijała godzina lub więcej, zanim wstałem z łóżka. Torby z zakupami stały nietknięte w korytarzu, dokładnie tam, gdzie je zostawiłem, dopóki dochodzący z nich zapach nie ogarnął salonu; wystawiłem je w końcu na zewnątrz, by zabrała je śmieciarka. Unikałem biblioteki i większości miejsc w domu, w tym całego piętra, spędzając całe dnie w swoim pokoju – nieumyty, rozkojarzony, chodząc tam i z powrotem i czekając, aż ona zaprosi mnie do rozmowy – było to wspomnienie tygodnia powtarzające się w zamkniętej pętli, moje przekleństwo. Nigdy nie cierpiałem pod ciężarem nieświadomości tak bardzo jak wtedy. Nie wiedziałem, co się stanie z jej ciałem, gdzie zostanie pochowana ani kiedy to nastąpi. Nie wiedziałem, czy będę musiał się wyprowadzić. Nie wiedziałem, jak zapłacić rachunki za prąd i wodę, nie wiedziałem, co zrobić z przychodzącą korespondencją. Nie wiedziałem, czy policja traktuje śmierć Almy jako samobójstwo, czy jako zabójstwo; nie wiedziałem też, czy ktoś już rozmawiał z Erikiem, a jeśli tak, to jaka była jego reakcja. Wciąż wyjmowałem wizytówkę Zitellego, zaokrągloną na rogach od moich zmartwień. Opierałem się pokusie zatelefonowania do niego, wiedząc, że wszystko, co powiedziałem, może mnie obciążyć, że obawa może zostać zinterpretowana jako wina, że moje pragnienie ujrzenia dokonującej się sprawiedliwości może zostać uznane za chęć zrzucenia winy na kogoś innego. W moim interesie leżało utrzymanie swojego spokoju jak najdłużej, toteż zatrzymałem się, nic nie robiąc, z nikim nie rozmawiając, doświadczając ciszy i będąc przez nią oskarżanym. Jakkolwiek by brzmiało oficjalne orzeczenie, to czy główną przyczyną śmierci Almy nie była moja nieobecność? Na pewnym etapie mogłem nie dopuścić, by to się stało – czy to musiało się stać? Było wiele rzeczy, które mogłem zrobić – zostać, zadzwonić do Drew albo pod dziewięćset jedenaście – ale nie zrobiłem nic; w moim rozgorączkowanym mózgu zaniedbanie to było równoznaczne z działaniem. Zostawiłem ją samą, a ona umarła.

„...to, co czynię, czynię dobrowolnie”.

Egzystencjaliści uznawali samobójstwo za największy problem filozoficzny. Jeśli ktoś jest wolny, to jakim prawem powstrzymujemy go od odebrania sobie życia? Camus, Sartre, Nietzsche – wszyscy oni dają odpowiedzi, które właśnie wtedy wydawały się bezużyteczne.

„Pan powinien zrozumieć to lepiej niż ktokolwiek inny”.

Być może miała zamiar uspokoić moje sumienie. Jeśli tak, to się przeliczyła: niemożliwe było dla mnie niepostrzeżenie siebie jako publiczności.

Obudziłem się zbyt wcześnie, z powodu ogromnego hałasu.

W korytarzu Daciana z odkurzaczem kołysała się tam i z powrotem.

– Przepraszam.

Nie zareagowała.

Wyjąłem wtyczkę z gniazdka.

– Siir, dlaczego, muszę sprzątać.

Cierpliwie, jak tylko potrafiłem, wyjaśniłem jej, co się stało. Zdawała się nie rozumieć, więc powtórzyłem to, co powiedziałem. – Nie żyje – powiedziałem.

Teraz zrozumiała. Zatrzepotała rękami, a jej twarz przybrała wyraz cierpienia. Chciałem ją spoliczkować; musiałem sobie radzić z własnym smutkiem, a jej żal w porównaniu z moim wydawał się wulgarny i teatralny.

– Pani Alma – lamentowała. – Oooch...

Stałem tam w swojej piżamie.

– Oooch, oooch...

– Przykro mi – powiedziałem.

– Oooch...

– To straszne, wiem. Posłuchaj...

Nagle przestała płakać i spojrzała na mnie.

– Ja pana sprzątam.

– Mnie? Nie. Nie, ja...

– Proszę, tylko pracować.

– Nie mogę...

Wyrzuciła ręce w niebiosa.

– Siir, oooch, siir...

– Nie możesz tu pracować. Nie będę mógł ci zapłacić.

– Tak, okej.

– Nie rozumiesz, co mówię.

– Bardzo dobra praca.

– Jestem pewien, że to prawda, ale...

– Trzy rok – powiedziała. – Jeden, dwa, trzy.

– Cokolwiek by było...

Wetknęła wtyczkę z powrotem do gniazdka i włączyła odkurzacza.

– Wyłącz to, proszę.

Nucenie.

– Wyłącz to. Czy mogła... A niech to szlag! – Wyjąłem wtyczkę po raz kolejny.

Niezrażona pośpieszyła przez korytarz do kuchni.

Zaczęła zmywać brudne naczynia, które zapuściłem. Rozejrzałem się: muszki owocowe, okruchy, pootwierane słoiki, blat kuchenny szorstki i połuszczony. Prawdziwy horror.

– Umówmy się – powiedziałem. – Dziś możesz tu pracować, ale to wszystko.

– Tak, pracować.

– Świetnie. Ale posłuchaj. Przestań, zakręć wodę, proszę. Proszę. Dziękuję.

Po pierwsze, nie zamierzam tu dłużej zostać. Jeśli chcesz pracować, to będziesz musiała to robić u kogoś, kto się tu wprowadzi. Więc dzisiaj – dobrze. Ale to wszystko. Więcej nie. Okej?

Skinęła głową i zanuciła.

– I chcę, żebyś zostawiła jej sypialnię w spokoju. Nie wchodź tam. Rozumiesz, co mówię? Nie sypialnia.

– Tak, siir.

– Sypialnia na górze. Nie wchodź do niej.

– Tak, ja sprzątam.

– Nie. – Ująłem ją za nadgarstek i zaprowadziłem na górę. – Nie sprzątać.

Daciana wydawała się zdezorientowana.

– Nie – powiedziałem. – Okej?

– Ty szef.

Wróciłem do łóżka i nakryłem sobie głowę poduszką.

Po niecałych pięciu godzinach przyszła do mnie.

– Koniec, siir.

Nie wiedząc, co to znaczy, wskazałem piętro.

– Tak?

– Nie.

– Nie?

– Nie – potwierdziła.

– Nie. Okej. W porządku. Dobrze. A teraz: ile ci płaciła? – Zrobiłem pauzę. –

Pieniądze. Ile pieniędzy?

Popatrzyła w bok, drapiąc się po szyi.

– Sto.

– Tyle ci płaciła?

– Okej, osiemdziesiąt pięć.

Teraz zrozumiałem: właśnie sama dawała sobie podwyżkę.

– Czterdzieści pięć – powiedziałem.

– Osiemdziesiąt.

– Pięćdziesiąt.

– Siedemdziesiąt pięć.

– Pięćdziesiąt pięć.

Odezwała się zasmuconym głosem Wookiee'ego.

Otworzyłem portfel, wyjąłem trzy dwudziestki i wyciągnąłem je przed siebie. Po króciutkiej przerwie Daciana złapała banknoty i wsunęła je za stanik. W jej ironicznym uśmiešku dostrzegłem narastającą nienawiść – a może był to szacunek? Może zrobiłem na niej wrażenie swoją siłą charakteru?

– Przychodzę następnego tygodnia – powiedziała.

– Nie. Już nie. To wszystko.

Schyliła się po swój koszyk.

– Do zobaczenia wkrótce.

Dzwoniąca przedstawiła się jako asystentka Charlesa Palatine'a, prawnika Almy. Pan Palatine życzył sobie rozmawiać ze mną osobiście, następnego dnia, o ile to możliwe. Umówiłem się na drugą po południu i wyszedłem, żeby kupić sobie jakieś ubranie. W pełni przekonany, że spotkanie to będzie miało związek z nakazem eksmisji, miałem nadzieję, że odpowiednio ubrany będę mógł poprosić o przedłużenie jej terminu. Niestety, stało się jak zawsze: wszystkim, na co potrafiłem się zdobyć, była para spodni khaki poplamionych atramentem i blezer. Nie wiem, dlaczego się spodziewałem, że moja garderoba ulegnie spontanicznej poprawie. Rozłożyłem rzeczy na łóżku i zacząłem kontemplować swe buty. „Powinien się pan wstydzić, panie Geist. To jedyna rzecz, o którą pana proszę, zanim umrę”. Pamiętam jej błysk w oku i pełną kokieterii intonację. Uświadomiłem sobie, że żartowała sobie moim kosztem. Wiedziała, co się miało wydarzyć. Oczywiście, że wiedziała. Zaplanowała moją podróż, nalegając, bym pojechał do domu, i upierając się, że Eric nie stanowił dla niej zagrożenia. A dlaczego by miał stanowić? Nie mógł jej nic zrobić, skoro ona zrobiła to pierwsza.

Pytanie tylko, czy zrobiła.

Wziąłem prysznic, ubrałem się i wyszedłem na zakupy.

Przy Brattle Street znajdował się luksusowy sklep z modą męską, obok którego przechodziłem wiele razy, nie wstępując nigdy do środka. Teraz zajrzałem przez szybę. Bezgłowe manekiny odziane w tweed obwieszczały nowy semestr. Na ścianie z tyłu widać było buty – czarne i brązowe, wystawione jak ciastka w cukierni. Gdy otworzyłem drzwi, odezwał się dzwonek, a siwowłosy sprzedawca w schludnym garniturze w drobną kratkę podszedł, żeby mnie przywitać.

Zmierzył moje stopy i przyniósł kilka pudełek.

– Te będą panu służyć dożywotnio – zapewnił mnie.

Skóra była sztywna, nowa i bezlitosna. Zapytałem, czy ma coś mniej formalnego.

Podał mi but, który wyglądał na bardziej miękkiej.

– Mephisto. Cudowne. Jedna para i będzie pan im wierny przez całe życie. Pozwoli pan, że sprawdzę, czy mam odpowiedni rozmiar.

Kiedy zostałem sam, zacząłem czuć się nieswojo. Nie miałem już stałego źródła dochodów, a nowe buty wydawały mi się mniej ważne niż na przykład jakieś lokum. Musiałem założyć, że Alma nie miałaby mi za złe, gdybym wydał swą urodzinową gotówkę na uchronienie się przed bezdomnością. A pomyśl, że kupienie sobie prezentu uhonorowałoby ją w jakiś sposób... Był beznadziejnie głupi. Zanim sprzedawca zdążył wrócić, włożyłem swoje stare mokasyny i wyslizgnąłem się na zewnątrz.

Chmurzyło się, kiedy wszedłem do sklepu na rogu, by kupić świeżą żywność. Ostatnią przecnicę przed domem numer czterdzieści dziewięć pokonałem już

w strugach szalejącego monsunu. Wszedłem do korytarza i ociekając wodą, przystanąłem w oczekiwaniu na jej ducha.

Cisza.

Włączyłem radio w kuchni i – wciąż w mokrym ubraniu – zabrałem się do pracy nad nowym *Sachertorte*. Trzęsąc się i gwałtownie szczękając zębami w nieregularnym tempie, pracowałem szaleńczo, automatycznie, robiąc przy tym straszliwy bałagan, pokrywając się kakao, cukrem i mąką, grzechocząc ubijaczką po brzegu miski, waląc w blat słoikiem dżemu morelowego i trzaskając drzwiczkami szafek, szufladami i drzwiami lodówki. Nie pomogło mi to uciec przed ciszą. To było za mało, znalazłem więc program z głośną muzyką rockową i wrzeszczałem razem z wykonawcą, chociaż nie znałem słów. Wciąż jednak była cisza, przeciekająca pomiędzy nutami, rozlewająca się po podłodze jak brudna woda, wzbierająca nad moimi kostkami, podnosząca się do kolan, sięgająca po pas, po pierś, aż zacząłem w tej ciszy tonąć – wtedy podgłośniłem radio do końca, obracając gałkę, by zanurzyć się w ogłuszającym przypiływie nicości. Odkręciłem kran do oporu. Otworzyłem piekarnik i brutalnie wsunąłem do niego ciasto, które przelało się przez brzegi formy, sycząc w zetknięciu z gorącymi metalowymi ściankami. Chwyciłem ścierkę do naczyń i wytarłem przemoczone deszczem włosy, wyszorowałem policzki i wcisnąłem tkaninę do uszu, usiłując wypełnić ciszę ciszą i hałasem i wdychając gorzko-słodki zapach przypalonej czekolady.

Palatine & Palatine Sp. z o.o. zajmowała górne piętro wieżowca przy Battery March Street. Przybyłem przed czasem i zostałem zaprowadzony do biura zdefiniowanego przez biurko i fotel pokryte sztuczną skórą mamuta; za nimi było panoramiczne okno, a dalej rozciągał się widok na Boston Harbor, w którym można było znaleźć wszystko: od plastikowych butelek po ludzkie zwłoki i resztki słynnej dwustuletniej herbaty. Gdyby Jezus przeszedł się po tych wodach, nikt nie mrugnąłby nawet okiem.

Wszystko, co znajdowało się na ścianach i w gablotach, przemawiało za bogactwem i dobrym smakiem i już zacząłem żałować, że nie ubrałem się inaczej – było to paskudnie narastające odczucie – kiedy w biurze pojawił się sam prawnik. Krępy, ze stalowoszarym językiem, wszedł, utykając, i zająwszy miejsce w olbrzymim fotelu, oszacował mnie wzrokiem bez ogródek.

– Sławny Joseph Geist – powiedział.

Próbowałem się uśmiechnąć.

– Sławny dla kogo?

Nie odpowiedział. Sięgnął po teczkę leżącą na stosie innych, otworzył ją, wyjął dokument spięty zszywką, rozłożył okulary do czytania i zaczął w ciszy studiować tekst, aż zacząłem się czuć, jakbym był na procesie.

– Co będzie z jej pogrzebem? – zapytałem.

Przyjrzał mi się uważnie przez okulary.

– Przepraszam. Ja... Nie orientuję się, co ma być dalej.

Palatine zamknął teczkę.

- Pogrzebu nie będzie.
- Słucham?
- Jej instrukcje są jasne: żadnego nabożeństwa, żadnych duchownych.
- Czy będzie pochowana?
- Gdy tylko zostanie zakończona autopsja.
- Kiedy?
- Nie wiem. Koroner ma pełne ręce roboty, nie mówiąc już o tym, że jest niekompetentny. To może potrwać miesiące.

Poruszony zapytałem:

- I ona tak... tam leży?
- Tymczasowo.
- Okej, dobrze... Chciałbym być na jej pogrzebie.

Zacisnął usta.

- Powiem Nancy, żeby się z panem skontaktowała.
- Będę bardzo wdzięczny.

Wrócił do czytania.

- Mówiłem jej, że zrezygnowanie z jakiegokolwiek ceremonii jest niestosowne. Mówiłem kilka razy. Ale nie zawsze mnie słuchała.

Nie odezwałem się.

- Umiała być bardzo uparta. – Popatrzył na mnie. – Ale jestem pewien, że już pan o tym wie.

Milczałem.

- Po trzydziestu latach wiem to bez dwóch zdań. Z nią zawsze się przegrywało. Kiedy na przykład opowiedziała mi o panu. Szczerze mówiąc, uważałem to za kiepski pomysł. – Uśmiechnął się do mnie. – Nie ma pan nawet zdolności kredytowej.

Otworzyłem usta, ale nic nie powiedziałem.

Oparł się wygodnie.

- Proszę mi powiedzieć: o czym rozmawialiście podczas waszych krótkich dyskusji filozoficznych?

Cisza.

- Głównie o wolnej woli.
- To znaczy?
- Czy ona istnieje.
- I do jakich wniosków doszliście?
- Do żadnych – odpowiedziałem. – To nie był ten rodzaj dyskusji.
- Jaki?
- Taki, kiedy wyciąga się wnioski.

Prychnął.

- Cóż – powiedział. – Teraz to już skończone.

Nie odezwałem się.

Westchnął i potarł twarz.

- Przykro mi – rzekł. – Taki jest ten parszywy interes.

Skinąłem głową.

– Normalnie załatwiłbym to pocztą, ale biorąc pod uwagę charakter jej instrukcji, pomyślałem, że lepiej będzie spotkać się z panem osobiście.

Popchnął teczkę w moją stronę.

– Proszę spojrzeć.

Otworzyłem teczkę. W środku był testament Almy. Popatrzyłem na niego.

– Śmiało.

Pierwsze paragrafy były czysto techniczne, unieważniały poprzednie testamenty, nakazywały opłacenie podatków i tak dalej. Podział majątku zaczynał się od rozmaitych darowizn dla organizacji wspierających twórczość literacką i ośrodka kultury austriackiej. Doktor Cargill miała sobie wybrać jeden z egzemplarzy biżuterii z toaletki na górze. Środkowe paragrafy odnosiły się do kilku istniejących wcześniej majątków powierniczych, których beneficjentem był Eric Allan Banks – miał on z nich skorzystać pod warunkami, które uznałem za mniej lub bardziej niewykonalne. Jednym z nich – absurdalnym, jak pomyślałem – było ukończenie przez niego college’u. Inny z funduszy zarezerwowany był na czesne. Jedyny z majątków, do którego moim zdaniem Eric mógł mieć dostęp, miał zapewnić mu środki finansowe przeznaczone na adwokata, na wypadek gdyby został oskarżony o przestępstwo zagrożone karą więzienia w wysokości pięciu lub więcej lat. Prawie mu współczułem; czytając testament, miałem wrażenie, że Alma z niego zadrwiła. Jej ostatnia wola wciąż jednak nie miała nic wspólnego ze mną – do chwili kiedy zaczęła mieć.

Paragraf IX

A. Josephowi Geistowi, który był dla mnie najodpowiedniejszym i najmilszym towarzyszem, pozostawiam swój dom, jego zawartość oraz cały majątek niewymieniony we wcześniejszych paragrafach, zakładając, że wypełni on następujące warunki:

(1) ukończy swą pracę doktorską;

(2) praca ta zostanie przedłożona i przyjęta przez Wydział Filozofii Uniwersytetu Harvarda;

(3) Uniwersytet Harvarda nada mu tytuł doktora filozofii;

(4) wyżej wymienione trzy warunki mają zostać wypełnione w ciągu dwudziestu czterech miesięcy od daty mojej śmierci; w tym czasie będzie mu wolno mieszkać w domu i korzystać z funduszy wyszczególnionych w paragrafie IX, ustęp A.

B. Po wypełnieniu tych warunków nabeździe on niezwłocznie prawo własności do majątku wymienionego w ustępie IX, punkt A.

C. Gdyby nie wypełnił któregoś z warunków wymienionych w paragrafie IX, ustęp A lub nie uczynił tego w okresie wyszczególnionym w paragrafie IX, ustęp A, punkt 4, majątek wyszczególniony w paragrafie IX, ustęp A zostanie zwrócony w równych częściach stronom wyszczególnionym w paragrafie VI, punkty C–K.

Zostawiła mi budżet w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów.

Długa, mglista cisza.

Zapytałem:

– Czy Eric o tym wie?

– Jeszcze nie.

– Kiedy się dowie?

– Chciałem, by zjawił się tu dzisiaj – odpowiedział Palatine. – Ale jest niedysponowany.

– Gdzie?

– Nie mogę panu tego powiedzieć.

– Jest w więzieniu?

Palatine nie odpowiedział.

W oddali zatrąbił holownik.

– Chcę, żeby pan wiedział, że starałem się, jak mogłem, by jej to wyperswadować – powiedział Palatine. – Gry takie jak ta prowadzą zawsze tylko do konfliktów.

Nie odezwałem się.

– Nancy prześle kopie wszystkich dokumentów pańskiemu prawnikowi.

– Nie mam prawnika.

– Zatem lepiej proszę się o niego postarać. – Wstał. – Miłego dnia.

Musiałem wyglądać jak jakiś udręczony urzędnik Kafki, usiłując utrzymać w ładzie wielką stertę papierów, podczas gdy wagon metra szarpał i gwałtownie skręcał. Oprócz testamentu otrzymałem jeszcze masę innych dokumentów, uwierzytelnione poręczenia i co najważniejsze, roczne wyciągi z piętnastu różnych banków w Stanach Zjednoczonych, Austrii i Szwajcarii. Kartkowałem je szybko, sumując wszystko: oprócz domu i przedmiotów kolekcjonerskich Alma zostawiła mi dwa miliony dolarów w akcjach, obligacjach i gotówce.

Byłem tak oszołomiony, że niemal przegapiłem swój przystanek. Podskoczyłem, słysząc brzęczyk. Zahaczyłem stopą o krawędź peronu i potknąłem się, rozrzucając papiery. Upadłem na beton, ścigając i chwytając kartki, świadomy, że przechodzący obok ludzie omijają mnie szerokim łukiem.

Wstąpiłem do drogerii i poprosiłem o plastikowe torby. Ciężar papieru sprawił, że ich ucha wcięły mi się w dłonie, a czubki palców były purpurowe, kiedy dotarłem do Drew.

Zadzwoiłem.

– Halo?

– To ja.

– Co się dzieje?

– Wpuść mnie, proszę.

Był sakramencko tolerancyjny. Nie pytał o nic, kiedy wszedłem i usiadłem w jego fotelu, w którym, z torbami papieru piętrzącymi się u moich stóp, pozostałem do późnego popołudnia.

– Wskoczę pod prysznic – powiedział.

– Alma zmarła.

Zamrugał oczami.

– O cholera.

– Zostawiła mi wszystko. – Popatrzyłem na niego. – Zostawiła mi dom.

– Żartujesz sobie.

Potrząsnąłem głową.

– ...a niech to.

Milczałem.

– Wszystko w porządku?

– Nie mogę tam wrócić.

– Dlaczego nie?

– Bo nie mogę.

– Josephie...

– Nie.

– Okej, okej. Przepraszam.

Cisza.

Wstał.

– Muszę iść do pracy.

Nie odezwałem się.

– W lodówce jest chińszczyzna.

Skinąłem głową.

– Poradzisz sobie?

– Nie wiem.

Drew wyszedł z pokoju. Usłyszałem szum wody. Odchyliłem głowę do tyłu i zamknąłem oczy.

Przez kilka następnych dni kręciłem się po mieszkaniu, sprzątajac – był to daremny trud. Ledwie zdążyłem wytrzeć blaty i ułożyć alfabetycznie płyty dvd, Drew wrócił do domu. Pogratulował mi mojego osiągnięcia, a następnie w ciągu pięciu minut zniweczył wyniki mojej pięciogodzinnej pracy. Co ciekawe, odłożył każdą z rzeczy tam, gdzie była wcześniej – konkretny kubek brązowy od herbaty trafił z powrotem na konkretne krzesło, a pół rolki mocnej taśmy klejącej – pod biurko, tam, gdzie ją wcześniej kopnął. Jak się okazuje, nawet on miał swój system.

Nie powiedziałbym, że potrafił pocieszać kogoś pogrążonego w rozpacz w subtelny sposób, lecz wysiłał się, by podnieść mnie na duchu.

– Czy wiesz – zapytał mnie pewnego wieczoru, siedząc przy komputerze i przebierając palcami po klawiaturze – że jednym z nielicznych miejsc na świecie, z których nie można nic zamówić na Amazonie, jest sama Amazonia?

Nie odpowiedziałem.

– Wiesz, w pewnym momencie będziesz musiał zaakceptować, że to jest to, czego ona chciała.

Przewróciłem się na sofie na drugi bok.

– Dobrze – powiedział. – Tylko przestań już sprzątać, okej?

Miałem nadzieję, że Alma nieźle się uśmieła, przyglądając się tej scenie. Miałem nadzieję, że uznała sytuację za totalnie komiczną. Jeśli chciała nagrodzić mnie za moje towarzystwo, jeśli pomyślała, że może zmotywować mnie do pracy, to musiał być na to lepszy sposób. Miałem przed sobą to, na co długo czeka każdy spłukany intelektualista: wolność finansową, ale tym, co czułem, nie była ulga ani wdzięczność, tylko wina i strach.

Może się wydawać, że dwadzieścia tysięcy dolarów to bardzo dużo, ale wcześniej nie musiałem płacić za jedzenie ani inne rzeczy, które zaspokajały moje codzienne potrzeby. Gdybym miał znaleźć pracę, która w efekcie zanegowałaby moje dwadzieścia cztery miesiące rzekomej wolności... Dlaczego akurat dwadzieścia cztery? Z jej perspektywy wszystkim, czego potrzebowałem, było ożywienie. Rok by nie wystarczył, podczas gdy trzy lata zachęciłyby mnie tylko jeszcze bardziej do tego samego... Zatem dwa lata, co oznaczało, że powinienem zaplanować ukończenie brudnopisu na czerwiec, tak bym mógł spędzić nadchodzące lato na poprawianiu pracy, a następny rok akademicki na zakańczaniu wszystkiego, co musiałem zrobić, by przedłożyć, obronić, otrzymać tytuł... Od tego wszystkiego pękała mi głowa. Prawnik miał rację. Nie mogło wyniknąć z tego nic dobrego, a zwłaszcza nie po tym, jak Eric się dowie. Ile z tych dwudziestu tysięcy dolarów musiałbym wydać, by poczuć się bezpiecznie? Musiałbym zainstalować alarm. Wymienić zamki, zabezpieczyć okna... Sumowałem.

Teraz byłoby mi łatwo uwolnić się od tego wszystkiego. Wszystkim, co musiałbym zrobić, byłoby niedotrzymanie warunków Almy i majątek wymknąłby mi się z rąk, a ja zostałbym z tym samym, co przedtem. Ale to też nie wydawało się słuszne. Ponieważ Drew miał rację. Ludzie mogą robić, co chcą, dzięki swoim pieniądzom. Czy mogłem z czystym sumieniem odmówić spełnienia jej ostatnich życzeń?

„To jedyna rzecz, o którą pana proszę, zanim umrę”.

Zostawiłem list z podziękowaniem, zebrałem papiery i wyruszyłem do domu.

Do domu?

Do mojego domu.

Zakładając, rzecz jasna, że zrobię to, co należy.

Koncepcja własności jest całkowicie dziwaczna. Uznaję, że ma fundamentalne znaczenie dla społeczeństwa i tak dalej, ale gdy przyjrzeć się jej bliżej, zaczyna w dużej mierze wyglądać jak wudu. Filozofowie polityczni wylali morze atramentu, usiłując określić, co czyni rzecz czyjąś własnością. By przytoczyć słynny przykład: Locke pisze, że zyskujemy mienie, jeśli łączymy z nim swoją pracę – na przykład uprawiając pole. (Trzysta lat później doprowadziło to Roberta Nozicka do zadania pytania: „Jeśli mam puszkę soku pomidorowego i wyleję go do morza, a jego cząsteczki rozproszą się równomiernie w nim całym, to czy zaczynam tym samym posiadać morze, czy

też głupio zmarnowałem swój sok pomidorowy?”) Żadne z wyjaśnień tego, co stwarza własność – ogólna zgoda, władza polityczna lub fizyczna, potwierdzenie etc. – nie zdawało się odnosić do obecnej sytuacji. Dom, jego zawartość i wszystkie aktywa niewymienione we wcześniejszych paragrafach zostały skierowane do mojej sfery własności, choć o nie nie prosiłem, nie zapłaciłem za nie ani nie udzieliłem zgody.

Bojąc się wejść do środka, postawiłem torby na chodniku i stałem, próbując oswoić swój umysł z myślą, że ta rzecz, tak wielka, tak wiktoriańska, tak cholernie urocza, była – będzie – będzie mogła być – moja.

Mój dom.

Niezręczne wyrażenie, źle dobrane jak garnitur za duży o pięć numerów. Spróbowałem jeszcze raz, na głos:

– Mój dom.

Eric byłby zły. W porządku.

Ale nie zależało to od niego.

To był jej wybór. To, co uczyniła, uczyniła dobrowolnie. Przez wzgląd na nią byłem zobowiązany do otrząśnięcia się. Gdybym odmówił, dopuściłbym się największej zniewagi.

– Mój dom.

Dlaczego więc czułem się tak winny? Wiem: ponieważ wyobrażałem sobie sam rezultat. Wyobrażając go sobie, doprowadzałem się do szału. W swojej fantazji, w jej pierwotnym wcieleniu, krzywdzę ją, a myśl ta jest powodem winy. Ale w rzeczywistości nie wyrządziłem jej żadnej krzywdy. Istnieje świat różnic pomiędzy zaniechaniem a działaniem. To, że dręczyłem się w taki sposób, nie było logiczne. Alma żyła dla bezustannej pogoni za prawdą, a prawda była taka, że moje złe sny nie czyniły mnie winnym czegokolwiek. To, co uczyniła, uczyniła dobrowolnie.

– Mój dom.

Lepiej. Łatwiej. Jednak wciąż daleko od doskonałości, dlatego powtórzyłem to jeszcze raz, i jeszcze, przeciągając tu, spłaszczając tam i modulując na różne sposoby. Zacząłem konwersować sam ze sobą:

– Mój dom ma gonty.

– Mój dom ma ściany szczytowe.

– Mój dom jest biały.

– Mój dom ma sto lat.

Powtarzanie sprawiło wkrótce, że słowa zaczęły brzmieć znajomo, później straciły sens i wreszcie stały się niemal komiczne. „Mój dom” powiedziałem. „Mój”. Czy to dobry pomysł? Jeszcze nie. Nie idealny. Ani trochę. Poczułem się jednak pewniej. Popatrz, tam stoi: mój dom. Mój dom miał ogród z przodu, werandę, chodniki z betonowej kostki, treliaż doświadczony przez pogodę, skrzynkę na listy i to, jak mu tam, to, co trzyma maszt na flagę, pomalowane na biało, żeby pasowało kolorem do ścian. To był mój dom, a to były jego składniki. Ile razy Alma droczyła się ze mną z powodu mojej awersji do rzeczy

lepszej jakości? Ubierałem się jak włóczęga, moim szczytem dogadzania sobie była jajecznicą i grzanka w knajpcie, Alma zaś poprzez swój ostatni czyn chciała zmienić moje zdanie. Czyż nie byłem jej winien zdobycia się na jak największy wysiłek? Wpadanie we wściekłość było infantylne. Kraj się rozpadał, dobrzy, ciężko pracujący ludzie tracili swe domy na lewo i prawo, a ja miałbym mieć czelność powiedzieć: „Nie, dzięki, nie wezmę tego domu”? Co było ze mną nie tak? Przecież to był dom, na litość boską. Dom. Mój. Mój dom. I mój był nie tylko dom, ale i wszystko w środku. Po raz pierwszy w życiu posiadałem rzeczy, mnóstwo rzeczy. „Mój dom, jego zawartość oraz cały majątek niewymieniony we wcześniejszych paragrafach”. Pieniądze. Antyki. Meble. Miałem być bogaty. „Najodpowiedniejszy i najmilszy towarzysz”, oto kim byłem. Alma chciała, żebym miał to wszystko. Czy mógłbym okazać jej nieposłuszeństwo? Oczywiście nie. Mogłem czuć się winny, tak, ale czułbym się jeszcze bardziej winny, sprawiając jej zawód, a kiedy myślałem o tym w taki sposób, dotarło do mnie nie tylko to, że Eric nie jest upoważniony do czegokolwiek, ale też to, że moim etycznym obowiązkiem jest utrzymanie jej własności, to znaczy mojej własności, poza jego zasięgiem. Była mądrzejsza, niż byłbym kiedykolwiek w stanie to docenić. Był to jej sposób wymierzania sprawiedliwości. Był to sposób, w jaki dała mu nauczkę. Postrzegając go takim, jakim był, jako pijawkę, i dała mu to do zrozumienia. Wykorzystywał ją za jej życia, nigdy nie zdając sobie sprawy z tego, że zaprzepaści tym samym o wiele większą nagrodę w przyszłości. Poczuję się więc zobowiązany do zajęcia tego miejsca, uczynienia go swoim i niedopuszczenia do niego Erica. A żeby to zrobić, musiałem wyzbyć się poczucia winy, upchnąć je w miejscu, w którym nie będę mógł go dostrzec, być mężczyzną i przyjąć to, co jest moje, dzięki czemu mogłem z mocno walącym sercem i poruszony do głębi wejść po moich schodach na moją werandę i otworzyć moje drzwi, rzucić moje torby z moimi dokumentami w moim korytarzu i stanąć, podziwiając jak nigdy wcześniej mój salon, mój zegar na kominku i moje blad różowe sofy. Nie było tu duchów. Tylko moje papugi karolińskie skrzeczały i rozciągał się mój nadmorski krajobraz. Przyzwyczajenie się do tego nie trwało długo, nieprawdaż? Nie trwało. Moje pożądanie, poczynane przedtem przez miesiące męczarni, teraz się wzmogło, zwarło i przyszło na świat w swej całej okazałości, wrzeszcząc o moją całkowitą uwagę. Moje. „Moje” – zaśpiewałem sobie, idąc moim korytarzem do mojego pokoju – moje były teraz wszystkie pokoje. Chwyciłem z mojego biurka długopis i kawałek papieru, jedno i drugie moje, i zacząłem spisywać wszystko, co widziałem. Mój witraż z moją małą sceną myśliwską. Moja tylna weranda. Moje ratanowe fotele. Moje podwórze z moją trawą, mój pigwowiec umierający doroczną śmiercią. Moje poduszki, moje koce i moje łóżko, nie tylko moje, bo w nim spałem, kiedy należało do kogoś innego, lecz naprawdę moje. Spisałem to wszystko i poszedłem do mojego pokoju muzycznego, w którym stały moje wazy, mój gramofon i mój drewniany regał z moją kopią *Humoreski nr 6 g-moll* Sibeliusa. Na poręczu mojej kanapy leżał

mój duży wełniany koc, na podłodze stały moje skrzypce, a w mojej szafce z metalową siatką zamiast szyb znajdowała się moja wielka kolekcja płyt długogrających z muzyką klasyczną. Pościel, cedrowe wieszaki, kulki na mole, zasłony prysznic, talerza, szklanki, lodówka, kuchnia – a nie zabrałem się jeszcze do wyliczania tego, co znajdowało się w bibliotece. Przeszedłem ją wzdłuż i wszerz, otwierając okiennice, wpuszczając do środka zapomniane słońce, myśląc o sobie wcześniejszym i obecnym i zastanawiając się, co się zmieniło. Bo nie czułem się już taki sam. Czy przemiana dokonuje się nagle, czy też jest sumą nieskończonej serii wydarzeń, drobnych z osobna, lecz razem niemożliwych do zatrzymania? Kto wprawia kule bilardowe w ruch? Myślałem też o jej kształcie na pościeli, o kształcie, który pasował do pęknięcia w moim sercu. Myślałem o tym, jak po niej płakałem, czego nie uczyniłem dla nikogo od śmierci mojego brata, i o tym, że byłem dla niej dobry; nazwała mnie dobrym chłopcem i użyła mojego imienia. A jeśli wszystkie te rzeczy – dom, jego zawartość oraz cały majątek niewymieniony we wcześniejszych paragrafach – miały być moje, to nie mogłem się bać jej pokoju. Nie było w nim duchów. Zadałem sobie pytanie, co ona by zrobiła, i wiedziałem, jaka jest odpowiedź. Wyjąłem spod kuchennego zlewu pudełko worków na śmieci – jedno i drugie było moje – i poszedłem na górę do jej – mojej – sypialni. Ona już nie żyła, ja – tak. To były fakty i należało je zaakceptować. Musiałem iść za jej przykładem. A zatem: żadnej sentymentalności, żadnego bicia się w piersi, tylko prawda, której zawsze razem poszukiwaliśmy podczas naszej osobistej wędrówki. A jaka była prawda? Taka, że mogłem spać w tym wielkim łóżku, gdybym tylko zechciał. Mogłem i chciałem. Chciałem się wprowadzić i uczynić je swoim. Nie tkwić już na tyłach domu jak lokator. Włączyłem światło i podniosłem rolety. Pokój cuchnął. Ale nie było w nim duchów. Zdarłem koc, zdjąłem pościel i rzuciłem je obok łóżka. Na nakładce na materac widniały ochrowe plamy. Więcej wymiocin? Krew? Mocz? Także moje. Moje, bym poczuł obrzydzenie i chciał się ich pozbyć, gdybym tylko uznał to za właściwe. Wszędzie był kurz. Zdjąłem również nakładkę z materaca. Opróżniłem szafy i komodę: swetry, spódnice, skarpetki, spodnie, bluzki i upokarzające mnóstwo bielizny. Usypałem z tego wielkie stosy, wcisnąłem wszystko do worków na śmieci i wyniosłem na zabudowaną werandę. Nie mogłem się zdecydować, czy wyprać te rzeczy, czy też wystawić je przy krawężniku. Na razie je zostawiłem. Na mocy prawa, które przysługiwało mi z tytułu własności. Ponieważ nie było tam duchów, a gdyby były, również należałyby do mnie.

Wyjąłem swój klucz do domu, zamknąłem swoje drzwi i poszedłem swoim przydomowym chodnikiem, nie zdając sobie sprawy z tego, dokąd prowadzą mnie moje nogi, ale chciałem im na to pozwolić.

– W samą porę – powiedział sprzedawca. – Właśnie weszły do sprzedaży.

Usiadłem na niskiej welwetowej ławeczce. Sprzedawca jeszcze raz pobrał miarę i przyniósł dwa pudełka.

– Czerń jest idealna, chociaż bycza krew jest także piękna. Nie popełni pan

błędu, chcąc nosić je na co dzień. Oczywiście nie musi pan wybierać tylko jednego koloru.

Spojrzałem na metki z cenami: trzysta dziewięćdziesiąt dolarów plus podatek za parę. Kosmiczna cena jak na parę butów.

Ale przecież otrzymałem od niej takie polecenie. I byłem milionerem.

– Proszę o podpis... Dziękuję bardzo. – Sprzedawca wręczył mi torby. – Teraz jest pan człowiekiem Mephisto.

Wybrałem swojego prawnika ze względu na to, że jego biuro znajdowało się blisko. David Solomon był również jednym z ludzi z dwoma imionami lub dwoma nazwiskami – zależy, jak na to spojrzeć – co przemawia do mnie w taki sam sposób jak paradoksy logiczne lub iluzje optyczne. Policzył mi czterysta dwadzieścia pięć dolarów za wstępną konsultację, podczas której doradził mi, bez śladu ironii, bym nie zaczynał trwonić oszczędności, ponieważ nawet w najlepszym razie sąd do spraw spadkowych południowej części hrabstwa Middlesex działa w ślimaczym tempie.

Zapytałem, co się stanie, jeśli Eric zakwestionuje ważność testamentu.

– Musiałby wykazać, że wywierał pan niewłaściwy wpływ na panią Spielmann, to znaczy, że zarówno ona była zdolna do poddawania się manipulacji, jak i pan manipulował nią w rzeczywistości. To trudne do udowodnienia. W przeszłości ludzie próbowali wskazywać na samo samobójstwo jako dowód, że nieboszczyk pozbawiony był, z definicji, zdolności jasnego myślenia. Lecz to na nich spoczywa ciężar dowodu. Proszę jednak pamiętać, że Eric nie przestanie być przez to pańskim utrapieniem. Zawsze znajduje się ktoś, żeby przeciągać takie sprawy – na ogół kobiety. Powiedziałbym, że to potrwa z rok, jeśli zostaną spełnione wszystkie warunki.

Kiedy to mówił, wyobraziłem sobie scenę w stylu Publishers Clearing House: Charles Palatine dzwoni do drzwi i wręcza mi długi na ponad metr czek z kartonu.

– I nie możemy nic zrobić, żeby to przyspieszyć?

Solomon wzruszył ramionami. Miał wielkie, golemowe bary, a jego niema odpowiedź zasugerowała, że prędzej da się przenieść górę.

– Jeśli chce pan cokolwiek zrobić, to proszę zebrać dowody na to, że byliście ze sobą związani. Mogą się przydać, gdyby chciał wytoczyć panu proces. Jakieś zdjęcia, na których widać was oboje, albo listy. Tego rodzaju rzeczy. Coś, żeby pokazać, że wasz związek był prawdziwy, a nie wyssany z palca.

– Nie mam żadnych zdjęć.

– To może jest ktoś, kto znał was oboje i mógłby zeznać, że byliście sobie bliscy?

Jedyną osobą, którą potrafiłem wymienić, była dr Cargill.

– Właśnie o to chodzi. W przeciwnym razie będziemy musieli czekać, żeby zobaczyć, co się wydarzy. Tymczasem może zechciałby pan wypełnić ten dokument.

Następnego ranka obudziło mnie nucenie.

– Niech to szlag! – powiedziałem, wynurzając się z sypialni. – Nie mówiłem,

żebyś nie...

Daciana wrzasnęła, upuściła swój odkurzacz i wbiegła do pokoju telewizyjnego, w którym zamknęła się od środka. Uświadomiłem sobie, że nie ostrzegłem jej o swoich przenosinach.

– Otwórz. – Załomotałem do drzwi. – Daciano!

Jęki, zawodzenie.

– Otwórz.

– O nie, nie, nie...

Przekonanie jej, że nie jestem zjawą, zabrało mi dobre dziesięć minut. Kiedy wreszcie wyszła, rzekłem:

– Posłuchaj, powiedziałem ci ostatnim raz...

– Okej, siir – powiedziała, mijając mnie spiesznie i idąc w stronę odkurzacza.

Przyglądałem się jej minutę, potem poddałem się i zszedłem na dół.

Miałem zamiar przejrzeć swoją pracę – to, co napisałem do tej pory – i wykorzystać ją na tyle, na ile tylko się da. Jaki sens miałyby zaczynanie pisania od początku, skoro miałem już tak dużo tekstu? Opity herbatą, chwyciłem wszystkie osiemset stron i ukryłem się w bibliotece, w której spędziłem cały dzień na czytaniu. (Z wyjątkiem godziny, kiedy Daciana wyprosiła mnie, żeby „sprzątnąć książkę”.) Nie zajrzawszy do brudnopisu od prawie roku, podszedłem do niego ze świeżym obiektywizmem i to, co odkryłem, poruszyło mnie. Poczułem się jak przeniesiony w czasie i zmuszony do stanięcia oko w oko z wcześniejszym sobą, tym, którego próżność, niedojrzałość i niecierpliwość przebijały z każdej strony. Używałem czterech słów tam, gdzie wystarczyłoby jedno, i folgowałem sobie, tworząc mnóstwo odnośników. Obszerne fragmenty tekstu pozbawione były spójności i składały się wyłącznie z dygresji, które były pochodną dygresji wyższego stopnia, te zaś zrodziły się z dygresji tworzących jeszcze bardziej nadrzędną grupę... Był to istny *Finneganów tren* z bibliografią.

– Koniec, siir.

Suchymi oczami zobaczyłem Dacianę stojącą w drzwiach; na jej bluzce widniały plamy potu.

Odłożyłem brudnopis, wyjąłem portfel i odliczyłem sześćdziesiąt dolarów.

– To był ostatni raz – powiedziałem. – Rozumiesz?

– Okej, siir.

Wepchnęła pieniądze za stanik i schyliła się po swój koszyk ze środkami czystości.

– Do zobaczenia wkrótce.

Nikt nie wiedział lepiej ode mnie, jak szybko mogą minąć dwa lata. Zaczynając zmagać się na nowo z notatnikiem – i wymazując po południu to, co napisałem rano – poczułem pierwsze łaskotanie czegoś, co wkrótce przybrało postać bezustannej delikatnej paniki. Czytanie brudnopisu od nowa zdemoralizowało mnie, doprowadzając w końcu do tego, że przestałem

zajmować się nim samym. Zamiast tego zabrałem się do pozornie niezbędnych preliminariów. Ułożyłem listę lektur. Wyszedłem i kupiłem dużą białą tablicę, na której zacząłem rysować skomplikowane „mapy pomysłów” – sieci pojęć, obrazujących lepiej niż cokolwiek innego pajęczyny w moim mózgu. Wmawiając sobie, że potrzebuję dostępu do bardziej aktualnych źródeł, zadzwoniłem do firmy telekomunikacyjnej i kazałem sobie zainstalować łącze internetowe, co oczywiście w niczym mi nie pomogło, potęgując tylko moją dekoncentrację. Przerazające było to, że straciłem zdolność skupiania się przez więcej niż kilka minut. Napisawszy króciutki fragment tekstu, wstawiałem, przeciągałem się, kręciłem po pokoju, wypijałem szklankę wody, czytałem kilka ustępów nieistotnej książki, siadałem, pisałem kilka kolejnych zdań, zaczynałem się martwić, kasowałem wszystko, co napisałem, przeglądałem skróty wiadomości i sprawdzałem prognozę pogody, docierając w końcu do Wikipedii i zamieszczonego w niej artykułu o Pointer Sisters, na który trafiłem, kiedy wcześniej przeglądałem stronę traktującą o modelu Kripkego. Rozpaczliwie potrzebując inspiracji, przypominałem sobie swoje konwersacje z Alną. Wszystkie te długie, cudowne godziny rozmów, które teraz przekornie umykały na peryferie mojej pamięci i znikwały, kiedy tylko próbowałem po nie sięgnąć. Gdybym tylko miał wtedy przy sobie magnetofon... A kiedy zaczynałem się zastanawiać nad pomysłem, uznawałem go za bezużyteczny, ledwie zasługujący na uwagę, prawie martwy – za coś delikatnego, co zmiądzylem w swoim pośpiechu. To samo przeskakowanie z tematu na temat, które czyniło nasze rozmowy tak przyjemnymi, sprawiało, że nie można było stworzyć na ich podstawie możliwych do przyjęcia argumentów. Nie były to rozmowy z rodzaju tych, które prowadzą do wniosków, bo to zniweczyłoby nasz cel, którym – jak sądzę – było badanie i wyczuwanie tego, co nieograniczone. A mimo to Alma zażądała, bym teraz wziął na siebie jarzmo ostatecznego terminu. Szaleństwo! Deprawacja! Byłem na nią wściekły, potem było mi przykro i czułem się jak niewdzięcznik, a jeszcze później dopadały mnie paraliż i depresja... Ale żadna z tych rzeczy nie pomagała mi w pisaniu.

Miałem jednak wymówkę, i to dobrą. Dysertacja była tylko jedną z przeszkód. Drugą był Eric. Być może właśnie to stanowiło przyczynę mojej niemożności skupienia się: byłem zaabsorbowany myślą o procesie sądowym. Informacja o urzędowym zatwierdzeniu testamentu musiałaby zostać zamieszczona w gazecie, przekazana zainteresowanym stronom i powrócić do sądu – w tym momencie Eric straciłby prawo do zgłoszenia sprzeciwu. Do tego czasu, jak stwierdziłem, nie mógłbym odzyskać przytomności umysłu pozwalającej mi na twórczą pracę.

Dlatego gdy nadszedł listopad, wciąż nie mogłem się pochwalić najmniejszymi postępami.

– Wiesz, co należy zrobić – powiedział Drew, stojąc na środku biblioteki i trzymając ręce w górze jak sygnalista. – Powinieneś urządzić imprezę.

Spojrzałem na niego drwiącym wzrokiem.

– Mówię serio. To świetny dom na imprezy. Poważnie, panuje tu bardzo luksusowa atmosfera. – Zapadł się z jękiem w jeden z foteli. – O tym właśnie mówię... Jak to się stało, że nigdy wcześniej mnie tu nie zaprosiłeś?

– Lubiła spokój – odrzekłem, choć było to po części kłamstwo. Alma nigdy nie zabroniła mi przyjmowania gości, a ja po prostu nigdy nie poprosiłem jej o pozwolenie, chcąc zatrzymać ją tylko dla siebie. Teraz, kiedy odeszła, poczułem neodpartą chęć ujawnienia, gdzie się ukrywałem, i – muszę przyznać – chciałem się tym pochwalić.

– Podobałoby mi się tu, wino i sery – stwierdził Drew. – Albo wiesz co? Pokerowa noc. Whiskey, cygara... Moglibyśmy wykorzystać tamten duży stół.

– To stół jadalniany.

– Właśnie dlatego.

– To antyk.

– Właśnie dlatego.

– To nie jest stół karciany.

– Ma idealne rozmiary. Trzeba go tylko przykryć filcem.

– Nie.

– Cóż – powiedział, obracając globus. – Jeśli zmienisz zdanie, daj mi znać.

W korytarzu na dole Daciana przeszła obok nas, nucąc. Drew spojrzał na mnie.

– Gosposia – powiedziałem.

– Awansujesz, przyjacielu.

– Daj spokój.

– Jak Jeffersonowie.

– Nie rozumiesz – powiedziałem. – Powiedziałem jej, żeby przestała przychodzić. Ale ona i tak się zjawia.

– To... Cóż, nie wiem, o co chodzi. Dziwne.

– Właśnie.

– Dlaczego jej nie zwolnisz?

– Mówisz, jakbym nie próbował.

Roześmiał się.

– To nie jest śmieszne. Ona doprowadza mnie do obłędu.

– Tak trudno kogoś zwolnić?

– Nie masz pojęcia, jaka jest uparta.

– W takim razie jej nie płąć.

– Już próbowałem.

– I co?

– Zaczynała płakać.

Przerwaliśmy, by posłuchać nucenia Daciany.

– Przynajmniej ma miły głos – powiedział Drew.

– Niewart sześćdziesięciu dolarów tygodniowo.

Posłuchaliśmy jeszcze.

– Trzydzieści – ocenił. – Góra.

– Gdybym urządził imprezę, to czy myślisz, że Yasmina by przyszła? Normalną imprezę, nie pokerową.

– Przecież wiesz, że imprezy są po to, żeby się spotykać z kobietami.

– Nie znam innych kobiet.

– A ja tak.

– Myślę, że chciałyby zobaczyć dom.

– Posłuchaj, jeśli wciąż masz obsesję na jej punkcie...

– Nie mam.

– ...to ją tu zaproś. Nie potrzebujesz wymówki.

– To nie wymówka. Poczuję się bezpieczniej, jeśli to ty ją zaprosisz.

Wzruszył ramionami.

– Mogę spróbować.

– Na nic się nie zgodziłem. Mówię teoretycznie.

– No tak, to jest właśnie twój problem – powiedział. – Dużo mówisz.

Minęło osiem tygodni od śmierci Almy i już zaczynałem podejrzewać, że Palatine „zapomniał” zaprosić mnie na jej pogrzeb. Kiedy odebrałem telefon od jego sekretarki, ta powiedziała mi dwa razy, że obecność gości została zabroniona.

Cmentarz Mount Auburn, mglisty i cichy. Stałem sam po jednej stronie grobu. Naprzeciwko mnie dr Cargill trzymała się kurczowo ramienia męża, a obok nich beznamiętny Charles Palatine opierał się na swojej lasce. Nigdzie nie było widać Erica.

Ze względu na historyczny charakter cmentarza nie mogły się po nim poruszać żadne maszyny, toteż musiało upłynąć pół godziny, zanim czterech mężczyzn uzbrojonych w łopaty uporało się ze swą pracą. Nie było żadnych przemów. Uznałem całe to wydarzenie za głęboko rozczarowujące, nieakceptowalne ze społecznego punktu widzenia. Nie chcąc patrzeć zbyt pożądliwie na trumnę (byłoby nader bezwstydne) ani na innych żałobników (to z kolei przyprawiłoby mnie o gęsią skórkę), pozwoliłem, by moje spojrzenie zabłądziło gdzieś w srebrzystych trawnikach ukoronowanych nagrobkami skrywającymi pod sobą bostońską inteligencję, a teraz omszonymi i zapomnianymi. Przez pagórek przeszła grupa obserwatorów ptaków z lornetkami wycelowanymi w jakąś odległą gałąź; zatrzymali się, by się naradzić, a potem zgodnie ruszyli dalej, jak stado, ścieżką zasłaną żółtymi i pomarańczowymi liśćmi. Palatine przestępował z nogi na nogę. Wyglądał na przeziębionego, bo jego nos był czerwony od ciągłego wydmuchiwania. Wciąż myślałem o uroczystościach żałobnych poświęconych mojemu bratu, tych pierwszych i tych ostatnich. Latarnia morska symbolizująca zmarłych bliskich w naszym życiu: jakież to chore, chore i przewidywalne... I cliwe. Ale co z tego? Co jest lepsze? Ta wilgotna banalność poranka? Popatrzyłem nad grobem na dr Cargill i dostrzegłem, że umknęła mi wzrokiem. Przyglądała mi się? Zacząłem się wiercić w swoich nowych butach. Była to pierwsza okazja, kiedy włożyłem je oficjalnie. Poranny deszcz dał mi do myślenia i niewiele

brakowało, bym miał na nogach swoje stare mokasyny. Lecz Alma poprosiła mnie przed śmiercią i postanowiłem uszanować jej życzenia, wkładając czarne buty. Wyobraziłem sobie, że zaaprobowałaby ten wybór, gdyż czerń odpowiadała powadze sytuacji, a ponadto cudownie pasowała do nowej sportowej marynarki, którą kupiłem także po to, by uczcić zmarłą.

Spadła ostatnia łopata ziemi. Palatine oddalił się, kuśtykając.

Podszedłem do dr Cargill, by złożyć jej kondolencje. Kiedy się zbliżałem, zacisnęła lekko usta.

– Przykro mi z powodu pani straty – powiedziałem.

Skinęła głową.

– A mnie z powodu pańskiej – odparła.

Zapadła krótka cisza, po której mąż lekarki wyciągnął do mnie rękę.

– Ron Cargill.

Przedstawiłem się.

– Piękne miejsce – powiedziałem. – Trochę szkoda, że nie chciała ceremonii.

– Chciała, żeby odbyło się to właśnie tak – odrzekła dr Cargill.

– Tak... Mimo to byłoby miło, gdyby ktoś mógł przemówić.

Skinęła głową i wyjęła chusteczkę.

– Cóż, proszę na siebie uważać.

– Dziękuję, wzajemnie. Ale, ach... Nie jestem pewien, czy pani o tym wie, ale Alma zostawiła pani coś ze swojej biżuterii.

Cisza.

– Powiedziano mi o tym.

– Rozumiem, że widziała już pani...

– Tak, widziałam.

Natychmiast poczułem się jak idiota. Nie miałem zamiaru się chełpić, ale jak inaczej mogła to odczytać? Ja miałem fortunę, podczas gdy ona, po piętnastu latach wizyt domowych, została nagrodzona błyskotką. Mimo to uznałem jej lodowaty chłód za niewłaściwy. To Alma podjęła taką decyzję, nie ja.

– Czy coś szczególnie się pani podoba? – zapytałem.

Cisza.

– Nie zastanawiałam się nad tym.

– Jest mnóstwo różnych rzeczy.

Wiedziałem, że powinienem się zamknąć, ale brnąłem dalej, brnąłem, mówiłem i brnąłem.

– Proszę zajrzeć, gdy będzie pani mogła, i coś sobie wybrać. To znaczy, pewnie będzie pani chciała się przyjrzeć?

– Teraz?

– Nie, nie, oczywiście, że nie teraz. Kiedy będzie pani odpowiadało.

Cisza.

– Wie pan co? – powiedziała. – Załatwmy to już do końca.

Jazda do domu trwała potwornie długo.

– Numer czterdzieści dziewięć – powiedziałem do jej męża. – Na końcu

przecznicy.

– Wie, gdzie to jest – odezwała się dr Cargill.

Gdy weszliśmy na górę, znieruchomiała w progu sypialni. Natychmiast zorientowałem się, o czym pomyślała: usunąłem wszystkie ślady obecności Almy.

– Tędy – powiedziałem, krocząc z przesadną zamaszystością w kierunku toaletki.

Były w niej pierścionki, bransolety, delikatne jak mgła naszyjniki ze złota i platyny, szafirowe kolczyki z takim samym wisiosem, perły z mórz południowych, rubinowa broszka w kształcie papugi – nigdy nie widziałem, by Alma nosiła którąkolwiek z tych rzeczy. Gdy dr Cargill wodziła palcami po kosztownościach, stwierdziłem, że moja psychika każe mi kierować jej uwagę na przedmioty, które wyglądały na mniej kosztowne. Każdy, którego by nie wybrała, należałby do mnie i mógłbym go sprzedać; zdecydowałem ponadto, że dwadzieścia tysięcy po prostu mi nie wystarczy. Musiałem opłacać rachunki i ponosiłem koszty swoich badań naukowych. Myślałem o zakupie nowego komputera stacjonarnego. Garbienie się nad małym monitorem było dobre, kiedy musiałem być gotowy do nagłej przeprowadzki, ale nie pasowało do właściciela domu. A taki sprzęt nie rośnie przecież na drzewach, nieprawdaż?

W tym samym czasie poczułem się paskudnie z powodu swojego zachowania na cmentarzu. Mógłbym przecież być zmuszony do powołania się na dr Cargill jako na świadka moralności.

– Proszę się nie krępować i wybrać sobie więcej niż jedną rzecz.

Ponownie zacisnęła usta.

– Dziękuję.

– Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję.

– A może pani mąż miałby ochotę?

Zostawiliśmy Rona Cargilla w salonie na dole.

– Myślę, że nie.

– W porządku – powiedziałem, patrząc z ulgą, jak odkłada ciężką złotą bransoletę. – Nie znam się na biżuterii.

Popatrzyła na mnie.

– Dlaczego miałby się pan znać?

Natychmiast przyszło mi do głowy coś przerażającego: pomyślałem o zmianie, jaką w sobie zauważyłem, wracając do domu w dniu, w którym objąłem go w posiadanie – dr Cargill dostrzegła ją, bo ta ogarnęła moje całe ciało jak wysypka. Spróbowałem coś powiedzieć, ale nie potrafiłem.

Lekarka wróciła do biżuterii. Przyłożyła do uszu parę kolczyków i przejrzała się w lustrze.

– Telefonowano do mnie z policji.

– ...ach, tak.

Skinęła głową.

– Pytali mnie o pański związek z Alną.

Cisza.

– Hm... – mruknąłem.

– Powiedziałem im, że bardzo się o siebie wzajemnie troszczyliście.

– ...tak było.

Odłożyła kolczyki.

– Oczywiście.

Cofnęła się i założyła ręce.

– Nie chcę żadnej z tych rzeczy.

– Czy coś nie tak?

– Nie. Po prostu niczego nie chcę.

– Cóż, w porządku, ale Alma chciała, żeby pani sobie coś wzięła.

– To nie znaczy, że muszę się na to zgodzić.

– Rozumiem, ale... Proszę. – Sięgnąłem po broszkę w kształcie papugi. –

A może to? Albo... albo, okej, przecież to nie musi być nic z biżuterii. – Słyszałem samego siebie: mówiłem jak oszalały. – Ściszej mówiąc, w porządku, to nie musi być dokładnie to, o czym mówiła. Ale jeśli może być jakaś książka albo dzieło sztuki, to proszę pójść ze mną i obejrzeć... To znaczy, Alma chciała, żeby pani coś wzięła. Była pani wdzięczna i właśnie tego chciała. Oczywiście zależy to całkowicie od pani, ale skoro taki był zapis, to myślę, że jest właściwe, żeby pani... Czy nie ma niczego, co chciałaby pani wziąć?

Cisza.

Dr Cargill powiedziała:

– Dlaczego nie mógłby pan czegoś wybrać i mi przesać?

– Myślę... hm, myślę, że mogę to zrobić. To znaczy, jeśli ma pani jakieś preferencje...

– Nie.

– Okej. Okej, dobrze. Jeśli jest pani pewna...

– Tak, jestem.

– W porządku. Okej. Ale jak już powiedziałem, nie znam się na biżuterii i to nie będzie moja wina, jeśli się pani nie spodoba to, co wybiorę.

– Naprawdę mi na tym nie zależy – odrzekła. – Po prostu nie chcę już o tym więcej myśleć.

– Cóż – odpowiedziałem. – W porządku.

Oparła się kciukiem o drzwi.

– Lepiej już sobie pójdę.

Na dole jej mąż przyglądał się Audubonowi.

– Gotowa?

– Tak.

Słyszając jak odjeżdżają, pomyślałem, że pošlę jej więcej niż jedną rzecz. Dwa lub trzy ładne przedmioty albo tuzin mniej kosztownych... Naturalnie dr Cargill była zmartwiona. Oboje byliśmy: mieliśmy świeżo w pamięci widok Almy skrywającej się w ziemi. Wziąłem również pod uwagę wstrząs, jakiego można

doznać, kiedy ktoś, komu, leżąc go, poświęciło się tyle lat, popełnia samobójstwo. Byłem też zły i znałem Almę ponad piętnaście razy krócej. Przemogłem jednak swą przesadną wrażliwość, podobnie jak dr Cargill. Spodoba jej się to, co jej poślę. Spodoba się, bo to piękne przedmioty, wszystkie w najlepszym guście.

W pewnym momencie pomyślałem, że uzna mój prezent za to, czym był w rzeczywistości: za łapówkę. Nie mogłem odwołać wcześniejszych niezręcznych wypowiedzi, lecz musiałem mieć doktor Cargill po swojej stronie. Ona, jako jedyna, mogła potwierdzić, że kochałem Almę. To, że musiałem to udowodnić – sądowi, policji lub komukolwiek innemu – było dla mnie upokarzające. Pamiętałem jednak, że nie miało to już nic wspólnego z miłością – tu chodziło o pieniądze. Nie mogłem zatem nikomu ufać ani w nic wierzyć.

Pierwszy śnieg spadł wcześniej, dwa dni po Święcie Dziękczynienia, lecz nie utrzymał się długo i spłynął z dachów szarymi strumyczkami. Zapchany rynsztok na rogu zalał ulicę i sprawił, że wyprawa do sklepu zamieniła się w paskudną błotnistą katorgę. Pozostawiony z własnymi myślami, wyczerpany, przetarłem oczy i popatrzyłem na ekran komputera. Czy istnieje gdzieś głębia, która jest głębsza niż czysta strona? Czy jest coś więcej niż jej migający kursor pojawiający się w powolnym tempie marsza żałobnego?

Dzwonek u drzwi okazał się długo oczekiwaną odmianą. Odchyliłem nieco frontową zasłonę i zobaczyłem Erica stojącego na werandzie i przestępującego z nogi na nogę. Miał sine usta i trząsał się; poczułem niegodziwą przyjemność, zauważywszy, że świat nie potraktował go ostatnio zbyt dobrze. Wyglądał na potarganego, niedożywionego, pozbawionego braku pewności siebie; zauważyłem jego wystające jabłko Adama i rękę sięgającą do głębokiego, niezagojonego rozcięcia nad lewym okiem. Jeśli po moim ostatnim spotkaniu z Palatinem miałem jakiegokolwiek wątpliwości co do miejsca pobytu Erica, to teraz już ich się pozbyłem: wyglądało na to, że był w więzieniu, co pozwoliło mi przypuścić, że został w nim potraktowany tak, jak na to zasłużył. Dostrzegłem w nim głęboką zmianę i uśmiechnąłem się, zauważywszy, jak usiłuje się ogrzać.

Dotarło do mnie wówczas, że nie widziałem go od dnia, w którym zagroził mi, że doniesie na mnie na policję. Gdyby zamknięto go wkrótce potem, nie mógłby zabić Almy. Nie było powodu, by przypuszczać, że właśnie tak było. Lecz w rzeczywistości nie było go, jak przypuszczałem, przez dwa miesiące i jak inaczej można było wytłumaczyć jego nieobecność? Wynikałoby z tego, że Alma popełniła samobójstwo: po prostu odebrała sobie życie. Wydawało się, że Eric stracił szansę, prawdopodobnie nie po raz pierwszy w swoim życiu. Inicjatywa Almy i moje zaniedbanie doprowadziły do zrealizowania jego marzeń, a myślenie o moim zaniedbaniu sprawiło, że poczułem się zamieszany w jej śmierć, winny i rozzłoszczony. Myślałem, że te uczucia już minęły, i nie zasługiwałem na ich powrót; miałem teraz na głowie znacznie ważniejsze sprawy. Założyłem łańcuch i uchyliłem drzwi.

– Hej – powiedział. – Muszę z tobą pogadać.

– Mów.

– No dobra, chłopie, wpuść mnie. Jest chyba dziesięć stopni mrozu.

Ja, miły i zadowolony, i on, stojący przed drzwiami jak żebrak... Cofnąłem rękę zmierzającą podświadomie ku łańcuchowi.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Nie mogę wejść?

Pokręciłem głową.

– Dlaczego?

– Bo nie chcę, żebyś wszedł.

– Posłuchaj, chłopie: nie musisz taki być.

– Ciesz się, że w ogóle z tobą rozmawiam – powiedziałem. – Bo powinieneś rozmawiać z moim prawnikiem.

– Jezu Chryste, nie możesz się wyluzować?

– Muszę już iść.

– Zaczekaj.

Zaczekałem.

– Wpuść mnie tylko na pięć minut – poprosił.

– Do widzenia – powiedziałem i zamknąłem drzwi.

Po kilku chwilach zaczął łomotać do bocznych drzwi. Widząc, że to nic nie daje, przeszedł na tył domu. W końcu usłyszałem dzwonek telefonu.

Podniosłem słuchawkę.

– Przestań, bo wezwę policję.

– Hej, hej, hej – uspokój się. Chcę tylko z tobą porozmawiać.

– Nie ma o czym.

– Pewnie, że jest. Daj spokój. Umieram z zimna. To ważne.

– Jeśli to takie ważne, to nie trać czasu i mów, o co chodzi.

– Co ty sobie myślisz? Że cię zastrzelę?

– Skąd mam wiedzieć?

– No dobra, chłopie, żartujesz sobie?

Nie odpowiedziałem.

– Dobrze, cholera. – Pociągnął nosem. – A mogę chociaż dostać kawę albo coś?

– Nie mam kawy.

– Może być herbata.

– Do widzenia, Ericu.

– Czekaj, czekaj, czekaj, czekaj... W porządku, posłuchaj: pokażę ci się, okej? Podejdz do drzwi od ulicy.

Rozłączył się.

Z łatwością wyobraziłem sobie widok ziejącej ogniem lufy w otwieranych drzwiach. Poszedłem więc na górę, do pokoju telewizyjnego górującego nad werandą. Eric stał w pozie wyczekiwania, z wywróconymi kieszeniami płaszcza.

Otworzyłem okno. Podniósł wzrok.

Potrząsnął podszewkami kieszeni.

– Widzisz?

– Zdejmij płaszcz – powiedziałem.

– Człowieku, jest zimno.

– Zdejmuj albo dzwonię po policję.

Wymamrotał coś bezgłośnie.

– Co powiedziałaś?

– Nic, nic. Proszę bardzo. – Zdjął płaszcz i odwrócił go. – Widzisz? Wpuść mnie już.

Kazałem mu zdjąć koszulę.

– Jejku, do kurwy nędzy, wystarczy już!

– Rób, co mówię.

Zacisnął zęby i posłuchał. Był wychudzony, a jego skóra blada jak wosk. Obrócił się dokoła jak model na wybiegu – zobaczyłem jego tatuaże: jelenia i karabin szturmowy – po czym, mocno się trzęsąc, objął się rękami.

– Kurwa, gościu – zamarznę na śmierć.

Część mnie chciała zamknąć okno i odejść. Niech wrzeszczy – zignoruję go. Niech się dowie, z kim ma do czynienia. Nie byłem człowiekiem, którego można lekceważyć – żadnego ha, ha; byłem zamożny i bardziej cierpliwy niż on. Byłem mądrzejszy, silniejszy i lepszy, a on mógł tym razem tylko się bronić. Inna część mnie – teraz mogę to przyznać – czerpała przyjemność z poniżania go. Po tym wszystkim, co zrobił, zasłużył na upokorzenie.

– Twoje spodnie – powiedziałem.

Wywrócił kieszenie.

– Zdejmij je.

– Co?

– Zdejmij spodnie.

– Tu? Co, u diabła, człowieku?

– W porządku.

Zamknąłem okno i cofnąłem się, znikając mu z oczu.

Zaczął znowu wrzeszczeć. Policzyłem do dziesięciu i ponownie podszedłem do okna.

– Dobrze – powiedział. – Wygrałeś. Okej?

Rozpiął rozporek i spodnie opadły mu do kostek. Miał bezwłose nogi i chociaż stał zbyt daleko, bym mógł powiedzieć to na pewno, wydało mi się, że są upstrzone małymi czarnymi cętkami.

– Otwórz w końcu te pieprzone drzwi! – wrzasnął.

Zamknąłem okno i zszedłem na dół. Eric wgramolił się na werandę, naciągając na siebie ubranie, i krzyknął ze zdziwienia, kiedy drzwi ponownie otworzyły się na tyle, na ile pozwolił im łańcuch.

– Kurwa, gościu! – Kopnął futrynę. – Powiedziałeś, że mnie wpuścisz.

– Nigdy tak nie powiedziałem.

Popatrzył na mnie z nienawiścią.

– Ty pierdolony dupku, wiesz co?

Zacząłem zamykać drzwi.

– Zaczekaj.

Cisza.

– Przepraszam – powiedział.

– Mów, co masz do powiedzenia, i daj mi spokój.

Zobaczyłem wybrzuszące się mięśnie jego szczęki, kiedy próbował się opanować.

– W porządku... w porządku. Posłuchaj. Przemyślałem to. Chcę się z tobą dogadać.

Przerwał.

– Co ty na to?

– Nic. Niczego jeszcze nie powiedziałeś.

– Okej, tak, jasne. Właśnie do tego zmierzam. Myślałem o tym bardzo długo. Jak ci już powiedziałem, nie potrzebuję domu. Jeśli o mnie chodzi, możesz go sobie wziąć.

– Ja już go mam. Nie musisz mi go dawać.

– Wiem. W porządku, wiem. Ale ci mówię, że nie mam nic przeciw temu. Nie chcę go. Nie mam nawet zamiaru próbować o niego prosić.

– Niesamowite.

– Okej, dobrze, ale jeśli ty masz dom, to ja też powinienem coś dostać. Bądźmy sprawiedliwi.

Nie odezwałem się.

– Mam rację?

– Czego chcesz, Ericu?

– Więc jeśli ty dostałeś dom – i nie zapominajmy, że to duży dom, z tonami różnych rzeczy – to myślę, że będzie sprawiedliwie tylko wtedy, kiedy dostanę pieniądze.

– Pieniądze.

Skinął głową.

– W postaci tego wszystkiego?

Skinął ponownie.

Teraz naprawdę zacząłem się śmiać.

– Straciłeś rozum.

– Tylko tak będzie sprawiedliwie – powiedział.

– A jak to obliczyłeś?

– Dom to jakieś dwa miliony. I są jej rzeczy. Książki, nawet nie wiem ile warte.

– Nie sprzedaję książek.

– Tak, ale mógłbyś, gdybyś zechciał.

– Nie chcę.

– Dobrze, to zależy od ciebie – powiedział. – Twój wybór.

– Z pewnością.

– Ale mam na myśli to, że są jeszcze inne rzeczy, wiem na pewno. Więc w sumie będziesz zadowolony, zresztą i tak nie potrzebujesz ich tak jak ja. Posłuchaj, chcę się dogadać. A może by tak. Gotowy? Okej, posłuchaj: powiedzmy, że dam ci połowę.

– Ty dasz mi połowę?

– To całkowicie sprawiedliwe – powiedział.

– Nie, ani trochę. To nawet z daleka nie przypomina niczego sprawiedliwego. Powiedzmy coś sobie jasno: nic, co chcesz mi dać, nie jest twoje. Pieniądze należą do mnie, Ericu. I to jest twój punkt wyjścia do negocjacji.

– Więc jak, niczego nie dostanę? Chcesz mi powiedzieć, że niczego nie dostanę?

– Zostawiła ci coś. To jest w testamencie. Czytałeś go?

– Jak mam zrobić to wszystko, czego ona ode mnie chce? Nie potrafię, człowieku, przecież wiesz.

– Zatem jest naprawdę kiepsko.

– Mam trudności w uczeniu się.

– Mówiłeś już o tym.

– Tak, więc mi pomóż. To nie jest w porządku i wiesz o tym.

– Ona uważała, że jest.

– Nie masz o niczym pojęcia.

Zaczął mówić zmęczonym głosem, do którego dopasował łagodny wyraz twarzy. Było to galowe przedstawienie.

– Zamieniła moje życie w piekło.

– Przypuszczam, że cię biła.

– Tak.

– Nie wierzę ci.

– Ona...

– A nawet gdybym ci uwierzył, to nie ma to nic wspólnego ze mną, domem ani pieniędzmi.

– Jestem splukany.

– Przykro mi to słyszeć.

– Nic to dla ciebie nie znaczy?

– Znaczy tyle, że powinieneś być trochę rozsądniej wydawać to, co ci dawała.

– Dlaczego mi to robisz? Czy zrobiłem ci kiedykolwiek coś złego?

– A co takiego ci robię, Ericu?

– Zabierasz wszystko.

– Niczego nie zabieram. Ona mi to dała. I szczerze mówiąc, po tym, co ty próbowałeś zrobić, przychodzenie tu z prośbą o jałmużnę jest czymś niewiarygodnym.

– Nie wiem, o czym, kurwa, mówisz.

– Wiesz, co zrobiłeś.

– Nie, nie wiem.

– To już twój problem.

Cisza.

– Trzymaj się ciepło – powiedziałem i zacząłem zamykać drzwi.

– Jak ci idzie pisanie? – zapytał.

Zatrzasnąłem drzwi i zamknąłem je na zasuwkę.

Jak mi szło pisanie? Oczywiście kiepsko, zarówno tamtego, jak i następnego popołudnia. Miałem trzy strony nowego szkicu i właśnie go przeglądałem, kiedy zadzwonił telefon. Odezwał się dwanaście razy, potem zamilkł. Nastąpiła krótka cisza, po której rozdzwonił się znowu. Zamknąłem laptop i poszedłem do kuchni.

– Halo?

Cisza.

Odwiesiłem słuchawkę.

Ruszyłem z powrotem do swojego gabinetu.

Telefon odezwał się ponownie.

Zawróciłem do kuchni.

– Eric?

Cisza.

– Idź do diabła – powiedziałem i odwiesiłem słuchawkę.

Kiedy powtórzyło się to trzeci raz, wyjąłem wtyczkę telefonu z gniazdka.

Powtarzało się to przez kilka następnych dni. Musiałem przyznać, że był nieustępliwy: gdy tylko ponownie włączałem telefon, ten natychmiast zaczynał dzwonić. Rzadko podnosiłem słuchawkę, a kiedy już to robiłem, po drugiej stronie była tylko cisza. Trudno było zrozumieć, co chciał przez to osiągnąć; to, że nie potrafiłem zakończyć pracy, nie uprawniało go do niczego. Sądzę, że dostateczną motywacją była dla niego chęć robienia mi na złość.

Zadzwoiłem do firmy telekomunikacyjnej. Ktoś w Bangalore powiedział mi, że zablokowanie określonego dzwoniącego jest niemożliwe, i zasugerował, bym się postarał o nowy, zastrzeżony numer telefonu. Postąpiłem zgodnie z tą sugestią i głuche telefony ustały.

Zamiast nich pojawiło się jednak coś daleko bardziej niepokojącego. Zacząłem odnosić wrażenie, że jestem obserwowany.

Nie potrafię powiedzieć, skąd to wiedziałem. Nie zauważyłem też nigdy Erica ani nikogo innego. To delikatne i dręczące uczucie, które pojawiało się w najmniej oczekiwanych momentach – kiedy byłem pod prysznicem lub stałem przy ladzie jubilera wyceniającego kosztowności Almy – nie chciało mnie opuścić. Krążyłem po domu, zamykając okiennice i przywracając ponurą atmosferę, którą utrzymywała w nim Alma. Lecz wciąż je czułem: niespokojne niewidzialne oko. Wyszedłem na pocztę, by wysłać dr Cargill jej prezenty, a kiedy stanąłem z powrotem na chodniku, poczułem je znowu. Odwróciłem się w miejscu jak szalony, machnąwszy rękami i niemal uderzywszy przejeżdżającego rowerzystę. Nie zobaczyłem nikogo i nie działo się nic złego, lecz wracając do domu, maszerowałem żwawo, potem jeszcze szybciej: ono mogło być za mną, unoszące się w powietrzu, galaretowate, przekrwione, obsceniczne, wszystkowiedzące i wszystkowiedzące. Ruszyłem sprintem w swoich nowych butach ślizgających się na chodniku. Zanim wszedłem do domu, zlustrowałem jego otoczenie, a gdy znalazłem się w kuchni, nalałem

sobie tęgiego drinka. Odczucia nie powinny nic znaczyć w obliczu faktów. Wypiłem, nalałem sobie jeszcze i zabrałem się do gotowania czegoś na imprezę.

Nie wiedziałem, jak to nazwać. Było jeszcze dziesięć dni do Bożego Narodzenia. Drew powiedział, że kogo to obchodzi, dopóki tylko jest wóda. Spędziłem wieczór na bieganiu, napełnianiu szklaneczek, dziękowaniu gościom za prezenty tak ocieplające dom, błahych rozmowach i zgadzaniu się, że tak, nie widzieliśmy się zbyt długo.

– Wygląda na to, że znalazłeś swoją bratnią duszę – powiedzieli, kiedy opisałem im Almę.

Uśmiechnąłem się.

– Musi być cudownie mieć kogoś takiego w życiu.

Było.

– To ty upiekłeś to ciasto?

W rzeczy samej.

Yasmina się nie pokazała, a kiedy już zrobiło się późno i inni goście – których uważałem za wypełniacz – zaczęli się wymykać, spisałem cały wieczór na straty.

– Mówiłem ci – powiedział Drew. – Luksusowo.

Przygnębiony, poszedłem do kuchni, włączyłem radio, podwinąłem rękawy i zanurzyłem ręce w gorącej wodzie. Ta impreza była strasznym pomysłem. Poczułem się poirytowany z powodu Drew, który namówił mnie, by ją urządzić. Kiedy zeszkrobywałem twarde, zasuszony dżem, dotarło do mnie, że mógł wcale nie zaprosić Yasminy, biorąc na siebie ciężar wyzwolenia mnie. Zgniotłem gąbkę i woda spłynęła po moim nadgarstku na podłogę. Zatem żadnego więcej życia towarzyskiego. Powrócę do swej prywatności i dokończę pracę, a później otrzymam swój majątek i zacznę nowe życie, niemające nic wspólnego z Harvardem ani którymkolwiek z tych ludzi... Pograżony w uzalaniu się nad samym sobą prawie przegapiłem dzwonek do drzwi. Spodziewając się kogoś, kto wrócił po zapomniane rękawiczki, wytarłem ręce i wyszedłem do holu. To była Yasmina.

Cisza.

– Mogę wejść? – zapytała. – Jest trochę zimno.

Wziąłem jej płaszcz i zaprowadziłem ją do kuchni, gdzie ukroiłem jej kawałek *Sachertorte*.

– Dziękuję – powiedziała.

– Poznam Pete'a?

– Jest w Nowym Jorku.

– Zatem innym razem.

Skinęła głową.

– Ładne buty.

– Bycza krew – odrzekłem.

– Co się stało z twoimi mokasynami?

– Wyrzuciłem je.

– Cóż, Josephie Geist. Ja nigdy ich nie wyrzuciłam.

Patrzyłem, jak je.

– Nie przypuszczałem, że przyjdiesz.

– No tak... Ja też nie – Zliziała z kciuka bitą śmietanę. – Słyszałam, że należysz teraz do szlachty ziemiańskiej.

– Na to wygląda.

– Gratulacje.

Skinąłem głową.

– Oprowadzisz mnie więc po swoich włościach? – zapytała.

jej ojciec zbudował te skrzypce.

– O, naprawdę?

– Był wytwórcą instrumentów.

– Są piękne... Dlaczego zasłoniłeś wszystkie okna? Nie jest tu trochę za ciemno?

– Jest noc.

– Mimo to... Widzisz? O wiele lepiej.

Zaciągnąłem zasłonę z powrotem.

– Wolę, kiedy jest tak.

W gabinecie zauważyła mój brudnopis, ułożony byle jak i najeżony kolorowymi zakładkami.

– Znowu piszesz?

– Można to tak nazwać.

– Miło mi to słyszeć.

– Dzięki... Popatrz: wzór na jego kapeluszu jest taki sam jak na drzewach.

Pisnęła z zachwytem.

– Podoba ci się – powiedziałem.

– To jest cudowne. Tak bardzo w moim stylu.

– Wiem – odrzekłem.

– Za każdym razem, kiedy przyjeżdżam do domu, żeby się zająć sprawami związanymi ze ślubem, moja mama chce, żebym z nią oglądała domy na sprzedaż. Wszystkie te perskie pałace.

Wzruszyła ramionami.

– Wiesz. Kolumny.

Uśmiechnąłem się blado.

– Cóż – powiedziała. – Jest całkiem fantastyczny. Ponury i nawiedzony – idealny dla ciebie. Mimo to mam nadzieję, że skorzystasz z mojej rady i wpuścisz tu trochę światła.

– Jest jeszcze coś, co musisz zobaczyć.

– Zostawiła ci samochód?

– Lepiej.

Reakcja Yasminy na bibliotekę uświadomiła mi coś, o czym zapomniałem: był to jej zapał, dziecko ukryte we wnętrzu wyrafinowanej osoby. Dawno już nie widziałem jej tak urzeczonej, z achami i ochami, kiedy dotykała każdej

rzeczy swymi delikatnymi palcami.

– O mój Boże – powtarzała bez przerwy. – O mój Boże, Josephie. To jakieś szaleństwo. To znaczy, czy ty w ogóle wiesz, jakie to wielkie szaleństwo?

– Jestem tu już na tyle długo, że wydaje mi się to normalne.

– Nie jest. O mój Boże, czy to prawdziwy Tiffany? – Pochyliła się, by dokładniej obejrzeć lampę. – Wiesz, ile to warte? O mój Boże, co tu jeszcze jest?

Pokazałem jej niektóre z pierwszych wydań. Przez chwilę miała nieobecny wzrok. Później powiedziała rzeczowo:

– Powinieneś wynająć rzeczoznawcę.

– Niczego nie sprzedaję.

– Musisz wiedzieć, ile to jest warte. Do celów ubezpieczeniowych.

Stała przez ścianą z fotografiami.

– To ona? Ze wstążkami?

– Tak.

– O mój Boże, była taka piękna. Popatrz na tę sukienkę. Miała konia?

– Nie zdziwiłoby mnie to. Jej rodzina była bardzo bogata.

– O, tak. A... Ach, oczywiście. – Podniosła pół-Nietzschego. – Wiedziałam, że znajdziesz sposób, żeby zepsuć to idealnie piękne wnętrze.

– Almie podobało się, że tu stoi. To był jej pomysł.

– O, nie wierzę.

– Tak powiedziała.

Yasmina odstawiła podpórkę na miejsce.

– Kiedy się wreszcie nauczysz, że kobiety mówią najróżniejsze rzeczy?

Uśmiechnąłem się.

– Musi ci jej brakować – powiedziała.

Skinąłem głową.

– Szkoda, że jej nie poznałam.

– Ucieszyłoby mnie to.

Cisza. Yasmina milczała.

– Co się stało?

Potrząsnęła głową i przeszła przez pokój.

– Mino – wyrwało mi się nieświadomie i przygotowałem się na uderzenie.

Nie nadeszło.

– To piękny dywan – powiedziała. Kucnęła, by przeciągnąć po nim dłonią. – Prawdopodobnie jest wart fortunę. Co się stanie, jeśli wybuchnie pożar? Pomyślałeś kiedyś o tym?

– Ja...

– Powinieneś dowiedzieć się czegoś o tych rzeczach. Musisz dbać o to, co masz.

– Yasmino, o co chodzi?

– O nic, w porządku? Przestań. O nic nie chodzi. Jestem zestresowana.

– Czym?

– Mnóstwem rzeczy. Śluby stresują.

Wstała i ruszyła w kierunku fotela, ale się rozmyśliła i usiadła po turecku na podłodze, zanurzając palce w dywanie.

– To naprawdę piękny dywan, uwierz mi. Potrafię to ocenić.

Nie odezwałem się.

– Cały czas tylko, kto chce to, a kto tamto. Kto nie zje tego, a kto tylko to. Moja mama – o mój Boże. Jego jest jeszcze gorsza. A już obie razem... – powiedziała i pokazała na migi eksplozję.

Cisza.

– Opowiedz mi o tym – poprosiłem.

– Nie chcesz tego wiedzieć.

– Chcę – powiedziałem. – Opowiedz.

Cisza.

– W porządku – odrzekła.

Poznałem wiele szczegółów pełnych przemocy: opowiedziała mi o sporze o to, który z rabinów poprowadzi ceremonię, o problemach z druhnami (siostry Pedrama odmówiły włożenia sukien bez ramiączek wybranych przez Yasmine) i o nieustającej kwestii dotyczącej głównego dania – kurczak czy wołowina, a może jedno i drugie?

– To wygląda jak wariactwo, kiedy o tym opowiadam.

– Nie.

– Wygląda. To jakieś szaleństwo. To jest chore. Ja także chcę miłego ślubu, ale nie byłam jeszcze nawet na drugiej przymiarce, a już wszystko wymknęło się spod kontroli. Nieważne, kim jesteś. Nie ma na świecie powodu, żeby inwestować tyle w jeden jedyny dzień.

– Zakładam, że ustaliliście już datę.

– Dwudziesty trzeci czerwca.

– To wcześniej, niż się spodziewałaś.

Skinęła głową.

– Cóż – powiedziałem. – Mam nadzieję, że to wszystko się rozwiąże.

– Czy mógłbyś być mniej przekonujący?

– Zawsze jest Las Vegas.

– Nie rozumiesz. To wydarzenie dla całej społeczności i nie ma nic wspólnego ze mną. A Pedram kocha pomysł o wielkim weselu. Jest najbardziej szalony z nich wszystkich. Pan Młodzilla. Czy ludzie tak mówią? Powinni.

– Pewnie – powiedziałem.

– Co to ma znaczyć?

– Powiedziałem tylko: „pewnie”.

– Nie bądź taki mądry.

– Mino...

– Zupełnie jakbyś cały czas wiedział, że mi się to przytrafia.

– Nigdy tak nie powiedziałem. Nawet nie pomyślałem.

– Pomyślałeś.

– Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa – powiedziałem.

– Cóż, nie jestem – odrzekła. – I o to chodzi. Nie jestem szczęśliwa. Teraz zadowolony?

– Ja...

– Nie potrafię już się z tym uporać. Z nimi ani z czymkolwiek. Chcę wsiąść do samolotu. O cholera, daj mi, proszę, chusteczkę.

Przyniosłem paczkę chusteczek ze stołu nabijanego gwoździami i ukląknę przed nią.

– To bardzo kłopotliwe.

– Nie ma się czym kłopotać.

Roześmiała się i wytarła oczy.

– Okej.

Biorąc drugą chusteczkę, zgmiotła pierwszą.

– Moi rodzice wyłożyli już siedemdziesiąt tysięcy dolarów zaliczki. Nie mam nawet pojęcia, ile to będzie kosztować, kiedy się skończy. Na razie na liście jest ponad trzystu gości, i to tylko z naszej strony... Nie wiem, co robić. Nie wiem, co *mogę* zrobić.

– To twoje życie.

– Nie. Jest moje, jego, moich rodziców, jego rodziców, dziadków... Każdy wkłada w to wszystko, co ma. To punkt kulminacyjny życia mojej matki. Teraz nie mogę już nic na to poradzić.

– Zawsze masz wybór – powiedziałem.

– Znowu to robisz.

– Co?

– Mówisz aforyzmami.

– To twoje wesele. Twój ślub. To nie para butów.

– Szkoda, że nie mogę cię wysłać, byś z nimi porozmawiał.

– Mogę, jeśli zechcesz. Daj mi ich numer.

– Nawrzeszczą tylko na ciebie w farsi. „Kto móóówi? So pan rooobi?” – Roześmiała się. – W każdym razie przynajmniej jedno z nas jest szczęśliwe.

– Ty też powinnaś być.

– Poradzę sobie.

– Zasługujesz na więcej niż tylko to. Zasługujesz na szczęście pod każdym względem. Ty...

Zaczęła znowu płakać.

Przeprosiłem ją.

– Nieważne – powiedziała. Otarła twarz. Później, zawahawszy się na najkrótszy ułamek sekundy, wyciągnęła do mnie rękę.

Jeśli uznawałem bibliotekę za święte miejsce – a tak było – to skalawszy je, powinienem poczuć się zawstydzony. Ale tak się nie stało. Czułem się strasznie. Czułem spokój, ciesząc się miękkością dywanu pod moimi plecami. Skulona Yasmina leżała obok. Miała rozmazany makijaż, a splecione włosy utworzyły czarny kłęb. Czując ją obok siebie, przypomniałem sobie spokojne niedzielne poranki, kiedy budziłem się wcześniej i widziałem jej wilgotną skórę

promieniejącą ciemnawo na śnieżnobiałej pościeli, rękę ze starannie polakierowanymi paznokciami wystrzeliwującą raz za razem w stronę przycisku na budziku – była to niema komedia, mogąca trwać ponad pół godziny. Yasmina spędzała mnóstwo czasu zamartwianiem się swymi włosami na ciele: wybielała je i depilowała u nasady karku, na przedramionach i wzdłuż kręgosłupa. Szczerze mówiąc, wolałem ją taką, jaka była. Wydawała mi się zawsze dziką istotą, którą udało mi się oswoić.

Teraz usiadła i zaczęła zbierać swoje ubranie.

– Mino.

Odwróciła się, żeby założyć biustonosz.

– Mino, porozmawiaj ze mną.

– Co mam ci powiedzieć? Wychodzę za mąż.

– A wychodzisz?

Zignorowała moje pytanie.

– Mino...

– Przestań, proszę. I tak czuję się już dostatecznie źle.

– Zaczekaj. – Usiadłem. – Porozmawiajmy.

– Jestem zaręczona.

– Z kimś, kogo nie kochasz.

– To jednak nie w porządku.

– Co mogę zrobić, żeby cię przekonać?

– Nic – powiedziała. – Nawet ty nie możesz.

Nie pozwoliła mi odprowadzić się do domu, zadzwoniłem więc po taksówkę i wyszliśmy przed frontową werandę, żeby poczekać. Na dworze było zimno, a księżyc chował się za chmurami. Poczułem za sobą masywność domu. Mojego domu. Patrzenie na lubującą się nim Yasminę sprawiło mi niewypowiedzianą radość.

– Niedługo zacznie padać śnieg – powiedziała.

Jej taksówka skręciła na rogu.

– To zależy od ciebie – powtórzyłem. – Pamiętaj o tym.

– Okej, Konfucjuszu.

Zostałem przed werandą, pragnąc, by się odwróciła. Ale była druga w nocy, a ona musiała wstać rano do pracy. Musiała podjąć decyzję. Nawet ja nie potrafiłbym jej przekonać. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, i teraz mogłem tylko czekać. Wstałem, żeby wejść do środka.

Piętnaście metrów ode mnie, po drugiej stronie ulicy, poruszyła się ciemność. Jaskrawopomarańczowy punkcik – żar papierosa – przebił oleistą czerń, a potem zniknął.

Cambridge opustoszało na święta. Drew wyjechał na turniej pokerowy w Reno. Yasmina poleciała do Los Angeles, gdzie jej rodzina urządziła jej i Pedramowi drugie przyjęcie urodzinowe. Nie ruszałem się z domu. Zamawiałem jedzenie w markecie, surfowałem po internecie, pisałem i kasowałem, posuwając się centymetr po centymetrze i cofając. Zdawszy sobie sprawę, że muszę poczynić bardziej zdecydowane kroki, zadzwoniłem do detektywa Zitellego.

– Nie bardzo – powiedział, kiedy zapytałem go, co się dzieje.

– Autopsja musiała zostać zakończona – powiedziałem. – Wydano ciało.

– Jest zakończona.

– U Almy stwierdzono nagłe zatrzymanie krążenia spowodowane przedawkowaniem mieszaniny leków, które sama zażyła.

– A co z Erikiem?

– Jak to: co?

– Nie rozmawiał pan z nim?

– Proszę posłuchać – odpowiedział. – To ja prowadzę tę sprawę, nie pan. Więc może mi pan pomóc albo przeszkadzać. Mam na myśli pański telefon.

Przeprosiłem.

– Będzie pan musiał mi uwierzyć, zgadza się? Otóż z informacji, które zgromadziliśmy do tej pory, dość jasno wynika, że pani Spielmann sama odebrała sobie życie.

Milczałem, myśląc o jej ostatnich samotnych godzinach na ziemi.

– Wiem, że niełatwo to zaakceptować – powiedział. – Bo z tego co wiem, bardzo się pan o nią troszczył.

Jego odrobinę nieszczerzy ton obudził moją czujność. Chciałem zakończyć rozmowę, lecz nie zadałem jeszcze swojego drugiego pytania. Usiłowałem wypowiedzieć je gładko, lecz zapytałem, jękając się jak podrzędny aktorzyzna:

– Yhm... Dziękuję. Jestem bardzo wdzięczny... Dziękuję, ale... Detektywie – jeszcze jedna sprawa. Przepraszam. Chodzi mi o jej pracę, pracę doktorską. Czy myśli pan, że mógłbym otrzymać ją wkrótce z powrotem? – Przerwałem. – Wie pan, potrzebuję jej do celów naukowych.

Krótką cisza.

– Pracuję tak szybko, jak tylko mogę – odpowiedział.

– Oczywiście. Tylko że to ważne, a skoro sprawa jest zamknięta...

– Tego nie powiedziałem.

– Cóż, powiedział pan jednak, że jest jasne, co się stało.

– Powiedziałem, że jest dość jasne.

Musiałem przyznać, że wiedział, jak dzielić włos na czworo.

– A kiedy mniej więcej będzie to możliwe? – zapytałem.

Dłuższa cisza.

– Zależy to głównie od tego, kiedy otrzymam tekst od tłumacza.

– ...już pan to przetłumaczył.

– Mój niemiecki nieco zardzewiał.

Przycisnąłem palec do czoła.

– Rozumiem. Cóż... Cóż, może mógłbym panu w tym pomóc, jeśli pan zechce.

– To miło z pańskiej strony, ale już się tym zajęliśmy.

– Czy mogę jeszcze jakoś pomóc?

– Zastanowię się nad tym – powiedział. – Wesołych świąt.

Następnego dnia wróciłem do sklepu z modą męską. Sprzedawca poznał mnie, uściśnął mi rękę i rozpoczął konwersację. Korzystając z jego rad, wybrałem sobie bożonarodzeniowy prezent: parę złotych spinek, które pociągnęły za sobą zakup nowej koszuli z francuskimi mankietami. Nie mogę powiedzieć, by którakolwiek z tych rzeczy doprowadziła mnie do jakiegokolwiek znaczącego spostrzeżenia natury filozoficznej, lecz wyglądały całkiem stylowo i stojąc przed potrójnym lustrem, poczułem rodzaj spełnienia, jakbym to ja sam uszył tę koszulę. Konsumpcja może stanowić zastępstwo produkcji, nieprawdaż? Wszedłem do sklepu z pustymi rękami, a opuściłem go obładowany towarami: koszulą i spinkami, tak, a także kilkoma parami dobranych do nich luźnych spodni i jasnobrązową torbą z cudownie gładkiej jagnięcej skóry. A także drugą koszulą. By uzupełnić dwie pary swych butów, dobrze ubrany mężczyzna potrzebuje co najmniej jednej białej i jednej niebieskiej koszuli. Oraz trzeciej, różowej. Zawsze lubiłem róż.

Zgodziwszy się z tym, wstąpiłem do butik dla pań, żeby kupić prezent dla Yasminy. Oczywiście faworytem spośród wszystkich ozdób był wykonany z żółtego złota rubinowy wisiołek z kolczykami. Zamurowało mnie momentalnie, kiedy zobaczyłem cenę – dwa tysiące sześćset dolarów – lecz przypomniałem sobie, że muszę kuć żelazo póki gorące, a w najgorszym razie zawsze będę mógł sięgnąć do toaletki po więcej rzeczy, które da się sprzedać. Na bileciku dołączonym do ozdobnego opakowania napisałem „Z wyrazami miłości od Konfucjusza” i wysłałem prezent do domu rodziców Yasminy.

Dwudziestego czwartego grudnia, po nieodzownym telefonie do domu, wyłożyłem swój obiad z puszek na talerze, nalałem sobie dużą lampkę szampana i zaniósłem wszystko na tacy na stół w jadalni, który nakryłem dla siebie po raz pierwszy, uznając ten gest za odpowiednio odświętny.

Dwudziestego siódmego grudnia zadzwoniła Yasmina.

– Co ty sobie wyobrażasz?

– Słucham?

– Nie możesz tego robić.

– Szczęśliwej Chanuki!

- Nie możesz, Josephie.
- Jeśli ci się nie podobają, możesz mi je oddać.
- Nie chodzi o to, czy mi się podobają, czy nie.
- A podobają?
- Mówię poważnie. Co twoim zdaniem mam z tym zrobić?
- Nosić.
- Och, proszę.
- Potraktuj to jako gest przyjaźni.
- Och, proszę.
- Myślisz, że to gest wrogości?
- Myślę, że jestem zaręczona.
- To był pierwszy krok – powiedziałem. – Zanim byłaś pewna.
- O, proszę cię, przestań.
- Próbuję cię uwieść, bezwstydnie okazując hojność – odrzekłem. – Nie wiem, czuję, że to działa.
- Nie działa.
- Więc ci się nie podobają?
- Ależ podobają. Są zachwycające.
- A zatem to działa.
- Josephie... – powiedziała opadającym głosem. – Cholera, muszę kończyć.
- Zaczekaj.
- Zadzwoń później.
- Mino...

Odwiesiła słuchawkę. Uśmiechnąłem się, otworzyłem lodówkę i sięgnąłem po resztę szampana.

Tamtej nocy śniłem o Almie.

Przechadzaliśmy się po olbrzymim domu towarowym, przypominającym Wal-Mart, ale o wiele większym, z półkami sięgającymi tak wysoko, że zdawały się pochylać do środka, wypełnionymi po brzegi różnobarwnymi przedmiotami wszelkiego rodzaju – sprzętem sportowym, środkami czystości, zabawkami dla dzieci – w nadnaturalnych rozmiarach i neonowych kolorach. Pchaliśmy wspólnie terkoczący wózek na zakupy, dwa razy wyższy ode mnie, i zdejmowaliśmy z półek przedmiot za przedmiotem. Wózek się nie napełniał; sięgaliśmy po więcej, a jego terkot stawał się coraz głośniejszy i coraz niższy, brzmiał jak monstrialne burczenie w brzuchu przypominające odgłosy autorodeo. Poprosiłem Almę, żeby zaczekała; potrzebowałem przerwy i nie potrafiłem już dłużej wytrzymać, ale ona poszła dalej beze mnie, choć krzychałem, by się zatrzymała – tylko sekunda przerwy na odpoczynek – lecz pchała wózek przed siebie, kierując się do końca alejki, a ja wiedziałem, że jeśli jej szybko nie dogonię, to już nigdy mi się to nie uda. Próbowałem namacać coś, czym mógłbym rzucić, nie w Almę, tylko obok niej, i uświadomić jej, że upadłem. Trafiłem na chiński spodek, ale się zawahałem – rzucić spodkiem jest czymś niewłaściwym, nie można przecież niszczyć tak doskonałych spodków.

Była już daleko i zaczynała skręcać – teraz albo nigdy: sprężyłem się i wypuściłem spodek. Poszybował, odbijając się od półek i siejąc chaos, gdziekolwiek uderzył; wszędzie fruwały pudełka i produkty, plastik i tektura, pomarańczowe jak pacholek na drodze i opalizująco zielone, spadające deszczem, zasypujące mnie i zasłaniające mi jej ostatni widok.

Piąta trzydzieści trzy rano i pękające szkło.

Otwarte oczy. Pierś pokrywająca się potem. Na zewnątrz antracytowy poranek: podwórze, nagi bezlistny pigwowiec, otwarta furtka i jeszcze coś: smuga światła przecinająca trawnik, wychodząca z pokoju na dole – z biblioteki. Ktoś był w domu. Wiedziałem kto: był tutaj.

Sięgnąłem po szlafrok, chwyciłem pogrzebacz sprzed kominka i po cichu zszedłem na dół. Lodowaty przeciąg doprowadził mnie do pokoju z tyłu domu – mojego dawnego pokoju. Zobaczyłem wybity witraż ze sceną myśliwską. Sięgnąłem w dół i dotknąłem jednego z większych odłamków. Czapka myśliwego. A może sierść jelenia? Nie potrafiłem odróżnić. Były teraz nierozpoznawalne, a piękno zamieniło się w śmieci. Odwróciłem się, trzęsąc się z wściekłości.

Spodziewałem się, że podskoczy, gdy wejść do biblioteki, ale on siedział spokojnie na środku dywanu, otoczony pogniecionym papierem, pogiętymi okładkami i wyrwanymi grzbietami książek, przypominając obłąkanego ucznia. Zdjął i zniszczył zawartość większości z dwunastu półek.

– Wstawaj – powiedziałem.

Sięgnął ręką pod rozłożoną książkę leżącą grzbietem do góry i wyjął rewolwer Almy.

– Nie – powiedział. – To ty usiądź.

To ciekawe, jak wiele obliczeń wykonuje mózg w chwili takiej jak tamta. Odległość od niego, odległość od drzwi, ciężar pogrzebacza w mojej ręce, prawdopodobieństwo, że rewolwer jest załadowany, pomnożone przez prawdopodobieństwo, że wciąż jest sprawny. Liczby brzęczały i roily się, lecz rozwiązanie się nie pojawiło. Usiadłem w jednym z foteli.

– Połóż to na podłodze.

Położyłem pogrzebacz.

– Daj go tu.

Posłuchałem.

– Dobrze – powiedział. – A teraz możemy pokonwersować.

Nie odezwałem się.

– Nie mogę znaleźć książeczki czekowej.

– Wyrzuciłem ją – powiedziałem.

Skrzywił się.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Była bezwartościowa – odpowiedziałem. – Wystawiona na jej nazwisko.

Przyjrzał mi się.

– To po co tu przyszedłem?

Uznałem, że to pytanie nie zasługuje na odpowiedź.

– Więc to wszystko do dupy – powiedział.

Nie odezwałem się.

– Na dworze jest bardzo zimno, wiesz?

Milczałem dalej.

– Naprawdę zimno – powtórzył. – Zawsze lubiła, kiedy było tu zimno jak w lodówce. Musiałem wkładać piętnaście rzeczy. Możesz to sobie wyobrazić? Ale jej to nie obchodziło.

Nie odpowiedziałem.

– Wiem, że to z powodu jej choroby i ble, ble, ble. Ale żeby chociaż odrobina ludzkiej przyzwoitości, wiesz? Na tym polega problem z takimi ludźmi jak ty.

Milczałem.

– Rozbieraj się – powiedział.

Nie poruszyłem się.

Wycelował w moją pierś.

Wstałem i zdjąłem szlafrok.

Cisza.

Czekał.

Zdjąłem spodnie od piżamy.

– Jeszcze nie skończyłeś.

Stanąłem przed nim nagi.

– Zimno ci?

Nie odpowiedziałem.

Popatrzył na moje genitalia.

– Widzę, że tak.

Roześmiał się.

– Siadaj.

– Możesz wziąć biżuterię – powiedziałem.

– A ty się możesz pierdolić – odrzekł.

Cisza.

Usiadłem. Tapicerka dotykająca mojej skóry była szorstka jak piasek.

– No, zaczynaj. Porozmawiajmy o czymś.

Cisza.

– O czym chcesz rozmawiać? – zapytałem.

– Och, nie wiem. Zobaczmy. – Pomyślał chwilę. – Okej, to może tak. Czy myślałeś o niej kiedykolwiek, kiedy trzepałeś konia?

Nie odezwałem się.

– Myślałeś?

– Jesteś obrzydliwy.

Roześmiał się.

– Przynosiłeś jej wstyd.

– Być może – powiedział.

– Jesteś porażką.

– Może. Ale nie wiem, kurczę. To znaczy, popatrz na nas. I co powiesz?

Który z nas jest porażką?

Nie odpowiedziałem.

– Powiedz: „Masz rację, Ericu”.

Milczałem.

Powiedz to.

– Masz rację.

– „Masz rację, Ericu”.

– Masz rację, Ericu.

– „Ma pan rację, sir”.

– Ma pan rację, sir.

– Powiedz: „Jestem kupą gówna”.

– ...Jestem kupą gówna.

– Głośniej, proszę.

– Jestem kupą gówna.

– Powiedz: „Jestem kutasem”.

– Jestem kutasem.

– „Kto myśli o martwej staruszce, trzepiąc konia?”.

Nie odezwałem się.

– Oj, a tak dobrze ci szło.

Milczałem, a on podszedł do mnie i wcisnął mi lufę rewolweru w podbródek, sprawiając, że zacząłem się dławić.

– Mów.

Nie mogłem. Nacisnął jeszcze raz i znowu poczułem dławienie. Kiedy się uśmiechnął i odchylił głowę o kilka stopni, jak zwykła była czynić to Alma, gdy ją coś rozbawiło, poczułem, że nacisk lufy słabnie; moje ciało zerwało się z fotela i runąłem na niego z góry, nagi, płonący i śliski od potu – ja, potężniejszy, dwa razy większy od niego – a on zniknął pode mną, pryskając gorącą śliną i wymachując pod moją pierś rękami, które przypominały przerwane przewody elektryczne wijące się na drodze. Pstryk – usłyszałem, pstryk, pstryk, pstryk; brzmiało to jak zepsuta maszyna do pisania. Przeliczył się, a nie mogąc wystrzelić, trzasnął mnie rewolwerem w bok głowy, dwa razy i jeszcze dwa; świat skurczył się jak fala odpływu, a potem wzburzył się jak przyływ. Eric znalazł się na górze i okładał mnie pięściami po twarzy, podczas gdy ja szukałem po omacku pogrzebacza, zaciskając dłonie na papierze, który miażdżyłem garściami, i czując pod kręgosłupem twardą rękojeść rewolweru. Poczułem, że chce mnie zabić. Powiedział mi to mój mózg. Powiedział „on cię zabije”, do czego dodałem „jeśli się nie podniesiesz”. Zerwałem się. Wówczas on zamachnął się dziko, lecz częściowo dzięki jego brakowi precyzji udało mi się stanąć na nogi i odskoczyłem, ślizgając się na poszarpanym papierze. Rzucił się w moją stronę. Wyciągnąłem swoje długie ręce chłopaka z prowincji, chwyciłem go za ramię i wykorzystałem jego rozpęd, by miotnąć nim

w obudowę kominka. Był tak chudy i lekki, że wyobraziłem sobie (a musiała to być moja wyobraźnia, ponieważ nie mogło się to wydarzyć w rzeczywistości), że jego stopy oderwały się na chwilę od podłogi, a on sam stał się pełnym gracji przedmiotem, przedmiotem w locie. Jego głowa została przez chwilę z tyłu, a potem podążyła za resztą ciała i kiedy grzmotnęła o twardą powierzchnię, puściłem go. Chwiał się na nogach i wyglądał jak pijany, zupełnie tak, jak gdybyśmy razem spędzili tę noc w barze. Ale nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. W rzeczywistości nie mogliśmy różnić się od siebie bardziej, jak pomyślałem, kiedy chwyciłem najbliższy przedmiot, którym była połówka głowy Nietzschego.

Prawdopodobnie wiecie już, jak wyglądał Nietzsche. Jeśli nie – pozwólcie, że go opiszę. Jego jedyną liczącą się częścią są oczywiście wąsy, które na wczesnych zdjęciach wyglądają jak standardowa dziewiętnastowieczna wersja tego męskiego atrybutu: przypominają grubością cygaro, są smoliste czarne i mają nieco łonowy charakter. Normalny człowiek mógłby powstrzymać ich rozwój na tym etapie, pielęgnując je, szczotkując i utrzymując w granicach konwencji, ale Nietzsche był, rzecz jasna, jak najbardziej odległy od normalności, i tak pozwolił swym wąsom wciąż rosnąć, a kiedy osiągnął wiek średni, te zaczęły się podwijać na końcach jak skrzydła, przypominając coś w rodzaju obcego znaku interpunkcyjnego. Wszyscy twierdzą, że rozumieją Nietzschego, lecz tak naprawdę rozumie go niewielu. Zawsze sądziłem, że można byłoby skorelować jego postępującą utratę zmysłów ze wzrostem jego wąsów. To dobry temat na artykuł, może nie dla filozofa, ale dla historyka kultury obdarzonego poczuciem humoru. Nietzsche doznał załamania psychicznego w wieku czterdziestu pięciu lat; nikt nie wie dokładnie, co było jego przyczyną, lecz legenda głosi, że stracił zmysły, kiedy zobaczył człowieka smagającego konia batem. Historia ta została niemal z całą pewnością zmyślona. Filozof spędził ostatnie jedenaście lat życia w domu opieki społecznej, a przez dwa lata poprzedzające śmierć nie odezwał się ani razu. W tym czasie wąsy – wtedy już przerażająco wielkie – zdominowały całkowicie jego twarz i moglibyśmy to uznać (traktując jako niesforność i nieprzeniknioność) za najbardziej precyzyjny wyraz jego ostatnich przemyśleń. Jest coś, na co należy zwrócić uwagę: to wąsy Nietzschego, które odlewane w metalu przybierają postać połowy kapelusza grzyba, zamieniającego się po podzieleniu go na pół w jego ćwiartkę, ostrą na końcu jak tomahawk. Eric się nie odezwał, kiedy go nim uderzyłem. Rozległ się odgłos skorupy rozbijanego jajka, po czym Eric upadł. Pomyślałem o nim: grożącym Almie i mnie, spotwarzającym mnie i napawającym ją obrzydzeniem, włamującym się do mojego domu i wtrącającym się do mojego życia, przyprawiającym mnie o strach i wybijającym moje okno, odbierającym mi słowa i zastępującym je swoimi własnymi, głupimi, obrzydliwymi i nieinteligentnymi. Poprawka: o wszystkich tych rzeczach nie pomyślałem – zobaczyłem je, rojące się przede mną, i zamachnąłem się w ich kierunku, by

oczyścić powietrze; oczyściłem też swój umysł z dwudziestu lat. Słowa nie były potrzebne. Dawno już przestał wydawać jakiegokolwiek odgłosy, podobnie jak jego czaszka, która była miękka i podatna, kiedy uderzyłem w nią jeszcze raz.

Możesz to nazwać samoobroną, ale się rozejrzyj. Popatrz na dywan, na podłogę wokół kominka. Popatrz na książki. Nie musisz patrzeć na to coś bezwładne; na twarz, która nie jest już twarzą, i na przetłuszczone włosy z ociekającymi końcami. Nie musisz na nie patrzeć, by wiedzieć, co tu się stało. Opowiada o tym sam pokój. Popatrz na to, co miało tu miejsce: na żywe, plemienne smugi koloru, na sposób, w jaki trzęsą się twoje ręce: z przerażenia, owszem, ale też z euforii – i możesz zobaczyć to jak każdy. Miałeś wszelkie powody, by zrobić to, co zrobiłeś. Zadaj sobie jednak pytanie: kto ci uwierzy?

To, co się wtedy z tobą stało, zdumiewa cię. Nazywasz siebie myślicielem, lecz przez krótką chwilę byłeś kimś zupełnie fizycznym, a twoja siła i furia zaszokowały cię, kiedy je okazałeś. Jesteś odczytany i wiesz, co się wydarzyło w sensie fizjologicznym: znasz gruczoły, które się skurczyły i wyrzuciły hormony, i zdajesz sobie sprawę, że twój układ nerwowy nakazał ci: walcz lub uciekaj; znasz, teoretycznie, analogiczne zjawiska kulturowe: nordyckich berserków i uczty bachiczne, azteckie orgie przemocy i glosolalia podczas zstąpienia Ducha Świętego – to tylko niektóre przykłady duchowego szaleństwa, którego uczestnicy twierdzą, iż w jego trakcie dostępują wtajemniczenia, doznając uczucia boskości i nadczołowieczeństwa, zjawisk dobrze udokumentowanych i szczegółowo omówionych w annałach socjologii, psychologii, archeologii, antropologii i badań porównawczych nad religią – w całych ryzach poważnej akademickiej prozy, ukazującej, kiedy, dlaczego i w jaki sposób ludzie ci doprowadzają się do takiego stanu, a ponadto zawierającej wnioski mówiące o szerszych konsekwencjach takiego zachowania dla natury człowieka, jego wychowania, kultury i innych sfer życia. Czytałeś o tym. Sporządziłeś mapę tych idei na papierze, lecz nigdy w trzech wymiarach; teraz, kiedy to uczyniłeś, jesteś całkowicie obecny, wypełniony czuciem, tak przytomny i wrażliwy na rzeczywistość, że kiedy stoisz tam, żywy, to jest to dla ciebie nieznośne. Żółcień lamp jest najbardziej żółta, jak tylko można sobie wyobrazić. Powietrze cierpkie i lepkie jak morska woda. Twój żołądek ryczy z głodu, jakby krzyczał w seksualnym uniesieniu. Jesteś obecny; zadziałałeś. Kto ci uwierzy, jeśli nie uwierzysz sobie sam?

Cały rozdarty, nie czujesz bólu. Zbierasz swoje ubrania – starą wylinkę. Wszędzie leżą książki, są zniszczone. Odwracasz się do niego z nienawiścią i znowu widzisz, co się z nim stało: szary bezoki krater wpatrujący się w kominek. Czujesz skurcz żołądka i biegniesz zgięty do toalety, do której wpadasz w samą porę. Kiedy jest już po wszystkim, cisza wypełnia się wysokim skowytym, który wciska ci głowę między kolana, a ty trwasz tak długo,

decydując najpierw, co trzeba zrobić, potem się do tego przygotowujesz i wreszcie wstajesz, ocierając gęsty śluz ze swojej górnej wargi, a kiedy już zakręciłeś wodę, słyszysz smętną cygańską melodię, pieśń o miłości i śmierci. Przybyła punktualnie, jak zwykle, i zmierza do biblioteki, od której zacznie dziś pracę, żeby nie obudzić cię na piętrze.

Wychodzisz na korytarz i przez otwarte drzwi widzisz jej falujący biust, znamię, spłowiałą dzinsową spódnice, stale brudny fartuch i bluzkę z dekoltem, zbyt głębokim jak na kobietę w jej wieku. Ma we włosach plastikowy grzebień, zabarwiony tak, by wyglądał jak wykonany z szylkretu. Otacza ją jasność budzącego się dnia, światło, którego gęstość, tekstura i wyjątkowe właściwości refrakcyjne sprawiają, że wygląda jak oprawiona w szkło, zawieszona jak błyskotka wewnątrz przycisku do papieru. Wpatruje się w podłogę i w bałagan, którego narobiłeś; nie widziała takiego jeszcze nigdy w życiu. Z jej krowich ust wydobywa się nieziemski dźwięk, najpierw niski, potem wznoszący się płynnie do chwili, kiedy jest już tak wysoki, że zaczyna się zacinać jak dławiący się tłok i szybuje w obrębie dziwnego wokalnego trójkąta o wierzchołkach utworzonych przez u, o i e, zbliżając się do czegoś, co oficjalnie określa się jako samogłoskę półotwartą centralną niezaokrągloną – znasz ten termin, ponieważ brałeś udział w kilku kursach językowych. Ueouu, krzyczy, wymachując tłustymi rękami przed swoją tłustą głupią twarzą. Ueohh ueohh ueooouuu. Ten hałas, choć przeraźliwy, ma oczywisty cel: uświadamia ci to, co się właśnie dzieje – w tej chwili i w tym miejscu.

Wypowiadasz jej imię.

Patrzy na ciebie, a jej twarz zdaje się zapadać. Maluje się na niej bezgraniczny wstręt. To Ameryka. Myślała, że jesteś miłym człowiekiem. Mówiła: ty szef. Ale kimże jesteś teraz, jeśli nie jedynie splugawionym dzikusiem o szerokim zasobie słów? A ona nie przestanie hałasować. Powtórnie wypowiadasz jej imię i robisz krok w jej kierunku, na co ona wydaje głośny krzyk, wyśpiewując dwanaście tonów arii czystego przerażenia. Przedtem tak naprawdę nigdy nie rozumiałeś, co znaczy określenie „ścinający krew w żyłach”. Bo głos, który wydaje, rzeczywiście sprawia, że czujesz się tak, jakby twoje wnętrzności zastygły – wypowiadasz zatem jej imię po raz trzeci, lecz to jej nie przekonuje; dalej krzyczy, celując w ciebie hakiem pogrzebacza. Cofasz się, zaplątujesz się w jej porzucony odkurzacz i twardo lądujesz na tyłku, chwytając ją za kostkę, kiedy, dudniąc stopami, przemyka obok ciebie. Korytarz ma aż i tylko sześć metrów długości i wszystkim, co musisz zrobić, jest powstrzymanie jej od krzyku na tyle długo, by móc jej wytłumaczyć – ścigasza ją do salonu, wołając po imieniu. Pogrzebacz spada na ciebie, a ty chwytasz go z reflekssem, o który nigdy byś się nie podejrzewał. Zdecydowanie wyrывasz jej narzędzie, a ona staje blisko i twoje ramię otacza jej talię, jakbyście zaczęli walca, po czym oboje upadacie i toczycie się po podłodze salonu, przewracając jedną z dwóch mosiężnych lamp. Ona pachnie detergentami i rumiankiem. Zastanawiasz się: jak to musi wyglądać? Mogłoby to być na swój sposób

całkiem śmieszne. Gdyby tylko była cicho. To wszystko, czego potrzebujesz. Co pomyślała sobie sąsiedzi? Będziesz mógł wyjaśnić, co i dlaczego się stało, ale ona musi się najpierw zamknąć. Wyrywasz pogrzebacz z jej rąk i odrzucasz go, po czym próbujesz przytrzymać ją za ramiona, by spojrzeć jej w oczy i ją uspokoić, ale ona już cię nie słucha – nie, siir – teraz ma już własny plan działania i nie uspokoi się na tyle długo, byś mógł się z nią porozumieć, a kiedy kładziesz dłoń na jej ustach, nie żeby ją skrzywdzić, ale żeby na chwilę zagłuszyć jej wrzask, ona gryzie cię zaciekle i drapie tępyimi paznokciami po twarzy. Na litość boską – próbuje ci wydrzeć oczy! Co z nią nie tak? Przecież to – żadna z tych rzeczy – jej nie dotyczy, a ona nie musi być w to zamieszana, musisz tylko, właśnie teraz, uciszyć jej krzyk, co wydaje się graniczyć z niemożliwością. Chwytasz ją za ramiona, przyciskasz je i leżysz na niej, jakbyś trzymał ręce na sterach. Jej atutem jest gwałtowność – spróbuje wszystkiego, każdej sprytnej sztuczki. Twoim atutem jest wielkość, ta, którą miałeś od zawsze: masa ciała. Kolano na jej piersi, potem drugie, i już ją ujarzmiłeś; rzuca się słabo, waląc piętami w podłogę. Posłuchaj! Próbujesz wyjaśnić, przekonać ją słowami: „Posłuchaj mnie, posłuchaj!”. Ale popatrz na nią. Widzisz jej minę. Jakaś część ciebie dostrzega, że robisz jej krzywdę. Czy to decyzja, czy coś, co się dzieje? Czy to coś, co robisz, czy też coś, co już się dokonało? Bo wcale się nie poruszasz, pozostajesz tam, gdzie jesteś, a ona wytrzeszcza oczy i nie rozumiesz, co się z nią dzieje – a może już zrozumiałeś, kiedy postanowiłeś tak pozostać, przyciskając kolanami, kowadłami bliźniakami, jej pięćdziesięcioletnie serce? A ona wydaje odgłos jak żelazko wypuszczające parę; patrzy białkami oczu, a jej głowa odchyła się, ukazując gardło. Wstajesz, doświadczając ciszy i mając nowy problem.

To? Teraz?

To absurd.

To nie może być prawda.

Ale tu jest jedna ręka.

A tu druga.

Nie ma już wymówek, do których mógłbyś uciec się przedtem. Twój wybór jest zero-jedynkowy.

Dalej.

Albo przestań.

Tak bardzo się boisz...

Popatrz wstecz, a twoja przeszłość złoży się na tę chwilę, i pomyśl o przyszłości, która rysuje się jasno... Nie jesteś gotów, by zadawać sobie pytania. Będziesz musiał opracować kontekst stanowiący model teoretyczny, ale to będzie musiało poczekać, ponieważ abstrakcja musi teraz ustąpić czemuś bardzo konkretnemu.

Wysiłek zawleczenia jej z powrotem do biblioteki sprawia, że nie możesz wyprostować pleców, i tylko dzięki sile woli jesteś w stanie pokonać resztę drogi. Kładziesz ją na dywanie, obok niego, potrząsając rękami, by się od niej

uwolnić.

Zbierasz, co musisz. Zostawiła w korytarzu resztę swoich rzeczy. Butelkę amoniaku i puszkę rozpuszczalnika. W kuchni zawieszasz na zgięciu łokcia wiadro rozchlapujące wodę. Wtykasz pod pachę mop. Urywasz worki na śmieci. Bierzesz gąbki.

Dostało się nie tylko książkom, ale też dywanowi. Plamy szybko wyschły, tworząc mrowie małych twardych kropek i kilka kleksów wielkości krążka hokejowego – czarne włókna są pozlepiane i wyglądają jak poddane kauteryzacji. Papierowe ręczniki rozmiękają, są bezużyteczne. Potrzebujesz starej dobrej ścierki. Zdejmujesz swój szlafrok. Śmierdzi wysiłkiem i strachem, a ty zanurzasz jego brzeg w wiadrze, teraz przyjaznym i podłym, które wygląda, jakby było pełne nierozpoznawalnych czarnych drobin. Mdłości pojawiają się i przechodzą, boli cię już od nich gardło. Boli cię też splot słoneczny. Twoje oczy chcą spojrzeć na twarz bez twarzy i żeby temu zapobiec, patrzysz w dół, tylko w dół. Wykręcasz mokry szlafrok i z powrotem do pracy. Szorujesz. Czy to pomaga? Nie potrafisz powiedzieć. Masz zamglony wzrok. Zetrzyj to. Dociera do ciebie, że plamy mogły pojawić się po drugiej stronie. Z obawą unosisz róg dywanu i przeciągasz dłonią po jego jodełkowym spodzie. Czysto. Sucho. Pamiętaj, że to ładny, naprawdę ładny dywan, doskonałej jakości, z włosiem dostatecznie gęstym, by mogło wchłonąć twoje winy. Opuszczasz róg dywanu na podłogę i wracasz do ciężkiej pracy.

Tak, ale książki... Wielu z nich nie da się już uratować. Usiłujesz wytrzeć je do czysta, lecz na próżno; to przesiąkło przez stary papier i wniknęło głęboko w tekst. Plamy na frontyście powtarzają się w całym trzecim rozdziale. Ten widok sprawia, że ściska ci się serce. Przeczytałeś już niektóre z tych książek i obiecałeś sobie, że przeczytasz następne. Nad otwarciem innych nigdy się nie zastanawiałeś i dopiero teraz, kiedy będziesz musiał się ich pozbyć, doceniasz ich wartość. Dzielnie wkładasz kartki na miejsce, naprawiasz oderwane rogi i napełniasz torby.

Zielony jedwab wygląda na cały i niezabrudzony. To dobrze, bo nie masz wątpliwości, że nie poradziłybyś sobie z jego oczyszczeniem, a uszkodzenie o powierzchni kilkunastu centymetrów kwadratowych pociągnęłoby za sobą konieczność usunięcia całego panelu; w bibliotece są trzy zielone jedwabne panele: dwa po bokach kominka, biegnące od podłogi do sufitu, i trzeci nad jego obudową. Musiałbyś je zerwać i pomalować ścianę.

Lampa, która może jest, a może nie jest oryginalnym Tiffanym, została nietknięta.

Sójki krzyczą: stop stop zbir zbir zbir.

Spędzasz kilka minut na dokładnym badaniu foteli. Ich tapicerka jest dostatecznie ciemna, byś nie musiał się nimi przejmować, ale lepiej dmuchać na zimne. Pochylasz się, by wyjąć ich poduszki, i twój wzrok przemyka po twarzy nie twarzy.

Znowu klęczysz nad wiadrem. Po chwili nieprzyjemne uczucie mija i stajesz,

wyczerpany, na krawędzi samego siebie. Nie patrząc na niego, przykrywasz jego górną część ciała workiem na śmieci.

Odkurzasz.

Wynosisz wszystko na tylną werandę, wylewasz zawartość wiadra do dużego plastikowego zlewu i rozbierasz się, wkładając zniszczone ubranie do worka na śmieci.

Stoisz pod gorącym prysznicem na piętrze. Woda, która z ciebie spływa, jest różowa. Szorujesz się mocno ściereczką do mycia ciała i zwiększasz temperaturę tak długo, aż twoje zranienia bledną. Wtedy zakręcasz wodę i stoisz w słupie pary, drżąc, bo masz cel, i planując.

Wycierasz się, namaszczasz i ubierasz. Poza cięciami na ciele, które cię pieką, ale nie wymagają szczególnej uwagi, zostawiła swój ślad na twojej twarzy: to trzy postrzępione bruzdy wyrte głęboko w skórze pod prawym okiem. Sięgasz po pudełko z opatrunkami, a później zastanawiasz się jeszcze raz. Co wygląda mniej podejrzanie: skaleczenia czy opatrunek? Żałujesz, że nie masz kosmetyków do makijażu. Ale już dawno wyrzuciłeś wszystko, co było w toalecie. To przecież twoja toaletka, a do czego potrzebny jest dorosłemu mężczyźnie makijaż? Nie potrzebujesz niczego do chwili, w której staje ci się to potrzebne. Nakładasz opatrunek i schodzisz na dół.

Sytuacja wymaga napicia się herbaty, którą zaparzasz z dwóch torebek, słodzisz górną cukru i doprawiasz sokiem z całej cytryny. Sporządzasz listę i sprawdzasz ją kilka razy. Wybierasz się dziś w podróż – straciłeś już z oczu brzeg – i gnębi cię obawa, że nie uwzględniłeś jakiegoś szczegółu, który może okazać się zgubny.

Dalej.

Ruszaj.

Kluczyki są w kieszeni jej fartucha.

Ku twojemu zaskoczeniu silnik kombi zaskakuje bez problemu. Zwalniasz, pokonując podjazd. Od dawna nie siedziałeś za kierownicą, za jakąkolwiek kierownicą, a bostońscy kierowcy są ciągle agresywni. Twój kolega z college'u dorastający w tej okolicy powiedział ci kiedyś, że nauczył się parkowania równoległego, które polegało na cofaniu do chwili, gdy jego zderzak dotykał zderzaka samochodu stojącego za nim. Nazywał to „całowaniem” i uważał za coś zupełnie normalnego. Myślisz o tym teraz, kiedy krążysz po mieście, zataczając coraz szersze kręgi i wypatrując parkingu, który nie ma parkometrów i nie jest szalenie ciasny ani nie wymaga okazania przepustki. Może powinieneś zostawić samochód na parkingu płatnym? Ale to kiepski pomysł: będą mieli nagranie pokazujące, jak wjeżdżasz i wyjeżdżasz. Nie możesz tego zrobić. Rozglądasz się dalej i w końcu znajdujesz miejsce, jakiego potrzebujesz. Przyglądasz się znakom i wjeżdżasz, modląc się do Boga, w którego nie wierzysz od lat.

Twoim pierwszym przystankiem jest bankomat. Wypłacasz kilkaset dolarów. Nie czujesz się z tym zbyt dobrze; to jedna z wielu potencjalnych wad

twojego planu, który z konieczności jest tymczasowy. Usiłujesz nie patrzeć w kamerę umieszczoną za małym lustrem fenickim i zastanawiasz się, czy nie jest to bardziej podejrzane niż spojrzenie prosto w jej kierunku albo, jeszcze lepiej, udawanie, że nie przejmujesz się jej obecnością. Pogwizdujesz, by wyglądać na zrelaksowanego. Czy kamery bankomatów rejestrują dźwięk? Maszyna ociąga się, wydając odgłos poirytowania, jakby musiała drukować banknoty od podstaw, a ty nagle uświadamiasz sobie, że masz opatrunek na twarzy. Czujesz klej, na którym się trzyma. Powinno to być niemożliwe, ponieważ nie jest żywy i mógłbyś poczuć cokolwiek tylko wtedy, gdyby przesunął się po twojej skórze; czujesz jednak jego ciężar, bo opatrunek jest jak gigantyczna pijawka. Chcesz go zerwać, lecz oczywiście nie możesz tego zrobić, a on – niech to diabli! – tkwi nieruchomo w miejscu. Bierzesz gotówkę, wydruk i odchodzisz. Zrywasz opatrunek i wrzucasz go do rynsztoka, brzydząc się własną głupotą.

Następny jest sklep z artykułami żelaznymi. Kupujesz łopate. Kosztuje dwadzieścia cztery dolary i dziewięćdziesiąt siedem centów plus podatek. Kusi cię, żeby kupić tu jeszcze inne rzeczy, ale postanowiłeś rozproszyć swe działania na rozległym obszarze. Kasjerka, ładna dziewczyna o imieniu Greta, mówi, że zanoszą się na śnieg. Uśmiechasz się i przytakujesz, kiwając głową, lecz się nie odzywasz, bo nie chcesz, żeby cię zapamiętała. Potem zaczynasz się martwić, że nie odpowiedział, sprawisz wrażenie dziwnego niemowcy i dlatego zapamięta cię jeszcze lepiej – powiedz coś, z czego wynika, że jesteś zaskoczony. I choć nie zamierzałeś być zabawny, dziewczyna wybucha zdecydowanie zalotnym śmiechem. Śledzisz jej wzrok, ale ona nie spogląda w kierunku zadrapań na twojej twarzy i czujesz się lepiej. Może wyglądasz normalniej, niż ci się wydaje. Może twoje zadrapania nie rzucają się w oczy aż tak bardzo, a ty cierpisz na zaburzenia postrzegania siebie – takie jak te, które każą anorektykom widzieć w sobie grubasów albo nastolatkowi myśleć, że przyszcza na jego brodzie, nie większy od kropki, połknął jego całą głowę. A może ona po prostu jest tylko uprzejma; poza tym gapienie się jest niegrzeczne. Może jej oczy powędrowały tam od razu (szukając niedoskonałości, jak to zawsze czynią) i natychmiast popatrzyły gdzie indziej, bo tak nakazała im rutyna? Gdyby jednak tak się stało – gdyby zobaczyła szramy i gdyby dało jej to do myślenia – to czy potrafiłaby naprawdę się uśmiechać i żartować z tobą w tak swobodny sposób? Płacisz, dziękujesz jej i wychodzisz.

Nie chcesz, żeby ktoś zobaczył, jak niesiesz łopate, która w miejskim krajobrazie Cambridge wygląda jak rekwizyt sceniczny, więc jedziesz do domu, zatrzymując się po drodze, żeby kupić korektor kosmetyczny. Zostawiasz łopate w bibliotece, a potem stoisz w łazience i nakładasz korektor pod prawym okiem. Czujesz pieczenie, kiedy dotyka ran. Nie jest to profesjonalna robota, ale na razie wystarczy.

Blisko knajpy, w której odbyło się twoje przyjęcie urodzinowe, znajduje się

księgarnia specjalizująca się w przewodnikach turystycznych. Jest pocieszenie wszechstronna. Wcześniej zrobiłeś w niej zakupy tylko raz, przez wyjazd do Niemiec. Wybór, z którym się wtedy zetknąłeś, był porażający: zobaczyłeś wszystkie rodzaje przewodników, przeznaczonych dla podróżnych z każdej sfery społecznej i socjoekonomicznej. Były tam zwarte tomiki dla podróżujących z plecakiem, ale i ekskluzywne przewodniki po świecie luksusowej mody w Berlinie Wschodnim. Decydujesz się na tanią książeczkę z serii, autorstwa miejscowych studentów, aktualizowanej co roku przez agentów terenowych, którzy przysięgają, że nie zrobią tego nigdy więcej, bo hostel w Chorwacji zafundował im coś, co ich lekarz nazwał później najpaskudniejszym bez wątpienia przypadkiem świerzb, z jakim się kiedykolwiek zetknął. Wiesz to, bo byli twoimi studentami i opowiadali ci o tym. Łączyły was szczere i otwarte relacje. Swoje godziny urzędowania spędzałeś w kawiarni i zawsze ktoś do ciebie przychodził, jeśli nie z jakimiś ważnymi pytaniami, to po to, by sobie pogadać. Studenci drugiego roku byli w tobie zadurzeni, a zajęcia w twoich grupach stanowiły obiekt ich pożądania. Przez trzy lata wykładałeś wprowadzenie do logiki, mówiłeś też o Kancie i ideale oświecenia; w tym samym czasie starałeś się o zgodę na prowadzenie seminarium poświęconego niezdecydowaniu. Zaproponowałeś taką właśnie nazwę: „O niezdecydowaniu”. Ale twoja tak zwana opiekunka naukowa odrzuciła ten pomysł, sugerując, że twoją prawdziwą intencją jest chęć uporania się z twoimi własnymi zahamowaniami przed oczarowaną publicznością. Druciany stojak pokryty jest gontem z map Nowej Anglii. Znajdujesz taką, która po rozłożeniu ma rozmiary stolika piknikowego i pokazuje szczegółowo wszystkie drogi aż do granicy z Kanadą. Płacisz trzynaście dziewięćdziesiąt pięć plus podatek i tak, prosisz o torbę.

Sklep z artykułami biurowymi oferuje kartonowe pudła o pojemności osiemdziesięciu pięciu litrów, po dwa dwadzieścia dziewięć plus podatek za sztukę. Oceniasz wielkość bagażnika kombi i postanawiasz kupić sześć. Ich niesienie to męka: targasz sześć płaskich kawałków tektury, a do tego przezroczystą taśmę klejącą do pakowania i wodoodporny czarny marker. Możesz sobie z tym poradzić tylko w jeden sposób: przyciskasz kartony do boków i maszerujesz krótkimi posuwistymi krokami, żeby papier, który wygląda na pokryty czymś w rodzaju wosku, nie wyslizgnął ci się z rąk. Musisz też stawić czoło mapie (w porządnej papierowej torbie z uchwytami ze skręconego papieru i pomysłowo postarzanym logo sklepu). Mija sporo czasu, zanim docierasz do domu. Po wszystkich tych zakupach, podczas których płaciłeś gotówką, twoje kieszenie kołyszą się pod ciężarem drobnych. Wchodzisz do domu pozbawiony tchu, w złym humorze. Ale musisz działać dalej.

Łapiesz autobus jadący na drugą stronę rzeki, gdzie wchodzisz do sklepu ze sprzętem turystycznym. Na ścianie w głębi widać przerośnięty wybór butów terenowych. Chudy jak tyczka chłopak podchodzi do ciebie, by podzielić się

z tobą swoimi mądrościami. – Hardkor – stwierdza, kiedy mówisz mu, że się wybierasz na zimową wyprawę z plecakiem. Sprzedaje ci twoją trzecią w tym roku parę obuwia, a także nylonowe spodnie ocieplane puchem, najnowocześniejsze rękawice, kurtkę, wytrzymały plecak i pudełko plastikowych pakietów, które wydzielają ciepło, kiedy się je skręci. Wyjaśnia, że wkłada się je do rękawic.

Należność wynosi około tysiąca trzystu dolarów. Wręczasz sprzedawcy swoją kartę kredytową, ale ten po chwili wraca. Przekroczyłeś limit. Przekroczyłeś go, kupiwszy nowe koszule, spodnie, spinki i rubinowy wisiołek; dlatego prosisz chłopaka, żeby odłożył twoje zakupy, i wychodzisz, żeby znaleźć następny bankomat.

Pierwszy, do którego podszedłeś, pozwala ci na jednokrotne wypłacenie najwyżej pięciuset dolarów. W porządku, powtórzysz to trzy razy. Ale maszyna znów staje ci na przeszkodzie: wykorzystałeś już swój limit dzienny. Czujesz nieprzyjemny dreszcz. Czy „limit dzienny” ma związek z dniem kalendarzowym i coś wspólnego z północą, czy też z dobą i będziesz musiał poczekać do rana? W żadnym wypadku nie możesz czekać tak długo. Musisz złożyć niezaplanowaną wizytę w banku.

Dama za biurkiem w salonie kosmetycznym kieruje cię do oddziału banku pięć przecznic dalej. Wszedłszy do środka, masz wrażenie, że znalazłeś się w rzędzie tańczących congę w starym domu. Czynne jest tylko jedno okienko. Powstrzymujesz pomruki zniecierpliwienia, a kiedy wreszcie przychodzi twoja kolej i kasjerka pyta, czy chcesz czek kasjerski, ty odpowiadasz: poproszę o gotówkę, w dwudziestkach. Sprawia to, że patrzy na ciebie z wyrzutem, a ty się zastanawiasz, czy nie zadzwoni po policję albo nie włączy cichego alarmu. Wtedy dociera do ciebie, że jest poirytowana liczeniem. To wielce niewłaściwe: pracuje przecież w banku, a wypłacanie pieniędzy jest jej obowiązkiem. Gdybyś był w innym nastroju i nie musiał się spieszyć, kazałbyś wezwać kierownika.

Wracasz do sklepu ze sprzętem turystycznym. Wszystko jest już zapakowane i gotowe do zabrania, co wydaje się godnym uwagi aktem zaufania ze strony sprzedawcy. Mówisz mu, że się zastanowiłeś i wcale nie potrzebujesz ogrzewaczy do rąk.

– Doskonale działają – odpowiada. Jesteś pewien, że tak jest, ale nie, dziękuję. Chłopak wzrusza ramionami i wyławia ogrzewacze z dna torby, pozwalając ci zaoszczędzić szesnaście dolarów i dziewięćdziesiąt centów. Wybałusza oczy, kiedy wyjmujesz stertę paragonów.

W pobliżu domu, w którym mieszkałeś krótko z nimfomankami, znajduje się sklep z tanimi artykułami gospodarstwa domowego. Kiedy wybrałeś lekkie kołdry, sprzedawca zachęca cię, byś kupił grubsze. – Pod tymi naprawdę nie będzie ciepło – mówi. – Takie mi wystarczą – odpowiadasz.

Ostatnim celem twojej bieganiny jest druga drogeria. Wrzucasz do koszyka płynną podpałkę, zapalki, pudełko lateksowych rękawiczek, dziesięć rolek

taśmy klejącej, worki na śmieci, wielkie opakowanie chusteczek dla dzieci i dużą butelkę gazowanego napoju o podwójnej zawartości kofeiny. Dla zachowania pozorów dokładasz magazyn wędkarski. Wszystko to kosztuje cię sześćdziesiąt jeden dolarów i osiemdziesiąt pięć centów plus podatek. Chciałbyś zapłacić drobnymi, których masz w nadmiarze, ale zmuszając kogoś do liczenia bilonu, zwrócisz na siebie uwagę.

Kiedy wychodzisz, pada już śnieg. Wielkie płatki spadają z nieba jak posypka do ciasta.

Po wejściu do domu zatrzymujesz się w korytarzu i otrzepujesz ubranie. Zamykasz oczy i wymyślasz wszelkie nieprzewidziane okoliczności. Wkrótce dociera do ciebie, że robisz to na próżno, ponieważ może ich być nieskończenie wiele. Niewykluczone, że popełniłeś różne błędy w ciągu całego dnia. Równie dobrze możesz zaakceptować możliwość, że coś się nie uda – jeśli nie chcesz jej zaakceptować, to tak naprawdę nie chcesz działać dalej. A musisz. Jest czwarta po południu. Wchodzisz na górę, zasłaniasz okna i nastawiasz budzik na dziewiętnastą. Kładziesz się kompletnie ubrany i zapadasz w sen bez snów.

Budzisz się wygłodniały. Nie jadłeś nic od śniadania, a składało się ono tylko z herbaty. Schodzisz więc do kuchni i pochłaniasz wszystko, co uda ci się znaleźć. Wypijasz filiżankę świeżej herbaty, pokrzepiając się przed tym, co cię czeka.

Powietrze w bibliotece zaśmierdło. (Czy to możliwe? Czy następuje to aż tak szybko?) Zaczynasz od wyjęcia wszystkiego z ich kieszeni. On ma przy sobie pojedynczy klucz od domu, promocyjną pocztówkę zespołu rockowego, stanowy dokument tożsamości z adresem w Quincy, zaświadczenie o warunkowym zwolnieniu z więzienia, telefon i drobną kwotę. Jej czerwony jak szminka telefon komórkowy jest poszczerbiony. Odkładasz go na bok, dodajesz jej trzydzieści jeden dolarów do jego szesnastu i wsuwasz banknoty do swojej tylnej kieszeni. Liczy się każdy grosz. Jej portfel zawiera kupony, prawo jazdy i kartę biblioteczną, której obecność cię zdumiewa. Nadmiernie: kto powiedział, że miałyby nie czytać? (Ponieważ nie potrafisz pomyśleć o niej jako o czymś więcej jak tylko o przedmiocie.) Mieszka, mieszkała w Roxbury. Nie wiedziałeś. Teraz chciałbyś o tym na zawsze zapomnieć.

Odciągasz ją na bok, a jej spódnica się podwija i odsłania zwykłe, kupione w sklepie na rogu figi koloru sadła, wykończone wąską szarą koronką. Kiedy już leży w nowym miejscu, poprawiasz jej ubranie.

Rozkładasz jedną z kołder. Jego przeciąga ci się łatwiej, bo jest szczuplejszy, jednak w pewnej chwili worek na śmieci zsuwa się, odsłaniając to, czego widoku wciąż nie możesz wytrzymać, i następuje chwila, w której nie jesteś w stanie nic więcej zrobić. Ale musisz. Układasz go równolegle do krótszego końca kołdry, mniej więcej w jednej piątej jej długości. Kucasz z odwróconą głową i mocno zaciśniętymi ustami. Zakrywasz go i przetaczasz. To trudne, ponieważ nie chce współpracować i tylko leży jak martwa kłoda, ha, ha, ha! Smród, który czujesz, jest niemożliwy do opisanego. Przeklinasz samego siebie,

że zapomniałeś kupić maseczkę chirurgiczną. Będziesz musiał znowu wejść pod prysznic, kiedy z tym skończysz. On toczy się coraz dalej, ukośnie, i zamiast równego burrito wychodzi ci rodzaj stożka. Rozwijasz kołdrę i zaczynasz od początku. Teraz powinno być dobrze.

Teraz taśma klejąca, która idzie jak woda, i w końcu widzisz coś, co przypomina srebrny kokon, a dokładniej mówiąc – poczwarkę motyla.

Rozpakowujesz drugą kołdrę i z nią robisz to samo.

Jest znacznie większa. Martwi cię brak symetrii, tym niemniej uznajesz swoje poczwarki za wcielenie piękna. Masz wizję: one pękają i wydobywają się z nich dwie nowe istoty, powstałe z zupy, która była kiedyś nim i nią; są uskrzydłone, wspaniałe, eteryczne i trzepocząc, ulatują w niebo, zabierając ze sobą twoje kłopoty.

Gdy trwasz w tej fantazji, jej telefon wybucha kaskadą trąbek. Wychodzisz z szoku i spoglądasz na ekranik: ANDREJ. Jej mąż? Syn? Alfons? Kto wie... Czekasz, aż dzwonek umilknie, i sprawdzasz nieodebrane rozmowy.

Jest ich sześć.

To cię niepokoi. Czy wymieniła nazwisko człowieka, który płaci jej sześćdziesiąt dolarów za sprzątanie domu? (I czy w ogóle wie, jak się nazywasz?) Czy zapisuje rozkład swoich zajęć? I czy spis znajduje się w dostępnym miejscu? Ale ponieważ nie potrafisz odpowiedzieć na te pytania ani zmienić rzeczywistości, która kryje się pod nimi, odkładasz je na bok i skupiasz się na tym, co jesteś w stanie kontrolować. Wyłączasz więc ich telefony.

Dwudziesta druga trzydzieści dwie. Działasz z opóźnieniem. Dobrze, że spałeś trzy godziny zamiast czterech lub pięciu. Potrzebowałeś dodatkowego czasu. Bezustanne działanie zapobiegło twojej konfrontacji z tym, co zrobiłeś; nie zastanawiałeś się też zbyt nad alternatywą, którą możesz jeszcze wybrać, idąc do kuchni, żeby poskładać kartonowe pudła: nad telefonem. Spójrz na niego. Wciąż jeszcze możesz podnieść słuchawkę i wybrać numer. Ale czy możesz to zrobić? Nie. Już nie. Ale może by zrozumieli, gdybyś opisał im wyraz jego twarzy i rewolwer przyciśnięty do twojego gardła? Nie był załadowany, ale on mógł przecież skoczyć na ciebie od tyłu i dusić cię albo, albo... Albo na przykład tak: mógł cię uderzyć podpórką do książek. Albo pogrzebaczem. Wszystko mogło się zdarzyć, a ty potrafisz mówić, zawsze to potrafiłeś. Podnieś słuchawkę, to będzie bardzo łatwe, nieprawdaż? Zaoszczędzi ci całego tego wysiłku i uwolni od tak wielu ciężarów... Jeśli tego nie zrobisz, to będzie to dla ciebie dopiero początek tej nocy.

Dalej.

Zanosisz do biblioteki po dwa złożone pudła i wypełniasz je zniszczonymi książkami, nie do samego końca, ale tak, by nie latały na wszystkie strony ani nie wydawały się nienaturalnie lekkie, gdyby ktoś je podniósł, do czego niekoniecznie musi dojść. Ale dlaczego miałyby dojść? Musisz wierzyć, że się tak nie stanie. Zabezpieczasz pudła taśmą klejącą i opisujesz każde z nich:

KSIĄŻKI SALON lub KSIĄŻKI SYPIALNIA.

Pokonujesz truchtem ulice, depcząc delikatny śnieg.

Jej samochód stoi tam, gdzie go zostawiłeś, i twoje serce się zatrzymuje: bilet parkingowy. Jak to możliwe? Sprawdziłeś przecież oznakowanie. Przeczytaj treść. Teraz widzisz, że to nie bilet, tylko ulotka reklamująca śniadania z przekąskami w cenie dwie za jedną. Rozzłoszczony drzesz ją na strzepy, postanawiając, że nigdy w życiu nie zjesz niczego w tej restauracji.

W jej samochodzie panuje piekielny bałagan, jak na kogoś zarabiającego sprzątaniami na życie. Zatrzymawszy się pod wiatą na stacji benzynowej, otoczony kurtynami śniegu, pozbywasz się jej wszystkich rzeczy: nieotwartych puszek z napojami gazowanymi i usmarowanych gazet. Majstrując przez chwilę, składasz drugi rząd siedzeń i uzyskujesz większą przestrzeń ładunkową o płaskiej podstawie. Płacisz za benzynę i prosisz o dwa drzewka zapachowe, oba o zapachu sosny.

Mimo całej pracy, jaką włożyłeś w przygotowanie mumii, zaduch w bibliotece wydaje się jeszcze gorszy. Dławisz się, kiedy kucasz obok niej. Wsuwasz pod nią ręce. Trudno ją porządnie uchwycić, ponieważ taśma klejąca jest bardzo naprężona i gładka. Potrzebny ci jest uchwyt; modelujesz go również z taśmy, zainspirowany uchwytami ze skróconego papieru, które miała torba z księgarni. Unosisz ją ostrożnie – zgina się nieco, ale słabiej, niż przypuszczałeś – i przeprowadzasz test na wytrzymałość. W porządku.

Dalej.

Głęboki wdech, otwierasz drzwi biblioteki i wleczesz mumię przez korytarz, później przez salon, następny korytarz i kuchnię, aż na tylną werandę. Pomaga ci linoleum. Jesteś już na zewnątrz. Łomot na zmrożonych drewnianych schodach i opuszczasz ją w śnieg. Słysząc stłumiony odgłos. Niezdarnie wyjmujesz kluczyki od kombi i podnosisz tylną klapę. Siadasz na zderzaku, zginasz się, łapiesz uchwyt i odchylasz się do tyłu, wsuwając się do środka i przechylając na bok; jesteś za wysoki, ale jakoś sobie radzisz, prawie ją wciągnąłeś. Kiedy już pewnie leży do połowy w aucie, wychodzisz ostrożnie przez prawe przednie drzwi, obiegasz pojazd dokoła i wpychasz ją do końca. Nigdy byś nie pomyślał, jakie to może być kłopotliwe. Nie poruszała się tak, jak tego chciałeś, i była ciężka i sztywna. Opuszczasz tylną klapę, lecz jej nie zamykasz, i zaczynasz drugą rundę.

Z nim wszystko idzie jak po maśle i jest świetnie do chwili, gdy docierasz do zewnętrznych schodów. Uchwyt z taśmy pęka i koziołkujesz w śnieg. Nie ma czasu na naprawę; gramolisz się z powrotem i ciągniesz go ze wszystkich sił, dopóki nie znajdzie się na ziemi, po czym pochylasz się i wsuwasz pod niego ręce; czujesz parzące zimno, twój krzyż jodłuje, a ty, prostując się, słaniasz się na nogach. Tylna klapa samochodu jest zamknięta. Dlaczego nie mogłeś zostawić jej w górze? Musisz więc znowu go upuścić. Kiedy klapa jest już otwarta, ponownie pochylasz się i dźwigasz go, ignorując ból. Jest na wpół wyprostowany, lecz to nie pora, by dbać o estetykę; jesteś na otwartej

przestrzeni i spoglądasz na okna sąsiednich budynków, które jakimś cudem są w dalszym ciągu ciemne. Biegiesz z powrotem do biblioteki i chwytasz trzecią kołdrę. Przykrywasz nią ich oboje, lecz pomiędzy nimi zostaje jeszcze sporo pustych miejsc; na twoje oko jest więcej niż pewne, co znajduje się pod spodem. By rozwiązać ten problem, wracasz do domu i zabierasz poduszki z sypialni na dole. Doskonale pasują do pustych przestrzeni i wspólnie z dwiema bryłami tworzą jedną zwartą masę, coś w rodzaju nadmuchanego materaca. Nie masz pojęcia, dlaczego miałbyś przewozić nadmuchany materac. Przyparty do muru, mógłbyś powiedzieć, że musiałeś podłożyć coś miękkiego, by zabezpieczyć pudła z książkami, które zamierzałeś na nim ustawić, albo że te pudła mogłyby się o siebie obijać, przez co ich zawartość uległaby uszkodzeniu. Ćwiczysz w myślach sposób, w jaki to wszystko wyjaśnisz.

Pierwsze pudło pasuje, chociaż musisz je mocno wcisnąć, i wtedy zdajesz sobie sprawę, że jeśli zapełnisz całą przestrzeń ładunkową, zasłonisz sobie lusterko wsteczne. To niedobrze już w normalnych warunkach, ale w tej sytuacji może się to okazać fatalnym błędem. Zastanawiając się gorączkowo, wchodzisz do środka i zbierasz wszystkie plastikowe torby z całego długiego dnia zakupów. Czając się jak Indianin, rozcinasz wielkim kuchennym nożem wszystkie tak pięknie zapakowane pudła, przenosisz ich zawartość do reklamówek i zawiązujesz je, by nic się nie rozsypało. Wykorzystujesz wszystkie dziewiętnaście, z wyjątkiem księgarskiej papierowej torby z mapą, i wynosisz je z domu, żeby ułożyć na wierzchniej kołdrze. Wreszcie dobry pomysł. Teraz wszystko wygląda na amatorską przeprowadzkę – chodzi ci właśnie o takie wrażenie. W wyobraźni przybijasz sobie piątkę.

Będziesz musiał jeszcze coś zrobić ze zniszczonym dywanem.

Ale nie w tej chwili. Zegar na kuchence pokazuje pierwszą dziesięć. Jeszcze raz bierzesz prysznic, wkładasz swój nowy strój mający chronić cię przed zimnem i wsuwasz do swojej (jej) sportowej torby ubranie na zmianę, w tym parę nowych butów, wciąż zapakowanych w worek zaciągany sznurkami.

Łopata. Torba z mapą, do której wrzucasz też ich telefony i przedmioty, które pozwoliłyby ich zidentyfikować. Rozpałka w płynie i zapalki. Worki na śmieci. Plecak. Magazyn wędkarski. (Dlaczego nie?) Latarka. Nóż również wydaje się dobrym pomysłem. Wkładasz lateksowe rękawiczki, jedenastą parę tego dnia, i załadowujesz samochód. Wiatr strąca śnieg z gałęzi. Zapinasz kurtkę. Łopata wędruje pod brzeg kołdry. Śmieci leżą z tyłu, cała reszta na podłodze przed prawym fotelem. Gotów do podróży zasiadasz za kierownicą. Ruszasz na północ.

Na początku zerkasz na prędkościomierz i jesteś zaskoczony, bo jego strzałka pokazuje sto trzydzieści kilometrów na godzinę. To idiotyczne, jeśli wziąć pod uwagę warunki na drodze. I jeśli nie wspomnieć o niebezpieczeństwie zatrzymania przez policję. Zaczynasz więc sam pełnić rolę policjanta (ha, ha, ha), co spowalnia twoją podróż. Stacje radiowe pojawiają się i zanikają. Z odtwarzacza wystaje kasetka. Wciskasz ją z pewnym wahaniem,

ale to, co wydobywa się z głośników, jeży ci włosy na głowie. To melodia, którą już słyszałeś – to ona ją nuciła. Wyjmujesz kasetę i wyrzucasz ją przez okno. Będziesz musiał obejść się ciszą. Musi ci wystarczyć.

Gumowy rytm wycieraczek.

Drobne eksplozje śniegu.

Wydaje ci się, że drzewka zapachowe nasiliły tylko odór, ściągając uwagę na to, co miały zamaskować. Je także wyrzucasz. Lecz jak można prowadzić, czując zagęszczający się zaduch? Odsuwasz tylne szyby na kilka centymetrów. Do wnętrza samochodu wpada zimne powietrze, wywołując hałas przypominający zbliżające się tornado. Podtrzymuje twoją czujność i sprawia, że zapach da się już wytrzymać.

Samochód ma przynajmniej napęd na cztery koła – to coś, o czym wcześniej nie pomyślałeś. Szczęście lub los oszczędziło cię pod tym względem.

Międzystanowa droga numer 95 prowadzi cały czas w kierunku Nowego Brunswicku, ale nie zamierzasz jechać aż tak daleko. Zatrzymujesz się na północ od Portland, żeby kupić coś do jedzenia i zatankować samochód. Stacja benzynowa jest obwieszona świątecznymi łańcuchami. W łazience wyjmujesz baterię z jego telefonu komórkowego i wkładasz ją do kieszeni, a sam telefon wyrzucasz do kosza na śmieci.

Sprzedawca nosi obwisłą czapkę Świętego Mikołaja i wygląda na życiowego desperata. Kupujesz jeszcze jedną butelkę gazowanego napoju. Taka ilość kofeiny z pewnością szkodzi. To niedobrze. Starasz się nie wyglądać na roztrzęsionego, kiedy wyjmujesz więcej dwudziestek. W ciągu tej podróży wydasz kilkaset dolarów na samą benzynę i uświadamiasz sobie, że przestępcy, jak zresztą wszyscy inni, muszą odczuwać wzrost wydatków właśnie przy dystrybutorze. Ciężkie czasy dają się we znaki każdemu, nawet nikczemnikom. Kiedy stoisz na środku w sklepiku, prawie chichoczesz, wyobrażając sobie mafiosów narzekających na kurczące się marże zysku.

Przed opuszczeniem miasta zostawiasz torbę ze śmieciami w bocznym zaułku.

Jesteś sam na drodze i nie mając nic innego do roboty, jak tylko wpatrywać się w nadchodzące fale śniegu, starasz się pogrzebać, otrząsnąć z siebie lub przynajmniej zawiesić odzywającą się jak klakson myśl, że ty również należysz do nikczemników.

Przez pewien czas jedziesz blisko wybrzeża, mijając szereg uroczych miasteczek, których przyozdobione bożonarodzeniowymi wiankami drewniane domy przywołują wizję rumianolichych poławiaczy krabów i pulchnych wesołych wdów siedzących przy ogniu, popijających eggnog, wręczających sobie prezenty i odurzonych dobrym nastrojem. Skręcając w głąb lądu, mijasz tablicę hrabstwa Kennebec, 117 114 mieszkańców. W ciągu ostatnich dwóch godzin widziałeś trzy inne samochody, wszystkie jadące w przeciwnym kierunku. Wyrzucasz baterię jego telefonu, która spada ze stukotem na asfalt.

Znowu na północ, wąską drogą biegnącą przez las. Widzisz pierwsze

promienie słońca ślizgające się po zamrzniętych stawach. W porządku. Przewidziałeś to. Twoim celem jest miejsce na tyle odległe, byś nie musiał się obawiać przebywania w nim w biały dzień. Przyjrząwszy się mapie, jeszcze raz skręcasz na zachód. Las zamyka się wokół ciebie jak dłoń. Zatrzymujesz samochód, wysiadasz i stojąc na poboczu, omiatasz drzewa światłem latarki, a twój oddech zamienia się w wielkie białe balony.

Śnieg jest głęboki. Zachęca cię.

Powinieneś był zapłacić za ogrzewacze do rąk.

Przymocowujesz łopatę do swojego nowego plecaka i dociągasz sznurowadła swoich nowych butów. Wkładasz nowoczesne rękawice na lateksowe. Otwierasz tylną klapę samochodu i odsuwasz książki na bok.

Nie masz wątpliwości co do siły uchwytu przy pakunku z nią w środku. W lot postanawiasz wykorzystać kołdrę jako coś w rodzaju noszy albo sanek, na których ją pociągniesz.

Ten pomysł spektakularnie bierze w łeb. Spadłszy z pobocza (o wiele bardziej strome go niż myślałeś) i wylądowawszy paskudnie na stylisku łopaty, tracisz czas, wygrzebując ją i układając w odpowiedniej pozycji, ale ona nie chce się wyprostować. Kołdra staje się ciężka, zaczyna się rozdzierać. To się nigdy nie uda. Przecenieś swoje siły. Wdrapujesz się na pobocze ze zniszczoną kołdrą i bierzesz nóż.

Utonęła w śniegu. Klękasz nad nią i nacinasz taśmę klejącą na tyle szeroko, by twoje palce w rękawicach zmieściły się w szczelinach. Odchylasz się, pociągasz i zaczynasz iść tyłem. Przesuwa się. Powoli, ale się przesuwa. Okej. Dobrze. Teraz dokądś zmierzamy. Bolać cię palce i plecy, ale nie przestajesz ciągnąć i to wystarcza, byś mógł posuwać się między drzewami, wyorując szlak, którym może ruszyć każdy. Twoje nylonowe spodnie wydają szeleszczący dźwięk. Trzydzieści metrów. Sowy odzywają się niskimi głosami. Czterdzieści pięć. Zawile splątane gałęzie przesłaniają niebo wielką szarą rozetą. Czujesz zapach wejmutek, które rosną tu gęsto. Jest o wiele lepszy niż ten z drzewek zapachowych. Żałujesz, że nie możesz ściąć jednego z tych wysokich chojaków i zawiesić go na lusterku wstecznym. W tym miejscu śnieg nie jest tak głęboki jak wcześniej, pokrywa czapami gałęzie nad twoją głową i przypomina pęknięte torebki bawełny. Brązowe igły na ziemi. Płaty lodu, na których się ślizgasz i łapiąc równowagę, ciągniesz dalej. Szu, szu... Sześćdziesiąt metrów. Przecież to Maine, nieprawdaż? „Stan Sosny”. Panna Yawkey, twoja nauczycielka wiedzy o społeczeństwie w piątej klasie, nauczyła cię stolic i symboli poszczególnych stanów. By oderwać myśli od trudności zadania, które właśnie wykonujesz, przypominasz sobie ich przydomki. Massachusetts: Stan Zatoki. Vermont: Stan Gór Zielonych. Szu, szu... Sto metrów, sto trzydzieści. Jedynym stanem bez „stanu” w przydomku jest Nowy Meksyk: Kraj Oczarowania. Skup się na ciepłych miejscach. Floryda: Stan Słońca. Kalifornia: Żółty Stan. Hawaje: Stan Miłości. Po Arizonie – Stanie Wielkiego Kanionu – kładziesz ją, łapiesz powietrze (jest ostre, czyste i naelektryzowane), odpinasz

łopatę i schylasz się, żeby zacząć kopać.

Tyle że to niemożliwe. Ziemia jest zamrznięta. Uderzasz w coś, co przypomina twardą skałę, i frustracja narastająca w tobie przez dwa dni i noc osiąga w końcu taki poziom, że nie potrafisz już jej opanować. Ze zwierzęcym wyciem walisz łopatą w ziemię, a błoto pęka na kawałki wielkości żetonów do pokera. Uderzasz raz za razem, lecz bez skutku. Musiałbyś poświęcić wiele godzin, by wykopać choćby niewielkie zagłębienie. Potrzebujesz kilofa, ale skoro go nie masz, będziesz musiał ją tu zostawić albo zabrać z powrotem, ciągnąc przez las i śnieg, a potem wciągając na pobocze; myśl ta sprawia, że chcesz się poddać. Szukasz wybawienia i oto ono się pojawia, w smudze światła, tam: to przewrócony pusty pień. Podchodzisz do niego. Sprawdzasz go, kładąc się i wczłując do środka. Tak, będzie dobry. Przeciągasz ją, a potem przecinasz taśmę klejącą, bo uważasz (intuicyjnie, nie mając na to żadnych dowodów), że to przyspieszy rozkład. Rozwijasz kołdrę, a ona wypada – nieprzeobrażona i nieuskrzydłona, lecz taka sama jak przedtem, może tylko nieco bardziej szara.

Już dawno nie miałeś mdłości, lecz teraz, kiedy chwytasz ją po pachami, znowu robi ci się niedobrze. Taszczysz ją w stronę pnia, wachając jej trupi zapach i czując przez rękawice jej bezwładne ciało. Nie wiesz, czy zdołasz opanować wymioty. Wkładasz jej głowę do środka, potem popychasz nogi, kawałek po kawałku; jej kolana zginają się i wszystko idzie bardzo wolno, aż w końcu tkwi wewnątrz pnia po talię i to wystarczy, wystarczy już, wystarczy. Resztę przykrywasz stertą kory, gałęzi, szyszek, kamieni i śniegu, modlisz się, by jakieś padlinożerne zwierzę dobrało się do niej jak najszybciej, i uciekasz.

Biegniesz, utykając, grzęznąc i nie chcąc niczego więcej, jak tylko się od niej oddalić. Masz lód w skarpetkach i w rękawach, aż po pachy, zimny i porażający, ale wciąż biegniesz, biegniesz i wdrapujesz się na pobocze, i wpadasz do samochodu, przejęty strachem i zimnem. Uspokój się. Masz się dobrze. Uspokój się. Jest ci gorąco, ale czy naprawdę? Twoje palce nie chcą cię słuchać, kiedy próbujesz rozpiąć kurtkę pokrytą brudem, który może pochodzić z podłoża albo z jakiegoś miejsca na niej – czujesz jej martwość, która przylgnęła do ciebie. Musisz zdjąć kurtkę. Zdejmij ją, zdejmij. Uspokój się. Masz mokry t-shirt. Ledwie widzisz drogę, bo szyba pokrywa się parą. Nic już nie widać. Uspokój się. Uspokój. Popatrz na zegar. Popatrz. Jest siódma rano. Masz jeszcze przed sobą wiele do zrobienia. Uspokój się. Uspokój. Uspokój się i uruchom silnik. Uruchom go. Dalej, uruchom silnik. Zrób to. Zrób to teraz, właśnie teraz. Uruchom silnik. Jedź. Dalej, ruszaj.

Ruszaj.

Niecałe sto czterdzieści kilometrów od granicy z Kanadą pojawia się znak z nazwą przydrożnej restauracji. Na parkingu roi się od ciężarówek. Choć wydaje ci się, że wyglądasz niechlujnie, to kiedy wchodzisz, przyciągasz tylko kilka przypadkowych spojrzeń. Rozejrzawszy się dokoła, wiesz dlaczego: klientami są ludzie gór i kierowcy samochodów ciężarowych. Oprócz kelnerek

jest jeszcze jedna kobieta – tak krzepka, jak tylko potrafią być kobiety – jedząca samotnie przy barze; jej napięte ramiona zdradzają świadomość, że znaczy tu niewiele więcej niż coś-do-oglądania. W restauracji jesteś jedynym facetem bez zarostu na twarzy. Czy któryś z pozostałych przeczytał wszystkie dzieła Platona? Możesz być przekonany, że nie.

Menu jest dwujęzyczne, angielsko-francuskie. Składasz zamówienie, rozkładasz magazyn wędkarski na stoliku i popijając kawę, czytasz o siedmiu sekretach skutecznego łowienia pstrągów tęczowych. Zjadasz jajka, bekon i grzanekę i wypijasz jeszcze więcej kawy, potem wstajesz, by wypróżnić się w brudnej, zimnej kabinie toalety. Wychodząc z łazienki, wrzucasz drugi telefon do kosza na śmieci i zatrzymujesz tylko baterię.

Krajobraz jest płaski, bezwietrzny i księżycowy. Słońce wisi nisko nad horyzontem. Droga ma kiepską nawierzchnię, jest oblodzona i biegnie z północnego zachodu na południowy wschód; o ile wiesz, nie ma jej nawet na mapie. Na południe rozciąga się zamarznęta łąka, za którą widać pofalowaną linię drzew.

Śnieg pokrywający łąkę zamienił się w lód, co ma swoje wady i zalety. Z jednej strony – ciężar, który ciągniesz, prześlizguje się po nim z łatwością. Z drugiej – ty też się ślizgasz i drepczesz po nim jak Chaplin. Wbijasz w niego pięty. Ile warte są te buty? Potrzebne ci są raki. Niedopatrzenie. Idziesz dalej. Ciągniesz. Kombi zaczyna niknąć w oddali. Ile przeszedłeś? Za mało. Najgorsze masz już prawie za sobą. Powinno być dobrze. Będzie dobrze. Dalej. Ruszaj się. Włóż w to więcej wysiłku. Twoje spodnie szeleszczą w miarowym tempie 4/4. Pracujesz na kolei cały boży dzień. Pracujesz na kolei, żeby tylko zabić czas. Jakim rodzajem hobby jest praca na kolei? Nie przypomina wcale szydełkowania albo tenisa, które wybiera się z nudów. Przy budowie Pierwszej Kolei Transkontynentalnej straciło życie wielu ludzi (w dużej części importowanych chińskich robotników), zabitych przez ostre zimy i przypadkowe wybuchy. To nie jest śmieszne. Dlaczego miałyby cię obchodzić, czy Jimmy pił bimber? Dlaczego miałyby to obchodzić kogokolwiek? Nie zatrzymuj się. Uczęszczałeś kiedyś jako wolny słuchacz na zajęcia poświęcone pieśniom ludowym i ich związkom z podświadomością. Prowadził je jakiś imbecyl. Powinieneś być uczęszczać na zajęcia z prawa. Drzewa są już blisko. Ciągnij dalej. Szczeliny w taśmie klejącej są coraz większe; jeśli pociągniesz mocniej, taśma puści. Powoli i jednostajnie – ta metoda wygrywa. Dwadzieścia cztery godziny temu nie był taki ciężki. Masz pęcherze na dłoniach, a ściętna na ich grzbiecie gotowe są popękać. Nikt nie byłby w stanie znieść tego, czego teraz doświadczasz. Jesteś nadczłowiekiem. Myślisz o Nietzschem i jego nakazie kształtowania świata na własne podobieństwo. Myślisz o jego wąsach. Pasowałby do tamtej restauracji, ha, ha, ha. Idziesz dalej. Szu, szu... Davyyyyyyy, Davy Crockett. Król dzikiego pogranicza.

Docierasz do drzew i dalej idziesz tyłem, dopóki światło nie zaczyna się coraz bardziej zmieniać. Spoglądasz w górę i widzisz, że doszedłeś do polany.

Korony drzew wznoszące się nad tobą wydają się tworzyć ściany bezdennej studni. Widziałeś już kiedyś to miejsce. Widziałeś je w swoich snach i namalowane na kawałku szkła. Teraz jest dla ciebie nieskrywaną prawdą: to *aletheia*. Rozejrzyj się i podziwiał.

Gdzie jest jeleni?

Gdzie myśliwy?

Którym z nich jesteś?

Podpalasz go.

Dym unosi się przez drzewa.

Natychmiast pojawia się ulga. Zakończyłeś swą pielgrzymkę, złożyłeś ofiarę i mógłbyś teraz rozebrać się do naga i pobiec, śpiewając hymny.

Lecz nigdy nie jest to aż tak proste.

Ponieważ on pali się przez kilka minut, a później nagle gaśnie.

Czujesz zapach mocno przypieczonej wieprzowiny i wstrzymujesz oddech, kiedy oblewasz go znów płynną podpałką. By to wszystko przyspieszyć, dodajesz trochę suchych gałęzi i liści. Rzucasz zapaloną zapałkę, a on jeszcze raz staje w płomieniach.

Tym razem pali się trochę dłużej i gaśnie po raz wtóry.

Podczas trzeciej próby zużywasz resztkę podpałki i ogień utrzymuje się przez kwadrans. Kiedy już chcesz go zostawić i odejść, słyszysz, że ktoś się zbliża.

Ucieczka nie ma sensu. Przykucasz, żeby podnieść łopatę, i czekasz. Ktokolwiek by to był, on czy ona, to popełnił pomyłkę, decydując się na wyprawę do lasu tego popołudnia. Odwracasz się w kierunku źródła dźwięku i w odległości trzydziestu kilku metrów dostrzegasz samotnego, niedożywionego wilka.

Nastroszony, szczyrzy do ciebie zęby.

– Cześć – mówi.

Zabierasz zmiętą kołdrę i ruszasz z powrotem. Widzisz z daleka, jak wilk przesmykuje się przez krzaki i czołga w kierunku dymiącego stosu, a potem z zainteresowaniem obwąchuje szczątki.

A co w ciszy, która potem następuje? Jesteś sam w ciemności i śniegu. A w tej ciszy? Kiedy zostało ci tylko dziewięć godzin jazdy i biała cisza? Robisz to, czego udało ci się z powodzeniem uniknąć do tej pory: myślisz. Powstrzymywałeś myśli dostatecznie długo i teraz nie będą już chciały czekać. Są niecierpliwie i chcą wejść, wyrwą drzwi z zawiasów. Myślisz o jego wgniecionej czaszce. Myślisz o jej pieśni śmierci. Myślisz o tym, co odruchowo zrobiłeś, i o tym, że wiedziałeś, jak to zrobić. Kim jesteś? Ty, który się przeobraziłeś i wydostałeś z motylej poczwarki. A jeśli to prawda, jeśli dziś proces ten osiągnął swą kulminację, to prawdą musi być też to, że rozpoczął się on już jakiś czas temu.

W połowie drogi do domu zatrzymujesz się przy restauracji szybkiej obsługi. Twoje ubranie cuchnie dymem – nutą podstawową jego zapachu są spalone

włosy. Ludzie gapią się na ciebie. Spieszysz po swoją kanapkę, a potem wrzucasz do kosza na śmieci baterię telefonu razem z nietkniętymi frytkami.

W pobliżu granicy stanu zjeżdżasz na przydrożny parking. Stoisz na nim betonowa arkada z automatami sprzedającymi. Idziesz na jej tyły, gdzie ziemia usłana jest papierami i puszkami, i ciskasz łopatę w ciemność, najdalej jak tylko potrafisz.

Pół godziny przed północą skręcasz na parking centrum handlowego w Candii, na przedmieściach Manchesteru w stanie New Hampshire. Jedziesz dokoła i znajdujesz to, czego szukałeś: zatoczkę z kontenerami na śmieci. Widzisz znak zabraniający nieupoważnionym osobom wyrzucania odpadów. Naruszającym zakaz grozi kara. Podnosisz pokrywę jednego z kontenerów i wsypujesz do niego książki ze wszystkich dziewiętnastu toreb, a te, razem z kołdrami, upychasz w kontenerze stojącym obok.

Piętnaście po pierwszej w nocy przybywasz do Roxbury i parkujesz w alei oddalonej niecałe dwa kilometry od jej domu. W normalnej sytuacji byłbyś zdenerwowany, bo to jedna z najniebezpieczniejszych okolic w Bostonie, ale dziś jest to dla ciebie obojętne. Wyjmujesz z samochodu sportową torbę z czystymi ubraniami oraz wszystkie inne należące do ciebie rzeczy, które teraz mieszczą się już w plecaku. Wycierasz wnętrze kabiny chusteczkami dla dzieci. Trwa to trochę, ale wychodzi ci lepiej, niż myślałeś. Ustawiasz tylne siedzenia w poprzedniej pozycji i zatrzaskujesz drzwi, zostawiwszy kluczyki w środku.

Niecałe pół kilometra dalej znajdujesz stację benzynową z łazienką na zewnątrz. Przebierasz się i upychasz przesiąknięte dymem ubrania w sportowej torbie. Zabierasz ją razem z plecakiem i wychodzisz, a potem wędrujesz ulicą, której mieszkańcy wystawili śmieci do zabrania. Wrzucasz torbę do śmietnika na końcu przecznicy. Pokonujesz kilka następnych ulic i robisz to samo z plecakiem. Masz teraz przy sobie tylko klucze od domu, portfel i supernowoczesne rękawice. Zdejmujesz je, te lateksowe pod spodem także. Idąc na północ, w stronę rzeki i mostu, wyrzucasz je pojedynczo. Nie ma taksówek, metro też nie jeździ. Pokonujesz na piechotę prawie sześć kilometrów dzielących cię od Cambridge. Jest wpół do piątej rano. Wchodzisz na werandę. W okolicy panuje spokój. W oknach jest ciemno. Nie spałeś od czterdziestu ośmiu godzin, jeśli nie liczyć drzemki. Wchodzisz do środka. Zamykasz drzwi. Witaj w domu.

Obudziłem się następnego ranka z czymś w rodzaju kaca, co jest zrozumiałe, ponieważ zarówno alkohol, jak i kofeina odwadniają organizm, a pochłonięta przeze mnie potężna ilość tej ostatniej sprawiła, że nie mogłem zasnąć, nawet po dwóch najbardziej wyczerpujących dniach w moim życiu. Później zapadłem w niespokojny sen, podczas którego dręczyły mnie koszmary. W niektórych z nich robiłem to samo, co niewiele wcześniej na jawie: prowadziłem samochód w ciemności albo brnąłem przez śnieg sięgający mi do ud. Na ogół jednak w snach tych nie zajmowałem się niczym szczególnie denerwującym ani też nie miały one zdecydowanie narracyjnego charakteru. Składały się raczej ze statycznych obrazów lub krótkich sekwencji, w których nie pojawiały się żadne żywe istoty – były to nieme, popękane sny, od razu zwykłe i groźne. Stałem w klasie pełnej dziesiątków niezajętych ławek. Zerwał się zimny wiatr, wokół mnie zaczęły wirować stopy papierów i przestałem cokolwiek widzieć, a kiedy odzyskałem zdolność widzenia, stałem w swojej szafce w szkole średniej i przyglądałem się zdjęciom przyklejonym po wewnętrznej stronie drzwi. Wyraźnie czułem, że spóźnię się na lekcję, lecz chciałem zobaczyć te zdjęcia, zanim się dokądkolwiek ruszę. Ale nie mogłem: były zbyt zamazane. Zbliżając oczy, wpatrywałem się w nie coraz usilniej, ale wciąż wiedziałem, że tracę czas i się spóźniam; zacząłem wymachiwać rękoma i wtedy się przekształciłem: wierciłem się na zimnym linoleum i byłem niemowlęciem, nagim, popiskującym cicho, czerwonym jak burak, z wilgotnymi bezzębnymi ustami. Obudziłem się na dźwięk własnego donośnego krzyku, wygięty w łuk, zdyszany, na prześcieradle zerwanym z narożników łóżka i poduszce obdartej z poszewki, z umysłem przesiąkniętym strachem; uczucie to utrzymywało się o wiele dłużej niż powinno, a nierzeczywistość trzymała się kurczowo każdej powierzchni. By dojsć do siebie, usiłowałem wstać i chodzić dokoła, zmuszając się do myślenia o solidności podłogi pod moimi bosymi stopami, lecz pokonał mnie zawrót głowy; przewróciłem się i skończyłem na podłodze u nóg łóżka. Przycupnięty pod kocem kołysałem się i odliczałem czas dzielący mnie od świtu.

Otrzeźwiło mnie pierwsze spojrzenie na bibliotekę: wokół obudowy kominka ciągnęły się długie smugi krwi, a nagie półki przypominały o brakujących książkach. Kilka zdjęć na ścianie przekrzywiło się, szkło jednego zostało strzaskane pośrodku. Największe, na moje oko, wyzwanie stanowił dywan, jeśli wziąć pod uwagę, że nie dysponowałem już samochodem. Zdjąłem ze ściany potrzaskane zdjęcie (z Alną i jej siostrą na plaży) i poczułem zdwojony niepokój. Czyżbym naprawdę był aż tak niechlujny? Będąc poza

domem, wmawiałem sobie, że gdyby komuś zdarzyło się wejść do biblioteki, to – w najgorszym razie – zobaczyłby pozostałości po hucznej imprezie. Skoro byłem tak ślepy, by przeoczyć to, co właśnie znajdowało się przed moimi oczami, to jakież jeszcze mniej znaczące problemy zignorowałem? Ile szczegółów zaniedbałem? Powietrze cuchnęło śmiercią i miałem ochotę wrócić do łóżka. Był to, jak sądziłem, jedyny sposób: zasnąć i spać tak długo, aż obudzę się w innej krainie, za sto lat. Miałem po prostu zbyt wiele powodów do zmartwień, a nad moją głową wisiała zapisana mi na zawsze katastrofa i wszystkim, co wówczas zobaczyłem – miało to w sobie coś z proroctwa – było to, o czym przekonałem się niebawem: że moje wcześniejsze życie odeszło w przeszłość i że dopóki zachowam świadomość, nie zaznam spokoju.

Otwarcie okna pomogło w rozproszeniu zaduchu w bibliotece, a ja, przygotowawszy wcześniej nowy arsenał środków czystości, doceniłem orzeźwiający chłód powietrza. Pociąłem na kawałki kilka starych ręczników kąpielowych Almy i zabrałem się do szorowania, przemierzając odsłonięte drewno ciasnymi kręgami, z potem gromadzącym się najpierw na linii włosów, a następnie spływającym mi po grzbiecie nosa i zawisającym na jego końcu łaskoczącymi kroplami, które ostatecznie odrywały się i rozpryskiwały z chwilą upadku na podłogę. Za każdym razem, kiedy mi się wydawało, że usunąłem już którąś z plam, pochylałem się nisko, wpatrywałem i zauważałem, że ona wciąż istnieje, w postaci ulotnego różowego znaku wodnego albo cieniutkich karmazynowych kresek wyznaczających granicę styku desek podłogi; kreski te byłoby trudno zauważyć gołym okiem, lecz mnie wydawały się grube jak rurki neonów. Czy miało to oznaczać, że musiałbym odnowić podłogę? Zerwać ją? Wyobraziłem sobie scenę przejmującą grozą: krew, jak kwas, przegryza sobie drogę aż do fundamentów, a moim jedynym wyborem jest zniszczenie całej biblioteki... A jeśli to nie wszystko? Jeśli ślady tego, co się tutaj stało, przetrwają w ziemi? Co wtedy? Trzeba będzie ją przeorać? Zrzucić napalm? Pokryć pięciometrową warstwą betonu? Co mógłbym wówczas zrobić, żeby raz na zawsze poczuć się bezpiecznie?

Kiedy się odwróciłem, chcąc zanurzyć ścierkę w wiadrze, dotknąłem wolną ręką czegoś przypominającego strup. Spojrzałem w dół na dużą plamę krwi, z której środka wystawał nastroszony pęczek ludzkich włosów.

Podniosłem się, powędrowałem spokojnie do łazienki i zwymiotowałem.

O drugiej po południu wyniosłem na tylną werandę trzy pękate worki śmieci.

Mimo iż Science Center było opustoszałe, ponieważ wszyscy wyjechali na ferie zimowe, miałem wrażenie, że zachowuję się nierozważnie, stojąc przy kiosku internetowym i wpisując w Google hasło „usuwanie plam krwi z dywanu”. (Przeczytałem zbyt dużo artykułów o mężczyznach, których żony znikają, a w historii wyszukiwania znajdowane są później hasła „niewykrywalna trucizna” czy „pozbywanie się ciała”, bym wziął pod uwagę możliwość skorzystania z domowego komputera.) Znalazłem różne

podpowiedzi – od możliwości zatrudnienia profesjonalistów sprzątających miejsca zbrodni po przepisy związane z wykorzystaniem wody, soli i nadtlenu wodoru.

Sprawdziło się to lepiej, niż mógłbym sobie wyobrazić. Krew odrywała się, zabierając ze sobą odrobinę różu. Musiałem docenić zbiorową mądrość miliardów ludzi, wśród których znajdowało się wielu głupców. Radząc sobie tak dobrze, zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę muszę się pozbyć dywanu. Był przepiękny, a nie można byłoby tak naprawdę stwierdzić, co sprawiło, że w którymś miejscu spłowiął, nieprawdaż? Odpędziłem od siebie myśl, że reszta biblioteki wygląda dobrze.

Poczułem ponownie ból pleców, przesuwając meble pod ściany. Globus, fotele, potem musiałem jeszcze unieść sekretkę, by wysunąć brzeg dywanu spod jednej z jej nóg. Pocąc się obficie, odsunąłem skrzydło okna o kolejne piętnaście centymetrów i zwinąłem dywan, zabezpieczając go taśmą klejącą, po czym wywlokłem go na korytarz. Puszyste włosie dywanu jest ciężkie, bo ważył pewnie z pięćdziesiąt kilogramów. Pozbawiona go biblioteka wyglądała obco i pusto; zdałem sobie sprawę, że będę musiał go czymś zastąpić. Dywan z pokoju muzycznego był za mały. Nie mogłem też wziąć dywanu z salonu, bo pozostałoby po nim rażąco puste miejsce. Decyzja została podjęta za mnie. Poszedłem na górę, do swojej sypialni.

Oszczędzę wam opisu akrobacji podczas wyciągania jedną ręką perskiego dywanu spod wielkiego łóżka. Trwało to dłużej, niż można sobie wyobrazić, i sprawiło, że moje plecy całkowicie mnie zbojkotowały. A kiedy wreszcie wrzuciłem nowy dywan do biblioteki, wcale do niej nie pasował. Jego intensywne błękity i fiolety kłóciły się z zielenią jedwabiu otaczającego kominek, a także z czerwienią drewna. Zdenerwowany, przewlokłem zniszczony dywan do swojego pokoju i ukryłem częściowo pod łóżkiem, planując później się go pozbyć. Garbiąc się ze zmęczenia, poustawiałem meble w bibliotece na starych miejscach, zamknąłem okno i poszedłem zażyć ibuprofen.

Pracowałem całymi dniami. Wyrzuciłem odkurzacz Daciany w jakiejś uliczce. Zostawiłem zniszczoną lampę stojącą na parkingu koło supermarketu. Wypucowałem korytarze, kuchnię i tylną werandę; zużyłem wiadra wody i litry mydła. Kucałem w salonie z tubką wypełniacza do fug, kłopotząc się z odpryskiem w posadzce pozostawionym przez rzucony pogrzebacz. Wyprałem łazienkowe dywaniki i napełniłem lodówkę jedzeniem, którego nie potrafiłem strawić. Przed świętami zamknięto wiele firm i musiałem udać się aż na Brookline, żeby znaleźć otwarty zakład szklarski, w którym zostawiłem strzaskane zdjęcie do naprawy. Zatelefonowałem do tapicera. Zgodził się pokryć oba fotele tkaniną podobną do starej za tysiąc trzysta dolarów. Przystałem na tę cenę, więc je zabrał. Wymierzyłem miejsce po pustych książkach, udałem się do antykwariatu z książkami na metry i poprosiłem sprzedawcę o wszystko, co wydrukowane zostało po niemiecku. Szklarz,

którego wezwałem do naprawy wybitego okna, oświadczył, że nie poradzi sobie z odtworzeniem witrażu. Nikt nie potrafiłby sobie z tym poradzić, gdyż była to rzecz jedyna w swoim rodzaju – prawdziwe dzieło sztuki. Raz zniszczone przepało na zawsze.

Zadania te, choć uciążliwe, kosztowne i czasochłonne, stanowiły dla mnie ostatnią deskę ratunku. Bez nich z pewnością kompletnie bym się załamał. Im intensywniej zajmowałem się najdrobniejszymi szczegółami, tym łatwiej udawało mi się nie myśleć o tym, co zrobiłem, albo o tym, co mogłoby mi się przytrafić w następnej kolejności.

Stwierdzenie, że dopadł mnie strach, nie byłoby zbyt dokładne, ponieważ żadne słowo nie oddaje zamieszania panującego w ciągu tamtych pierwszych dni. Nie „dopadł”, bo to sugeruje nagłość, proces niszczenia, którego moc tkwi przynajmniej po części w jego ostrym przebiegu. Mój strach wzbierał wolno: było to uczucie podobne do dudnienia, które bez przerwy podchodziło we mnie coraz wyżej i zanosilo się na coraz gorsze... I właściwie nie był to też „strach”, gdyż to, co odczuwałem, było raczej zbitką różnych emocji, z których każda nadawała koloryt i kształt pozostałym; przypominały one zespół objawów składających się na obraz jednej choroby. Czułem obojętność i coś, co najlepiej można by opisać słowami „mdłości psychiczne”. Wciąż groziło mi niebezpieczeństwo nagłego wybuchu; potrzeba krzyku lub śmiechu szturmowała bramę mojego umysłu, kiedy zniecierpliwiony stałem przed kasjerem i obserwowałem, jak się myli, odliczając moją resztę. Często czułem się tak, jakbym nie przebywał we własnym ciele, i przyłapywałem się na przyglądaniu się własnej ręce: najpierw zastanawiałem się, skąd się wzięła, później – dlaczego zachowuję się w taki sposób, po czym zaczynałem zastanawiać się nad tym, że się zastanawiam, i próbowałem ustalić, czy widzę wszystko jasno, czy też tracę rozum, i tak dalej, i tak dalej... Była to denerwująca cykliczna samoanaliza, sprawiająca, że docierałem tylko coraz bardziej w głąb samego siebie, tam, skąd najbardziej chciałem uciec. Byłem świadomy wrażenia, jakie sprawiałem, gdziekolwiek się pojawiałem: nieprzytomny, podejrzany, bojaźliwy i niepotrzebnie opryskliwy. A wiedząc o tym, stałem się jeszcze bardziej wyczulony na reakcje ludzi, co czyniło mnie jeszcze bardziej podejrzany i obcesowy. Czułem, że się we mnie wpatrują, zatrzymując wzrok na moich oczach, przekrwionych od oparów środków czystości, oraz na moich rękach, pomarszczonych, spierzchniętych i drżących. Patrzą na mój poraniony prawy policzek: moje własne piętno Kaina, które ogłaszało, że jestem winny, winny... Nakładanie grubej warstwy korektora stało się pierwszą czynnością każdego poranka – na wypadek gdyby ktoś się zjawił. Wolałem dmuchać na zimne, choć nikogo się nie spodziewałem. Makijaż drażnił rany i sprawiał, że tarłem je, a one ponownie się otwierały. Wiedząc, jak wyglądam, pospiesznie nakładałem jeszcze więcej korektora, zanim ktoś mógłby mnie zobaczyć, zacząć podejrzewać i na mnie donieść.

Czy można żyć w taki sposób? Czy można żyć i nie oszaleć, kiedy każdą

interakcję odczuwa się jak uderzenie, każdy wątek przypomina mocno krępujące więzy, a nerwy są w strzępach?

Gdy tylko pojawiało się pierwsze światło dnia, wyskakiwałem z łóżka, uciekając przed snami, których nie dawało się opisać.

Po sześciu dniach od chwili, kiedy wróciłem do domu, zabiwszy wcześniej dwoje ludzi i pozbywszy się ich ciał w lasach Nowej Anglii, ktoś zadzwonił do moich drzwi. Wszedłem do łazienki, by skontrolować twarz, dołożyłem trochę korektora, wygładziłem koszulę i otworzyłem frontowe drzwi, w których zobaczyłem uśmiechniętego detektywa Zitellego. Za nim stał mężczyzna, który również wyglądał na policjanta. Błady, z puklami rudych włosów i guzikowatym nosem, wyglądał jak prototyp bostońskiego Irlandczyka, choć jego wzrost (był ode mnie wyższy o jakieś osiem centymetrów) zdradzał skandynawskiego przodka. Przypatrywał mi się w bardzo niepokojący sposób, skupiając wzrok na plackowatym wybrzuszeniu na moim policzku.

– Przepraszam, że przeszkadzamy – powiedział Zitelli.

Z jego kieszeni wystawała złowieszczo gruba zwinięta koperta z szarego papieru.

– To detektyw Connearney. Przyszliśmy nie w porę?

Odzyskałem głos.

– Nie, skądże. Proszę. Proszę wejść.

Stanęli w salonie, jak kiedyś policjanci w moim domu.

Zaproponowałem im coś do jedzenia.

Zitelli uderzył kopertą w otwartą dłoń.

– Wystarczy kawa.

Nie traktując swej wcześniejszej propozycji zbyt poważnie, musiałem wyjaśnić, że nie mam ekspresu do kawy. Więc może herbata? Zitelli machnął ręką: – Nie, dziękuję – ale Connearney powiedział:

– Jasne.

Wciąż wpatrywał się we mnie takim wzrokiem, jakbym był mu winien pieniądze. Poprosiłem, by się rozgościli, i wyszedłem z pokoju tak wolno, jak tylko potrafiłem.

Otworzyłem kuchenną szafkę wilgotnymi dłońmi i chwyciłem kubek, który spadł na podłogę i roztrzaskał się na kawałki. Ukląknęłam i pospiesznie zgarnęłam skorupy gołą ręką. Nakaz. W kopercie był nakaz aresztowania. Mój koniec zapisany na kawałku papieru. Byłem tego pewien, ale w kopercie musiało być więcej dokumentów, które ją tak wypchały. Seria zeznań, być może Charlesa Palatine'a i dr Cargill, zaświadczających o mojej podłej moralności, chciwości i powierzchowności. Albo relacje świadków moich zakupów, które zrobiłem 28 i 29 grudnia – od terenowych butów, poprzez kołdry, po górę przyprószonych popiołem z papierosa smażonych jajek w barze Jean-Luc? Zdjęcia, pokazujące, jak jadę międzystanową drogą nr 95, schylam się i przysypuję ciało Daciany liśćmi albo przykładam zapałkę do rąbka koszuli Erica? Wyniki badań dna skóry pod jej paznokciami – mojej skóry, zdartej

podczas szarpaniny? Policjanci w salonie rozmawiali. O mnie, oczywiście, zastanawiając się, jak się zachowam, kiedy przystąpią do aresztowania, i planując, że mnie obezwładnią, jeśli będę stawiał opór. Ustalając, który z nich przytrzyma moje ręce, a który nogi. Który odczyta mi moje prawa. Czy przywiążą mi ręce do nóg? A może wszystko przebiegnie w sposób cywilizowany, zjemy małą przekąskę i pogawędzimy, zanim przejdziemy do centralnej rejestracji? Zachowując się nieostrożnie, ułatwiłem im tylko pracę, nieprawdaż? Zerknąłem w stronę werandy: mógłbym się wymknąć przez boczne drzwi. Rzucić się do ucieczki i biec tak długo, aż uwolniłbym się od tego lodowatego piekła. Mógłbym zacząć nowe życie w jakimś małym miasteczku. Mógłbym wyjechać – może nie do domu, ale gdzieś w jego pobliże – znaleźć pracę z minimalnym wynagrodzeniem i zmienić nazwisko. Ale dokąd? I jak? Nie należałem do organizacji przestępczej. Nie miałem „kontaktów”. Wszystko, co zrobiłem do tej pory, opierało się na improwizacji rodem z filmów. W rzeczywistości wszystko wygląda inaczej. W rzeczywistości wpada się w ręce policji. Z pewnością przewidziano, co mogę zrobić, i odcięto mi drogę na podjeździe... Nie mogłem uciec. Nie teraz. Musiałem stawić czoło dwóm policjantom w moim domu. Lecz to także wydawało mi się niewyobrażalne. Ci dwaj mężczyźni byli pierwszymi prawdziwymi ludźmi, z jakimi zetknąłem się po ponad tygodniu, a wiedząc to, nie byłem pewien, czy będę umiał się opanować w ich obecności. Byli Prawem. Czułem winę wytatuowaną na mojej twarzy – widniała na niej. Potrzebowałem korektora. Usłyszałem, że Zitelli się śmieje, i wstrzymałem oddech, spłoszony tym, co wydało mi się nagłym skokiem temperatury otoczenia. Myślałem o tym, że muszę przestać myśleć. Że muszę zacząć działać. Im dłużej rozważałem swoje opcje, tym mniej ich zostawało. Zegar na kuchence tykał niewiarygodnie głośno, odmierzając zbyt szybko upływający czas; trzeba odkręcić wodę. Oni tam na mnie czekają i mogą zacząć mnie podejrzewać: przecież herbaty nie robi się tak długo. Ustawiłem czajnik na palniku i stałem, czekając, aż woda zacznie wrzeć.

– Więc co mam do wyboru?

Connearney stanął w drzwiach, musnąwszy głową nadproże.

– Hmm... – mruknąłem, zastanawiając się.

Stanął za mną i sięgnął do piramidy pudełek z herbatą ustawionych na kuchennym blacie.

– Czarny bez – powiedział i popatrzył na mnie, oczekując komentarza.

– Owocowa – odpowiedziałem.

Odstawił pudełko.

– Nie poznaje mnie pan, prawda?

Pokręciłem głową.

– To może mała podpowiedź? – zapytał. – Gotowy? Oto ona: nie wystarczy czynić to, co winno być moralnie dobre, by było zgodne z prawem; musi to być czynione przez wzgląd na prawo. – Uśmiechnął się. – Teraz pan kojarzy?

Wszedł Zitelli.

– Widzę, że impreza się przeniosła – powiedział.

– Tak... – odrzekłem.

– Ostateczna odpowiedź? – zapytał mnie Connearney.

Pokręciłem głową.

– Kant i ideał oświecenia. – Wycelował we mnie palec. – Był pan stypendystą, a ja brałem udział w pańskich zajęciach.

Popatrzył na Zitellego i powiedział:

– Był moim wykładowcą.

– Kto to taki: stypendysta? – zapytał Zitelli.

– Ktoś, kogo wy, ludziska, nazywacie asystentem.

– My – ludziska?

– Pospólstwo.

– Co za facet... Pracuję siedemnaście lat w wymiarze sprawiedliwości, a jeszcze nigdy nie spotkałem tak pewnego siebie skurczybyka – skomentował Zitelli.

– Ha, ha, ha – roześmiałem się.

– Nic panu nie świta? – zwrócił się do mnie Connearney.

– A kiedy... Kiedy pan...

– W pierwszym semestrze ostatniego roku. Więc to było jesienią dwa tysiące drugiego.

– Ja... Przepraszam. Miałem wtedy wielu studentów i...

– Jasne – powiedział Zitelli. – On jest raczej niepozorny, to tylko wielki rudy Irlandczyk z maleńkim fiutkiem.

Connearney się roześmiał.

– Ha, ha, ha – zawtórowałem mu.

– Był dobrym nauczycielem? – zapytał Zitelli.

– O, tak – odpowiedział Zitelli. – Był świetny, reszta absolwentów zresztą też. Wie pan, to bardzo przykre, co się stało z Melitskym.

– Tak – odrzekłem.

I czując, że muszę jeszcze coś powiedzieć, dodałem:

– Studiował pan filozofię?

– Nauki społeczne.

– To coś podobnego do geografii? – zapytał Zitelli.

– Nie na Harvardzie.

– Aha – powiedział. – Przepraaaszam.

Odpowiedziałem śmiechem.

Zitelli zapytał Connearneya, czy dałem mu piątkę.

Ten odrzekł:

– Czwórkę plus. – I uśmiechnął się do mnie.

Rozległ się wrzask czajnika.

Kiedy wróciliśmy do salonu, Zitelli wręczył mi szarą kopertę. Stałem przez chwilę nieruchomo, jakby odmawiając jej przyjęcia i nie godząc się z jakąkolwiek treścią, którą skrywała. W końcu wziąłem ją i uchyliłem

skrzydełko. W środku znajdowały się kserokopie pracy doktorskiej Almy.

– Postaram się jak najszybciej zwrócić panu oryginał – powiedział Zitelli. – Pomyślałem, że tymczasem będzie pan mógł skorzystać z kopii.

– ...dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Jeszcze raz przepraszam, że tak tu wpadliśmy. Byliśmy akurat w okolicy. Wiem, jak to zabrzmiało, ale gdyby nie sprawiło to panu zbyt wielkiego kłopotu, to czy mógłby pan pokazać mojemu koledze bibliotekę? Przepada za takimi miejscami. Czy ma pan coś przeciwko temu? Tylko kilka minut.

– Proszę tędy – powiedziałem.

Sprawdziłem każdy centymetr kwadratowy biblioteki co najmniej dziesięć razy i nie miałem najmniejszego powodu, by przypuszczać, że tym dwóm mężczyznom chodziło o cokolwiek innego niż tylko o to, żeby się pogapić. Staralem się – z powodzeniem, jak sądzę – udawać niefrasobliwość, jaka przystoi właścicielowi. A mimo to jeszcze nigdy nie bałem się tak bardzo jak podczas tamtych dwudziestu pięciu minut. Co dziwne, to, przez co cała sytuacja była dla mnie tak wyczerpująca nerwowo, pozwoliło mi również zachować pozory spokoju: obecność dwóch detektywów z wydziału zabójstw paradujących po pokoju, który tak niedawno służył jako prowizoryczna kostnica, była na swój sposób tak niewiarygodnie zabawna, że z trudem powstrzymałem się od chichotu.

– Jezu – powiedział Connearney, stawiając swoją wielką stopę w miejscu, w którym leżała głowa Daciany.

Stałem obok wielkiego globusa, obracając go powoli.

– Coś pięknego.

– Poważnie? – zapytał Zitelli i spojrzał na mnie tak, jakby chciał powiedzieć: wierzysz temu gościowi?

Uśmiechnąłem się do niego, oczekując, że skomentuje wymianę dywanu i brak foteli.

– Co się stało z pańskim przyjacielem? – zapytał.

Ziemia rozstała się pod stopami. To koniec gry. Wizyta w bibliotece była tylko pretekstem. „Z pańskim przyjacielem”. Ha, ha, ha. Connearney wciąż udawał, że się rozgląda, ale wiedziałem, że byłby gotów mnie zatrzymać, gdybym tylko spróbował rzucić się do ucieczki. Stałoby się to tu i teraz. Nie mogłem zrobić nic więcej, jak tylko się uspokoić.

– Z przyjacielem? – zapytałem.

– Wie pan, o kogo mi chodzi – powiedział i położył palec wskazujący na swojej górnej wardze.

Cisza.

Odpowiedziałem:

– Moja dziewczyna poprosiła, żebym go stąd zabrał. Przyprawia ją o dreszcze.

– O kim mowa? – zapytał Connearney.

– O Nietzschem – mruknąłem.

– Aha – powiedział i przymknął oczy. – „Współczucie u naukowca wydaje się niemal równie śmieszne jak delikatne ręce u cyklopa”.

Zitelli uśmiechnął się szeroko.

– Ech, wy goście z Harvardu – powiedział. – Wszyscy jesteście ciulami.

Kiedy ich odprowadzałem, dziękowali mi wylewnie, obiecując, że już nigdy nie będą zawracać mi głowy; pomyślałem sobie wtedy jednak, że to obietnica bez pokrycia.

Wyjąłem pół-Nietzschego z za segregatorów w szafce stojącej w moim gabinecie. Po powrocie byłem zbyt zrozpaczony, by zająć się jego czyszczeniem, przez co w ciągu następnych dni krew zamieniła się w punkciki rdzy. Jedyne oko filozofa ukryło się pod dużą plamą. Zdrapałem ją, łamiąc sobie paznokiec. Zielony aksamit pokrywający podstawkę poczerniał. Zerwałem go, zgmiotłem i splukałem w toalecie.

Najczęściej wymieniana przez Google metoda usuwania rdzy z żeliwa wymagała zastosowania detergentu do naczyń i ziemniaków, które kupiłem w sklepie na rogu. Usiadłszy przy stole w kuchni przekroiłem jeden kartofel, polałem jego odsłonięte wnętrze detergentem i pocierałem nim żeliwo tak długo, aż szerniał. Rdza schodziła powoli. Odkroiłem zabrudzoną warstwę miąższu i zacząłem od nowa. Policjanci przyszli, poszli i nie zająknęli się ani jednym podejrzanym słowem. Ale nie dałbym się nabrać. Coś się działo. Coś musiało się dziać. Jeśli zaczynasz wierzyć, że świat chce cię wykończyć, nie tylko godzisz się z tym przekonaniem, ale także uczysz się, jak się nim posilać. Obżerasz się własnym strachem. Odciąłem następny poczerniały plasterek. Mój przyjaciel – tak nazwał go policjant. Mój przyjaciel wyglądał dobrze.

Z hałasu w tle i szlochu Yasminy ledwie udawało mi się wyłowić to, co mówiła.

- Skąd dzwoniisz? – zapytałem.
- Wylatuję nocnym samolotem. Będę o piątej czterdzieści.
- Myślałem, że nie wracasz do środy.
- Zamieniłam lot. To już koniec. Powiedziałam o nas Pedramowi.

Jeśli myślała, że wydam okrzyk zwycięstwa, to musiała się rozczarować. Wszystkim, na co potrafiłem się zdobyć, było:

- Naprawdę?
- Musiałam. Nie potrafiłam tego dłużej wytrzymać.

Wciąż płacząc, opisała mi przyjęcie zaręczynowe, gości, od których pękała restauracja w Beverly Hills, błyszczące półmiski melonów, kryształowe wazy pełne winogron i Pedrama wbijającego palce w jej ramię, co sprawiało, że czuła się jak naga dziewczka na podorędziu. Kiedy nadeszła pora na przemowę jej przyszłego męża, nie usłyszała, by powiedział cokolwiek o jej wykształceniu albo o niej jako o osobie; mówił tylko o jej nienagannym wychowaniu, nieskazitelnej historii jej rodziny i – przede wszystkim – o jej piękności.

Wytarła nos.

- Moja siostra znalazła mnie w łazience, kiedy wychodziłam z siebie.

Usiadłem przy stole w kuchni, obmacując swój poraniony policzek. Miejsce wokół rany było wrażliwe i ciepłe.

- Nie wiem, co powiedzieć.
- Ty nie wiesz, co powiedzieć?

– Cóż...

- Powiedz, że ci przykro.

– Jest mi prz...

- Powiedz, że jesteś szczęśliwy.

– Ja... Jestem, tylko że... Jestem trochę zaskoczony.

– Na litość boską, nie planowałam tego w taki sposób – powiedziała, przekrzykując ryk komunikatu wzywającego do wejścia na pokład samolotu.

– Wiem...

- To wszystko wcale nie było dla mnie zabawne.

– Wiem. Przykro mi.

– Kurwa...

- Jest mi przykro.

Znowu zaczęła płakać.

– Mino...

– Myślałam, że będziesz szczęśliwy.

– Jestem.

– Wcale tego nie słyszę.

– Jestem zaskoczony. To dlatego. Ale – ale to miłe zaskoczenie.

Zaczęło mi dudnić w prawej skroni, a kuchnia się rozkołysała. Potrząsnąłem mocno głową, żeby dojść do siebie.

– To tak jak wtedy, kiedy ktoś wyskakuje z twojego tortu urodzinowego. To niespodzianka, ale się z niej cieszysz, jak już, jak już... – znów nasilający się ból, jeszcze raz potrząsnąłem głową – jak już minie ten pierwszy wstrząs. Wiesz? Posłuchaj: jestem szczęśliwy. Nie słyszysz tego?

– Nie.

– Właśnie tak mnie słyhać, kiedy jestem szczęśliwy.

Cisza.

– Halo? – powiedziałem.

– Tak... – Znowu wytarła nos. – Moja matka wiedziała już, że coś się dzieje, kiedy zobaczyła naszyjnik.

Poczułem się zaniepokojony i szczęśliwy.

– Nośłaś go.

– Pewnie, że nie nośłam. Przeszperała moje szuflady.

– Żartujesz.

– Ani trochę.

– To jakiś absurd.

– Jasne.

– Przecież jesteś dorosłą kobietą.

– Nigdy jej to nie powstrzymywało. Dlaczego jesteś zaskoczony? Mówiłam ci, jak to wygląda.

Niepewnie kiwając głową, powiedziałem:

– Tak mi się wydawało...

W jej głosie wyczułem nutę oskarżenia: to przeze mnie. Mimo to wypłakiwała się na moim ramieniu. Była to typowa scena w stylu Yasminy, lecz w tamtej chwili było mi trudno poradzić sobie z tą sytuacją, ponieważ dziewięćdziesiąt osiem procent mojego mózgu zajmowało się pogonią za innymi nedorzecznosciami. Usłyszałem, że wspomniała coś o rodzicach.

Powiedziałem:

– Jestem pewien, że jeśli wyjaśnisz...

Żachnęła się zniecierpliwiona.

– Słyszałeś, co powiedziałam?

– Ee...

– Nie należę już do rodziny. Teraz rozumiesz? Widzisz?

– Ja... Jestem pewien, że to nieprawda.

– Nieważne, czy to prawda. Chodzi o to, że to usłyszałam.

Cisza.

– Dobrze – powiedziałem. – Odpocznij trochę, niedługo się zobaczymy.

– Zaczekaj... Josephie?

Cisza.

– Czy mogę się u ciebie zatrzymać?

Niemożliwe; nie mogła tu zostać, skoro było jeszcze tyle do sprzątnięcia. Nie wtedy, kiedy policjanci wpadali do mnie na herbatę. Nie w towarzystwie zakrwawionego dywanu, zwiniętego i wciśniętego w kąt mojego gabinetu. Nie, to było niemożliwe, a jedynym problemem było to, jak jej to powiedzieć, by nie wpadła w złość.

– Proszę – powiedziała. – Nie mogę być sama.

– Oczywiście – wymamrotałem.

– Dziękuję – powiedziała. – Dziękuję bardzo.

Zaproponowałem jej spotkanie na Logan.

– Jest zbyt wcześnie. Wezmę taksówkę.

– Pamiętasz, gdzie to jest?

– Chyba tak.

– Numer czterdzieści dziewięć. Dom na końcu przecznicy.

– Pamiętam.

– Zostawię światło na werandzie.

– Dobrze – powiedziała. – Dziękuję.

Nie odezwałem się.

– Przykro mi, że jest tak wcześnie – dodała.

Odpowiedziałem:

– Nie będę spał.

Yasmina nigdy nie podróżowała bez bagażu, więc kiedy taszczyłem jej torby na werandę, próbowałem nie dać po sobie poznać, jak bardzo bolą mnie plecy. Nadwerężyłem je ponownie poprzedniego wieczoru. Nie mając samochodu (wszystkie bostońskie wypożyczalnie kończą pracę o dwudziestej pierwszej), wyruszyłem na piechotę, taszcząc paskudne pięćdziesiąt kilogramów dywanu z biblioteki, który zarzuciłem sobie na szyję. Ślaniając się na mrozie, traciłem równowagę, przewracałem się, podnosiłem i parłem dalej. Zdoławszy pokonać około trzech kilometrów, dotarłem do pustej działki w pobliżu Muzeum Nauki. Pozbyłem się ciężaru i powlokłem do domu, mokry, przemarznięty i obolały od stóp do głów, pocieszając się jedynie tym, że o tak późnej porze mogło mnie zobaczyć niewiele osób.

– Przepraszam – powtarzała Yasmina.

Przystanęliśmy w holu, żeby wytrzeć buty.

– Przestań przeproszać – powiedziałem.

– Ale jest mi przykro.

– Już dobrze.

– Sprawiam ci same kłopoty.

– Nie.

– Przepraszam.

– Już dobrze.

– Naprawdę przepraszam.

– Już dobrze, Yasmino.

Ustawiłem jej torby na półpiętrze. Kiedy się do niej odwróciłem, zobaczyłem, że idzie w moją stronę z wyciągniętą ręką.

– Biłeś się?

– Ha, ha – roześmiałem się, robiąc unik. – Przestań. Potknąłem się.

– Wygląda, jakby cię bolało.

– Nic mi nie jest. Na pewno jesteś głodna.

Usiadła w kuchni, ogrzewając ręce nad kubkiem herbaty.

– Czy mógłbyś zamknąć okno? – zapytała.

Zamknąłem.

– Dziękuję. ... Nie marzniesz, kiedy jest otwarte?

– Szybko robi się tu duszno.

– Widzę własny oddech – powiedziała.

W rzeczywistości było mi wciąż gorąco, ale chciałem, by rozgościła się na tyle, abym mógł ukryć fakt, że jej obecność była mi wyjątkowo nie na rękę. Zapytałem, czy ma ochotę na grzanekę.

– Tak, dzięki.

– Powiedz coś.

– Dziękuję.

Zacząłem też przygotowywać śniadanie dla siebie. Nie byłem głodny, ale należało je zrobić.

– Moja matka zostawiła mi wiadomość głosową – powiedziała Yasmina.

– No i?

– Wydziedziczają mnie.

Cisza.

– To obrzydliwe.

– Będę musiała zrezygnować z mieszkania.

Cisza. Brzemienna.

Uśmiechnąłem się blado i rozłożyłem ręce w geście zaproszenia.

– Jesteś pewien?

– ...oczywiście.

– Dziękuję. – powiedziała. – Bardzo ci dziękuję.

Przysunąłem bliżej jej krzesło i siedząc naprzeciw, zacząłem ją uspokajać. Z jakiegoś powodu jej płacz działał na mnie bardzo podniecająco.

– Naprawdę dziękuję. Mógłbyś przecież mnie wyśmiać. Jesteś takim dobrym człowiekiem...

– Cicho...

– Będę ci płaciła czynsz.

– Nie bądź śmieszna.

– Naprawdę. I będę gotować. Nauczę się.

– Przestań, proszę.

– Znajdę sobie coś jak najszybciej. Zacznę szukać w przyszłym tygodniu...

Głaskałem ją po głowie, usiłując ją uspokoić, ale ona, cały czas płacząc, nie przestawała prawić nonsensów i składać obietnic, których nigdy nie mogłaby dotrzymać. Powtórzyła wszystkie okrutne rzeczy, które usłyszała od swojej ciotki. Opowiedziała mi o Pedramie: o biednym, prostodusznym Pedramie, którego nigdy nie chciała zranić i który – jak się dowiedziała od swojej siostry – załamał się tak bardzo, że nie jadł całymi dniami. O tym, że skompromitowała się i skalała dobre imię swojej rodziny. Nie wiedziałem – nie mogłem wiedzieć – jak to jest; nie wiedziałem, w jaki sposób ludzie gadają, nie znałem się na plotkach ani na tym, na ile ważna jest reputacja. Nikt, zwłaszcza po tej scenie, nie zapomniałby już nigdy gróźb i przekleństw. Stała się pośmiewiskiem. Już nigdy nie mogła wrócić do domu. Chciałem okazać jej współczucie, co też uczyniłem. Wiedziałem, że mnie potrzebuje. Ale akurat wtedy nie potrafiłem znieść jej głosu i oddałbym wszystko, by zamilkła. Powiedziałem jej, że wszystko będzie dobrze. Mimo to wciąż płakała i nie przestawała mówić. Powiedziałem: cicho, cicho... Nie uciszyła się jednak, niezależnie od tego, co mówiłem lub robiłem, i w końcu musiałem ją pocałować. Prawdę powiedziawszy, nie miałem na to ochoty, ale był to najlepszy – jedyny – sposób, by powstrzymać ją od wydawania głosu.

Problem wolnej woli jest równie stary, jak sama filozofia, a debata wokół tego zagadnienia równie zacięta, jak dwa tysiące lat temu. Być może tym bardziej dlatego, że podczas gdy nasz świat staje się coraz lepiej poznany, opisany za pomocą liczb, zmechanizowany i ograniczony – z coraz bardziej kontrolującą nas technologią i nauką codziennie wygładzającą kontury rzeczywistości – ludzie wydają się wykazywać odpowiednio nasilającą się gorliwość w udowadnianiu, że istoty ludzkie są wyjątkiem od reguły i że nie jesteśmy wstępnie zaprogramowani, lecz wolni.

Ogólnie mówiąc, prawdziwa wolność wymaga spełnienia dwóch warunków. My musimy być pomysłodawcami swych własnych działań (co oznacza, że nie możemy stanowić tylko jednej z całej serii przewracających się kostek domina), a przyszłość musi być „otwarta” (to znaczy: musimy być zdolni do wpływania w znaczący sposób na jej kształt).

Okazuje się, że warunki te są ze sobą powiązane i raczej trudne do spełnienia. Zderzają się twardo z koncepcją determinizmu, która (także ogólnie mówiąc) jest ideą głoszącą, że może istnieć tylko jedna możliwa fizycznie przyszłość. Wyjaśnienie, dlaczego tak właśnie powinno być, nie jest proste; wystarczy powiedzieć, że z biegiem lat kwestia ta przybrała wiele form i stała się wyjątkowo dręcząca. Oczywista sprzeczność pomiędzy wszechwiedzącym bóstwem a wolnością człowieka, który może mu się podporządkowywać lub nie, odciągnęła wiele osób od Kościoła lub przynajmniej spowodowała, że przesiadły się do ostatnich ławek. Teorie deterministyczne we współczesnym wcieleniu mają tendencję do opierania się na prawach przyrody będących ich wyznacznikiem – są one o wiele wygodniejszym niż Bóg tematem rozmów filozofów, którzy z reguły tworzą grupę bezbożników.

Dlaczego bycie wolnym jest dla nas tak ważne? Wyobraźcie sobie świat, w którym nie istnieje wolna wola. Czy w takim świecie ktokolwiek jest winny czegokolwiek? Jeśli nie jestem przyczyną swych działań, to przypisywanie mi odpowiedzialności za ich skutki jest irracjonalne. Stąd wydawałoby się, że dwie z najbardziej umiłowanych koncepcji – dobra i zła – są iluzoryczne i że główną rzeczą trzymającą nas z daleka od niewiarygodnie paskudnej egzystencji, pełnego chaosu i przemocy piekła na ziemi, jest niewielka odrobina złudzeń.

W odpowiedzi niektórzy twierdzą, że w rzeczywistości nie jesteśmy wolni i powinniśmy całkowicie zarzucić tę ideę. Nietzsche na przykład określa metafizyczną wolną wolę jako prowincję „półinteligentów”. Lecz ten rodzaj surowego determinizmu jest rzadki. Większość filozofów zajmujących się moralnością to w rzeczywistości kompatybiliści, którzy uznają potęgę determinizmu, ale nie mają ochoty odrzucić myśli, że możemy być wolni. Chcą zjeść ciastko etc., a proponowane przez nich sposoby mające doprowadzić do osiągnięcia celu tworzą obszerną grę: od realistycznych i surowych po niejasne i zdecydowanie niejednoznaczne. Uprawia się mnóstwo semantycznych gier; wiele rozważań skupia się na znaczeniu słów „wolna”, „zeterminowany”, „wybierać” czy „przyczyna”. W literaturze kompatybilistycznej dostrzega się rodzaj desperacji, zrodzonej z obawy, że to nasza własna potęga rozumu skazała nas na świat, w którym nie można stabilnie osadzić moralności.

Niezależnie od tego, czy wolna wola jest czymś realnym lub niespójnym, jedna kwestia nie podlega dyskusji: czujemy się wolni. Odczucie swobodnego działania jest integralną częścią naszej świadomości. Odrzućcie każde z zastrzeżeń w tej książce, a ona nie przestanie istnieć. Podnoszę ręce i czuję, że jestem autorem tego ruchu. Piszę te słowa, a one wydają się wydobywać z mojej głębi. Nie możemy natomiast nic poradzić na to, że postrzegamy innych jako odpowiedzialnych, niech diabli wezmą logikę! To stanowisko brytyjskiego filozofa p.f. Strawsona. Przypisywanie odpowiedzialności – jak twierdzi – jest częścią naszego człowieczeństwa w takim samym stopniu jak chodzenie w pozycji wyprostowanej i bylibyśmy głupcami, chcąc temu zaprzeczyć. To, czy jesteśmy rzeczywiście wolni, jest mniej ważne niż to, czy możemy wyjść z domu i nie zostać zadźgani na śmierć. Teoria Strawsona, uznawana za ważny element debaty dotyczącej wolnej woli i rewolucyjna w chwili jej ogłoszenia w 1962 roku, wciąż pozostaje urzekająco praktyczna. Kojarzy się jednak nieco z taktyką unikania, ponieważ, mówiąc: kogo to obchodzi?, odrzuca fundamentalne ontologiczne pytanie: czy wolna wola istnieje? Założeniem całego badania filozoficznego jest to, że kwestie tego rodzaju prowadzą do zadawania pytań – wręcz ich wymagają.

Zacząłem pisać swą nową pracę doktorską.

W ciągu trzech dni dzielących wizytę policjantów w moim domu od powrotu Yasminy do Cambridge byłem w stanie stworzyć trzydzieści stron materiału – napisałem prawie cały wstęp. Przy tak szybkim postępie nie miało dla mnie

znaczenia, że moja argumentacja była nieco przestarzała. (Czy mogło być inaczej? W końcu pierwsza wersja robocza datowana była na rok 1955 i powstała siedem lat przed ogłoszeniem teorii Strawsona). Liczyło się to, że mogłem zdążyć do wiosny. Miałem już nawet tytuł: *Obrona a priori ontologicznej wolnej woli*; myślałem jednak o jego skróceniu, gdyż wyglądał nieco niezgrabnie po przetłumaczeniu z niemieckiego.

Były to trudne dni. Wystarczająco ciężkie było dla mnie normalne funkcjonowanie w towarzystwie Yasminy; zastanawiałem się, czy nie wejdzie kiedyś do mojego gabinetu i nie przyłapie mnie na gorącym uczynku: z otwartą pracą Almy na biurku i słownikiem niemiecko-angielskim widocznym na monitorze laptopa. Ponieważ i tak sypiałem kiepsko, zacząłem zwlekać się z łóżka o drugiej w nocy, na galaretowatych kolanach i z umysłem huczącym jak rozpalony kominek. Lazłem do gabinetu i pisałem, dopóki nad moją głową nie zaczynało się rozlegać trzeszczenie, oznajmiające, że Yasmina przystąpiła do swych porannych ablucji. Robiłem wówczas przerwę, przygotowywałem śniadanie i objąłem się, czekając, aż Yasmina pójdzie do pracy. Spędzałem resztę dnia na drzemaniu, pisaniu i wmuszaniu w siebie jedzenia; kiedy wracała o szóstej, witałem ją wymuszonym uśmiechem i odgrzewałem gotowe kolacje ze sklepu.

Wiedziałem, że Yasmina wie, iż coś nie jest w porządku. Kładłem się do łóżka na krótko, byłem drażliwy i szorstki, bezustannie ziewałem i wyglądałem na coraz bardziej wynędzniałego. Zacząłem czuć nieprzerwane rwanie zadrapań pod okiem: pulsujący ból stał się dla mnie czymś równie nieodłącznym, jak bicie serca. Wycierałem gąbką obolałe miejsce i nakładałem korektor, a zakrycie ran wymagało nakładania czterech kawałków przylepca z opatrunkiem. Niemniej jednak czułem, że Yasmina przygląda mi się z niepokojem; zacząłem więc ustawiać twarz pod odpowiednim kątem, kiedy wchodziła do pokoju. Gdy pewnego razu zaczęła się dopytywać, czy na pewno dobrze się czuję, warknąłem na nią: – Pewnie, wszystko w porządku, jestem wyjątkowo zapracowany, zaabsorbowany myśleniem i mam mnóstwo rzeczy na głowie – czy nie tak właśnie było? – Widząc jej zszokowany wyraz twarzy, zrozumiałem, że odpowiedziałem w sposób nieproporcjonalnie gwałtowny; zacząłem zatem świadomie starać się monitorować ton swojego głosu i dokonywać korekty myśli przed ich wypowiedzeniem. Jednak nie miało to już znaczenia, gdyż od tamtej pory Yasmina nie powiedziała już nic więcej, przynajmniej w związku ze stanem mojego zdrowia. Sądzę, że przyjęła, iż moje zaabsorbowanie pracą wymaga wybaczenia mi zmienności nastrojów. Każdy wie, że wielkie umysły nie tolerują norm społecznych. Yasmina zaczęła więc ponownie mówić tylko o sobie, być może chcąc w ten sposób odwrócić moją uwagę od tego, co najwyraźniej mnie martwiło. A może uznała, że jej własne problemy są na tyle poważne, że pozwalają jej zajmować się moimi? Mogłem tylko mieć nadzieję, że zostawi mnie w spokoju, jak do tej pory. Bałem się, wyobrażając sobie, co mógłbym powiedzieć, gdyby zaczęła naciskać; kiedy

o tym myślałem, z ledwością potrafiłem się kontrolować. Odczuwałem przemożną chęć przyznania się do winy, a w moich wnętrznościach kotłowały się słowa, podpełzające w górę gdzieś z tyłu gardła i gotowe wylać się na zewnątrz z byle powodu. Nie ufałem sobie i czułbym się o wiele bezpieczniej, gdybym pozostał sam.

Ale była ona i wyglądało na to, że zamierza zostać. Kilka dni po wprowadzeniu się zaczęła negocjować wypowiedzenie najmu mieszkania, a tydzień później pożyczyłem od Drew samochód, by przewieźć nim jej dobytek – wszystko z wyjątkiem dużych mebli. Dom – mój dom – kiedyś tak cudownie oszczędny w wystroju i doskonale wyważony, wypełnił się jej rzeczami. Obiekty artystyczne Yasminy zajęły pokój telewizyjny, a jej ubrania moją garderobę. W kuchni pojawiła się maszyna do espresso, a także rondle i patelnie, których używanie stanowiło kiedyś moją domenę. Mimo iż zapewniała mnie, że pozbędzie się każdej rzeczy, której nie będę tu chciał, wszystko wskazywało, że tak się nie stanie. Przygotowywałem się na burzę związaną ze zmianą wystroju domu.

– Czy mogę cię o coś spytać?

Pospiesznie ułożyłem otwartą pracę Almy okładką do góry i odwróciłem się w swoim biurowym fotelu.

– Tak?

– Wydaje mi się, że pamiętam dywan w sypialni na górze.

– ...tak.

– Czy coś z nim zrobiłeś?

Zawahałem się.

– Położyłem go w bibliotece.

– Właśnie tak pomyślałam. Bo ten, który tam leży, to nie ten sam, który pamiętam.

– A, tamten... Musiałem się go pozbyć.

– Co? Dlaczego?

– Bo... Zapalił się od papierosa. Miał dużą dziurę.

– Kiedy to się stało?

– Podczas imprezy. Została też plama po winie.

Rozłożyłem ręce, żeby jej pokazać, jak była wielka.

– Nie przypominam sobie.

– Chyba po prostu zapomniałaś.

– Okej, ale dalej nie rozumiem, dlaczego musiałeś go wyrzucić. Takie rzeczy można naprawić, a to był naprawdę piękny dywan. Czy nie było tam też dwóch foteli?

– Nie chciałem sobie zawracać tym wszystkim głowy. I nie wyrzuciłem tych rzeczy, tylko je sprzedałem.

– Fotele też?

– Oddałem je do czyszczenia.

– Nie rozumiem, dlaczego przejąłeś się jednymi rzeczami, a inne...

– Posłuchaj – powiedziałem. – Właśnie pracuję.

– Och, przepraszam.

Zamknęła drzwi.

Któregoś z następnych wieczorów zatrzymała mnie w drodze do kuchni.

– Czy mogę o czymś z tobą przez chwilę porozmawiać?

– ...dobrze.

Zaprowadziła mnie do salonu.

– Chodzi mi o zasłony.

– O zasłony?

– Powiedziałam ci wcześniej, że dom potrzebuje więcej światła od frontu.

Serio. Nie może tak dłużej być.

– Nie przeszkadza mi to.

– Jest ciemno jak w grobowcu. To wyteżanie wzroku mnie wykończy.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć – odparłem. – Czytaj gdzie indziej.

– Gdzie?

– W kuchni. Na górze. Nie wiem. Kup sobie lampkę. Sam ci kupię.

– Światło to nie wszystko. Tu jest potwornie zimno. Popatrz na to – powiedziała, pociągając się za apaszkę. – Przecież nie jesteśmy na dworze.

– Dlatego wstawiłem ci grzejnik do pokoju telewizyjnego.

– Nie mogę tam siedzieć cały czas.

– Naprawdę nie wiem, co ci powiedzieć. Ogrzewanie jest stare; kiedy się tu wprowadziłem, było tak samo.

– Czy mogę przynajmniej wezwać kogoś, żeby przygotował kosztorys?

– Nie zamierzam wydawać na to pieniędzy.

– Wycena nic nie kosztuje.

– Zamawianie kosztorysu nie ma sensu, bo jeśli wiem, że...

– Ale nie wiesz – odparła. – I właśnie dlatego jest potrzebny.

– Wiem.

– Nie unoś się, proszę.

– Nie unoszę się.

– W porządku – powiedziała. – Ale tak mi się wydawało.

Cisza.

– Co? – zapytałem.

– Czy możemy skończyć rozmowę o zasłonach?

– Myślałem, że już skończyliśmy.

– Chcę tylko, żebyś posłuchał. To będzie kosztowało nie więcej niż dwieście dolarów. Pomyśl: czy to nie byłoby przyjemniejsze niż te ciemności? Restoration Hardware produkuje piękną tkaninę na zasłony, w takim kremowym odcieniu...

– Czy mogłabyś zostawić mnie samego?

– Nie potrafię zrozumieć, dlaczego...

– Nie chcę, żeby ludzie zaglądali do środka.

– Kto miałby zaglądać?

– Każdy.

– Josephie. Mówię poważnie, ty naprawdę... Ale zaczekaj. Znowu się unosisz.

– Nie unoszę się.

– Widzę, że tak.

– Mino. – Przycisnąłem pięść do ust, a przez bok mojej twarzy przepłynął w górę ogień. – Nie chcę... Nie mogę zająć się tym właśnie teraz. Mam mnóstwo pracy, nie czuję się najlepiej...

– Co się dzieje?

– Nic. Nic się nie dzieje. A teraz wybaczone, proszę.

– Josephie...

Zamknąłem drzwi gabinetu i usiadłem przy biurku, słuchając w bezruchu, jak wraca na górę.

Co sugerowała? Czemu miały służyć te wszystkie pytania? Dlaczego tak bardzo interesowała się fotelami i dywanem? Czy coś wiedziała? Próbowwała mnie zdemaskować? Powiedziałam sobie: zachowuj się racjonalnie, ona chce wyrzucić swoje piętno na tym miejscu. Gdyby jednak wciąż naciskała, z pewnością bym się złamał. Nigdy nie byłem dobry w tym, co większość ludzi uznaje za błahę rozmowę, i teraz czułem się potwornie. Gdyby wciąż nudziła... Zastanawiałem się przez chwilę nad zakończeniem naszego związku. Ale jak mógłbym to zrobić, kiedy odzyskałem ją po tylu miesiącach? Przecież właśnie tego chciałem. Powinienem być być szczęśliwy. I wdzięczny. A ona wspierała mnie przez dwa lata, o nic nie pytając. Teraz zaś rozważałem wyrzucenie jej na ulicę. Po tym, co przeszła i co poświęciła – dla mnie.

Z drugiej jednak strony pomyślałem, że byłoby nam obojgu łatwiej, gdyby odeszła.

Zobaczyłem swoje odbicie w oknie. Miejsce pod moim oknem było zaczerwienione i błyszczące, jakbym spał zbyt długo w jednej pozycji.

Witamy z powrotem – powiedziała Linda Neiman.

– Dziękuję.

Nie siląc się na takt, pożerała wzrokiem moją twarz, po czym poprosiła, żebym usiadł, i podjechała do szafki z ekspresem.

– Kawy?

– Poproszę.

Kiedy się odwróciła, rozpiąłem kołnierzyk koszuli (było mi gorąco) i poczułem potrzebę upewnienia się, że opatrunek jest na swoim miejscu. Był wciąż tam, gdzie powinien, co oznaczało, że albo przyglądała się samym plastrom, albo że zaczerwienienie pojawiło się poza ich obrębem, choć wątpiłem, by stało się to w ciągu godziny od ich naklejenia. Tak czy owak, pomyślałem, że widok opatrunku zepsuł jej sporo krwi. Przyglądając się, prawdopodobnie poczuła się tak, jakby zobaczyła swoje całe życie. Lecz nie powiedziałem jej tego. Chciałem, lecz nie powiedziałem. Uśmiechnąłem się, kiedy zapytała, czy do kawy może być pełne mleko. Tak, dziękuję.

Kiedy się uwijała przy ekspresie, gawędziliśmy o wydarzeniach na wydziale. Uderzył mnie fakt, że dawno temu siedziałem dokładnie na tym samym krześle, pod ostrzałem uwag kobiety, która teraz ustawiła dwa kubki ozdobione emblematem Harvardu, podsunęła mi puszkę cantucci i zapytała, czy słyszałem o zbliżającym się sympozjum.

– Technicznie, rzecz jasna, nie jest pan jeszcze zapisany. Ale przypuszczam, że nie będę musiała wzywać z tego powodu kampusowej policji.

– Jest pani nazbyt uprzejma.

– Nigdy jeszcze nie oskarżano mnie o coś takiego. – Uśmiechnęła się i położyła dłoń na stosie zadrukowanych stron. – Dobrze. Porozmawiajmy bez ogródek. To naprawdę pana?

– W rzeczy samej – odpowiedziałem.

– Bo kiedy to czytam, nie mogę przestać się zastanawiać, czy ktoś nie przyszedł i nie zastąpił znanego mi Josepha robotem, który wygląda i brzmi jak on, ale pisze lepiej i wydajniej.

Oddanie tonu Almy nie było łatwe. Miał on w sobie lekkość, muzykalność i wesołość i był całkowitym przeciwieństwem tego, którym posługiwałem się od lat. Przekładając jej pracę, musiałem też sobie radzić ze wszechobecną mglistością, którą udawało mi się wydobywać najwyżej przez kilka minut, pod warunkiem że potrafiłem się maksymalnie skoncentrować. Teraz robiłem to samo, usiłując raczej wyglądać na uważnego i nonszalanckiego, niż dać po sobie poznać wyczerpanie i strachliwość.

– Ludzie się zmieniają – powiedziałem.

– Proszę zatem pozwolić, że będę pierwszą, która to powie: być może błędnie pana oceniłam.

Wykonałem pojednawczy gest.

– Niektóre części pańskiej argumentacji, takie jak fragment dotyczący teorii działania, wydają mi się przestarzałe. Od połowy wieku wiele się wydarzyło. Mimo to jestem bardzo ciekawa, dokąd to pana zaprowadzi.

Mimo że czekając, aż przeczyta pierwszy rozdział, skończyłem już prawie tłumaczenie drugiego, nie chciałem sprawić wrażenia, że pisanie mojej nowej pracy przychodziło mi zbyt łatwo. Powiedziałem więc, że mógłbym przynieść następny rozdział do połowy lutego.

– Będę czekała – powiedziała.

Zapytałem, czy będę mógł obronić doktorat na wiosnę.

– Nie mówmy hop, zanim nie skoczymy. Wszystko naraz? – Uśmiechnęła się i uniosła kubek w moją stronę. – W tej chwili wystarczy mi radość z faktu, że na świecie wciąż są rzeczy, których nie rozumiem do końca.

Mój stosunkowo dobry nastrój uleciał tamtego popołudnia, kiedy wracając do domu, zobaczyłem obcego mężczyznę stojącego na moich frontowych schodach.

Gruby, o gładkiej ziemistej skórze i z ciężkimi worami pod oczami, reprezentował osobliwą kombinację młodości i zaawansowanego wieku. Miał wypłowiały brązowy szalik zwisający z kołnierza nieco za dużej nylonowej kurtki i nosił na pasie pager.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytałem.

Przyglądał mi się przez nieskończenie długą chwilę, zanim poprosił o rozmowę z panią Spielmann. Odzywał się tonem robota, a wrażenie to nasilał kolor jego oczu: niebieskawoszary (niektórzy nazywają go stalowoszarym).

– Pani Spielmann zmarła – powiedziałem. – Teraz ja tu mieszkam.

Skinął głową.

Plik gazy na mojej twarzy wydał mi się gigantycznie wielki; trudno mi było się nie odwrócić.

– Czy mogę coś dla pana zrobić?

Zszedł z werandy, trzymając w ręku fotografię.

Było to zdjęcie Daciany, wyblakłe i pogięte. Zdumiałem się, zobaczywszy, jak wyglądała, kiedy była młodsza; nie była tak całkiem nieatrakcyjna. Miała nieco końskie usta, lecz nie przypominała zwałistej fortocy, którą znałem. Postawiłem swoją torbę z jagnięcej skóry, udając, że przyglądam się zdjęciu, co trwało o wiele dłużej, niż było to konieczne, lecz równocześnie o wiele za krótko, bym mógł się zastanowić nad każdą z gałęzi rozrastającego się błyskawicznie drzewa decyzji. Mógłbym powiedzieć, że mieszkam tu od niedawna i nigdy nie widziałem Daciany. Mogłoby to zlikwidować wszystkie problemy w załączku, lecz równocześnie niosło ze sobą poważne ryzyko. A jeśli

na przykład opowiedziała komuś wcześniej o swoim nowym pracodawcy? Przyłapanie mnie na wyprzedzającym kłamstwie zrodziłoby wiele pytań, które w przeciwnym razie mogłyby wcale nie paść. Z drugiej strony, mógłbym przyznać, że znam Dacianę, lecz a) nie widziałem jej od dawna (kłamstwo mniej obciążające niż stwierdzenie, że nigdy jej nie znałem) lub b) widziałem ją w dniu, kiedy przyszła do pracy, zapłaciłem jej jak zwykle i odprawiłem. Zaletą wersji (b) było to, że uwzględniała ona możliwość dostrzeżenia przez kogoś samochodu na podjeździe, oczywistą wadą zaś – fakt, że potwierdziłoby to naszą równoczesną obecność w tym samym miejscu. Lecz równie dobrze mogłem się tym nie przejmować. Przed moimi drzwiami nie stał policjant, tylko nieznamy. Założyłem, że to jej syn, bo zdawał się na to wskazywać jego wiek. Andrej? Właśnie wtedy zrozumiałem, że jeśli on był jej synem, to ona była jego matką; tworzyli rodzinę, którą zniszczyłem. Rodziny nie są czymś abstrakcyjnym i składają się z prawdziwych ludzi, lecz to nie miało i nie mogło mieć znaczenia w mojej analizie, toteż obrałem bardziej konstruktywny kierunek myślenia. Z kimkolwiek miałem do czynienia, na pewno nie był to policjant. I było możliwe, że nie zgłosił jeszcze jej zaginięcia. Może z nią nie mieszkał i dopiero co stwierdził, że nie ma jej w domu? Ile dokładnie mógł mieć lat? Czy wystarczająco dużo, by się od niej wyprowadzić? Nie potrafiłbym skorygować swojego pierwszego wrażenia, nie oderwawszy wzroku od zdjęcia i nie popatrzawszy na niego, lecz nie chciałem tego zrobić, ponieważ czułem, że czeka, aż się odezwę. Lecz czy młody człowiek – nawet jeśli założyć najgorsze: że z nią mieszkał i wiedział o jej nieobecności od tamtego poranka – mógł znać rozkład zajęć swej matki co do godziny? Które z dzieci okazuje swym rodzicom zainteresowanie tego rodzaju? (Jak ciężko pracowała, by zapewnić mu utrzymanie? Ile wyszorowała toalet? A ile rzeczy wyprała, wysuszyła, strzepnęła i wyprasowała?) Co więcej, fakt, że przede mną stał właśnie on, a nie policjanci, mógł oznaczać, że z nimi rozmawiał, ale oni nie uznali mnie za kogoś, kim mogliby się zainteresować; dlatego nie musiałem niczego się obawiać. Chociaż, z drugiej strony, mogło to również świadczyć o niekompetencji policji albo powolnym czy leniwym śledczym. Ani przedstawiciele policji, ani jej syn (jeśli rzeczywiście nim był) nie mieli powodu, by podejrzewać mnie o cokolwiek, lecz gdyby – oni lub on – dostrzegli w jakiś sposób, że kłamię, mogłoby to wzbudzić ich zainteresowanie. Ale dlaczegóż, do diabła, miałbym chcieć skrzywdzić Dacianę? Cóż miałbym przez to zyskać? Była przecież gosposią. (Ciężko pracującą kobietą z kartą biblioteczną, współczesnym ucieleśnieniem amerykańskiego snu.) Natomiast gdyby się okazało, że zaginął również Eric, ktoś mógłby pomyśleć, że znikają ludzie, którzy mieli jakiś związek ze mną. Lecz, z kolei, nikt nie kontaktował się ze mną w sprawie Erica, co mogło oznaczać, że jego nieobecność pozostała niezauważona – miało to sens, jeśli zważyć, jakiego rodzaju był osobą i w jakich kręgach prawdopodobnie się obracał. Chociaż musiałem też założyć, że miał przynajmniej paru znajomych – mogli to być tacy sami nieudacznicy

albo dziewczyny, poderwane i porzucone przez niego w taki sam sposób jak podczas tamtej paskudnej nocy w barze, której wspomnienie było dla mnie nieznośne. Żaden człowiek nie jest samotną wyspą, pomyślałem, i wtedy przypomniał mi się Norman Slepian, mój pierwszy współmieszkaniec na Harvardzie, gej uzależniony od teatru, lubiący powtarzać, że jest wyspą – „Norman to wyspa” – i chociaż myślenie o nim akurat w tej chwili wydało mi się oburzające i niewytłumaczalne, nie potrafiłem nie zastanowić się, co się z nim stało. Nasze drogi rozeszły się po pierwszym roku studiów. Powróćmy jednak do terażniejszości: Eric zniknął. Ktoś musiał o tym wiedzieć. A skoro nie można go było znaleźć, to czy ktoś nie pomyślał, że opuścił miasto? I czy ktoś nie zadzwonił na policję? Był to wielki przeskok: założenie, że ktoś mógłby skojarzyć Erica ze mną, a mnie z Dacianą; to, co się stało, stało się raczej w wyniku przypadkowych trafów niż planowania z mojej strony. Miałem jeszcze do rozważenia wiele innych „ale z drugiej strony”, lecz ten chłopak – ten mężczyzna chłopak – czekał na odpowiedź, a ja działałem w kompletnej próżni, na samym skraju wiarygodności, sumując wszystkie plusy i minusy w swoim rozżarzonej do białości mózgu w ciągu długich dwudziestu sekund. Musiałem się odezwać.

– Zgadza się – powiedziałem, składając zdjęcie i wręczając mu je z powrotem. – To moja gosposia.

– To moja matka – odrzekł.

Drzewo decyzji zaczęło się walić.

– Ach... – powiedziałem. – Musiałem się przyjrzeć. Kiedy zrobiono to zdjęcie?

– Nie ma jej w domu od trzech tygodni.

Złamała się następna gałąź.

– O, nie... – odparłem. – Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku.

Oblizał usta. Były straszliwie spierzchnięte.

– Czy przyszła wtedy do pracy?

– Kiedy?

– Mniej więcej trzy tygodnie temu.

Trzecia gałąź.

– O rany... Cóż... Głupio mi o tym mówić, ale jakiś czas temu musiałem jej podziękować. Przykro mi, że musiałem to zrobić, ale...

– Kiedy?

– Słucham?

– Kiedy ją pan zwolnił?

– Cóż, właściwie nie powiedziałbym, że ją zw... to nie tak, to była raczej kwestia kosztów, wszystko teraz drożeje, ale hmm... Może jakieś sześć, siedem tygodni temu?

– Więc jej tu nie było?

– Ale – jeszcze raz – kiedy?

– Trzy tygodnie temu.

– Cóż, przypuszczam, że nie. Myślę, że nie.

Cisza.

– Znaleziono jej samochód.

Czwarta gałąź.

– No nie... To, to... Więc zadzwonił pan na policję?

– Szukają jej.

– Rozumiem. Ale nie wie pan, dokąd mogłaby się udać?

– Nie. A pan?

Mój prawy oczodół pulsował.

– Nie wiem, skąd miałbym wiedzieć – odparłem.

– Może coś panu powiedziała, kiedy była tu ostatni raz?

– Nie sądzę – odpowiedziałem. – Ale gdyby nawet powiedziała, i tak nie zapamiętałbym tego do tej pory.

– W porządku – powiedział.

Cisza.

Zobaczyłem, jak jego twarz mieni się i faluje.

– Była bardzo miłą damą – powiedziałem.

– Wciąż może żyć.

– No... Tak. Jestem pewien, że żyje. To znaczy, mam taką nadzieję.

Nie odezwał się.

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie miałem na myśli... Przepraszam. Przykro słuchać tego wszystkiego. Mam nadzieję, że z nią wszystko w porządku. Jestem pewien, że się znajdzie. Czy wie pan coś jeszcze?

– Nie.

– Jasne... Proszę dać mi znać, gdybym mógł jakoś pomóc.

– Czy może pan dać mi numer swojego telefonu? – zapytał.

– Aaa... Jasne. Oczywiście. – Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem stary sklepowy paragon. – Hmm... Chyba nie mam...

Podał mi długopis.

– Dziękuję. – Użyłem uda jako podkładki do pisania. – Proszę dać mi znać, co się dzieje.

Nie odezwał się.

Wręczyłem mu paragon i uniosłem rękę.

– Proszę na siebie uważać.

– Mój długopis – powiedział.

Było to zwykły tani długopis, wcale nie taki, którego zwrotu warto się domagać. Lecz ta prośba wprawiała mnie w zdenerwowanie. Kiedy go ode mnie odbierał, po jego twarzy przemknął lekki uśmiezek. Odwróciłem się jak najszybciej, a on oddalił się, nie spoglądając za siebie.

Wygląda na to, że dobrze mi poszło.

– Hm?

– Powiedziałem, że chyba dobrze mi poszło.

– Ale co? – Yasmina spojrzała na mnie przez ramię. – Twoja rozmowa

z Lindą?

– Zgadza się – odpowiedziałem.

W myślach odtwarzałem raz za razem ten jego lekki uśmiech – sposób, w jaki się pojawił i zgasł, jak przepalona żarówka.

– Myślę, że poszło mi całkiem nieźle.

– Nie przejmuj się aż tak bardzo. Chodzi tylko o twoją całą akademicką przyszłość.

Zamieszała w garnku, nakryła go i zmniejszyła ogień.

– To musi się gotować jeszcze przez pół godziny.

– ...dobrze.

– Gdybyś tymczasem zgłodniał, zjedz trochę humusu.

– ...dziękuję.

Stała przede mną, gniotąc ścierkę do naczyń.

– Kochanie?

– Mm?

– Wszystko w porządku?

Nie.

– Tak.

– Okej. Jesteś pewien?

– Pewnie, że jestem pewien. – Przerwałem na chwilę. – Myślę o wszystkim, co mam do zrobienia.

– Pracujesz tak ciężko... Musisz być zmęczony.

– Trochę jestem.

– Może... – powiedziała.

Spojrzałem na nią. Przygryzała wargę.

– Może co? – zapytałem.

– Może powinieneś pójść do lekarza?

Cisza.

– Po co?

– Nie wiem, może zapisze ci coś, co pomoże ci zasnąć.

– Sypiam dobrze.

– Dziś w nocy tak się rzucałeś, że musiałam cię obudzić.

Nie odpowiedziałem.

– Miałeś zły sen?

Cisza.

– Nie pamiętam.

– Na pewno. – Sięgnęła po paczkę kuskusu. – Mamrotałeś.

– ...tak?

Skinęła głową, studiując tył opakowania.

– Co mówiłem?

– Nic konkretnego. Właściwie było to nie tyle mamrotanie, ile raczej nucenie.

Kuchnia skurczyła się nagle, jakby olbrzymi palec docisnął powierzchnię

rzeczywistości.

– Naprawdę?

– Tak.

– Co nuciłem?

– Trudno powiedzieć. – Jeden z kącików jej ust powędrował do góry. – To brzmiało, jakbyś fałszował.

– ...przepraszam.

– Och, nie o to mi chodzi. Mam zatyczki do uszu. Tyle że zawsze spałeś jak zabity.

– To chyba stres – powiedziałem.

– Przykro mi. Mogę ci jakoś pomóc?

Potrząsnąłem głową. Ten ruch sprawił, że poczułem, jak jest wielka, nabita, pozbawiona wdzięku, a przede wszystkim wypełniona gorącem. Kuchnia – moje pole widzenia – wciąż falowała i zachwiałem się jak pijany.

– Idę do salonu – powiedziałem.

Popatrzyła na mnie.

– To ta kuchenka – dodałem. – Przez nią jest tu bardzo duszno.

Nie czekając na odpowiedź, wstałem i wyszedłem. Usiadłem na sofie i zacząłem się wpatrywać w pusty kominek. Czuję się tak, jakby płonęła w nim sterta drewna: miałem mokry krzyż i pachy. Wyciągnąłem koszulę ze spodni. Odniosłem wrażenie, że moje stopy nabrzmiały i buty stały się zbyt ciasne; zrzuciłem je i poruszyłem obolałymi palcami. Wszystko falowało coraz mocniej. Pojawiło się też naprawdę denerwujące odczucie: zaczęło mi się wydawać, że mój umysł powoli opuszcza czaszkę, a procesy myślowe przebiegają pół metra przede mną, kiedy zaś obracałem głowę, moja świadomość podążała za nią z opóźnieniem, dryfując jak boja... By uwolnić gorąco narastające pod koszulą, rozpiąłem ją u góry, podwinąłem rękawy i w końcu zdjąłem. Wtedy zdałem sobie sprawę z obecności Yasminy, która przypatrywała mi się, stojąc w korytarzu.

Otaczała ją złocista poświata.

– Kochanie?

Patrzyłem na nią zafascynowany.

– Kochanie, czy... – Jej głos brzmiał inaczej niż zwykle. – Napijesz się czegoś?

– Nie chce mi się pić – powiedziałem.

Wtedy uświadomiłem sobie, że jestem spragniony, bardzo spragniony – bardziej niż kiedykolwiek do tej pory. Nie chciałem jednak o nic ją prosić, by nie poczuła się jeszcze bardziej zaniepokojona. Chciałem zostać sam i zaczekać w bezruchu, aż wszystko się uspokoi.

– Powinnaś sprawdzić, co z gulaszem – powiedziałem. Usłyszałem bliskie echo własnego głosu, jakbym mówił do pustej puszkę po farbie. – Chyba nie chcesz, żeby się rozgotował?

– Co się z tobą dzieje? – zapytała.

– Ze mną oczywiście wszystko w porządku.

Cisza.

– Nie o to pytałam – odparła.

Milczałem.

– Wyglądasz... – powiedziała.

– Jak wyglądam?

– Nie, nic – odrzekła.

Cisza.

– Myślę, że powinieneś pójść do lekarza.

– Nie mam takiego zamiaru.

– Nie wygląda na to, że ci przechodzi. – Podeszła do mnie nieśmiało. – To chyba infekcja.

– Nie jesteś lekarzem – odrzekłem. Zbierałem myśli, budując zaporę mającą obronić mnie przed jej atakami.

– I właśnie dlatego chcę, żebyś do niego poszedł.

– Nie mam ubezpieczenia.

– Idź do przychodni na uczelni.

– Nie jestem studentem Harvardu.

– Myślałam, że Linda powiedziała coś o przywróceniu cię na stanowisko.

– Powiedziała, że o tym pomyśli.

– Nie możesz tego zlekceważyć.

– Nie lekceważę. Czekam, aż się zagoi.

– Ale się nie goi.

Stała blisko mnie i czułem ciepło promieniujące z jej ciała. Odsunąłem się od niej na koniec sofy.

– Czy możesz już przestać? Proszę, daj już spokój.

– Dwa kilometry stąd jest bezpłatna klinika.

– Yasmino...

– Albo idź na pogotowie. Będą musieli cię przyjąć. Takie jest prawo. Dobrze – powiedziała, pochylając się w moją stronę. – Niech spojrzę.

Skubnęła opatrunek i poczułem na twarzy garść pokrzyw. Odskokczyłem do tyłu, przeleciałem przez poręcz sofy, jakby mnie ktoś szarpnął za szelki, i wylądowałem na ramieniu. Wstałem i zataczając się, ruszyłem korytarzem.

Niech to szlag!

– Cholera, o cholera, przepraszam.

– Powiedziałem, żebyś dała spokój.

– Wszystko w porządku?

– Nie, nie w porządku, to bolało.

Trzasnąłem drzwiami łazienki. Zobaczyłem w lustrze swoją twarz błyszczącą od potu. Nie zdejmowałem opatrunku od kilku dni, a kiedy teraz odkleiłem jeden z jego rogów, dostrzegłem żywą ranę wielkości kciuka, niesamowicie nabrzmiąłą i zaczerwienioną, tak wrażliwą, że musiałem zacisnąć zęby, żeby nie zacząć krzyczeć przy zrywaniu pozostałych plastrów.

- Josephie?
- Chwileczkę.

Spróbowałem przyciąć nowy kawałek gazy, lecz nie byłem w stanie utrzymać prosto nożyczek i bałem się, że wbiję sobie ostrze w nadgarstek. Upuściłem je na podłogę i oderwałem dostatecznie duży, poszarpany kawałek tkaniny.

- Czy mogę wejść?

Przylepiec się posklejał, a kiedy, sfrustrowany, szarpnąłem, próbując go wyprostować, zwinął się jak sznurek.

- Wszystko w porządku?
- Jeszcze chwileczkę.

Gdy tylko opatrunek znalazł się na właściwym miejscu, nacisnąłem go przez nieuwagę i poczułem ból przeszywający całą prawą połowę mojej głowy. Świat stanął na głowie, lecz utrzymałem się na nogach, chwyciwszy brzeg umywalki.

Drzwi zaczęły się otwierać.

- Josephie...

Nie teraz.

Cisza.

Drzwi się zamknęły.

Sześć tabletek ibuprofenu połkniętych bez popijania: utknęły mi w gardle, przypominając przesuwane się w dół kawałki drapiącego asfaltu. Pijąc kranówkę z dłoni, zauważyłem, że są pokryte plamkami. Podobnie jak ramiona, szyja i reszta ciała; cały byłem w różowych i białych cętkach. Zacząłem pić. Gorąco wróciło po kilku sekundach i zamykając apteczkę, zobaczyłem nie siebie, lecz jego i jego lekki uśmiech.

Cześć.

Powlokłem się korytarzem do swojego gabinetu i położyłem się na łóżku. Zalewałem potem nakładkę na materac i czułem lawę pod plecami. Wstałem i rzuciłem się do okna. Zimne wieczorne powietrze okazało się błogosławieństwem. Pozwoliłem, by mnie owiało, i zacząłem planować, ignorując Yasmine wołającą mnie na kolację do chwili, kiedy usłyszałem, jak nadchodzi. Usłyszałem także swoje imię i to, że zatrzymała się u progu.

- Co robisz? – zapytała.
- Pracuję – odpowiedziałem.
- Josephie – rzekła – wyjdź stamtąd.
- Podoba mi się tu.
- Zachorujesz.

Horyzont ustawił się ukośnie. Wyprostowałem się, oparłszy się o parapet. Och, bracie, nigdy nie było tu tak gorąco.

- Pracuję, Yasmino.

Okazało się, że się jąkam. Szczękam zębami – pomyślałem. To, że nimi szczękałem, było dziwne, skoro było mi tak gorąco. Wszystko było dziwne. Dlaczego patrzyła na mnie w taki sposób? Rzuciłem się do drzwi, zmuszając ją

do odsunięcia się i uskokczenia do tyłu.

– Zaczekaj...

Zatrzasnąłem drzwi, zamknąłem je na klucz i oparłem się o nie, słuchając szumu własnej krwi. Zaczęła pukać; usłyszałem szybkie, natarczywe i ostrzegawcze uderzenia knykciami. Rozpiąłem spodnie i zrzuciłem je kilkoma kopnięciami. Boże, potworne gorąco było nie do wytrzymania... Nie pomagało mi już nawet powietrze z zewnątrz. Zdjąłem więc slipy, ale i to nie przyniosło ulgi. Płonąłem. Płonęła moja twarz. Bolało mnie serce. Czułem ciśnienie za prawym okiem, które chciałem wydmuchać. Ona bez przerwy mówiła, doprowadzając mnie tym do szaleństwa. Dlaczego nie chciała zostawić mnie w spokoju? Miałem swoje zmartwienia, były też rzeczy, które musiałem zaplanować. Kręciłem się w kółko. Dlaczego tu przyszedł? Musiał mieć powód. Wszyscy mamy powody, dla których robimy to, co robimy: powody są tym, co różni nas od innych zwierząt; są podstawą naszych decyzji, te z kolei stanowią podstawę naszej zdolności wyboru, a tym samym wolności. Nie mając powodów, jesteśmy maszynami. Czy on był maszyną? Wyglądał jak maszyna. Może więc nią był? Ale miał zdjęcie. Była jego matką i urodziła go, a maszyny nie rozmnażają się w taki sposób. A może ona także była jedną z maszyn? Może wszyscy nimi jesteśmy? Jestem robotem, który wygląda i mówi dokładnie tak samo jak ja, ale o wiele lepiej pisze. Przeanalizował mnie za pomocą kamer w oczach: miał w sobie wiele wbudowanych urządzeń. Pomyślałem o jego uśmiechu, a potem o długopisie. Oczywiście: długopis. Wziął go z powrotem, ponieważ zostawiłem na nim swoje odciski palców. Zrobił ze mnie głupka, prosząc, bym mu zapisał swój numer telefonu: wcale go nie potrzebował, już go miał i coś kombinował. W porządku, już ja mu pokażę. Wiedziałem, co zrobię, a mój plan był bezbłędny. Zaczekam na niego. Będę go śledził i badał, dopóki nie poznam jego wzorca zachowań i zwyczajów lepiej niż on sam. Nauczę się ich. Wyczekam na odpowiedni moment i zacznę działać, by go uciszyć, a tym samym zmniejszyć całkowite ryzyko, z jakim mam do czynienia. Życie jest pełne ryzyka, od którego nigdy nie można się uwolnić, lecz z pewnością da się osłabić sił, które działają przeciwko nam, i to właśnie zamierzałem uczynić. Chciałam podjąć działanie, by się obronić. Gdzieś w małym ciemnym pokoiku przebywają mali ciemni ludzie i układają drobne ciemne spiski, które mają we mnie ugodzić, lecz ja nie zostanę ich zabawką. Możliwe, że posiadają już długopis, lecz nie jest to problem, którego nie dałoby się rozwiązać, ponieważ linie papilarne są wytworem skóry, a tę da się usunąć. Położyłem dłonie na wełnianym kocu i zacząłem trzeć, żeby za każdym pociągnięciem pozbyć się jednej cieniutkiej warstewki. Ale to nic nie dało, zacząłem zatem przemierzać pokój na czworakach, by wyszukać coś szorstkiego, co pozwoli mi się oczyścić. Pod łóżkiem, koło listwy przypodłogowej, znalazłem kawałek szkła – fragment z pomarańczową pepitką – i zacząłem systematycznie skrobać opuszkę kciuka jego najdłuższą krawędzią: po jednej cieniutkiej warstwie naraz. Także bez efektu. Przyjrzałem się kciukowi. Był czerwony, ale bruzdy i wiry na jego

powierzchni pozostały prawie nietknięte. Zacząłem badać możliwość ścięcia plasterka opuszki, ale jedynym skutkiem tego zabiegu było krwawienie. Niczego nie czułem, bo działanie moich nerwów bólowych zostało zaburzone przez sygnały dochodzące z twarzy, siedziałem więc, uśmiechając się szeroko do własnej krwi i patrząc, jak spływa po nadgarstku do zgięcia łokcia i rozlewa się w kałużę na podłodze. Myślałem, jak wiele mam jeszcze do zaplanowania. Chciałem, by mój plan wybiegał jak najdalej w przyszłość, lecz skoncentrowanie się na nim było niemożliwe, kiedy Yasmina tak hałasowała. Posłuchaj jej. Kochanie. Proszę. Co tam się dzieje? Proszę, otwórz. Boję się. Przerażasz mnie. Proszę. Kocham cię. Wiem, że mnie kochasz. Nie wiem, co się dzieje. Powiedz, że nic ci nie jest. Dam ci spokój, jak coś powiesz. Nie rób mi tego. Proszę. Chcę, żeby ci się polepszyło. Wydobrzejesz. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Mogę ci pomóc. Pozwól, żebym ci pomogła. Proszę, otwórz. Proszę, nie zamykaj się tam na cały wieczór. I jeszcze, i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze, a ty tylko chcesz, żeby przestała mówić. Zamknij się. Zamknij się. Nie możesz już tego dłużej wytrzymać. Tylko się zamknij i nie przeszkadzaj, zamknij się. Posłuchaj, jaki ma wystraszony głos. Ale to i tak nic w porównaniu z tym, co czujesz. Jesteś zdolny do wszystkiego. Potrzebujesz ciszy, żeby móc myśleć. Odkładasz szkło, wstajesz i znowu chodzisz w kółko, zatykając uszy, by się od niej odgradzić. Zamknij się. Gniew w twoim wnętrzu ma zęby: to samodzielna żywa istota, niezależna od ciebie. Jesteś jedynie jej gospodarzem. Zamknij się, proszę, zamknij się. Jeśli się nie zamknie, być może będziesz musiał coś z tym zrobić. Proszę, zamknij się. Może będziesz musiał roztrzaskać jej czaszkę. Nie sprawiłoby ci to radości, ale to wszystko, o czym właśnie w tej chwili potrafisz pomyśleć. Dawno temu kochałeś ją, ale teraz nie istnieje nic poza strachem – strachem, gorącem, bólem i uściskiem miliarda imadeł. Stajesz przy szafie i sięgasz po swojego starego dobrego przyjaciela, zimnego i ciężkiego; kiedy go przyciskasz do płonącej skóry, czujesz, jak cudowny jest jego chłód – przytul go mocno. Sprawy nie ulegają rozwiązaniu, czyż nie tak? Zamknij się. Rzeczy są takie, jakie są, dopóki nie staną się inne. Zmieniałeś się raz za razem; jesteś stworzeniem, które stale się rozwija. Któż może powiedzieć, kiedy zachodzą te przemiany? Pomyśl o swoim bracie. Czy to było sprawiedliwe? Pomyśl o domu, pieniądzach i biżuterii – czy to było sprawiedliwe? Czasami niesprawiedliwość działa na twoją korzyść, czasami nie. Wszechświat porusza się i porusza tobą, a przyszłość przyciąga cię nieubłaganą siłą swej grawitacji. Zastanawiasz się, czy to prawda – czy rzeczywiście mógłbyś ją skrzywdzić – i stajesz się mały, skulony i roztrzęsiony; kiedy ona łomocze do drzwi, ty mamroczesz do siebie, trzymając swego przyjaciela za szyję i chcąc, by zostawiła cię w spokoju. Zostajesz tak, dopóki się nie poddaje, oznajmiając to wściekłym kopnięciem, i puszczasz go, a on powoli spada na podłogę. Upadasz w tym samym miejscu. Zostajesz w nim i przez nieskończenie krótką chwilę śniesz

śniesz o koniu zachłostanym na śmierć

i budzisz się w jasnym świetle księżycą wpadającym przez otwarte okno, rozebrany, z pięścią przyciśniętą do serca i mokrym krocem, a nade wszystko z bólem zajmującym prawą połowę świata i uczuciem, że twój mózg jest jak butelka szampana, wstrząśnięta i gotowa wystrzelić. A kiedy ruszasz z wyciem do łazienki, zawrót głowy ciska tobą w drzwi. Twoja twarz jest obrzmiała, a policzek może eksplodować w każdej chwili. Przestań go dotykać. Boli. Musisz przestać go dotykać. Jest bardzo daleko i nie potrafisz jej usłyszeć, ale woła cię po imieniu, kiedy po omacku szukasz wyłącznika na ścianie. Przez jednowymiarową mgłę dostrzegasz swoje odbicie.

– O Boże!

Stoi w drzwiach z rękoma przy gardle i patrzy na ciebie. Nie da się już tego niczym zamaskować, już nie. To jest czerwone i nabrzmiałe, wygląda jak zaogniony zad zwierzęcia trawionego gorączką. Wzdłuż twojej szyi, pod wystającą zuchwą, ciągnie się krwawy odcisk kciuka stanowiący dowód twojego istnienia.

– O Boże. O mój Boże, wzywam karetkę. Dokąd idziesz, Josephie? Zaczekaj. Zaczekaj.

Jesteś na dworze i przechadzasz się nago po śniegu. Spodziewasz się zimna pod stopami, ale nie jest tak źle. W rzeczywistości czujesz ciepło, któremu towarzyszy przyjemne chrzęszczenie plaży. Zanurzasz dłonie w śniegu, by się przekonać, czy nie usunie twoich linii papilarnych, ale to na nic; cóż, trudno, idź dalej, rusz się, kroc.

Słyszysz swoje imię gdzieś z oddali.

Zignoruj to.

Może cegła w chodniku podziała? Lecz tak nie jest. Twoje dłonie znowu krwawią. To się nie sprawdzi. Potrzebujesz profesjonalnej pomocy. Chirurdzy potrafią dziś robić zdumiewające rzeczy.

Jeszcze raz słyhać twoje imię, głos dochodzi z jeszcze większej odległości.

Wyje syrena.

Już prawie tam jesteś.

Wysoki szpital mruga tysiącem białych oczu.

Wszystkie zlewają się w jedno.

Rozsuwane drzwi, wilgotna gumowa mata, pomieszczenie pełne ludzi; panie i panowie, witam, czy mogę prosić o uwagę?

Kobieta za biurkiem dostrzega cię, wstaje ze swego krzesła i bezgłośnie wzywa imię Pana.

Musimy najpierw opanować gorączkę.

– Okej.

– Szczerze powiedziawszy, nie należało dopuścić do takiego stanu.

– Nie miałam pojęcia, och... o nie, Josephie.

Głowa do góry.

– Spokojnie.

– Oprzyj się, kochanie. Musisz się oprzeć.

– Spokojnie.

Spokojnie.

Dni i noce.

Sny.

Światło dzienne. Gadanina w telewizji.

Świat wygląda zabawnie.

Płasko.

– Josephie.

Dlaczego taki jest?

– Już dobrze. Już wszystko dobrze.

Dotykasz swej twarzy.

– Nie ruszaj, proszę. Właśnie zmienili ci opatrunek.

Ponownie próbujesz dotknąć.

– Proszę, zostaw to. Proszę.

– Puk, puk.

– Proszę wejść. Obudził się.

– O, to dobrze. Josephie? Witaj.

Obok mnie rozmazana sylwetka. Głos brzmi znajomo.

– Spokojnie, już... Już. Teraz wygodniej?

– Jeszcze niezupełnie doszedł do siebie.

– Mhm.

– Dziękuję, że pani przyszła.

– To żaden problem. Proszę się nie martwić. Doskonale nim się tu zaopiekują. Dobrze, że przyszła pani w porę. Mogło być znacznie gorzej. Pani również wygląda na zmęczoną. Może pojechałaby pani do domu, żeby trochę odpocząć?

– Nie chcę go zostawiać.

– Czasami najlepiej jest wyjść na chwilę. Coś zjeść. Wziąć prysznic. Proszę się o niego nie martwić. Nigdzie się nie wybiera.

– ...dziękuję, doktor Cargill.

– Proszę odpocząć.

– Josephie, słyszałeś?

– On też musi odpocząć.

– Trzymaj się. Dziękuję pani.

Później:

– To miło, że się tobą zajęła. Nie jest nawet twoją lekarką. Zobaczyła tylko twoje nazwisko w spisie pacjentów.

Później:

– Dzwonił Drew. Jest w Atlantic City. Wróci jutro.

Później:

– Mogłeś umrzeć. Zdajesz sobie z tego sprawę? Czasami jesteś takim dupkiem, jesteś tak cholernie uparty...

Później:

– Przestań już to ruszać. Pielęgniarka się wścieka. Powiedziała, że następnym razem przywiąże ci ręce do łóżka.

Później:

– Teraz jesteś zadowolony?

Później:

– Idę po kawę. Potrzebujesz czegoś? Włączyć ci inny program? W porządku.

Uwalniasz się i stoisz, patrząc przez przydymione i częściowo zasłonięte szkło.

Nad lustrem w łazience mruga niebieska żarówka. Pochylasz się. Prawa górna ćwiartka twojej głowy wygląda jak fragment mumii. Niecierpliwymi dłońmi (na twoich palcach wciąż widnieją linie papilarne, chyba będziesz musiał złożyć zażalenie) znajdujesz końcówkę bandaża i zaczynasz go rozwijać, odsłaniając to, co jest pod spodem. To boli. Gaza jest posklejana. Najpierw żółta skorupa. Potem czerwona. W głąb dociera coraz więcej światła i w końcu czujesz chłodne powietrze na skórze pokrytej szwami, twoja twarz nie jest już twoja, zasłony oka są zaciągnięte i szczelnie zaszyte, a przestrzeń za nimi pusta. Teraz możesz krzyczeć, świetnie, już po wszystkim – no już, dalej: krzycz!

Obecnie mało kto mnie odwiedza. Więcej gości ma nawet mój współtowarzysz z celi, uznany za winnego zgwałcenia. Ale żeby wszystko było jasne: jego brat mieszka niedaleko, w Marlborough, podczas gdy przyjazd do mnie wymaga zainwestowania w bilet lotniczy. Mimo to nie czuję się samotny.

Dostaję listy. Ich cztery piąte są od kobiet, z których wiele przeczytało poświęconą mi książkę – reportaż kryminalny – lub obejrzało półgodzinny program nadany przez bezpłatną kablówkę ostatniej wiosny. Zdumiewająco wiele spośród moich korespondentek wierzy, że jestem niewinny. Trudno to zrozumieć. Przyznałem się do winy, a fragmenty nagrania wideo z moim wyznaniem zostały udostępnione telewizji. Mimo to owe kobiety wciąż piszą, że dostrzegają we mnie dobroć i że nigdy nie mógłbym zrobić tego, co zrobiłem, gdyby nie nadzwyczajne okoliczności. Być może przyznałem się niesłusznie, zmuszony do tego przez strach. Człowiek, który się boi, powie wszystko. Lecz kobiety te wspaniałomyślnie popełniają błąd: nie rozumieją, jaką ulgę przyniosło mi przyznanie się.

Początkowo nikt mi nie wierzył – ani Yasmina, ani pielęgniarki. Myślały, że wciąż mającę lub jestem odurzony morfiną. Musiały podawać mi na siłę środki uspokajające i minęło kilka dni, zanim odzyskałem opanowanie i zaufano mi na tyle, bym mógł zadzwonić. Poprosiłem do telefonu Zitellego, a kiedy się okazało, że go nie ma – Connearneya.

Wszyscy widzieli pierwsze przesłuchanie, któremu mnie poddał. Na początku siedzę przygarbiony, ledwie mnie słysząc, wyduszam z siebie słowa i to pozwala łatwo zrozumieć, dlaczego ludzie mogli uwierzyć, że zeznawałem pod przymusem: widać, jak gubię wątek, powtarzam się i zaprzeczam samemu sobie. Moje kolejne przesłuchania – drugie, trzecie i czwarte – przeprowadzone dla upewnienia się, czy nie konfabuluje, również zarejestrowano, lecz nigdy nie pokazano ich w telewizji. Gdyby tak się stało, to, jak sądzę, wywołałbym na widzach zupełnie odmienne wrażenie: tym razem siedzę prosto, wypowiadam się jasno i zdecydowanie. Sędzia, który wydał na mnie wyrok, nazwał te nagrania mrozącymi krew w żyłach i będę pierwszym, który przyzna, że ma rację. To nauczka, że nigdy, przenigdy nie należy wierzyć w to, co się widzi w telewizji.

Ostatnią jedną trzecią swego pobytu w szpitalu spędziłem w izolatce, przykuty kajdankami do łóżka i w towarzystwie przesiadującego w kącie policjanta, który pilnował, bym nie wyrządził sobie krzywdy albo nie spróbował uciec. Kiedy nadchodziła pora na zmianę mojego opatrunku lub opróżnienie basenu, policjant ów wstawał i był gotów wkroczyć do akcji,

gdybym chciał coś zrobić pielęgniarce. Poza tym nasze kontakty ograniczały się do minimum. Nie wypowiadał nigdy więcej niż kilka słów naraz i starał się nie nawiązywać ze mną kontaktu wzrokowego, co stanowiło przedsmak tak dobrze już mi dziś znanej litości i odrazy.

Powiedziano mi, że ocena Yasminy była prawidłowa: mogłem umrzeć. Zapalenie tkanki łącznej oczodołu to nie żart, a zaniedbawszy właściwe oczyszczenie ran i nakładając bez przerwy korektor, znakomicie przysłużyłem się infekcji, najpierw dopuszczając do jej powstania, a później ją nasilając. Kosztowała mnie ona oko i mogła łatwo objąć mózg; teraz się dziwię, że w którymś momencie nie wziąłem pod uwagę takiej ewentualności. Bez wątplenia istnieją skuteczniejsze sposoby popełnienia samobójstwa. Wiem jednak lepiej niż inni, że takie decyzje bywają rzadko – jeśli w ogóle – dyskretne.

Dochodzenie w mojej sprawie było dość proste. Ale nawet pomimo tego w ciągu kolejnych ośmiu miesięcy nie doszło do procesu. Mój adwokat stwierdził, że muszę najpierw wrócić do zdrowia. Policja musiała też odszukać ciała. Trochę to potrwało, ponieważ potrafiłem udzielić jedynie bardzo ogólnych wskazówek. Dzięki swej wzorcowej chęci współpracy zostałem zwolniony za kaucją, skazany na areszt domowy i zaopatrzony w opaskę monitorującą na kostce. Nie miałem nic przeciwko temu. Wykorzystałem czas, który mi pozostał, na dokończenie swojej pracy doktorskiej; w końcu kwietnia wysłałem Lindzie Neiman mailem wiadomość z gotowym tekstem.

Wtedy jeszcze żadne media nie podały wiadomości o mojej sprawie. Odpowiedź Lindy sprawiła, że poczułem się skołowany. Nie nadadzą mi tytułu doktora – powiedziała – ani teraz, ani nigdy.

– Nie możemy przyzwolić na plagiat – stwierdziła.

Najwidoczniej moje zeznania wzbudziły ponowne zainteresowanie detektywa Zitellego treścią pracy doktorskiej Almy. Mając powyżej uszu narzekań tłumacza, który stwierdził, że borykanie się z tajemniczą terminologią występującą w pracy Almy jest dla niego zbyt trudne, Zitelli skontaktował się z harwardzkim Wydziałem Języków i Literatury Germańskiej. Stamtąd odesłano go do dyrektora studiów doktoranckich, ten zaś skierował detektywa do Wydziału Filozofii. Gdzieś po drodze musiało się pojawić moje nazwisko i oryginał pracy Almy bezzwłocznie wylądował na biurku Lindy, która zerknęła na pierwsze linijki tekstu i zadzwoniła do Zitellego, by powiadomić go, że istnieje już pełna angielska wersja tekstu.

Pozostała jedną piątą otrzymywanych przeze mnie listów piszą najrozmaitsi ludzie. Chrześcijanie modlą się za moją duszę. Scenarzyści proponują mi współpracę. Drugą, po kobietach, najliczniejszą grupę piszących tworzą nastoletni chłopcy, odurzeni myślą, że moje działania miały jakiś głębszy sens filozoficzny. Nie mam pojęcia, jak wpadli na ten pomysł. Ani podczas procesu, ani później z pewnością nie powiedziałem niczego, co dałoby powód, by tak sądzić. Niemniej jednak chłopcy ci przysyłają mi długie listy pełne zażyłości.

Przelewają swój pesymizm na papier i dzielą się ze mną fantazjami przesyconymi przemocą (choć mogę się tylko tego domyślać, widząc fragmenty zamazane przez więziennego cenzora); upierają się też, iż bagatelizuję to, co zrobiłem, kiedy mówię, że doprowadziła do tego zwykła chciwość.

Takiego wyjaśnienia nie przyjmują również media. Szukając apetycznego kąska, w którym mogłyby zatopić kły, uczyniły sobie ucztę z moich oświadczeń, a kiedy w prasie pojawia się moje nazwisko (co wciąż ma miejsce; jeden z moich fanów przesyła mi zazwyczaj wycięte fragmenty gazet), często towarzyszy mu określenie „były profesor Harvardu skazany za morderstwa”. Gdy wydarzyło się to pierwszy raz, napisałem do wydawcy, prosząc o sprostowanie. Nie otrzymując odpowiedzi, przestałem w końcu zaprzętać sobie tym głowę. Będę zatem harwardzkim profesorem. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo musi to irytować Lindę.

Nie mamy tu dostępu do komputerów, lecz pewien młody człowiek z Walla Walla przysłał mi trzydzieści stron wydruku ze swojej strony internetowej; pojawia się na niej obok Leopolda i Loeba, Roberta Chambersa, Teda Kaczynskiego i Roberta McNamary, którzy jak przypuszczam, mogliby się poczuć nieco urażeni powołaniem ich do naszego małego bractwa.

Najbardziej niezrozumiałe są dla mnie propozycje małżeństwa, które otrzymałem już pięć razy. Skazano mnie na dożywocie bez możliwości ubiegania się o wcześniejsze zwolnienie. Wyraziłem brak zainteresowania małżeństwem. Jestem oszpecony i choć nie wyglądam szczególnie odpychająco, prawdopodobnie nie zakwalifikowałbym się do więziennego konkursu piękności. Być może oświadczające mi się kobiety uważają, że opaska na oku przydaje mi pirackiego szyku. Któż to może wiedzieć? Przestałem już usiłować zrozumieć, co sprawia, że ludzie dokonują takich, a nie innych wyborów.

Ktoś mógłby pomyśleć, że listy te piszą wyłącznie szaleńcy. Ale tak nie jest. Trzy spośród moich niedoszłych żon sprawiały wrażenie kobiet przy zdrowych zmysłach. Jedna z nich przysłała mi nawet zdjęcie, na którym ma na sobie togę i biret.

Sinead z Kolorado: wydajesz się bardzo miła i życzę ci wszystkiego najlepszego.

Nigdy nie odpowiadam na listy, ale to nie ma znaczenia. Ludzie wciąż do mnie piszą. Prawda jest taka, że oni również są samotni, a ja jestem idealnym naczyniem, do którego wlewają swoje obawy i frustracje, i nie różnią się dla nich od fikcyjnej postaci – istoty wyjętej z mitu.

Mój współtowarzysz z celi ma na imię William. Sześć lat temu zgwałcił osiemdziesięciodwuletnią kobietę, która zmarła w wyniku obrażeń. Kiedy go poznałem, był zamknięty w sobie i cały czas milczał. Minęły miesiące, zanim w końcu odbyliśmy rozmowę złożoną z dwóch czy trzech zdań. Płochliwość Williama naprowadziła mnie na myśl, że moja oszpecona twarz i słuszny wzrost stanowią swoistą gwarancję bezpieczeństwa. Sam bowiem mierzy niewiele ponad metr sześćdziesiąt.

W pewnym momencie William uznał, że nie stanowi dla niego niebezpieczeństwa, i zaczął mówić, najpierw ostrożnie, potem zaś zalewając mnie potokiem słów. Poznałem jego bezładny życiorys, który znam na pamięć, bo wysłuchałem go już cztery lub pięć razy. Rodzice Williama byli alkoholikami, a on sam doznawał z ich strony bezustannej przemocy seksualnej i fizycznej. Regularnie trafiał do więzienia, odkąd skończył dwanaście lat – ukradł wtedy samochód. Wyliczając swe przestępstwa, wygląda bardziej na zakłopotanego niż skruszonego, do tego stopnia, że się zastanawiam, czy naprawdę wie, dlaczego się tu znalazł.

Powiedział mi kiedyś, że wszyscy jesteśmy na wskroś źli. W pierwszym odruchu chciałem mu odpowiedzieć, że to nonsens, bo przecież gdzieś muszą być dobrzy ludzie. Lecz się powstrzymałem. Jeśli cokolwiek stanowi dla niego pociechę – nawet jeśli jest to wiara, że jest zwykłym facetem, który dał się złapać – to jakie mam prawo mu jej odmawiać?

Jednym spośród wielu upośledzeń Williama jest zaawansowana dysleksja. W więzieniu czyta się na ogół wiele różnych rzeczy. Podczas swoich pierwszych sześciu miesięcy w celi przeczytałem ponad setkę książek, lecz nigdy nie widziałem, by William przeglądał cokolwiek innego niż komiksy. Czasami sięgał po książkę, którą właśnie przeczytałem, i spoglądał na jej okładkę onieśmielonym wzrokiem.

Przy jednej z takich okazji – chodziło o *Proces*, którego nie czytałem od szkoły średniej – zapytał mnie bezceremonialnie, o czym opowiada ta historia. Streściłem mu pobieżnie powieść, a kiedy mówiłem, dostrzegłem zachwyt na jego twarzy. Przerwał mi, domagając się szczegółów i zadając pytania dotyczące życia bohaterów, na które nie potrafiłem odpowiedzieć. Dostrzegłszy zaniepokojenie Williama, uśmiechnąłem się i zasugerowałem mu bez namysłu, by sam przeczytał tę książkę, skoro go tak interesuje.

Słowa wymknęły mi się, zanim pomyślałem, że mogę pożałować tego, co powiedziałem. Odchyliłem się, przygotowany na gwałtowną reakcję.

Lecz William poprosił mnie o pomoc.

Czy uczyliście kiedyś kogoś czytać? Jeśli tak, to możecie sobie wyobrazić, że William przypominał dziecko o plastycznym, żarłocznym umyśle. Przyjmujemy zazwyczaj naszą zdolność do rozpoznania znaczenia tekstu na stronie za rzecz oczywistą, lecz w rzeczywistości jest ona czymś niezwykle zdumiewającym, a jeśli nie nauczymy się czytać w wieku, w którym wierzymy w magię, to później udaje się to tylko nielicznym.

Kiedy zacząłem uczyć Williama czytania, miał czterdzieści siedem lat. Nie musieliśmy zaczynać od zera, ponieważ umiał napisać swoje nazwisko i znał alfabet. Nie potrafił jednak łączyć liter w słowa. Dużo myślałem nad sposobem, w jaki można byłoby rozwiązać ten problem, ale każda z technik, których próbowałem, okazywała się zawodna – niezależnie od tego, jakie sztuczki pedagogiczne stosowałem. Musieliśmy w końcu uciec się do brutalnej siły: spędzałem długie godziny, męcząc Williama kartkami, które miały mu pomóc

zapisać w pamięci kształty poszczególnych słów; ptak stawał się jedną jednostką, jabłko następną i tak dalej. W efekcie przekształciliśmy angielski w język obrazkowy, podobny do chińskiego. Dla mieszkańców Zachodu uczenie się języków tego rodzaju jest trudne, ponieważ przyzwyczailiśmy się do traktowania słów jako czegoś podzielnego. Dlatego też fakt, że William znał alfabet, okazał się raczej utrudnieniem niż pomocą.

Pracowaliśmy wspólnie przez prawie dwa lata. W dniu moich trzydziestych czwartych urodzin William wręczył mi prezent: list, który napisał bez mojej wiedzy i pomocy. Opisał w nim naszą celę. Pomimo wielu powtórzeń i nieco zbyt bliskiej nam tematyki (echa mały Nabokova) list ten ma w sobie coś z nieokrzęsanej poezji, a co więcej – jest doskonały pod względem ortograficznym. Powiesiłem go blisko okna. Jest pierwszą rzeczą, na którą spoglądam, budząc się rano.

Moim głównym zajęciem jest prowadzenie więziennej biblioteki. Oficjalnie zarządza nią urzędnik stanowy, lecz nie jest to praca związana z dobrym wskaźnikiem retencji, przez co musiałem wyszkolić trzech nowicjuszy. Ostatni z nich jest świeżo upieczonym absolwentem Harvardu. Ma na imię Adam i jest bakałarzem literatury jidisz. Pochodzi, podobnie jak ja, ze środkowej części USA i pomimo moich wysiłków – człowiek szybko uczy się wystrzegać sentymentalizmu – nawiązaliśmy bliski kontakt. Adam nigdy nie ukrywał prawdziwych powodów, dla których podjął tę pracę: zbiera materiał na książkę. Ostatnio poprosił mnie, bym zerknął na jego list do agentów literackich. Napisany doskonale, choć odrobinę przeintelektualizowany. Adam cytuje w nim Foucaulta i odnosi się do „głębi wewnętrznej więzienia jako przestrzeni społecznej”. Powiedziałem mu, że to wszystko ładnie i pięknie, ale moim zdaniem list powinien przybrać bardziej narracyjny charakter. Sprzedaj się – doradziłem. Odparł, że już o tym pomyślał.

Był pierwszym, który mi zasugerował, bym poprowadził klasę, choć przekonanie mnie zabrało mu sporo czasu. Poza swoim (całkiem uzasadnionym) sceptycyzmem – dlaczego banda przestępców miałaby chcieć rozmawiać o filozofii? – miałem jeszcze jeden, bardziej elementarny, powód do troski. Wtedy wciąż jeszcze nie miałem żadnych przyjaciół. Wiedziałem, że wszyscy uważają mnie za odludka. Stąd niedaleko już do stania się obiektem drwin, a jeszcze bliżej – do zostania ofiarą.

Ale nuda to skuteczny katalizator. Jeśli potrafi kogoś skłonić do wykonania skoku na bungee albo wstrzyknięcia sobie heroiny, to w moim przypadku z pewnością wystarcza, bym wystąpił przed grupą słuchaczy. Postanowiłem rozpocząć wykłady ogólnym wprowadzeniem: czym jest filozofia i dlaczego jest tak ważna? Zappełniłem całą stronę źródłami informacji, Adam wywiesił w bibliotece informację o wykładach i obaj byliśmy dobrej myśli.

Jak można było tego oczekiwać, początkowa reakcja była chłodna: zjawilo się tylko trzech słuchaczy, z których dwaj myśleli, że będę pokazywał pornografię, i wyszli, kiedy się okazało, że byli w błędzie. Coś musiało się

jednak zakorzeń, ponieważ liczba słuchaczy następnego, dwuczęściowego wykładu poświęconego pierwszym filozofom greckim uległa potrojeniu. Stwierdzenie Heraklita, że „charakter człowieka jest jego przeznaczeniem”, wywołało umiarkowaną dyskusję, natomiast tym, co zapoczątkowało prawdziwą konwersację, były paradoksy Zenona z Elei, których sens został podświadomie odczytany przez grupę mężczyzn wpatrujących się w nieskończoność. Kiedy przeszedłem do Arystotelesa, miałem już siedmiu słuchaczy, a podczas wykładu o Kartezjuszu naliczyłem dziesięciu, lecz wtedy dyrektor więzienia zamknął ich listę, tłumacząc to względami bezpieczeństwa. Sporządziliśmy zatem listę oczekujących.

Kiedy spoglądam wstecz, wydaje mi się oczywiste, że pomysł z zajęciami nie mógł okazać się chybiony. Ludzie przebywający w więzieniu nie muszą robić nic innego, jak tylko myśleć, a ich zamknięcie namacalnie demonstruje potęgę pojęć abstrakcyjnych: miłości, nienawiści, pożądania, zemsty, sprawiedliwości, kary, wolności i nadziei. Być może nie wszyscy opanowali żargon, lecz mają dość energii i zapału, by co drugi tydzień poświęcić godzinę na udział w moich zajęciach. Są, jak sądzę, uczniami doskonałymi.

Z pomocą Adama zacząłem także uczestniczyć w kursie korespondencyjnym. Znalazienie oficjalnie uznanych studiów doktoranckich zabrało nam trochę czasu. Napisałem do Lindy z pytaniem, czy mogłaby załatwić mi odpis moich przedmiotów i ocen, co uchroniłoby mnie przed koniecznością spełnienia niektórych wymogów. Nigdy nie odpowiedziała. I dobrze. Zaczynam od zera, jakkolwiek by na to spojrzeć.

Dowiedziałem się od Drew, że ślub Yasminy był wielkim wydarzeniem. Teraz ona i Pedram mieszkają w Los Angeles, gdzie on pracuje dla jej ojca. Yasmina spodziewa się dziecka, które ma się urodzić na wiosnę.

Majątek Almy stał się przedmiotem zaciętych sporów. Palatine odmówił wystąpienia w roli kuratora spadku, wykręcając się problemami zdrowotnymi, co znacznie skomplikowało przebieg wszystkich spraw. Należało zapłacić podatki, a moi adwokaci (teraz mam ich kilku) oczekiwali na swe honoraria. Andrej wniósł pozew cywilny. I tak dalej – każdy próbuje uszczknąć swój kawałek tortu.

Do walki przystąpiła także pewna niedochodowa organizacja zajmująca się uzyskiwaniem odszkodowań dla ofiar Holokaustu. Eric wiedział, o czym mówi, kiedy stwierdził, że ojciec Almy pracował dla Trzeciej Rzeszy. Nie jest jednak jasne, czy majątek Almy przeznaczony zostanie na wypłatę odszkodowań, mniej wiadomo, w jakiej części, a jeszcze mniej – którzy z wierzycieli będą mieli pierwszeństwo. A co z pieniędzmi ulokowanymi w funduszach powierniczych? Co z odsetkami? Nie śledzę poszczególnych ruchów i manewrów. Z tym bałaganem będą musieli się uporać inni. Lecz jeśli cokolwiek mi zostanie, i tak nigdy nie będę mógł tego wykorzystać. W porządku, nie ma sprawy.

Nie narzekam. Mam dach nad głową i trzy posiłki dziennie. Mam też

książki, uczniów i czas. Nikt nie zagląda mi przez ramię i wszyscy liczą się tu z moim zdaniem. Jestem szanowany. Kiedyś wierzyłem, że stoję ponad prawem, i choć przekonanie to słabnie z dnia na dzień, odczuwam pewną drobną satysfakcję, wiedząc, że znalazłem dom. Alma zasugerowała mi kiedyś, że otrzymujemy wolność, kiedy o niej myślimy. Jeśli to prawda, to powinienem być najbardziej wolnym człowiekiem na świecie. Ale czy ktoś mógłby temu zaprzeczyć? Przebywając na dworze i spacerując po dziedzińcu, spoglądam na wysokie szare mury, rzędy okien, zwoje drutu kolczastego, kamery, reflektory i wieżyczki – patrzę na te instrumenty sprawowania kontroli i wiem, że żaden z nich nie potrafi przeniknąć mojego umysłu. Wyobrażam sobie rojącą się masę utrzymywaną przez mury w ich obrębie, zastanawiam się nad miejscem, które w niej zajmuję, i myślę: moja wieża z kości słoniowej.

Jedyną rzeczą, której mi brakuje, jest podstawka pod książki. Policja zabrała ją jako dowód rzeczowy, poza tym i tak nie otrzymałbym zgody na posiadanie w celi tak ostrego i ciężkiego przedmiotu. Nie wiem, gdzie teraz jest. Być może tkwi w pudle w jakimś magazynie. Mój przyjaciel. Dobrze mu życzę.

Drogi Josephie,

Przepraszam, że musiałeś tak długo czekać na odpowiedź. Usiłowałem znaleźć właściwe słowa, przez co raz za razem usuwałem to, co napisałem. Język wydaje się zupełnie nie pasować do tego zadania. Moje emocje zmieniają się nawet po przelaniu ich na papier; zmieniają się również w chwili, kiedy wrzucę ten list do skrzynki.

Kalifornia jest cudowna. Moi uczniowie tworzą dobrą grupę, a kadra to prawdziwy skarb. Dopuściłbym się zaniedbania, nie wspomniawszy o pogodzie. Nie byle czym jest uświadamiać sobie, że każdy dzień jest doskonały. Ale to, czy owa łagodność klimatu jest czymś dobrym dla duszy, poddaję Twojej ocenie.

Nie znaczy to jednak, że czuję się tu jak w domu. Zawsze myślałem, że dożyję swych dni w pobliżu miejsca urodzenia, i fakt, że w moim wieku zostałem wysłany tak daleko, wciąż napawa mnie zdumieniem. Być może przeznaczeniem niektórych jest życie na wygnaniu. Przypuszczam, że to prawda, niezależnie od tego, gdzie się żyje i jak długo tam się pozostaje. Wszystkie ziemskie domy są tymczasowe. Nie trzeba być wierzącym, żeby docenić prawdziwość tego stwierdzenia.

Oto moja odpowiedź na Twoje pytanie: utrzymuję kontakt z Twoimi rodzicami. Poproszę ich ponownie, by Cię odwiedzili. Oczywiście nie potrafię powiedzieć, czy mnie wysłuchają. Te straszliwe wydarzenia są czymś trudnym dla nas wszystkich, ale co zrozumiałe, dla nich są najtrudniejsze. Niezależnie od tego, co powiesz, oni wciąż będą się obwiniać i mają pretensje, że są zmuszeni do czucia się winnymi. Są na Ciebie źli, bardzo źli. Tak samo jak ja. Załuję, że nie mogę tego powiedzieć inaczej. Mój urząd wymaga, bym to uczynił. Ale przecież nie taka relacja nas łączy, nieprawdaż?

Nie proszę o wybaczenie, co skłania mnie do przekonania, że nie szukasz najłatwiejszego wyjścia. To dobrze. Bo takich wyjść nie ma. Wyrzuciłeś bolesną krzywdę. Wybacz, jeśli to, co mówię, brzmi okrutnie. Uznając Cię zawsze za

poszukiwacza prawdy, spodziewam się, że odważysz się stawić jej czoło.

Pokój z Tobą,

Ojciec Fred

Co do wyrzutów sumienia: odczuwam je. Bez wątpienia, odczuwam. Zabiłem dwoje ludzi, zniszczyłem co najmniej jedną rodzinę i przyniosłem wstyd i rozpacz sobie oraz tym, których kocham. Oczywiście żałuję, że wszystko nie potoczyło się inaczej. Czasami, kiedy mam kiepski humor, wyobrażam sobie inne możliwe światy, w których nie jestem sobą, lecz kimś innym. Myślę o Almie. Myślę o swoim bracie. Splatam przeszłość z terażniejszością, medytując nad tym, co przesądzone. Uzasadnianie i szukanie winnego to niemądra gra i teraz powinienem wiedzieć o tym lepiej. Ale nic na to nie poradzę. Zastanawianie się leży w mojej naturze. Jest tym samym co ja.

Podziękowania

Wyrażam swą głęboką wdzięczność profesorowi Alexisowi Burgessowi z Uniwersytetu Stanforda, którego krytyka mojego pierwotnego tekstu okazała się bezcenna i pozwoliła mi na nadanie powieści obecnego kształtu. Profesor Burgess jest cierpliwym i życzliwym redaktorem i nie należy przypisywać mu winy za jakiegokolwiek błędy, przeoczenia lub niedorzeczności mogące pojawić się w tej książce. Adresatami moich podziękowań są także Luvh Rakhe, Elisabeth Mecking, Wes Shih, Jeff Forer, dr Eric Banks, Gary Banks, rabin dr James Davis, Jonathan Davis, Jes Handley oraz agent Jesse Grant z Wydziału Policji Berkeley (Kalifornia).

Mam szczęście, bo do grona moich przyjaciół należą pisarze: Norman Lasca, Saul Austerlitz, Harlan Coben, Owen King i Gregg Hurwitz. Ich zachęty oraz towarzystwo podnosiły mnie na duchu.

Dziękuję Chrisowi Pepe, Ivanowi Heldowi, Amy Brosey i wszystkim przedstawicielom wydawnictwa Putnam; dziękuję Davidowi Shelleyowi oraz całemu zespołowi oficyny Little, Brown; dziękuję także Amandzie Ross, Richardowi i Judy, Lizie, Havisowi i Victorii.

Dziękuję moim Rodzicom i Rodzeństwu.

Podziękowania te składam również w imieniu mojej żony.

Witaj, Oscarze!

Spis treści

Dedykacja

Motto

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[Podziękowania](#)